



“Wonderful,
innovative
and fresh.
Don't miss this
fantastic story.”
—CHRISTINE
FEEHAN

❧ L. J. ❧
McDONALD
BITEVNÝ SYLF

Okladkę przerobiła Revaya

Bitewny

sylf

L.J. McDonald

Źumaczenie: Mikka

Beta: paola_3

wezwanie

Drżąc, książę podszedł do ołtarza. Białą na twarzy i trzęsący się, nie spojrzął na Solie. Jego strach nie miał nic wspólnego z zabiciem niewinnej dziewczyny, widziała, patrząc na niego z przerażoną pogardą.

Okrąg pojawił się w powietrzu nad nimi, kula czystej energii. Kapłani inwokowali, ich dźwięczne głosy napełniały pomieszczenie, a kula przeszła z szarości w zieleń, czerwień i czern. Dął wiatr, wpadając w okrąg z dziwnie ryczącym dźwiękiem. Ogniste sylfy się cofnęły, ocieniając okrąg i Solie zrozumiała, że było tam coś patrzącego przez bramę, oceniając ich wszystkich. Patrzyło na nią, nagą i bezradną na ołtarzu. Zobaczyło ją i zapragnęło.

- Teraz! – krzyknął król. – Teraz ją zabij!

Książę sapnął, zdumiony, i podniósł nóż. Jego ramiona drżały, gdy poniósł go nad głowę. W tym samym czasie, Solie zerwała więzy i usiadła, ubijając maleńkie ostrze głęboko w ramię księcia...

prolog

Przynieśli ofiarę przed świtem, gdy ulice w większości były puste, a drogi ciągle ciemne. Tylko pałac i jego okolice jaśniały, ogniste sylfy koncentrowały się na ocieplaniu budynków w mroźnym, zimowym powietrzu. Oświetlanie ulic na zewnątrz było mniej ważne.

Devon patrzył jak ją nieśli z miejsca, w którym stał na wale obronnym zamku, wtulając się w płaszcz i czekając na statek, który niedługo miał przybyć. Przynajmniej zakładał, że to ofiarę wwieziono wozem przez starą tylną bramę, trzech uzbrojonych mężczyzn siedziało w środku przed czymś okrytym płótnem. Cokolwiek to było, ruszało się. Krążyły plotki, że kolejny bitewny sylf ma zostać wezwany. Książę był w odpowiednim wieku i żaden inny sylf nigdy nie zostałby uznany za dość dobrego.

Devon westchnął, zadowolony, że jego sylf przynajmniej nie potrzebował, żeby ktoś umarł, żeby go do siebie przywiązać. Czuł ją, bezcielesną w powietrzu wokół niego, czekającą tak jak on. Gdy chciała, mogła przybrać solidny kształt, jak wszystkie sylfy, ale wołała być niewidzialna przez większość czasu, tańcząc w powietrzu, które mogła kontrolować. Najpierw przywołana przez jego dziadka, została mu przekazana przez ojca przez dar muzyki, przywiązana do niego na resztę życia. Nie miała nic przeciwko. Devon czuł jej zadowolenie w tyle umysłu. Mówiło się, że mężczyźni przywiązani do bitewników nie czuli nic poza nienawiścią ich sylfów. Na pewno wszyscy w pobliżu to czuli.

Bryza była zimna, wystarczająco by sprawić, że w tę jesienną noc ze smutkiem myślał, że niedługo to śnieg będzie tańczył wokół niego, gdy zagłębiał się w osłonie zamku.

- Hej, Airi – zawołał, szcękając zębami. – Jest lodowato. Możesz coś zrobić z wiatrem?

Jej obecność się zbliżyła, twarz uformowała się w powietrzu.

To wielki statek, przypomniała mu.

- Nie sędę, żeby powstrzymanie mnie przed zamarzeniem na śmierć zużyło dużo twojej energii – odparł i wiatr zamarł wokół niego, powietrze się nie ociepliło, ale też nie kęsało już mrozem. – Dziękuję.

Odpowiedział mu dźwięczny śmiech i Devon się otrząsał, prostując płaszcz i patrząc w górę. Tam gdzie stali, była szeroko przestrzeń stu stóp, dogodna dla lądującego statku. Zwykle dokowali za dnia, ale to nie był standardowy statek kupiecki. Plotkowano, że to przynęta na piratów. Do tej pory bandyci zaatakowali trzy statki, zabierając ładunki i uwalniając załogę, ale król nie był znany z tolerowania czegokolwiek i ten ostatni statek wyruszył uzbrojony w dwóch bitewników.

Cokolwiek znaleźli, teraz wracali, z uszkodzeniami. Pracą Devona było użyć Airi aby pomóc Tempest, oficjalnemu powietrznemu sylfowi statku, wylądować. Jego przełożeni nie powiedzieli mu, kiedy statek przybędzie i już był tu pół nocy, czekając.

Nie skarżył się, przyznał z westchnieniem. Tak samo jak nie pytałby, co uszkodziło statek, ani o wóz, który widział. Powietrzne sylfy łatwo było zdobyć, tak jak ziemne, ogniste i wodne. Ktoś taki jak on mógł zostać szybko zastąpiony, gdyby zaczął zadawać za dużo pytań, a to zdarzało się wcześniej, szczególnie, gdy bitewnicy byli w to zamieszani. *Oni* byli rzadcy. Na szczęście. Devon nie chciał myśleć, jakie szkody mogliby spowodować, gdyby było inaczej.

Pomimo tego, że wiedział lepiej i tego, że właśnie myślał o tym, jaki był zbędny, znów spojrzął ponad wałem na wóz znikający w środku. Statek wysłany po przynętę z dwoma bitewnikami na pokładzie? Ofiara sprowadzona by wezwać nowego bitewnika dla księcia? To wywracało normalny świat Devona, w którym nie musiał się martwić o nic poza pracą i Airi. Devon był szczęśliwy będąc mistrzem powietrznego sylfa. Nie chciał myśleć o niczym innym. Chociaż żał mu było dziewczyny, która zostanie zabita.

- Wyczuwasz już Tempest? – zapytał.

Nie.

Devon westchnął, znów opierając się o wał. Przynajmniej już nie było mu zimno. Zamknął oczy, próbując złapać chwilę odpoczynku. Późna noc czy nie,

jutro i tak będzie miał zajęty dzień. Airi obudzi go, jeśli ktoś przyjdzie. Sylfy rzadko spały.



Są tu.

Devon spojrział w górę. Gdy drzemał minęło dość czasu, że zaczął nastawać świt i na linii horyzontu mógł w końcu zobaczyć unoszący się ku nim statek. Był wielki, kadłub zaokrąglony po bokach jak u statku płynącym po oceanie, ale dno było płaskie. Jedyne fale, po jakich żeglował ten statek to te, które tworzyły niosące go sylfy. Tempest była głównym sylfem, dużo potężniejszym niż jego malutka Airi. Devon był niemal zazdrosny, gdy patrzył jak ta rzecz gładko ląduje.

Jestem po prostu młoda, powiedziała mu Airi, choć miała niemal sto lat. Czasami to sprawiało, że zastanawiał się jak stare były stworzenia takie jak Tempest, albo jak długo będzie żyć Airi. Nigdy jej nie zapytał. Na wiele sposobów, Devon po prostu nie chciał wiedzieć.

- Wiem – załagodził, nie chcąc jej zdenerwować. Zdenerwowany sylf był bolesny dla swojego mistrza. Nie wiedział jak mistrzowie bitewników to znoszą. – Gdybyś nie była, cały czas spędzalibyśmy na statku – Trudno byłoby mu znów zobaczyć ojca.

Statek przed nimi się zatrzymał i poczuł wiatr Tempest mocno bijący o niego, gdy Airi pomagała zaprzyjaźnionej sylfce. Razem opuściły statek ku skałom zamku i uniosły ku niemu rampę.

Gdy podszedł, Devon zauważył, że boki statku zieją dziurami, a żagle są porwane. Nic dziwnego, że potrzebowali pomocy przy lądowaniu. Spojrział na ślady spaleniźny i poczuł zimno, które nie miało nic wspólnego z pogodą. Mężczyzna zszedł nowoustawioną rampą, zaciskając swój płaszcz. Za nim postępował olbrzym w pełnej zbroi, światło błyszczało w otworach na oczy hełmu. Poznając obu, Devon skłonił się nisko.

Mężczyzna przeszedł obok nie zwalniając. Był ubrany jak dandys, jego twarz poznaczona była dumą i nawet nie zobaczył Devona: Jasar Doliard, pomniejszy właściciel ziemski i jeden z dworzan faworyzowanych przez króla i konsulat. Dość faworyzowany by wygrać sobie bitewnego sylfa, drugą figurę, co, do której Devon miał nadzieję, że też go zignoruje. Nie miał tyle

szczęścia. Natychmiast te jarzące się oczy hełmu skupiły się na nim. Przynajmniej to wyglądało jak hełm. Było bardzo prawdopodobne, że zbroja była fizyczną częścią bitewnika, a nie oddzielną. Devon czuł nienawiść bijącą od bitewnika, jednak Mace nie mógł nic zrobić, nie bez rozkazu mistrza. Mace zwykle nie robił nic poza nienawidzeniem. Po prostu stał w pobliżu mistrza i wyglądał imponująco. Zdawałoby się to stratą bitewnika, gdyby stworzenia te nie były tak przerażające, gdy działały.

Za Jasarem zszedł drugi mistrz bitewnego sylfa. Był dobrze zbudowanym blondynem, chociaż ani trochę nie mógł się mierzyć z Macem, a jego sylf ruszał w bitwy. Leon Petrule był głową ochrony i prowadzącym mistrzem bitewnika przez lata. Bitewnik Leona miał formę jastrzębia o czerwonych skrzydłach, usadowiony na jego ramieniu, a Devon czuł jego nienawiść tak wyraźnie jak Mace'a.

Wzgarda Rila była ostra i ptak zacieśnił uścisk na ramieniu mistrza, gdy zobaczył Devona, szpony cięły skórę. Devon pochylił się głębiej, nie chcąc zwracać uwagi. Jediną rzeczą, jaką bitownicy wiedzieli jak dobrze robić to nienawidzić. Wszystko, w czym byli dobrzy to zabijanie i był wdzięczny, że nikt nigdy nie zasugerował by stał się mistrzem jednego, chociaż mężczyzna mógł mieć tylko jednego sylfa, a rodzina Chole miała Airi, o którą mieli dbać. Nawet gdyby tak nie było, nie miałby do tego ducha. Musisz mieć odpowiednio twardą duszę. Leon ją miał. Pomimo wszystkich plisowanych ubrań i zachowań, Jasar to miał. Devon zastanawiał się czy ciotowaty syn króla to ma i odkrył, że w to wątpi.

Airi krążyła wokół niego, przybierając kształt wichru liści, gdy Leon, ku niechęci Devona, zatrzymał się przed nim. Ril poruszył się na ramieniu mężczyzny, patrząc na Airi jednym okiem. Devon znów się pokłonił.

- Mój panie.

- Nic dziś nie widziałeś – powiedział mu królewski mistrz bitewnika. –
Rozumiesz?

Devon pokłonił się nawet niżej.

- Tak, mój panie.

- Dobrze.

Mistrz bitewnika ruszył dalej. Devon poczekał aż zniknie zanim się wyprostował. Jego dłonie drżały.

- Airi – wykrztusił. Jej uwaga skupiła się na nim, bryza w jego umyśle. – Nikomu nie mów o dzisiejszej nocy.

Nie było kłótni. To właśnie znaczyło bycie mistrzem. Była z nim związana, niezdolna się sprzeciwić. Gdyby Devon i jego ojciec obaj umarli wróciłyby do innego świata, z którego przyszła, nigdy nie wracając, chyba, że wcześniej przekazałby ją innemu mistrzu. Jeśli Devon umarłby przed ojcem, Airi wróciłyby do staruszka. Była jego ojca i dziadka przed nim i stare więzy nadal ją trzymały, ale to Devonowi była teraz winna lojalność. Chociaż nadal wykonywała rozkazy poprzednich mistrzów. Gdy raz ktoś był jej właścicielem, zawsze będzie. Nawet bitewnicy trzymali się tej zasady.

Devon zadrżał, obracając się ku statkowi, żeby pomóc go rozładować, gdy załoga zaczęła schodzić, ale gdy to zrobił, eksplozja sprawiła, że upadł na kolana. Sapiąc, zdołał wstać i podbiec do krawędzi wałów zamku. Patrząc w dół, zobaczył ogromną dziurę z boku twierdzy, w pobliżu podstawy i usłyszał krzyk czegoś nieludzkiego. To był rozwścieczony krzyk, jak ten, który wcześniej słyszał tylko raz, w dniu, którego ciągle nie mógł zapomnieć. Chwilę później, kształt skrzydlatej chmury wypadł z dziury, skrzydła rozciągnięte szeroko, gdy rzucił się naprzód. Devon sapnął, gdy poczuł nienawiść tego.

Chmura pełna błyskawic poleciała w górę nieba, już znikając w świetle wczesnego poranka. Niosło coś o długich, rudych włosach i białych kończynach, coś, co wrzeszczało ze strachem i przywierało do tego.

- Airi – sapnął Devon, nie wiedząc, co myśli ani dlaczego to robi. – Śledź ich.

W tej chwili jego sylf zniknął, goniąc za celem na prądach powietrza. Devon stał samotnie na wałach, patrząc za uciekającą parą i zastanawiając się jak jakakolwiek dziewczyna może kierować bitewnikiem.

Rozdział 1

Solie miała ciotkę o imieniu Masha, kobietę, która nigdy nie wyszła za mąż i była znana ze swojego temperamentu. Odmówiła poślubienia kogokolwiek i żyła po swojemu, prowadząc piekarnię i każdego dnia pracując długie godziny. Zmusiła ludzi w swoim miasteczku żeby ją zaakceptowali i w końcu tak się stało. Nawet teraz kupowali jej chleb, gdy była stara a jej włosy siwe. Solie urodziła się z rudymi włosami Mashy, jeśli nie z jej temperamentem i była uwielbiana. Masha rozpuściła bratanicę, dając jej prezenty, i co ważniejsze, czas. Solie żyła dla jej wizyt, woląc życie i wolność ciotki ponad małżeństwo i służebność obiecywane przez matkę. Jakkolwiek najlepszym prezentem ciotki był nóż, który Solie mogła nosić we włosach, ukryty we wsuwce.

- Nigdy nie wiesz, kiedy możesz tego potrzebować – powiedziała jej starsza kobieta. – A wiedzieć, że masz broń, to mieć poczucie bezpieczeństwa, które ukazuje się w kobiecie. Mężczyźni ruszają za słabymi celami. Nigdy nie pokazuj im się jako taka. Twoja postawa jest twoją najlepszą ochroną.

Solie zaczęła nosić wsuwkę codziennie, razem z jej zielonym motylem i chociaż stała się z tego znana, nigdy nikomu nie powiedziała, co jest w niej ukryte. To dawało jej pewność siebie i dumę, i odrzucała zarówno chłopców, którzy przychodzili się do niej zalecać, jak i starców, którzy myśleli, że smukły rudzielec będzie wspaniałą żoną. Jej matka uważała, że była zbyt wybredna, a ciotka, że wcale nie musi wybierać. Wiec, gdy rodzina próbowała zaaranżować jej małżeństwo, Solie odmówiła, odchodząc tej samej nocy ze wszystkim, co do niej należało w torbie.

Masha mnie przyjmie, zdecydowała, gdy zmierzała w dół ścieżki prowadzącej z jej wioski. Jej ciotka mieszkała tylko pięć mil dalej, po drugiej stronie skrzyżowania w następnej wiosce. Wyruszyła o zmroku, pewna, że do świtu jej rodzice nie zorientują się, że wyszła przez okno. Chociaż nie miała zamiaru zostać. Miała siedemnaście lat i nie miała zamiaru poślubić czterdziestopięcioletniego grubasa, nie ważne, kto mówił jej, że musi.

Pewna, przestraszona i raczej podekscytowana nagłą wolnością, zmierzała drogą, słońce zachodziło na horyzoncie i okrywało wszystko ciemnością, co jej pasowało. W ciemności nie ma się czego bać, zapewniała jej ciotka, tylko w mężczyznach, a oni byli równie niebezpieczni za dnia. Jak długo trzymała przy sobie swój rozum, nie miała się czego bać. Więc Solie szła drogą, którą przemierzała tak wiele razy, z torbą przerzuconą przez ramię, gwiżdząc żeby sobie udowodnić, że rosnąca ciemność wcale nie sprawia, że jest bardziej nerwowa. Nie biegła, ale szła szybko, często się oglądając.

Noc stawała się ciemna i zimna. Była późna jesień i drzewa już przypominały szkielety, ich liście leżały w kupach wokół drogi. Mróz kąsał. Solie owinęła się płaszczem, życząc sobie żeby jej rodzice zdecydowali się wydać ją za mąż raczej latem.

Czas mijał, księżyc się unosił i westchnęła z ulgą, gdy w końcu dotarła do skrzyżowania. Nie widziała nikogo po drodze. Przyszła z południa. Na zachód droga prowadziła do miast, o których tylko słyszała. Trzy dni drogi, jak jej mówiono, i kończyło się królestwo Eferem. Inne królestwa leżały za nim, jeszcze więcej za nimi, i tak aż do końca świata. W końcu będzie musiała pójść tą drogą, jak przypuszczała, chociaż ta myśli była dla niej zbyt odległa. Na wschód leżała stolica, gdzie mieszkał król i nawet stąd mogła dostrzec światło ognistych sylfów, które oświetlały zamek. Na północ leżała wioska jej ciotki, a potem droga prowadziła dalej na północ, trasą, którą nigdy nie poszła, nawet w zabawie. Ta droga prowadziła przez lasy i inne miasta i kończyła się w martwych Łupkowych Równinach, które trzeba było przebyć żeby dotrzeć do królestwa Para Dubh, ich najbliższego sąsiada. Chociaż tutaj droga była tylko starym skrzyżowaniem.

Solie przeszła, przeskakując ponad koleinami, które były niemal dość głębokie żeby uwięzić wóz. Wtedy usłyszała parsknięcie konia. Zdumiona, spojrzała w górę żeby zobaczyć trzech mężczyzn na koniach w królewskich czerwono-czarnych liberiach, jadących ze wschodu. Również na nią patrzyli, równie zaskoczeni widząc kogoś na zewnątrz o tej porze.

Lider uśmiechnął się szeroko.

- Wygląda na to, że to będzie łatwe – powiedział.

Rozwaga ponad odwagą, mówiła zawsze jej ciotka. Solie uciekła.

Natychmiast usłyszała grzmienie kopyt ruszające za nią i próbowała zejść z

drogi w krzaki, ale mężczyźni byli przeszkoleni. Ledwie przebyła dwadzieścia jardów, walcząc z kupą liści, zanim jeden chwycił ją za długie włosy i pociągnął ją do tyłu, również szarpiąc w górę. Puścił jej włosy, żeby lepiej chwycić jej koszulę, rzucił ją na siodło przed sobą.

- Puść mnie! – krzyknęła, walcząc.

Uderzył ją w tył głowy pięścią.

- Spokój – ostrzegł. Potem rozkazał kompanom zabrać jej torbę i obrócić konia, ruszając w stronę, z której przybył, jedną ręką ciągle trzymając na tyle jej koszuli.

W głowie jej wirowało od bólu i Solie mogła się tylko trzymać, czując jakby miała zwymiotować, gdy przy każdym ruchu konia siodło wbijało jej się w brzuch. Żołnierze wkrótce galopowali z powrotem do stolicy, śmiejąc się i gratulując sobie nawzajem swojego sukcesu. Szukali dziewczyny, zrozumiała i oczekiwali, że będą musieli włamać się do czyjej chaty, żeby jakąś dostać. Wyszła i ułatwiła im to.

Niemal spanikowała, jej przerażenie było tak wielkie, że ledwie mogła oddychać podczas całej strasznej jazdy. Jeśli żołnierze jej chcieli, to nikt nie mógł jej pomóc; nawet ciotka jej nie uratuje. Po prostu zniknie i nikt jej więcej nie zobaczy. Słyszała jak odbywało się to wcześniej. Jej rodzice zawsze ostrzegali ją, że tak może się stać i że musi być ostrożna. Jej ciotka zawsze mówiła żeby nigdy nie robiła z siebie atrakcyjnego celu. Najwidoczniej samotny spacer w nocy, właśnie w taki cel ją zmienił.

- Proszę, puśćcie mnie - zawodziła. – Czego ode mnie chcecie?

Trzymający ją mężczyzna roześmiał się szorstko, klepiąc ją w tyłek i sprawiając, że znów krzyknęła.

- Nie chcemy *ciebie*, dziewczyno. Chcemy tylko kobiecej przynęty. Bitewnik przychodzi dziś do księcia. Polubisz go – Inni mężczyźni również się roześmiali.

Serce Soli zamarło. Bitewnik? Chcieli jej dla *bitewnika*? Jak każdy, słyszała historie o sylfach, duchach związanych by służyć ludzkim mężczyznom swoją magią. Dorastała na tych historiach, zawsze chcąc jednego, ale wiedząc, że to nigdy się nie stanie. Tylko mężczyźni wiązali sylfy i to tylko wyżsi rangą niż jej rodzina. Bitewnicy byli przerażającymi historiami wśród tych o sylfach: złymi stworzeniami urodzonymi tylko po to by niszczyć. Bezpieczeństwo

całego Eferem bazowało na nich, ale byli zimni i okrutni, i według historii, żeby zyskać ich usługi trzeba było poświęcić młodą dziewczę.

Solie zaczęła krzyczeć, próbując spaść z konia. To sprawiło, że stał się on nerwowy. Żołnierz, który ją trzymał zaklął i rzucił ją na ziemię. Solie próbowała wstać i uciec, ale zsiadł i znów ją chwycił, łatwo przygważdżając do ziemi, gdy pozostali wiązali jej ręce i nogi.

- Zakneblujcie ją – warknął – Jest cholernie głośna.

Wepchnęli jej szmatę w usta i pociągnęli w górę. Ze związanymi nadgarstkami, Solie mogła ruszać tylko palcami, gdy z powrotem została rzucona na siodło. Konie znów ruszyły.

To nie miało się stać! Zniknęła cała pewność siebie, jaką dała jej ciotka i krzyczała w knebel, z twarzą przyciśniętą do związanych rąk. Potem dotknęła wsuwki. Mrugając, poczuła motyla pod palcami... wysliznął się podczas walki. Wysunęła go z włosów, ukrywając. Żołnierz nie zauważył, krzycząc coś do kompanów o zdobyciu wozu.

Zaczęli teraz galopować po bruku, który głośno trzeszczał pod kopytami koni, gdy wjechali do miast otaczającego królewski zamek, mijając boczną bramę w głównym murze i kierując wierzchowce w boczne uliczki gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. W końcu zatrzymali się przy stajni, gdzie dwóch żołnierzy zsiadło. Mężczyzna trzymający Solie został na koniu, z jedną ręką na jej plecach, gdy jego kompani szykowali wóz. Solie obróciła głowę żeby spojrzeć na niego błagalnie.

- Szkoda, że bitewnicy preferują dziewczęce – powiedział, patrząc na nią. Dziewczyna zadrżała i odwróciła wzrok.

Przenieśli ją na stary wóz, który pachniał jakby był używany do przewożenia warzyw. Jego drewniane deski były zimne i strasznie niewygodne, ale mężczyźni okryli ją brezentem, który blokował rosnący mróz. Była z tego podwójnie zadowolona: trzech mężczyzn siedziało na siedzeniu przed nią, pewnie patrząc w tył, ale nie będą mogli jej zobaczyć pod płachtą. Solie sama nie widziała w ciemności, ale czuła swoją wsuwkę.

Ostrożnie wysunęła motyla z dłoni do krawędzi palców, starając się go nie upuścić... mogłaby go zgubić w ciemności gdyby tak się stało. Próbując nie drzeć, gdyż czuła zimno z dna wozu, zdołała nakierować małą broń w stronę nadgarstków przed naciśnięciem małego zatrzasku uwalniającego

ostrze. Wsunęło się – ledwie mierzące cal, ale dość żeby przekonać mężczyznę by zostawił ją w spokoju, jak twierdziła jej ciotka. Solie odetchnęła i zgięła palce jak tylko mogła, przysuwając nóż do liny i zaczynając piłować. To była trudna, bolesna praca, ale nóż był ostry i niemal zaszłochała, gdy poczuła jak pierwsze włókno puściło. Jednak lina była gruba i przecięcie jej zajmie trochę czasu.

Dźwięk uderzających kopyt się zmienił, brzmiał pusto i zrozumiała, że wjechali do zamku. Oparła się pokusie krzyku i szybszej pracy. Tylko by upuściła nóż gdyby to zrobiła albo za bardzo by się ruszała i sama by się wydała. Jej szanse ucieczki były już wystarczająco małe. Próbowwała o tym nie myśleć, skupiając się na cięciu jednego włókna na raz.

Wóz skręcił za róg, zjechał i w końcu stanął. Słyszała zsiadających mężczyzn, ale piłowała aż do ostatniej sekundy, ukrywając nóż w dłoni w tej samej chwili, gdy odrzucili brezent. Mrugając by pozbyć się łez, spojrzała w górę na straszliwą jasność. Mieli ognistego sylfa, coś czego Solie nigdy nie widziała z bliska. Teraz widziała to wyraźnie, unoszące się nad każdym w formie kuli światła, sprawiając, że w pomieszczeniu było jasno jak w dzień.

Byli pod ziemią, w pieczarze i zaskomlała za kneblem, gdy żołnierze podnieśli ją z wozu i trzymali w powietrzu między sobą, jeden trzymając ją pod ramionami, inni pod kolanami.

Mężczyzna ubrany na biało zmarszczył brwi na jej widok.

- Będzie dobra – zdecydował. – Wszystko inne gotowe. Chodźcie – Obrócił się z dramatycznym szelestem szat i odszedł, prowadząc żołnierzy w dół korytarza wyciętego w solidnym murze, ściany błyszczące jak szkło i lustrzane... dzieło ziemnego sylfa, skoro nie widać było śladu narzędzi.

Solie patrzyła. Jej odbicie było wyraźniejsze niż jakiegokolwiek, jakie wcześniej widziała patrząc w kałużę czy jezioro i zamrugowała widząc się wyraźnie po raz pierwszy. Wyglądała okropnie, jej kręcone rude włosy poplątane, a jej twarz pokryta brudem i siniakami. Miała ciemne cienie pod oczami, jej skóra plamista od łez. Wyglądała na załamana i brzydką i próbowała znów nie szłochać. Musi być silna... *musi* być albo zginie. Pewnie i tak zginie, ale jej ciotka byłaby zawstydzona gdyby stchórzyła jak jakaś słaba dziewczynka. Z tego powodu, zamknęła na chwilę oczy. Gdy znów je otworzyła, były twarde. Czuła nóż w dłoniach, a liny były odrobinę luźniejsze, najgłębsza pętla

przepiłowana. Gdyby przecięła resztę, będzie mogła uwolnić dłonie. Wtedy może mieć szansę.

Mężczyźni zanieśli ją do podziemnej katedry, wysoki, wyginający się sufit był oświetlony przez więcej ognistych sylfów, których mistrzowie stali wzdłuż ścian ubrani w czerwień i z pochylonymi głowami. Więcej mężczyzn uzbrojonych w miecze stało w centrum pomieszczenia, jak i grupa kapłanów w szatach i jeden mężczyzna w szacie z gronostajów.

Solie zadrżała, poznając króla. Był wielki, jego broda szarzała a oczy były jak wióry krzemienia. Widziała go wcześniej na malowidłach w zajazdach i raz w karcie z odległości. Nawet na nią nie spojrzał, mówiąc szorstko do młodego mężczyzny ubranego w drogie żółte jedwabie, które nie pasowały do odcienia jego skóry. Młody mężczyzna drżał, gdy go mijali popatrzył na nią, jakby nigdy wcześniej nie widział kobiety.

- Uważaj! – Król uderzył go w twarz i chłopiec drgnął.

- Tak, ojciec – przeprosił, jego oczy ciągle śledziły Solie przez chwilę, gdy została zanesiona do podium i rozciągnięta na ołtarzu, jej wiązania z liny zaczepiono o metalowe haki. Znow zaczęła niemo wrzeszczeć, gdy mężczyzna w białej szacie zaczął rozcinać jej ubranie.

- Kapłani otworzą bramę – powiedział król nerwowemu synowi – Przysięgają, że po drugiej stronie jest bitewnik – Rzucił im spojrzenie, od którego ukradkiem się schylili. – Gdy przejdzie, zabij dziewczynę. Nie wahaj się, albo go do siebie nie przywiążesz. W chwili, gdy się do ciebie obróci, nazwij to. To zakończy wiązanie.

Soli z trudem łapała oddech na ołtarzu, drząc od tego, co usłyszała. Zabij ją. Żołnierze się odwrócili, zostawiając ją tam i znow wysunęła nóż ze wsuwki, modląc się żeby nikt nie widział, gdy wznowiła piłowanie. Nikt nie widział. Nawet na nią nie patrzyli.

- Jak mam to nazwać? – Zaskamlał chłopiec, drząc.

- Jakkolwiek chcesz – parsknął król. – Po prostu nie wybieraj głupiego imienia, bo nie możesz go później zmienić. Nie zawieź mnie w tym, chłopcze. Król zawsze ma bitewnika. Inaczej będziesz celem dla swoich wrogów – Gdy chłopiec się wiał, król znow go uderzył i roześmiał się szorstko. – Nie pozwoli już mi cię bić... chociaż jeśli będzie próbował mnie powstrzymać, mój bitewnik go usadzi. Będzie twoim ciągłym kompanem, jak

Thrall jest moim. Jedyne chwile, gdy jest z dala od mojego boku, to, gdy jestem z kobietą. Więc przygotuj się żeby do tego przywyknąć.

Książę spojrział w dół, najwyraźniej niezbyt zachwycony perspektywą. Solie desperacko piłowała więzy, sama również niezbyt ucieszona.

Mężczyzna w białej szacie skłonił się przed królem.

- Jesteśmy gotowi, mój suzerenie.

Król skinął i cofnął się o krok, wołając patrzeć z wejścia korytarza, przez który przyszli.

Drżąc, książę podszedł do ołtarza. Biały na twarzy i trzęsący się, nie spojrział na Solie. Jego strach nie miał nic wspólnego z zabiciem niewinnej dziewczyny, widziała, patrząc na niego z przerażoną pogardą. Ale wciąż, jeśli na nią nie patrzył, nie widział, że do połowy przecięła więzy. Solie miała nadzieję, że będzie kontynuował to bezmyślne ignorowanie jej, gdy przełknął, zmieniając pozę i uchwyt na zdobionym sztylcie w dłoni.

Okrąg pojawił się w powietrzu nad nimi, kula błyszczącej energii. Kapłani inwokowali, ich dźwięczne głosy napełniały pomieszczenie, a kula przeszła z szarości w zieleń, czerwień i czerni. Z tego przeszła w przezroczystość i książę patrzył na to z osłupieniem, podczas gdy Solie wrzasnęła i przyśpieszyła, tnąc przy tym własne palce. Rany bolały, ale krew pomagała, natłuszczając linę, nawet, jeśli to groziło tym, że wypuści nóż.

Dął wiatr, wpadając w okrąg z dziwnie ryczącym dźwiękiem. Ogniste sylfy się cofnęły, ocieniając okrąg i Solie zrozumiała, że było tam coś patrzącego przez bramę i oceniając ich wszystkich. Książę też to wyczuł i zobaczyła jak jego oczy rozszerzyły się nawet bardziej. Jego jabłko Adama skoczyło w górę i opadło.

Obecność spojrziała przez bramę, oceniając, decydując czy przejść. Solie czuła jak jego uwaga się zmienia, skupia... i nagle wiedziała, że patrzyło na nią, nagą i bezradną na ołtarzu. Zobaczyło ją i zapragnęło, a ona przecięła ostatnie włókna liny, gdy to się pojawiło, ogromne i cieniste, jednak nie przybierając żadnego wyraźnego kształtu.

- Teraz! – Krzyknął król. – Teraz ją zabij!

Książę sapnął, zdumiony, i podniósł nóż. Jego ramiona drżały, gdy poniosł go nad głowę. W tym samym czasie, Solie zerwała więzy i usiadła, wbijając maleńkie ostrze głęboko w jego ramię. Książę wrzasnął, upuszczając nóż i

upadając w tył na podium. Ciągłe związana w kostkach, Solie wyszarpnęła knebel i spojrzała w górę... prosto w ciemnoczerwone oczy. Wrzasnęła i opadła na ołtarz, w poddaniu unosząc ręce.

Bitewnik wylądował na ołtarzu, opierając się nad nią, bestia uformowana z dymu i błyskawic. Czuła jego emocje, jego zainteresowanie i ciekawość. Jego oczy patrzyły w jej i zarumieniła się, gdy powoli spojrzał w dół długości jej ciała a potem znów w górę. Zamruczał, schylił głowę i polizał ją od pępka przez piersi i wzdłuż szyi. Solie nie widziała języka, ale czuła go i wrzasnęła, przestraszona, zmrożona i jakoś jednocześnie rozgrzana.

Co powiedział król? Nazwij to.

- Hej, ty ¹– zdołała wykrztusić, ledwie zdolna w ogóle mówić, tak była wystraszona. Przełknęła, próbując zmusić język żeby rozwiązał się dość, żeby mogła zapytać o imię, a on odetchnął na nią ciepłym powietrzem.

Heyou, powtórzył miękko, dźwięk odbijał się echem w jej umyśle.

Właśnie to nazwała? Zastanawiała się i nagle uświadomiła sobie, że słyszy krzyki. Zdumiona, odwróciła spojrzenie od bestii żeby zobaczyć, że kapłani cofają się w przerażeniu, żołnierze ruszają się z prawdziwym strachem w oczach, ale ciągle zdeterminowani.

- Zabić dziewczynę! – Zawył król, nawet, gdy uciekał korytarzem, z dala od nich wszystkich. – Odeślijcie to, teraz! – Księżę usiadł u podstawy ołtarza, w szoku patrząc w górę.

- Pomóż mi – błagała bitewnika. – Proszę!

Sylf opuścił głowę, znów przesuwając po niej nosem a potem uniósł się, rycząc. Solie nagle mogła poczuć jego nienawiść, gdy ta skupiła się na mężczyznach i połowa z nich się cofnęła... co nic nie dało. Coś jak ramię wystrzeliło i fala zniszczenia przedarła się od ołtarza, wbijając się w żołnierzy i kapłanów i rozdzierając ich. Ogniste sylfy opadły próbując chronić mistrzów, ale również zostały starte, błyskając przez chwilę i znikając. Wszystko w komnacie poza ołtarzem zniknęło i Solie krzyknęła, przerażona.

Otoczyła ją ręka, unosząc do czegoś ciepłego. Poczwała jak się ruszało i nagle lecieli, przebywając pomieszczenie i korytarz, którym ją przyniesiono. Na szczycie, biegł król, wyjąc o pomoc, gdy konie przy wozie rżały i cofały się. Heyou warknął, ale król dotarł do czegoś, co wyglądało jak niski mężczyzna z

¹ Hey, you

łysą głową i niemrugającymi oczyma. Bitewnik króla spojrzął na Solie i Heyou niezachwianie i to Heyou drgnął, zawracając.

Stworzenie trzymające Solie wyleciało przez korytarz, którym została wniesiona do zamku, nagle sprawiając, że przejście było wysokie na pięćdziesiąt stóp. Wydostał się przez dziurę i Solie poczuła zimno, gdy walczył o wysokość, unosząc ich ponad murami zamku i zmierzając ku świtowi. Solie krzyknęła, zmarznięta i przerażona, aż otoczył ją czarny dym, ogrzewając i wtedy zemdląła, niezdolna znieść więcej. Bitewnik spojrzął na nią w dół z troską, ale ciągle oddychała.

Upojony jej zapachem i własną wolnością, Heyou poleciał.

Rozdział 2

Heyou leciał w świt, wysoko ponad farmami, gdy zmierzał ku góróm, z dziewczyną blisko. Nigdy nie widział takiego miejsca, ale prądy powietrza były dość znajome pod jego skrzydłami. Jeszcze niezbyt uformowany, został w naturalnym kształcie: gęstej chmury czarnego dymu przecinanej elektrycznością, jego oczy były czerwonymi sferami błyskawic, usta pełne zębów uformowanych z czystej energii. Skrzydła uformowane z tego samego dymu rozciągały się na boki, czubki blakły w nicość. Normalnie bezcielesny, ciągle utrzymywał dość formy żeby ją nieść, szukając bezpiecznego miejsca na lądowanie. To miejsce na pewno nie było w pobliżu bramy. Zniszczyłby tam wszystko gdyby nie potrzeba chronienia dziewczyny. Plus, był tam inny samiec. Heyou był młody i niewytrenowany. Mógł wyczuć wiek drugiego i nie chciał walki. Nie z kobietą w ramionach.

Ciągle chwiał się pod tym cudem. Jako strażnik niskiego stopnia w domowym roju, który nigdy nawet nie widział królowej, nie wiedział, czym była brama, gdy ta się pojawiła. Sprawdzał tylko, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej królowej i rojowi. Chociaż, gdy zobaczył kobietę po drugiej stronie, nie było mowy, żeby do niej nie przeszedł. Teraz spała w jego ramionach i była jego królową, albo czymś tak bliskim, że nie miało to znaczenia. Czuł jej panowanie nad nim i chciał krzyczeć z triumfem.

Zamiast tego, leciał. Była mała i delikatna, zamknięta w ciele i, oceniając po wyglądzie, wrażliwa na zimno. Otoczył ją ciepłem i szukał ciepłego miejsca do wylądowania, w końcu opadając w głębokiej górskiej dolinie na południe od bramy, gdzie źródła biły pod jeziorami, ogrzewając wodę. Wydawało się tu bezpiecznie, gorąco i wilgotno, i lekko wylądował na krawędzi gorącego źródła, delikatnie kładąc dziewczynę na ziemi.

Została nieprzytomna, długie włosy otaczały twarz i przyglądał się jej ciału. Jej kształt nie był mu zbyt znajomy, ale rozumiał koncept kobiety. Pachniała dla niego właściwie, przejmująco, i zamigotał przybierając kształt, który byłby dla niej zadowalający: samca jej gatunku. Widział ich dość, dość ich zniszczył

w tamtym miejscu. Nienawidząc mężczyzn, stał się jednym z nich, stojąc nago nad nią przez długą chwilę zanim przykleknął przy jej boku, wyciągając ludzkie ręce, żeby dotknąć jej miękkiej skóry.

Nazwała go. Heyou. Dźwięk tego odbijał się w jego umyśle, wiążąc go, ale nie dbał o to. Być związanym, należeć... większość jego rodzaju nigdy nie była. Zostawali trutniami, służąc królowej, pragnąc królowej, walcząc i umierając dla niej, ale nigdy jej nie dotykając. Tylko kilku to robiło, każdy nazwany. Nigdy nie myślał, że będzie takim szczęściarzem.

- Heyou – wyszeptał. Brzmiało dobrze. – Heyou – Delikatnie przesunął ręką w dół, dotykając jej ust i czując jej oddech na palcach. W dół szyi, czując puls i zachwycając się tym. W dół piersi, gdzie biło jej serce, i ponad miękką krągłością piersi, które będą trzymać mleko. Jęknął z głębi gardła i badał ją dalej. Jej brzuch i łono, nietknięte, wzgórze miękkich włosów i niżej, gdzie leżało źródło jej kobiecości.

Pragnął jej. Tak bardzo, że mógłby ją wziąć w tej chwili... Ale była królową. Żył dla jej kaprysu i może na nią poczekać. Zamiast tego pozwolił ręce chwilę się ociągać, ucząc się jej zapachu, poczucia jej skóry i esencji jej umysłu. Karmiło go to, napędzało w tym kraju ubogim w energię i pozwolił tej energii wpasować się w swój umysł. Pozna ją wszędzie, znajdzie gdziekolwiek.

W końcu się poruszyła i przysiadł na piętach, niepewny co będzie sądzić o jego śmiałości. Chociaż był dla niej gotowy, gdy jej rzęsy zatrzepotały i spojrzała na niego.

Dziewczyna krzyknęła.

Heyou był tak zaskoczony, że zmienił się w dym, skrzydła wystrzeliły, gdy obrócił się szukając niebezpieczeństwa. Nic. Kilka ptaków bez umysłów, kilka insektów i powietrzny sylf, który był kobietą, ale bezpłodną. Wrócił do ludzkiej formy i obrócił się ku niej, zastanawiając się, czego się przestraszyła. Z opóźnieniem zrozumiał, że chodziło o niego.

Solie patrzyła na bitewnika, tak zszokowana, że nie mogła mówić. Gdy się obudziła, spojrzała w górę na mężczyznę bez ubrania i spanikowała. Był bardzo... naprężony, i patrzył na nią z wyrazem twarzy, co do którego nie miała wątpliwości. Krzyknęła i zmienił się w dym. Teraz znów był w kształcie mężczyzny, patrząc na nią niepewnie, ciągle nagi i – zerknęła w dół – tak,

ciągle zainteresowany. Solie spojrzała po sobie żeby zobaczyć, że nie ma na sobie ubrań i wrzasnęła, otaczając się ramionami.

Bitewnik wyglądał na zawiedzionego.

- Nie patrz na mnie! – sapnęła. – Jestem naga! – Zamrugał, gdy machnęła na niego dziko. – Odwróć się! – Zrobił to, prezentując plecy. Wyglądało na to, że w ogóle nie przeszkadzała mu własna nagość, ale Solie wydawało się, że nigdy nie przestanie się rumienić. Nie było tu nic, w co można by się ubrać ani żadnych ludzi. Spojrzała wokół parujących źródeł i poczuła się zagubiona.

- Gdzie jesteśmy? – Zastanawiała się głośno. Bitewnik spojrzał przez ramię. Spojrzała groźnie. Znów gwałtownie obrócił głowę.

- Z dała – powiedział miękko, jego głos głęboki i dźwięczny. – Nie mam słów.

- Och – Przygryzła wargę. – Po prostu nie patrz na mnie, okej? – Przesunęła ręką po płataninie włosów, wzdrygając się i patrząc na ciągle związane kostki. Szybko zaczęła rozwiązywać węzeł. – Ty, jesteś bitewnikiem, prawda?

- Bitewnikiem?

- Bitewnym sylfem – Szarpała węzły, ale były za mocne. Już nie czuła stóp. – Przeszedłeś przez bramę?

- Tak. Jestem Heyou.

Więc go nazwała. Solie potrząsnęła głową na niebacznie żartobliwe imię i westchnęła.

- Możesz mi pomóc? – Spojrzał na nią i wskazała stopy, próbując jednocześnie się zakrywać. – Nie mogę tego zdjąć.

Heyou patrzył na jej stopy i zmarszczył brwi. Całkiem się obracając, wyciągnął jedną rękę, szponem zahaczył linę i pociągnął. Lina się zerwała a Solie sapnęła na ból, gdy czucie wróciło jej do stóp.

- Coś nie tak? – Zapytał, jego oczy się rozszerzyły.

- Moje stopy. Były związane zbyt długo – Potarła je, próbując zmusić mrowienie do zblaknięcia, bardzo świadoma, że bitewnik ciągle ją obserwował. – Możesz się znów obrócić? – Zrobił to. – Um, dziękuję za to, że uratowałeś mi życie.

Mięśnie jego pleców stężały.

- Dlaczego próbowali cię skrzywdzić?

- Nie wiesz?

Potrząsnął głową, jego krótkie włosy błyszcząły kroplami wody ze źródeł. Nigdy nie podobały jej się tak krótkie włosy i był naprawdę raczej wychudzony, jego rysy zwyczajne i nijakie. Jak na kogoś, kto mógł zmieniać kształt, wybrał nudny. Ale znów, nigdy nie widziała sylfa, który wyglądałby tak ludzko. Nie była pewna, ale nie sądziła żeby to było legalne.

- Zobaczyłem bramę – powiedział – Zobaczyłem ciebie. Przyszedłem do ciebie.

Przynęta. Solie potarła mocniej stopy i próbowała nie płakać. Przetrwiała, to było ważne. Chociaż czuła się strasznie i była mu tak bardzo wdzięczna, czuła się też niemal chora.

- Taa, cóż, byłam przynętą na ciebie. Mieli zamiar mnie zabić i zmienić cię w niewolnika księcia.

Jego głowa się obróciła, forma zamigotała, a na twarzy miał wyraz takiego przerażenia i wściekłości, że się wzdrygnęła.

- Co? – Zaskrzeczał, jego głos był nagle tak wysoki, że musiała zachichotać, jej strach zniknął. Uratował jej życie, przypomniała sobie. Nie miał powodu jej ranić.

- Tak zawsze robią z bitownikami – powiedziała mu. Przerwała na chwilę. – Dlaczego mnie uratowałeś?

Zdezorientowany, znów odwrócił od niej głowę.

- Jesteś moja królową. Nazwałaś mnie.

Zmarszczyła brwi.

- To znaczy, że jesteś moim bitownikiem?

- Tak.

Nagle poczuła zawrót głowy i znów chciała zachichotać. Należał do niej? Miała bitownika? Kobiety nie powinny mieć bitowników. Kobietom nie było wolno mieć żadnego sylfa.

- Och, wow – powiedziała i znów spojrział przez ramię. – Nie patrz! – Gwałtownie obrócił głowę.

- Dlaczego nie chcesz żebym na ciebie patrzył? – zapytał żałośnie.

- Bo nie mam na sobie ubrań – Przerwała, zdając sobie sprawę, że był sylfem. Prawdopodobnie nie obchodziło go, że była naga. – To tutaj zasada. Nie możesz patrzeć na kobietę, gdy jest naga, nie dopóki ci nie powie, że

możesz – Zmarszczyła brwi. – Jeśli jesteś moim bitewnikiem, musisz robić, co ci powiem?

- Jeśli uczynisz to rozkazem – przyznał. – Tak.

Myślała, że to zrobiła. Może musiała być bardziej szczegółowa.

- Nakazuję ci nie patrzeć na nic poza moją twarzą, gdy jestem naga, rozumiesz?

- Tak – Obrócił się i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, patrząc na jej twarz i nigdzie indziej. Jego wyraz twarzy był spokojny, ale sama twarz była odrobinę denerwująca, zbyt podobna do twarzy żołnierzy, którzy ją porwali. – Nie wiem, co mam zrobić z bitewnikiem – przyznała. – Wyglądasz jak brzydki facet.

- Wyglądam?

- Nie zauważyłeś, że wyglądasz jak facet? – Zapytała sucho.

- Nie zauważyłem, że jestem brzydki.

- Cóż... - drgnęła. – Jesteś raczej chudy i twoje włosy są za krótkie.

- Och – Nagle jego włosy się wydłużyły, spływając po jego plecach w żółtych falach.

Solie zapiszczała, zachwycona.

- To cudowne! Możesz zmienić kolor?

- Oczywiście.

- Zrób je ciemniejszymi – błagała i pociemniały do czerni. – Mniej ciemne, bardziej brązowe – Dostosował się, zmieniając kolor włosów. – Bardziej proste.

Przynajmniej na chwilę zapominając o swojej nagości, skoro jego wzrok nie opadł nawet odrobinę odkąd wydała rozkaz, kierowała go w zmienianiu kształtu, czyniąc jego pierś i ramiona szerszymi, nogi dłuższymi, twarz bardziej regularną i symetryczną. Pozwolił jej, zachwycony jej rozradowaniem, gdy zmieniła go w swój ideał. Stał się uderzająco przystojnym młodym mężczyzną, tylko odrobinę wyższym od niej, tak, że była pewna, że nawet jej ciotka obejrzałaby się za nim na ulicy, i przysunęła się bliżej, już się go nie bojąc, gdy kierowała go w szczegółach. To było wymagane, powiedziała sobie. Sylfy wyglądały jak chcieli ich mistrzowie. Jeśli ma mieć bitewnika, musi wyglądać ludzko albo wszyscy będą widzieć, czym jest. Nie było powodu, dla którego nie mógł też być atrakcyjny.

Bardzo atrakcyjny. Gdy kierowała go w specyficznym odcieniu oczu, Solie zorientowała się, że kłęczy tuż przed nim, jej twarz blisko przy jego, żeby mogła widzieć szczegóły i czuła się dużo cieplej niż to mogły spowodować gorące źródła. Zadrżała, nagle zastanawiając się czy te usta, którym nadała kształt smakowały tak dobrze jak wyglądały.

Odetchnął głęboko.

- Podoba mi się jak pachniesz.

Solie zrobiła się odrobinę czerwona, zakrywając się mimo, że nie patrzył.

- Obróć się! – Zapiszczała i posłusznie to zrobił. – Właściwie, dlaczego nie masz ubrań?

- Ty nie masz żadnych.

- Bo moje rozcięli! – Spojrzała po sobie. – Potrzebuję ubrań. Możesz mi jakieś zdobyć?

- I zostawić cię samą? Nie.

Solie zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie?

- Muszę cię chronić.

Przed czym? Rozejrzała się.

- Cóż, nie mogę zostać tu na zawsze i potrzebuję ubrań. Nie mogę bez nich iść do miasta.

- Dlaczego nie?

Odetchnęła, zastanawiając się, z jakiego miejsca pochodził, jeśli nie rozumiał czegoś tak prostego.

- Ludzie nie chodzą nago. Nie, chyba, że są... - Znów się zarumieniła.

- Chyba, że są, czym?

- Nie interesuj się! – parsknęła. – Musisz być mi posłuszny, prawda? Cóż, nakazuję ci znaleźć mi jakieś ubrania! Dziewczęce ubrania – dodała. – Ale które nie zostały zdjęte z dziewczyny! I nie krzywdź nikogo, gdy będziesz to robił. I nie pokazuj, że jesteś bitewnikiem! – Czy ktoś ich szuka? Miała nadzieję, że nie. Nikt nie wiedział, kim była i na pewno nie rozpoznaliby teraz Heyou.

Bitewnik westchnął, akceptując rozkaz, gdy wstał i zamigotał, zmieniając się w czarny, skrzydlaty dym. Uniósł się w powietrzu, odlatując i Solie patrzyła

za nim, nagle nerwowa, że zostanie sama. Zapomniała mu powiedzieć jak szybko ma wrócić.



Heyou zmierzał w tym samym kierunku, z którego przybył, chociaż był ostrożny, żeby nie wrócić w to samo miejsce. Ciągle pamiętał innego samca, którego tam widział, innego „bitewnika”, jak nazywała ich jego królowa, i zapach kilku innych. Nie chciał walki. Nie z nimi. Reszta samców, których wyczuł w pieczarze i pod sobą, byli słabi, jak ci, których zniszczył przy bramie. Myślał o tym, żeby ich też zniszczyć, ale powiedziała mu żeby nikogo nie krzywdzić. Poza tym, czuł samice wokół wielu samców i nie chciał ryzykować zranienia ich. Samce mogli zginąć, jeśli go zapytać.

Heyou wylądował na zewnątrz małej wioski na krawędzi lasu. Przybierając znów ludzką formę, podszedł, pewny, że nie zostanie rozpoznany, jako bitewnik. Dziewczyna wyszła z chaty i zobaczyła go, a on po prostu uśmiechał się do niej, gdy krzyknęła i uciekła. Mężczyzna wyszedł chwilę później, mrugając. Na jego twarz ukazał się szok i chwycił widły stojące obok chaty.

- Wynos się stąd! – Krzyknął. – Dziwadło!

Heyou spojrział po sobie. Ciągle wyglądał ludzko. Patrząc groźnie na mężczyznę, czuł w sobie odrazę, ślepą nienawiść do każdego samca spoza swojego roju. Gotowało się to w nim, wypływając i mężczyzna pobladł, gdy to poczuł. Kobieta wyszła z chaty za mężczyzną i nienawiść Heyou została natychmiast utemperowana zainteresowaniem i nakazem dyskrekcji jego królowej. Ta kobieta miała dzieci. Pachniała cudownie.

- Potrzebuję ubrań dla mojej królowej – powiedział jej.

- Potrzebujesz ubrań dla siebie – odparła.

- Nie mów do niego! – Syknął mężczyzna i Heyou warknął. Człowiek pobiełał i cofnął się.

Z reszty wioski zaczęli schodzić się ludzie, mężczyźni uzbrojeni w narzędzi, jakie mogli znaleźć, kobiety stojące z tyłu i chichoczące z uznaniem. Heyou zachwycał się kształtem, jaki przybrał i uśmiechnął się zwycięsko do matki.

- Masz ubrania? – zapytał.

Potrząsnęła głową z rozbawieniem, wyraźnie starając się nie śmiać.

- Stare i znoszone. Co wam się stało? Zostaliście napadnięci?

Heyou zastanowił się nad tym.

- Tak – zdecydował.

To wydawało się jej wystarczać.

- Twoja biedna pani! Musi być nieszczęśliwa – potem, gdy jej mąż patrzył z oszołomieniem, kobieta zniknęła z powrotem w ruderze i wróciła ze złożonymi kawałkami szorstkich ubrań z konopi.

Heyou wziął je z wdzięcznością, ale patrzył na nie, nie wiedząc, co powinien zrobić. Matka roześmiała się i pokazała mu jak nałożyć drapiącą tunikę przez głowę. Ubranie było znoszone i w niektórych miejscach ledwie trzymało się razem, ale zakrywało go od szyi do połowy uda.

- Musisz być przyzwyczajony do lepszych ubrań – skomentowała i nie zaprzeczył.

- Dziękuję – powiedział jej.

Machnęła ręką na podziękowania, rumieniąc się.

- Żałuję tylko, że nie mam dla ciebie butów.

- Nie potrzebuje ich – warknął jej mąż.

Teraz, gdy był przyzwoicie odziany, wszystkie kobiety podeszły, gawędząc i przedstawiając się. Mężczyźni trzymali się z tyłu, poznając niebezpieczeństwo, ale dla kobiet był zbyt pociągający by go zignorowały. Musiał zwalczyć instynkt by otoczyć je ochroną, tak samo jak walczył z nienawiścią do mężczyzn. I tak odrobina wyciekała i wszystkie kobiety go kochały, podczas gdy mężczyźni się bali.

- Lepiej wróć do swojej damy – w końcu powiedziała mu matka i Heyou skinął.

- Dziękuję – Obracając się, wszedł z powrotem między drzewa, kobiety machały mu na pożegnanie i kilkoro dzieci – w całości samice – biegły za nim. Pozwolił im podążyć, czekając aż je zgubił zanim zamigotał, znów stając się dymem i wrócił do swojej królowej.

Rozdział 3

Airi obserwowała dziewczynę i bitewnika lecących na wietrze. Bitewnik był młody, trochę starszy niż niemowlę. Zaprawiony bitewnik nie pozwoliłby jej tak zbliżyć się do swojego mistrza. Ten zostawił ludzką dziewczynę samą i to bez wymówienia żadnego ostrzeżenia do Airi. Nie żeby miała skrzywdzić dziewczynę – nawet z nakazem swojego mistrza – ale bitewnicy byli niezwykle zaborczy.

Obserwowała jak odszedł i zastanawiała się, co robić. Devon nie był zbyt szczegółowy w swoich instrukcjach. Śledź ich. Zrobiła to. Teraz powinna przestać? Nie była głupim stworzeniem, ale pomniejszym sylfem. Jej obowiązkiem było posłuszeństwo, czy w roju, z którego pochodziła czy też z mistrzem tutaj. Zdolność do samodzielnego podejmowania decyzji nie była czymś, do czego zachęcano jej rodzaj. Brak samodzielności był tym, czym ludzie ich wiązali, ale naprawdę nie miała nic przeciwko. Miała jednego mistrza, który skupiał się tylko na niej. Nikt w jej roju nie był ośrodkiem takiej uwagi. Co więcej, Devon dawał jej więcej wolności niż inne sylfy mogły nawet śnić.

W przeciwieństwie do bitewników, elementarne sylfy w Eferem nie były zwykle związane z jednym kształtem, chociaż ograniczano kształty, jakie mogły przybrać. Ludzki był zakazany. Jak większość powietrznych sylfów, Airi preferowała bezcielesność i niewidzialność, rzadko przybierając solidną formę, skoro mogła żeglować na wietrze. Jednak w przeciwieństwie do innych, Devon pozwolił jej mówić. To było zakazane dla każdego innego sylfa, ale dał jej pozwolenie, tak długo jak nikt inny nie słyszał. To był dar i wiedziała o tym, bo nie było jej wolno rozmawiać z poprzednimi mistrzami. Ale mówiła do Devona, gawędziła z nim, zadawała pytania, prosiła by grał jej na flecie i dzięki ich więzi, nie musiała mówić na głos. Mogła szeptać wprost w jego umyśle, gdzie nikt inny nie mógł jej słyszeć, tak jak rozmawiała z innymi sylfami w domu. Zamknięta w ciszy przez pięćdziesiąt lat od przejścia

przez bramę, ciągle zachwycała się mówieniem i wiedziała jak rzadka była taka wolność.

Wiedziała, że ten bitewnik miał taką wolność jak ona... i więcej. Był zamknięty w kształcie, jaki wybrała jego mistrzyni, ale wyraźnie nie miał nic przeciwko i nie zakazała mu zmieniać kształtu. Airi patrzyła jak odleciał, jako wzór energii, która była jednocześnie znajoma i obca. Nie był z jej roju, ale wydawał się być z tego samego co Mace. Przynajmniej tych dwóch nie będzie walczyć, jeśli się spotkają... chyba, że nakażą to ich mistrzowie.

Dziewczyna patrzyła jak bitewnik odchodzi i wstała, rozglądając się i ruszając do gorących źródeł, sprawdzając ich temperaturę aż znalazła takie, jakie jej pasowało. Airi patrzyła i zastanawiała się czy powinna przemówić. W końcu, zdecydowała się tego nie robić... Devon wyraźnie dał do zrozumienia, że ma nie ujawniać nikomu, że może mówić. Poza tym, bitewnik niedługo wróci. Mogłoby mu się nie spodobać, gdyby Airi była za blisko.

Wirowała na wietrze, tańcząc na gorącym powietrzu i zdecydowała się poczekać odrobinę dłużej. Ludzka dziewczyna nie mogła zostać tu na zawsze, a jej bitewnik wróci. Zaczeka żeby zobaczyć gdzie wyruszą, a potem wróci do Devona.

Rudowłosa weszła do wody z westchnieniem, nieświadoma obecności Airi, a powietrzny sylf cofnął się na parze, widząc wyraźnie i będąc dość blisko, żeby zrobić cokolwiek jakby było trzeba.



Wykrzykując inwektywy, król Alcor z Eferem cofnął się i uderzył Thralla w twarz pięścią jak mocno mógł. Głowa bitewnika obróciła się w bok a potem wróciła do oryginalnej pozycji, patrząc na niego. Oczy były nieporuszone jak zwykle, nienawiść znajoma jak zawsze. Thrall nim gardził, król to wiedział. Stworzenie zabiłoby go gdyby mogło, ale było związane posłuszeństwem. To na to ekstremalne nie raz posłuszeństwo Alcor protestował.

- Dlaczego nie zabiłeś tej rzeczy? – Grzmiał, nawet mimo tego, że wiedział, że Thrall nie może mówić. Bitewnik, który mógłby wyrażać słowami swoją nienawiść doprowadziłby mężczyznę do szaleństwa. – Mój syn nie żyje przez ciebie!

Thrall nie zareagował, jego twarz wcale się nie zmieniła, ale Alcor mógł niemal usłyszeć śmiech. Bitewnik był jego niewolnikiem przez dekady; wiedział, kiedy potwór był rozbawiony. Przeklinając, znów go uderzył. Nic to nie dało. Mógł go bić całą noc i tylko on by przez to cierpiał.

- Zapłacisz za to – warknął zamiast tego na bitewnika. – Sprawię, że zapłacisz.

Thrall nie zrobił nic, kompletnie nic. Pozwolił tamtemu bitewnikowi zabić jego syna i uciec. Choć nie był nieposłuszny. Jeśli Alcor kazałby mu walczyć zamiast chronić, zrobiłby to. Ale wcale nie musiał chronić. Zamiast tego tylko tam stał i pozwolił bitewnikowi uciec, sprawiając, że jego król wyglądał jak tchórz.

- Wasza Wysokość?

Alcor obrócił się, z trudem łapiąc powietrze, zbyt rozgrzany w swojej gronostajowej pelerynie. Jego syn był martwy, obrócony w popiół przez bitewnika, którego powinien był kontrolować. Zabiłby tych kapłanów gdyby już nie byli martwi. Jak ta wieśniaczka się uwolniła? Jak mogła być uzbrojona? Teraz miała bitewnika. Miał tylko nadzieję, że ta rzecz ją zabiła.

Jasar Doliard stał za nim, ubrany reprezentacyjnie w czarną szatę z białymi koronkami przy kołnierzu i mankietach. Dandys znalazł czas się przebrać w obliczu tego wszystkiego. Alcor czuł wściekłość, ale Jasar był siłą kontrolującą konsul. Reszta jego członków stała za nim, nerwowo czekając na jego przychyłność. W rogu milcząco stał Leon Petrule ze złożonymi ramionami.

Bitewnicy obu mężczyzn byli na zewnątrz. Tylko Thrall mógł być w tych wewnętrznych komnatach, tak jak tylko on mógł wyglądać ludzko. Alcor podszedł do swojego krzesła i usiadł, inni stali. Leon wyglądał jakby mógł czekać cały dzień, ale Jasar wydawał się zirytowany... i czuł, że taka irytacja była bezpieczna, gniewnie zrozumiał Alcor. Jasar myślał, że jego bitewnik będzie zdolny go obronić. Nie miał pojęcia jak szybko mógł poruszać się Thrall. Jeśli król by chciał, Jasar byłby martwy zanim Mace dostałby się do pomieszczenia.

Jakoś podniesiony na duchu, król wskazał ku innym siedzeniom, żadnym tak zdobionym jak jego. Thrall zajął miejsce za jego ramieniem, patrząc na pozostałych mężczyzn bez mrugnięcia. Wszyscy usiedli, poza Leonem, który pozostał w rogu.

- Wiecie, co się stało – warknął król, pochylając się nad drewnem. – Książę korony jest martwy a bitewnik wolny – Ciągłe był wściekły. Nie kochał syna. Chłopiec był na to za słaby, ale był jego jedynym synem. Jego córki nie mogły nosić korony, gdy umrze a nie był już młody. Nigdy nie przyznałby tego przy tych głupcach, ale nie był zdolny mieć następnego syna od lat. Musi znaleźć kogoś odpowiedniego, kto poślubiłby jego najstarszą córkę i ze złośliwego uśmiešku na twarzy Jasara, było wiadome, że myślał on, że wie, kto jest najlepszym kandydatem.

Pozostali mężczyźni aż tak nie ujawniali swoich ambicji.

- Opłakujemy waszą stratę, Wasza Wysokość – powiedział najstarszy, skłaniając głowę, jak inni. Nawet Leon, którego twarz ukazywała żal, który Alcorowi wydawał się prawdziwy. Urodzony bez ziemi czy tytułów, nie był członkiem konsulu i nie mieszał się w politykę, ale odznaczał się bezwzględnością, którą Alcor zauważył lata temu. Z latami zmieniło się to w cichą skuteczność, którą król doceniał.

- Darujcie sobie – parsknął. – Będzie na to czas później. Sukcesja jest zagrożona. Chcę to wyjaśnić... - Przerwał, by uderzyć palcem w stół. - ... Wybiorę tego, kto będzie po mnie dziedziczył. Nie chcę żadnych sugestii. Jeśli ktoś jakąś zrobi, oddam go Thrallowi – To była mocna groźba. Członkowie konsulu patrzyli niepewnie na bitewnika, nawet Jasar i Alcor odchylił się zadowolony. – Na razie, chcę wiedzieć, co się stało.

Zgromadzenie patrzyło na niego, ciche, żaden dość pewny by przemówić.

- Na pewno jeden z was rozmawiał z kapłanami! – Parsknął Alcor.

- Wszyscy są martwi, Wasza Wysokość.

Jasar uniósł głowę.

- Nie wszyscy, Wasza Wysokość. Rozmawiałem z ojcem Belicanem zanim tu przyszedłem. Jest zbyt stary by uczestniczyć w rytuałach, ale umysł ma ostry. Pozwoliłem sobie opowiedzieć mu o wszystkim.

- I? – Warknął król.

- Mówi, że nic takiego się nigdy wcześniej nie wydarzyło.

- Oczywiście, że nie! – Zagrzemiał Alcor. Kobieta zdobywająca bitewnika? To było nie do pomyślenia.

Jasar wzruszył ramionami, rozbawiony.

- Podczas gdy nigdy się coś takiego nie wydarzyło, Belican może teoretyzować. Jakoś, dziewczyna użyła magii by usidlić bitewnika, magia, o jakiej nawet nie słyszeliśmy. Może została podesłana przez naszych wrogów, tylko z tego powodu.

- Bzdura – Wszyscy spojrzeli w górę, gdy Leon Petrule odepchnął się od ściany i podszedł do stołu. – Dziewczyna miała ostrze w rękawie. Ukryła je w dłoni nim została rozebrana i nikt jej nie przeszukał – Rzucił na stół wsuwkę w kształcie motyla z wystającym z niej ostrzem długości cala. – Znalazłem to na ołtarzu. Rozcięła linę i cięła Jego Wysokość, księcia, zanim mógł ją dźgnąć.

Twarz króla zapłonęła czerwienią.

- Suka... jak śmiała!

Jego głowa ochrony wzruszył ramionami.

- Ratowała swoje życie. Podziwiam to. Ale zbieg okoliczności sprawił, że skończyła z bitewnikiem. Musiała go nazwać.

Rozległ się pomruk niezgody.

- Kobieta nie może kontrolować bitewnika – zaprotestował jeden ze starców.
– Nie mają siły!

Leon potrząsnął głową.

- Nie sądzę żeby to siły potrzebowały.

- Co masz na myśli? – zapytał król.

Leon się skłonił.

- Za twoim pozwoleniem? – Zapytał, wskazując w stronę wyjścia. Gdy Alcor skinął, Leon podszedł do drzwi, otworzył je i wyszeptał coś do sługi na zewnątrz. Mężczyzna pokłonił się i pośpiesznie odszedł.

- Lepiej żeby nie trwało to długo – warknął Alcor.

- Nie będzie – Leon przerwał. – Ach, już znaleźli jedną. Poczekaj chwilę – nakazał słudze i uniósł rękę. – Ril!

Pojawił się bitewnik, składając skrzydła i lądując na przedramieniu Leona. Konsul sapnął na śmiałość, nawet król stężał, ale Thrall ledwie przechylił głowę na bok, milcząco pozdrawiając drugiego bitewnika. Ril odwzajemnił spojrzenie i znajoma aura wypełniła pomieszczenie. Dwaj bitewnicy nienawidzili się nawzajem i nienawidzili konsulu. Niechęć była wyczuwalna. Nawet po trzydziestu latach, to ciągle sprawiało, że król miał ochotę odciągnąć kołnierz płaszcza, żeby odetchnąć. Oparł się temu.

- Czujecie to? – Niepotrzebnie zapytał Leon i spojrzał na swojego bitewnika.
– Nienawidzisz nas, prawda, Ril? Nienawidzisz Thralla. A on też by cię zabił, gdyby mógł – Ptak mrugnął, patrząc na niego jednym okiem i Leon uśmiechnął się do konsulu. – Ril jest moją chwałą. Jest wart niebezpieczeństwa tysiąc razy i nie żałuję go. Ale jestem prostym człowiekiem. Mieszkam w małym domu, gdy nie pracuję, otoczony żoną i córkami i zauważyłem coś interesującego.

Skinął ku drzwiom. Weszła służąca w czarno-białym uniformie, kłaniając się nerwowo. Alcor uniósł brwi. Żadna kobieta nigdy nie weszła do komnaty konsulu, chyba, że ta była pusta, a dziewczyna była na kolanach czyszcząc ją... albo na plecach na stole. Alcor obserwował jak dziewczyna weszła drżąc widocznie.

Leon chwycił jej rękę.

- Unieś ją – nakazał i ku zaskoczeniu wszystkich przełożył na nią Rila. Ptak usadowił się, lekko obejmując ramię służącej i skłonił głowę, skupiając uwagę na dziewczynie. Odwzajemniała spojrzenie z fascynacją, wyraźnie nie wiedząc, co trzyma.

- Czy on cię przeraża, dziewczyno? – Zapytał Leon.

- N-nie, sir – wykrztusiła. – Jest pięknym ptakiem.

Konsul zarechotał, Alcor dołączył. Śmiali się z dziewczyny, która uśmiechnęła się niepewnie, drapiąc pochyloną głowę bitewnika. Alcor był pewien, że stworzenie urwie jej rękę. Widział, jak ptak okaleczył rozpuszczonego syna dworzanina, który próbował go dotknąć.

- Czujecie to, moi panowie? – Zapytał Leon.

Król zmarszczył brwi. Nienawiść tam była, jak zawsze, ale była mniejsza. Ril właściwie ignorował ich na rzecz dziewczyny. Alcor spojrzał przez ramię. Thrall również patrzył na służącą, jego spojrzenie oczarowane.

- Ril bawi się z moimi córkami – powiedział im poważnie Leon. – Nigdy ich nie skrzywdził. Spójrzcie na jego szpony. Wbił je w moje skórzane ochraniacze tak głęboko, że mnie zraniły. Jej nawet nie dotyka szponami. Spójrzcie na Thralla. Założę się, że gdyby przyprowadzić Mace'a, byłoby tak samo.

Jasar patrzył z zaskoczeniem.

- Ril, chodź! – Nakazał Leon. Skrzecząc, jastrząb rozwinął skrzydła i wrócił na ramię swojego mistrza. Ochraniacz wyraźnie zaskrzypiał, gdy ptak wbił w niego szpony.

- Idź, dziecko – dodał Leon. Przelykając, służąca pokłoniła się i wyszła. Król rzucił spojrzenie w stronę Thralla. Bitewnik znów patrzył na konsula, niezainteresowany i nienawistny jak zawsze.

- Z jakiegoś powodu, bitewne sylfy lubią kobiety – kontynuował Leon. – Pewnie dlatego, że nie stanowią zagrożenia. Nie mam pojęcia, co dla takiego oznacza bycie związanym z kobietą, ale sprawia to, że staję się nerwowy.

Alcor zmarszczył brwi. Biorąc pod uwagę, to co właśnie widział, sytuacja też go denerwowała, a i tak miał dość rzeczy, o jakie musiał się martwić.

- Znajdź dziewczynę. Zabij ją.

Leon się pokłonił, nie kwestionując trudności zadania. Gdy dziewczyna zginie, jej bitewnik zostanie wygnany. Obracając się, wyszedł, z Rilem kołyszącym się na jego ramieniu.

Król odwrócił się do konsula. Niektórzy wyglądali na zdenerwowanych, inni na zamyślonych. Jasar uśmiechał się do siebie złośliwie, na co, król nie chciał wiedzieć. Był użyteczny, ale zdemoralizowany. Alcor nie dbał za bardzo o los swoich córek, ale nie chciałby zobaczyć żadnej poślubionej temu mężczyźnie, chyba, że byłoby to nie do uniknięcia.

Żeby zmienić temat, zażądał:

- Powiedzcie mi, co Para Dubh powiedziało o naszej propozycji handlowej.



Na korytarzu, służąca zadrżała, pocierając rękę, na której siedział ptak. Jego łapki były ciepłe i był lżejszy niż oczekiwała. Znów zadrżała, niemal za nim tęskniąc, ale służący, który przyprowadził ją tu z umywalni machnął na nią, przepędzając zanim wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. Wiedziała, że lepiej nie okazywać nieposłuszeństwa.

Kłaniając się, pośpieszyła korytarzem i za róg. Po drodze minęła alkowę, w której czekali bitewnicy podczas zebrania konsula. Wcześniej zawsze przebiegała obok niej. Teraz zwolniła, z ciekawością zaglądając do środka.

Złota grzęda Rila tu była, pusta, podczas gdy obok stała wysoka na siedem stóp zbroja, która była Macem. Znała jego imię... każdy znał jego imię. Stał

tam, patrząc na nią a ona gapiła się na niego w zamian. Nienawiść, którą zawsze wcześniej czuła w pobliżu bitewników zniknęła, gdy w pobliżu nie było jego mistrza. Czuła się... bezpieczna. Jakoś, masywne stworzenie, któremu ledwie sięgała do pasa, sprawiło, że czuła się bezpieczna. Od lat tak się nie czuła.

Powoli zrobiła ku niemu krok, wyciągając rękę by dotknąć płyty jego nogi. Chociaż to nie metalu dotknęła. To było ciepłe i drżało pod jej dotykiem. Zerknęła w górę.

- Zbroja to ty, prawda? – Wyszepiała.

Milcząco, skinął.

Służąca patrzyła, oblizując usta. Coś w bitewniku sprawiło, że czuła się ciepła, chroniona i śmiała.

- Mace – powiedziała, próbując brzmienia jego imienia.

Znów zadrżał.

- Mace – powtórzyła, gładząc jego nogę i przesuwając rękę wokół niej. Nie było nienawiści, ale mogła wyczuć żądzę w powietrzu, wypełniającą ją i nie wiedziała czy to pochodziło z niego czy z niej. Było tu, więcej niż kiedykolwiek czuła od panów, którzy mieli prawo brać ją, gdy chcieli. Już wołałaby żeby on ja wziął.

Zaskomlała. Mace sięgnął w dół i uniósł ją, nie opierała się, jego pożądanie tak głębokie w jej umyśle jak jego nienawiść do mężczyzn. Uniósł jej spódnicę i zdjął pantalon, a potem był w niej, trzymając ją wzdłuż przedramion, gdy wszedł w jej ciało, jej nogi szeroko rozchylone wokół jego bioder. Zapłakała miękko, chcąc krzyczeć, ale nie chcąc, żeby ktoś ją usłyszał, nawet, jeżeli nikt nie zbliżał się do terenów bitewników, jeśli nie musiał.

Był zaskakująco delikatny, jego rozmiar wystarczający żeby rozciągnąć ją bez rozdzierania, wypełnić bez ranienia. Zdawał się wiedzieć, czego chciała i dawał jej to, nawet, gdy twardo wypełniał jej głowę pożądaniem. To pochodziło od niego – jego potrzeba penetrowała jej umysł aż przytłoczyła jej zahamowania – ale zaprosiła go, tak jak te wszystkie służące i dworzanki, które wymykały się do jego boku, oczarowane jego rozmiarem i niebezpieczeństwem, jakie prezentował. Jego mistrz kazał tylko Mace'owi czekać, gdy ten był zajęty i przychodzić, gdy wołał, nic więcej. Nic o niedopuszczaniu do siebie kobiet. A te przychodziły, wszystkie utrzymując w

sekrecie jego przyciąganie i wiedział, że ta też będzie, dla bezpieczeństwa ich obojga. W żadne sposób nie była dla niego królową, ale wystarczyła by mógł zachować zdrowe zmysły w tym miejscu. Nie wiedział jak Ril, Thrall i inni bitownicy zachowują swoje, ale to było to, co mu pomagało: ciała kobiet, jakie mógł sięgnąć tak by jego mistrz się nie dowiedział, wiele, które ciągle do niego wracały.

Wszedł w nią tak głęboko jak się ośmielił, wciąż od nowa przynosząc jej orgazm, zanim sobie pozwolił skończyć. Potem trząśł się, w tej alkowie, trzymając przy sobie dziewczynę jak te wszystkie inne i marząc, żeby jedna z nich mogła być jego królową.

Rozdział 4

Heyou wylądował na krawędzi gorących źródeł i znalazł swoją królową siedzącą w jednym z chłodniejszych, z głową opartą o krawędź. Spała, jej piersi było widać przez parę. Przypominając sobie jej rozkaz, próbował patrzeć na jej twarz nie widząc reszty i w końcu musiał stanąć do niej plecami, trzymając ubrania na długość ramion.

- Wróciłem, moja królowo – powiedział jej. Jak można było przewidzieć, wrzasnęła i usłyszał plusk wody, gdy do niej wpadła. Westchnął. Naprawdę nie rozumiał królowych.

- Dz-dziękuję – wykrztusiła, kaszląc i zabrała od niego odzienie. Usłyszał szelest i w końcu pozwoliła mu się obrócić.

Zrobił to. Stała przed nim ubrana w sięgającą kostek tunikę z tego samego materiału, co jego, chociaż jej była w kolorze wyblakłej zieleni, a nie brązu. Jej suknia nie miała rękawów, ale pod nią miała przechodzoną bluzę, a w pasie miała związaną linę. Jej włosy były splątana masą a jej twarz ciągle była brudna wokół uszu i karku, które ominęła w czasie kąpieli.

- Jak wyglądam? – Zapytała.

- Pięknie, moja królowo – powiedział jej szczerze.

Zarumieniła się.

- Dzięki. Wiesz, nie musisz nazywać mnie swoją królową. Mam na imię Solie.

Powiedziała mu swoje imię. Oczy Heyou rozszerzyły się z wdzięczności.

- Solie – odetchnął.

Dziewczyna zamrugła, niepewna tonu, jakiego użył, i rozejrzała się.

- Um, co teraz?

Cokolwiek chciała.

- Możesz mnie zabrać do domu ciotki? – Zapytała.

Nie miał najmniejszego pojęcia gdzie to jest. Mimo to, odparł:

- Absolutnie – I sięgnął po nią. Wzdrygnęła się, cofając i zmarszczył brwi. – Muszę cię nieść – wskazał.

- Och, prawda.

Śmiejąc się nerwowo, weszła w jego objęcia. Niemal go to zniszczyło. Pachniała tak dobrze, tak kobieco, tak jego królową, że zadrżał, nie chcąc niczego poza wzięciem jej w ramiona i... Jego ręce zamknęły się wokół jej smukłej sylwetki i przełknął, bojąc się spojrzeć jej w oczy i to pokazać. Nie chciała go w ten sposób. Przynajmniej nie sądził, żeby chciała. Nie chciał zobaczyć strachu w jej oczach, więc uniósł ją i zmienił formę, lecąc ponad źródłami z nią przytuloną do siebie.

Powietrzny sylf z wcześniej podążał za nimi z pewnego dystansu. Nagle podejrzliwy, Heyou uderzył ją myślami.

Co robisz?

Śledzę, śledzę, odpowiedziała natychmiast, nie próbując głupio zaprzeczać.
Tylko to. Mój mistrz tego zażądał.

Dlaczego?

Przypuszczam, że z ciekawości. Nie brzmiało jakby wiedziała.

Heyou leciał, myśląc. Solie nakazała mu nikogo nie krzywdzić. Dla niego to tyczyło też sylfów, ale ten nie był z jego roju.

Cóż, zostań z tyłu, zdecydował.

Powietrzny sylf zwiększył dystans między nimi.

Heyou wzniósł się ponad górami, patrząc w dół na stoki drzew i skał. Było tu zimno, ale Solie nie marzła, otulona przez niego. Nie widziała gdzie zmierzali, otoczona jego ciemnością, ale podczas gdy była nerwowa, dobrze to znosiła.

Gdzie jest twoja ciotka? Zapytał, wysyłając słowa prosto do jej umysłu, tak samo jak rozmawiał z powietrznym sylfem.

Solie podskoczyła.

- Um, na północ od zamku, w którym mnie znalazłeś. Jest tam skrzyżowanie dróg. Jest na północ od skrzyżowania w pierwszym mieście, w piekarni. Możesz to znaleźć?

Prawdopodobnie, chociaż nie podobało mu się ponowne zbliżanie do bramy. Jednak ruszył w tym kierunku.

- Mogę to znaleźć – zapewnił ją. Musi.

Leciał wolniej, niż gdy szukał ubrań, nie chcąc jej zagrozić i zadowolony z trzymania jej. Noszenie Solie wydawało się dziwne, ale była lekka i otaczała ją

słodką aurę energii, którą wiedział, że może pić. Smakowało to dla niego kojąco i dobrze, w przeciwieństwie do reszty niewłaściwych energii w tym miejscu. Te, wiedział, były dla niego niejadalne, trujące. Tylko Solie miała podtrzymującą go energię.

Poniżej, góry i lasy zastąpiły farmy i zobaczył zamek, z którego ją zabrał, otoczony przez mury i miasto. Na wschód od niego wiodła droga, którą wspomniała, po kilku milach krzyżując się z inną. Heyou przesunął się wysoko ponad nią, śledząc północne rozwidlenie do płytkiej doliny otoczonej sadami owocowymi. Leżało tam małe miasteczko z brukowanymi uliczkami i budynkami z czystego kamienia.

Opadł w dół, kryjąc się za drzewami, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć. Nie wyczuł nowych sylfów. Większość z nich zdawała się zamieszkiwać zamek, co było kolejnym dobrym powodem, żeby go omijać. Powietrzny sylf nadal za nimi podążał, trzymając się z tyłu o około ligę. Znów o tym pomyślał i zdecydował, że na razie ją zignoruje.

Ładując za gaikiem dawno ogołoconych jabłoni, zmienił kształt, stawiając Solie i niechętnie ją puszczając. Rozejrzała się wokół siebie, jej oczy się rozszerzyły na widok sadu. Przechodząc między niskimi gałęziami, spojrzała w dół na tyły domów.

- To wioska mojej ciotki! Droga tutaj była taka krótka! – Obróciła się, w podziękowaniu go obejmując i Heyou natychmiast ją objął, kryjąc twarz przy jej szyi. Solie zamarła, wstrzymując oddech ze strachu.

Heyou zamknął oczy i odetchnął przez usta przy jej gardle, z dłońmi płasko rozłożonymi na jej plecach. Karmił się na energii jego królowej, a jej smak tylko zwiększył jego pożądanie. Czuł jak bicie jej serca przyspieszyło przy jego piersi i przyciągnął ją bliżej, przyciskając się do jej sylwetki od piersi po biodra. Zadrżała i odchylił głowę, żeby na nią spojrzeć, jego powieki były ciężkie. Jej źrenice były rozszerzone, wstrząśnięte pragnieniem, na które nie była gotowa, pomimo więzi między nimi. Jednak Heyou nie mógł się odsunąć... nie bez jej rozkazu. Z trudem powstrzymywał się przed pchnięciem w nią. Takie było jego pożądanie.

- C-co ty robisz? – Wyszepiała i usłyszał tęsknotę w jej głosie.

Jego usta były tylko cale od jej. Czuł smak jej oddechu.

- Jesteś moją królową – odpowiedział, powoli przesuwając dłońmi w górę i dół jej pleców. – Jestem twój.

- Nie powinniśmy tego robić – sapnęła, jej sutki były twarde przy jego piersi. Och, on uważał, że powinni. Jej ciało uważało, że powinni.

- Proszę – wyszeptał i polizał jej szyję. – Pozwól mi.

W odpowiedzi, odepchnęła go, z trudem łapiąc oddech. Jej twarz była zarumieniona i piękna.

- Nie! Ledwie cię znam! Kobiety... nie robimy tego! Nie, gdy nie znamy mężczyzny – Patrzyła na niego. – Nawet nie jesteś człowiekiem!

- Jestem wystarczająco ludzki – próbował, ale potrzaskała głową.

- Moja ciotka czeka – powiedziała mu. – Chodź – Ruszyła przez sad, niemal biegnąc.

Heyou posłusznie podążył.



Solie zadrżała na to jak blisko była zrobienia czegoś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewała. Patrzyła na chłopców, to pewne, i śniła na jawie z przyjaciółkami, ale znała Heyou nie więcej niż parę godzin i niemal... Jej twarz zapłonęła czerwienią i próbowała przekonać swoje ciało, żeby zapomniało o tym pomysle. Żadna historia o bitewnikach, jakie znała, nie wspominała takiego zachowania.

Nie ośmieliła się spojrzeć w tył. Nie miała pojęcia, co zrobi z Heyou... może powinna go zmusić żeby odszedł? Ale wiedziała jedno: już go nigdy nie dotknie, nawet, żeby przejść obok niego. Jakiś jego aspekt budził w niej zbyt wiele rzeczy, a to była burza, której nie zamierzała dać się porwać.

Oddychając ciężko, próbując uspokoić myśli, odnalazła odrobinę spokoju przemierzając sad i drogę do miasteczka. Była tu setki razy w czasie dzieciństwa i dobrze znała drogę. Piekarnia jej ciotki była niedaleko, a na drodze nie było nikogo poza dziećmi takimi, jakim ona była kiedyś, bawiącymi się w krzakach i śmieciach, patrzącymi na jej stare ubrania i splątane włosy.

Byli tylko dziećmi, ale Heyou wszedł między nich i Solie, uważnie przyglądając się grupie chłopców.

- Wszystko w porządku – powiedziała mu, niemal wyciągając rękę, żeby dotknąć jego ramienia, ale powstrzymując się. Odprężył się odrobinę, ale ciągle patrzył na chłopców, którzy w końcu wrzasnęli i uciekli.

- Co im zrobiłeś? – Zapytała, zdumiona.

- Nie lubię mężczyzn – parsknął, mrużąc oczy.

- To dzieci! – Zaprotestowała.

- To samce – To zdawało mu się wystarczyć.

Było to coś, co znała z opowieści: bitownicy nienawidzili mężczyzn.

Właściwie, mówiono jej, że nienawidzili wszystkich ludzi i innych sylfów takich jak oni.

- A co sądzisz o kobietach? – Zapytała go.

Uśmiechnął się.

- Lubię je.

- Ale nienawidzisz mężczyzn.

- Tak.

Potrząsnęła głową.

- Jesteś bardzo dziwny. Chociaż myślę, że spodoba ci się piekarnia mojej ciotki. Jeśli cię wpuści – Solie właściwie o tym nie pomyślała, ale jej plan, gdy opuszczała dom nie przewidywał, że trafi tu w towarzystwie. Z ukłuciem w sercu, zastanawiała się czy jej rodzice wiedzą już, że zaginęła. Na pewno. Nawet mogli tu na nią czekać.

Zastanawiała się jak Heyou zareaguje na jej ojca. Nie sądziła, żeby było to dobre.

Przed nimi pojawił się tył piekarni, drzwi pomalowane na jasno niebiesko, a obok stało drewno na opał. Czują zapach świeżego chleba, a dym bił z kominów. Ślina napłynęła jej do ust od tego zapachu i Solie przyspieszyła kroku, mijając studnię, i zapukała do drzwi.

Otworzyły się ukazując kobietę w średnim wieku z chustką związaną na głowie. Spojrzała na Solie i jej oczy stały się ogromne.

- Dziecko! Co ci się przydarzyło? – Otworzyła drzwi szeroko. – Wchodź. Twoja ciotka będzie przerażona.

- Dzięki, Mimsy – powiedziała Solie, wchodząc. Pracownica piekarni chciała zamknąć za nią drzwi, ale Heyou się przecisnął, śpiesząc do boku Solie.

- Hej! – Zawołała Mimsy, zdumiona. – Nie możesz tu wejść! – Patrzyła na niego, a Heyou w zamian się uśmiechnął.

- Nie zostawię Solie – powiedział jej radośnie.

- Mimsy, p-proszę – wyjąkała Solie. – Um, to długa historia, ale czy może tu zostać? Wyjaśnię wszystko ciotce, obiecuję.

Kobieta zmierzyła Heyou wzrokiem.

- To wcale nie wygląda na długą historię – skomentowała i odeszła. – Zaczekaj tu i nie dotykaj niczego. Oboje jesteście brudni. Pójdę po twoją ciotkę.

Solie odetchnęła, gdy kobieta odeszła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Kuchnia zajmowała połowę przestrzeni i była skrupulatnie wyczyszczona: blaty błyszcząły a drewniany stół do robienia ciasta był odrapany do połysku. Wielkie piekarniki mieściły się przy tylnej ścianie, dwa wypełnione rosnącym chlebem. Świeże bochenki leżały na stole, gotowe do przeniesienia na tace i zabrania na front budynku, na sprzedaż.

Inne pomocnice Mashy, dwie dziewczyny z biednych rodzin, patrzyły na Solie i Heyou. Widziały ją wcześniej, ale nie z mężczyzną. Nie z mężczyzną takim jak on. Solie odkryła, że się rumieni i próbowała wyglądać na niezainteresowaną, ale Heyou zdawał się tu czuć jak w domu. Podszedł do dziewczyn, uśmiechając się i zaczął gawędzić, ta jego dziwna aura zarówno kojąca jak i znajoma. Dwie dziewczyny natychmiast się odprężyły i odpowiedziały. Solie niemal czuła zazdrość, ale nie dotknął żadnej z nich... a potem zmarszczyła brwi, gdy zrozumiała, że w ogóle czuje zazdrość.

Chwilę później, drzwi się otworzyły i weszła jej ciotka, Masha. Wysoka kobieta, o twarzy ściągniętej i surowej, ale zawsze była miła dla Solie. Jej długie siwe włosy były związane w kok, ciągle przemieszane rudymi pasmami i nosiła fartuch na pokrytej mąką sukni. Masha zawsze pomagała przy pieczeniu.

Spojrzała na Solie, oddając uścisk, gdy dziewczyna wbiegła w jej objęcia i westchnęła.

- Naprawdę myślałam, że będziesz dość bystra żeby tu nie przychodzić – powiedziała i Solie cofnęła się z zaskoczeniem.

- Twój ojciec i narzeczony są tutaj – Z żalem kontynuowała jej ciotka. – Przyjechali zabrać cię do domu.

Rozdział 5

Heyou spojrział w górę czując nagły strach Solie. Rozmawiał z dwiema innymi dziewczynami, ciesząc się ich szczęściem i przyjemnością ze spotkania go, ale na jej nagłe sapnięcie zapomniał o nich, jego uwaga się skupiła, a aura zmieniła. Niemal wrócił do swojej prawdziwej formy, gotowy atakować albo bronić, ale jedyną nowością było pojawienie się kobiety z twarzą podobną do jego królowej i nie wyglądało na to, żeby Solie się jej bała, tylko tego, co mówiła.

- Są na górze – wyjaśniła kobieta. – Powiedziałam im, że cię tu nie ma, ale mój brat nie jest głupi. Założył, że tu przyjdiesz – Spojrzała na Heyou. – Nie będzie szczęśliwy.

- Ale ja nie chcę wychodzić za mąż! – zawyła Solie. – Nie może mnie zmusić.

- Zgodziłabym się – powiedziała ciotka. – Ale prawo jest po jego stronie. Twój dziadek pozwolił mi wybrać samotność, ale twój ojciec nie jest tak... szlachetny. Jest uprawniony wydać cię za tego, kogo wybierze – praktycznie wypłuła. – Myśli, że Falthers to dobry wybór.

- Jest stary – poskarżyła się Solie. – I gruby. Ojciec lubi go, bo ma sklep.

- A Falthers lubi cię, bo jesteś młodym rudzielcem.

Heyou nie wiedział czym było małżeństwo, ale zaczynał myśleć, że ten pomysł mu się nie podoba.

- Nie możesz czegoś zrobić? – Błagała dziewczyna.

Ciotka spojrzała na nią i westchnęła.

- Wyjdź tyłem. Pójdź do domu wdowca na krawędzi miasta. Codziennie zanoszę mu świeży chleb. Powiedz mu, że cię przysłałam. Spróbuję przekonać twojego ojca, że tu nie przyjdiesz i gdy wyjedzie, pomyślę o wysłaniu cię gdzieś, gdzie cię nie znajdzie. Rozumiesz, że musisz zrezygnować z rodziny, prawda?

- Nie obchodzi mnie to – wyszeptwała Solie, patrząc w dół.

- Twoja wola – Masha zmierzyła wzrokiem Heyou. – Kim jest twój przyjaciel?

Uśmiechnął się.

- Jestem Heyou.

- Pomógł mi – dodała Solie, patrząc na bitewnika z łzami w oczach.

Tak bardzo chciał ją objąć, że to aż bolało, ale mu zabroniła. Chociaż właściwie tego nie nakazała. Tylko powiedziała, że nie może. Czy to wystarczy? Nie był pewny.

- To mój przyjaciel.

- Tylko upewnij się, żeby twój ojciec go nie zobaczył, albo ślub naprawdę zostanie odwołany... w sposób, jaki ci się nie spodoba – Masha westchnęła i pchnęła ją w tył. – Idź już. I gdy już tam dotrzesz weź kąpiel. Jesteś brudna. A twoje włosy! Przyślę ci ubrania, gdy będę mogła.

Solie skinęła, dziękując ciotce i ściskając ją mocno. Obracając się, przeszła szybko obok Heyou, a on podążył za nią bez konieczności nakazu. Wyśliznęli się na zewnątrz i wróciła na ścieżkę, zmierzając w tym samym kierunku, z którego przyszli.

Chłopcy, którym zagroził swoją nienawiścią wrócili, wykrzykując obelgi i Heyou warknął, pozwalając lekko uderzyć swojej nienawiści. Wrzasnęli i uciekli.

Okno się otworzyło.

- Hej! – Krzyknął męski głos. – Stać!

Solie sapnęła i Heyou spojrzał w górę, gotowy zetrzeć całe drugie piętro budynku. Mężczyzna z czerwonymi włosami Solie wychylił się przez okno, potrząsając pięścią. Heyou syknął gniewnie, ale jego królowa chwyciła go za rękę, ciągnąc za sobą, gdy biegła ścieżką. Heyou pozwolił na to, szczęśliwy z jej dotyku. Powiedziała mu, że ma nikogo nie zabijać, przypomniał sobie. Musiał zapytać czy to dotyczyło też bezpośrednich zagrożeń. Czerwonowłosy mężczyzna zniknął za oknem.

Zauważając wzdrygnięcie się Solie, gdy jej gołe stopy stykały się z kamykami na ziemi, Heyou uniósł ją w ramionach, jego stopy były nieczułe, gdy biegł.

- Gdzie mam iść? – Zapytał, gotowy zabrać ją gdziekolwiek. Gorące źródła byłyby miłe.

- Na koniec ścieżki – powiedziała mu zamiast tego. – Jest tam dom z pomalowanym na niebiesko wiatrowskazem w kształcie koguta. Musimy się tam ukryć.

Heyou skinął i zwiększył prędkość. Przebiegł przez skrzyżowanie, sprawiając, że koń przy wozie uniósł się na tylnych nogach, a potem byli na miejscu. Heyou dotarł do ogrodzenia sięgającego pasa.

Solie przywierała do niego, drżąc.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki szybki – sapnęła, jej strach zmniejszył jego zapał, przynajmniej na tyle, żeby postawił ją na ziemi.

- Przepraszam.

Solie potknęła się, drżąc i drzwi na tyle domu się otworzyły, wyszedł staruszek z fajką. Heyou warknął na niego. Starzec podskoczył, niemal upuszczając fajkę, gdy został uderzony pełną siłą nienawiści Heyou. Był samcem i był w pobliżu królowej Heyou. Był zagrożeniem. Musiał zostać zniszczony.

Solie uderzyła bitewnika w tył głowy.

- Przestań! – Pospieszyła naprzód. – Proszę, panie Chole, musi nas pan ukryć!

- P-przed czym? – Wyjąkał, patrząc na Heyou z przerażeniem.

- Proszę, nie ma czasu – błagała. Heyou biegł jak wiatr, ale pewnie przyciągnął uwagę i każdy mógł ich zobaczyć na tym ogródku. Poza tym piekarnia nie była daleko. Jej ojciec mógł tu przybiec i zobaczyć ją, gdy stała i kłóciła się.

Heyou spojrzał na nią a potem w kierunku, z którego przybiegli. Czuł zbliżającego się mężczyznę... łatwego do zniszczenia, ale jego królowa wydała rozkaz. Przełknął swoją nienawiść i obrócił się do starca.

- Proszę, wpuść nas – powiedział.

To pomogło, miękkość jego głosu. Starzec spojrzał między Heyou a Solie, najpierw zdezorientowany, potem ustąpił.

- Wejdźcie – westchnął w końcu, cofając się.

Solie wbiegła, ocierając się przy tym o ramię staruszka i Heyou wszedł przejściem, żeby zatrzymać się i patrzeć na mężczyznę. Powstrzymywał swoją nienawiść dla dobra swojej królowej, ale starzec dojrzał wyzwanie w jego oczach i zadrżał, odwracając wzrok. Heyou skinął i wszedł, na chwilę ułagodzony.

Wnętrze chaty było maleńkie, meble zużyte, ale zadbane. Pan Chole zamknął drzwi i wszedł, upewniając się, żeby przejść z dala od Heyou i co bitewnik zauważył z satysfakcją, również z dala od Solie.

- Co się dzieje? – Zapytał niepewnie, opuszczając oczy. Heyou patrzył na niego groźnie, po czym rzucił spojrzenie królowej.

Niepewnie zatarła ręce.

- Moja ciotka nas tu wysłała. Masha? Prowadzi piekarnię – Starzec skinął, poznając i Solie odetchnęła głęboko. – Powiedziała, że pan nas ukryje. Mój ojciec mnie szuka. Chce żebym zgodziła się na zaaranżowane małżeństwo.

Chole wyglądał jakby chciał się roześmiać, ale spojrzenie na Heyou go zniechęciło.

- Możesz się tu ukryć – mruknął.

- Dziękuję! – Sapnęła Solie. – Tak bardzo dziękuję! – Ruszyła żeby uściskać mężczyznę, ale Heyou warknął. Staruszek odskoczył. Solie spojrzała groźnie. – Uspokój się, Heyou!

Heyou doszedł do wniosku, że bardziej podobała mu się piekarnia, z tymi wszystkimi kobietami.



Chole zaoferował Solie strych, gdzie było posłanie ze słomy, z którego mogła korzystać, a Heyou podłogę w głównym pokoju. Wtedy wyszedł zobaczyć co dzieje się z jej ojcem, zostawiając Solie w kuchni z umywalką pełną wody i grzebieniem.

Wzdychając, spojrzała na letnią wodę i zdjęła sukienkę. Kąpała się w gorących źródłach, ale nie umyła włosów i zapadła w sen zanim wykąpała się porządnie. Tęskniła za tą gorącą wodą, gdy przykłęka i namoczyła ubranie, używając tego i kostki mydła na swoim ciele. Zaczynając od włosów, odkryła, że są strasznie splątane i nie mogła powstrzymać krótkiego szlochu, gdy przecesała je grzebieniem, wyrywając kłębki włosów, które opadły na podłogę. Wtedy wszystko inne zaczęło do niej wracać: wczorajsze oświadczenie o małżeństwie, przed którym nie została nawet wcześniej ostrzeżona, porwanie przez królewskich żołnierzy, rytuał, podczas którego niemal zginęła i Heyou zabił wszystkich innych, ich lot, przybycie tutaj,

odkrycie, że ojciec ciągle ją ściga... Zakryła dłońmi twarz i zapłakała, szlochając niepokieszenie na zużytej podłodze w kuchni.

- Moja królowo? – Heyou pojawił się i przyklęknął przy niej, patrząc tylko na jej twarz, gdy położył dłoń na jej ramieniu, obracając ją ku sobie. Jego oczy były rozszerzone i zmartwione, a dotyk zdeorientowany, gdy otarł jej łzy z policzków i spojrział na swoje palce. – Co to jest?

Był jedynym, który nie był przeciw niej, jedynym, który zdawał się dbać o to, czego chciała, jedynym, który jej słuchał. Z nim, to ona miała kontrolę, skoro musiał robić cokolwiek by powiedziała. Miała nad nim władzę, o jakiej zawsze jej mówiono, że to mężczyźni mają ją nad nią. I bez niego byłaby teraz martwa. Patrząc na Heyou, Solie zaczęła płakać mocniej, zarzucając mu ramiona na szyję i kryjąc twarz przy jego piersi. Nie obchodziło jej już wcześniejsze postanowienie, że nie będzie go dotykać. Chciała być trzymana.

Ręce Heyou ją otoczyły i wydał jakiś rodzaj skamlącego dźwięku we współczuciu. Przeszyło ją to i uniosła głowę, przyciskając swoje usta do jego. Heyou cofnął się, wyraźnie zdeorientowany i odsunęła się, znów chowając twarz przy jego piersi, płacząc. Zacisnął wokół niej ramiona i po prostu czekał, pozwalając jej się wyplakać. Zajęło to dużo czasu. Woda w umywalce była lodowato zimna a jej skóra sucha zanim poczuła, że znów może się ruszyć.

Heyou trzymał ją przez cały czas, nie próbując niczego. Czowała, jaki był oszołomiony, a to tylko sprawiało, że czuła się gorzej, ale w końcu jej łzy się skończyły.

- Dzięki – wymamrotała w końcu, odsuwając się. – Ja...um... muszę umyć włosy.

- Tak, moja królowo – odetchnął. Wstając, wyszedł do głównego pokoju, z ciągle zdumionym wyrazem twarzy.

Rumieniąc się, Solie umyła włosy w umywalce z zimną wodą, zastanawiając się, dlaczego zawsze łądowała z nim naga. Albo dlaczego go pocałowała. Chociaż jego usta smakowały tak słodko i czuła się lepiej dzięki uściskowi i płaczu.

Westchnęła i skończyła szorować włosy, potrząsając nimi i susząc ręcznikiem. Gdy to zrobiła, włożyła bluzkę i sukienkę akurat, gdy usłyszała warkot Heyou z drugiego pomieszczenia. Jego znajoma nienawiść uderzyła i

zastanawiała się jak jakiś mężczyzna mógł znieść, gdy taka nienawiść była skierowana prosto na niego.

- Chwila! – Wrzasnęła, wybiegając. Pan Chole stał przy frontowych drzwiach, drżąc. Heyou syczał na niego, gotowy zaatakować. Wbiegając za niego, położyła dłoń na ramieniu bitewnika i odprężył się natychmiast.

- Przepraszam – powiedziała wdowcowi. – Tak mi przykro. Nie przywykłam do ludzi. Jest po prostu przestraszony. Chociaż jest naprawdę miłym facetem. Chole parsknął.

- Jeśli tak mówisz – Wszedł, opierając się na lasce i ruszył, żeby usiąść na jedynym z krzeseł przy oknie.

- Zachowuj się! – Wyszepiała Heyou do ucha. – Rozumiesz? Przestań próbować go wystraszyć!

- Tak, moja królowo.

Pan Chole usiadł i położył laskę na podłodze zanim znów spojrzał na dwójkę swoich gości. Po dość bojaźliwym spojrzeniu na Heyou, uśmiechnął się do Solie.

- Widziałem się z twoją ciotką – Wyciągnął bochenek chleba. – Powiedziała mi, że twój ojciec chodzi od drzwi do drzwi i cię szuka. Jest zmartwiony.

Solie stężała. Kochała ojca, ale był stanowczym mężczyzną, który chciał żeby rodzina była bogatsza niż jest. Dla niego wydać ją za mężczyznę, którego nie kochała... Cóż, nie zaskakiwało jej to. Chociaż bolało i nie chciała go widzieć. Nie wiedziała czy mogła mu przebaczyć, a wiedziała, że on tylko sprawi, że znów będzie się strasznie czuła. Nie chciała wychodzić za pana Falthers. Zawsze zerkał na nią chytrze odkąd wyrosła dość, żeby mieć piersi i myśleć o tym, że miałyby pozwolić mu się dotknąć...

Spojrziała na Heyou, przypominając sobie pocałunek. Nie wiedziała nawet czy chce zgadywać jak jej ojciec by na to zareagował.

- Nie chcę go widzieć – wykrztusiła.

Starzec wzruszył ramionami.

- Tak mówi twoja ciotka. To zależy od ciebie. Powiem mu, że nigdy cię nie widziałem, jeśli tu przyjdzie – Zerkał na Heyou, a potem znów odwrócił wzrok. – Nie możecie tu zostać wiecznie.

Znaczy, Heyou nie mógł zostać. A wąpiła, żeby sama była długo mile widzianym gościem. Solie skinęła, przeganiając strach. Coś wymyśli. To nie

tak, żeby ktoś mógł ją zranić, gdy Heyou był przy jej boku. Więc chwyciła jego rękę i pociągnęła za sobą bitewnika, dziękując starcowi, gdy weszła na strych.

Heyou spojrział na nią z ciekawością, gdy opadła na posłanie.

- Co się dzieje? – Zapytał w końcu. – Kim jest ten mężczyzn, którego się boisz?

Solie wzruszyła ramionami, marząc żeby wszystko było inaczej. Ale wciąż, zasługiwał na to żeby wiedzieć.

- Mój ojciec. Chce żebym poślubiła mężczyznę, którego nawet nie lubię. Więc uciekłam z domu. Wtedy zostałam porwana i wpadłam na ciebie – Zaczęła przygryzać paznokieć kciuka. – Myślałam, że będzie dobrze, jeśli ucieknę do ciotki, ale przyszedł za mną.

- Och – Heyou się zastanowił. – Mogę go dla ciebie zabić.

- Nie! – Z trudem chwyciła oddech. – Chcę tylko żeby pozwolił mi żyć swoim życiem!

- Tak, moja królowo – Westchnął i opadł koło niej na twardą podłogę.

Solie położyła się na słomie, wyczerpana i smutna. Mimo tego, że było to wczesne popołudnie, dzień wydawał się długi i wszystko, czego chciała to żeby ciotka po nią przyszła i zabrała ją. Chociaż nie wyglądało na to żeby miało się to zdarzyć.

Heyou siedział i obserwował jak zapadła w sen, samemu go nie potrzebując. Patrzył jak jej oddech się pogłębił i myślał o tym ojcu, który jej zagrażał. Chciał zapolować na mężczyznę i zabić go, zmieść tak żeby jego królowa nie mogła znów zostać ranna. Właściwie szczegółowo mu tego nie zabroniła, ale też nie powiedziała, że może to zrobić. Musi poczekać i mieć nadzieję, że mężczyzna będzie się trzymał z dala, zdecydował, bo jeśli znów zagrozi jego królowej, zajmie się nim. Bez względu na wszystko, Heyou nie pozwoli, żeby jego królowa znów się bała. Znów pomyślał o chwili, gdy przycisnęła swoje usta do jego i zadrżał. Podobało mu się to.

Na zewnątrz, wyczuł powietrznego sylfa, który ich śledził. Odeszła, znikając, i poczuł jak jedno z wielu napięć w nim znika. Znów spojrział na Solie. Na razie była bezpieczna, na tyle na ile mógł jej to zapewnić i upewni się, że tak zostanie. Ciągle chciał jej fizycznie, ale to pragnienie było tłumione przez głębszą potrzebę chronienia jej... i przez świadomość, że dawała mu wybór, a nie tylko mu rozkazywała. Właściwie nie wiedział, co zrobić z tymi

wyborami, ale był całkiem pewien, że podobały mu się niemal tak bardzo jak pocałunek. Jak długo będzie go trzymać przy swoim boku, sądził że będzie zawsze szczęśliwy.

Godziny później, gdy słońce zaczęło ginać za horyzontem w późnym popołudniu, usłyszał pukanie do drzwi i starca, który poszedł otworzyć. Heyou podszedł do okna i spojrzał w dół żeby zobaczyć czerwonowłosego mężczyznę stojącego przy drzwiach. Warknął natychmiast, poznając go. Inny zwalisty mężczyzna stał obok.

Solie ciągle spała. Heyou spojrzał na nią, myśląc. Kazała mu nie zabijać, gdy wysłała go po ubrania, ale nie mówiła że ta reguła dotyczy całego czasu. Powiedziała żeby nie krzywdził jej ojca, ale nie nakazała tego. To musiało znaczyć, że sam może podjąć decyzję.

Heyou zdecydował, że odstraszy mężczyznę, przekona nikczemnika żeby zostawił jego królową w spokoju. Ruszył ku schodom, uśmiechając się okrutnie.

Rozdział 6

Leon pojechał do domu zanim wyjechał z miasta, niezbyt gotowy na nadchodzącą wyprawę. Wjechał na koniu do małej stajni swojego majątku i zsiadł, trzymając Rila z dala od stajennego, który podszedł zabrać konia. Ril patrzył groźnie, ale stajenny był przyzwyczajony do jego nienawiści i skłonił się przed oboma, bitewnikiem i Leonem, zanim jastrząb przemieścił się na ramieniu mężczyzny i Leon ruszył do domu.

Jego posiadłość leżała na kawałku ziemi wewnątrz miasta, który miał zaledwie pół akra, otoczona przez wielką kamienną ścianę. Dom był zrobiony z tego samego materiału, kwadratowy i posepny. Był wiekowy, oryginalnie należał do rodziny jego żony, gdyż jego przodkowie nigdy nie mieli pieniędzy, i kochał go. To był dom.

Gdy szedł, planował co będzie musiał spakować i zabrać, i gdzie będzie szukał dziewczyny. Nie wiedział o niej wiele, ale nie zostałyby przyprowadzona z daleka, a z bitewnikiem przyciągała uwagę. Nie będzie trudna do znalezienia. To dostanie się do niej przez bitewnika będzie trudne.

Frontowe drzwi posiadłości się otworzyły gdy się zbliżył i trio dziewczynek pomiędzy trzecim a dwunastym rokiem życia wybiegło, krzycząc za nim i Rilem. Leon nie miał wątpliwości co do tego, że Ril gardził nim przez większość, jeśli nie przez cały czas i zawsze tego żałował, ale nie mógł zazdrościć córkom uczuć bitewnika. Jastrząb przemieścił się na jego ramieniu, rozpościerając skrzydła i Leon zachichotał.

- Idź do nich, Ril.

Ptak natychmiast poleciał do dziewczynek. Krążył wokół nich gdy tańczyły w kółkach, śmiejąc się i w końcu wylądował na ramieniu najstarszej córki, świergocząc. Trójka skupiła się na ptaku, delikatnie głaszcząc jego skrzydła i grzbiet.

- Żadnych uścisków dla mnie? – zapytał Leon. Chichocząc, dziewczynki podbiegły żeby go ucisnąć, dwunastolatka podeszła z przesadną uwagą by

nie przeszkadzać Rilowi. Objęły go i Leon się roześmiał, pozwalając im zaprowadzić się do domu.

Jego żona, Betha, czekająca tam, uśmiechnęła się i pogłaskała głowę Rila, gdy najstarsza córka go uniosła.

- Nie byłam pewna kiedy wrócisz do domu – wymamrotała, pochylając się by pocałować męża.

- Obawiam się, że nie będę tu długo – zapewnił ją, znów myśląc o dziewczynie z bitewnikiem. Dom był jego sanktuarium. Ril nigdy go tu nie uderzał nienawiścią, nie od kiedy odkrył, że sprawiało to, że dziewczynki płakały. Leon miał tu spokój, a potrzebował przerwy, choć nie będzie ona długa.

- Musisz wkrótce ruszać? – zapytała Betha, marszcząc brwi.

- Obawiam się, że tak. Sam król nakazał – Obrócił się i położył dłoń na głowie najstarszej córki. – Okej, Lizzy, Ril potrzebuje zabawy. Piszecie się na to?

- Tak, sir! – zawołała, salutując. Jej młodsze siostry zaczęły chichotać i cała trójka pobiegła do ich sypialni, zabierając ze sobą Rila. Leon patrzył za nimi i potrząsnął głową. Dziewczyna z bitewnikiem.

- Czasami zastanawiam się czy Ril myśli, że należy do dziewczynek a nie do mnie – zadumał się. – Na pewno nie musiałbym się martwić o kręcących się przy nich chłopcach, jeśli by tak było... - Nie żeby już musiał się o to martwić. Gdy tak będzie, upewni się żeby owych chłopców spotkać przy drzwiach z bitewnikiem na ramieniu. To powinno ich odstraszyć. Albo sprawi, że jego córki nigdy nie wyjdą za mąż, przyznał ponuro.

- Lizzy już o niego prosiła – odezwała się Betha i oparła głowę o ramię męża.
– Ale jakiegokolwiek rozmowy o tym lata przed nami.

- Lata? – Leon się uśmiechnął.

- Dekady. Przynajmniej sześć.

Leon się roześmiał.

- Tak, ma'am – Potem, otaczając żonę ramieniem, poprowadził ją ku ich sypialni, lata temu nauczywszy się żeby korzystać z okazji jakie daje los.



Ril się odprężył, uważając że jest w domu. Wepchnięty w dziecięcy czepek i przewrócony na plecy, szponami delikatnie chwycił palce Cary, próbując powstrzymać ją przed wsadzeniem małego, drewnianego smoczka do dzioba. Trzylatka, Nali, ssła kciuk i ciągnęła go za ogon, gdy niemowlę płakało z kołyski, chcąc uwagi.

- Nie krzywdź go, Nali! – zaprotestowała Lizzy, odciągając siostrę. Dziewczynka zaczęła płakać, co tylko zachęciło niemowlę. Cara zachichotała, poddając się z wkładaniem smoczka i zamiast tego rzucając nim w głowę Rila. – Cara! – sapnęła Lizzy. – Jesteś taka okropna!

Uwięziony w tym kształcie ptaka jaki nakazał mu mistrz, Ril rozłożył skrzydła i zaczął śpiewać. Cała czwórka dziewczynek umilkła natychmiast, patrząc na niego z zachwytem. Rilowi nakazano nigdy nie mówić, jak wszystkim sylfom, tak jak nakazano mu nie zmieniać kształtu. Ale nigdy nie zabroniono mu śpiewać, a Leon nie wiedział, że mógł to robić. Śpiewał dla dziewczynek w samotności, gdy mistrz i jego żona byli gdzie indziej.

Ril był oszalały gdy Lizzy się urodziła, zatracony w strasznym wspomnieniu jego mistrza zabijającego jego królową, gdy ta patrzyła na niego z przerażeniem, jej okrągła twarz pokryta piegami. Wciąż byłby teraz szalony, gdyby nie dziecko. Był przejęty bólem i krzykami Bethy, rozhisteryzowany w korytarzu, gdzie został zostawiony i wpadł do pokoju narodzin nim Leon naprawdę zrozumiał jak był zdenerwowany, gotowy zabić każdego kto krzywdził jedyną kobietę w domu. Był na czas by zobaczyć narodziny Lizzy. Widział jak maleństwo przechodzi przez cielesną bramę na ten świat, jak jego własne przejście przez bramę i był dla niej stracony. Uratowała go i od tamtej pory nie chciał opuszczać ani jej boku, ani jej sióstr, a jego mistrz był dość miły żeby pozwolić mu oglądać narodziny ich wszystkich i być z nimi. Ril wciąż musiał sobie przypominać że nienawidził mężczyzny, przypominając sobie te piegi na okrągłej twarzy za każdym razem, gdy kusilo go przebaczyć Leonowi z powodu jego córek, ale był mu wdzięczny.

Śpiewał dla dziewczynek, piosenki które pamiętał sprzed przejścia przez bramę, zanim został schwytyany nadzieją na królową i śpiewał dla niej, tej która zostawiła go zanim miał czas by zrobić więcej niż ją pokochać. Cara i Nali ułożyły się sennie, drzemiąc przy jego kołysance, niemowlę również

zasnęło, malutka Ralad w swojej kołysce. Tylko Lizzy była przytomna, jej oczy łagodne.

Gdy reszta zasnęła, Lizzy zdjęła czepek z głowy Rila.

- To marudy – wyszeptała, choć się nie zgadzał. Unosząc go, zaniosiła go do kąta pokoju, który uważała za swój. Otworzyła tam skrzynkę i wyciągnęła pudełko z bloczkami z literami które były ich największą tajemnicą. Ostrożnie się rozglądając, rozsypała bloczki na podłodze, ostrożna, żeby nie obudzić sióstr.

Ril zrobił krok do przodu, oglądając bloczki aż znalazł ten którego chciał i przesunął go dziobem, obracając, żeby bloczek miał właściwe położenie. Chwytając następny, położył go obok, a potem siedem następnych.

Lizzy spojrzała na nie.

- Kocham... cię – przeczytała. – Oj, ja też cię kocham! – Pocałowała go w czoło i nastroszył pióra. Sięgnął po więcej bloczków. To była ich tajemnica: że mógł do niej mówić przez bloczki, tak długo jak jej ojciec się nie dowiedział.

Bądź moją królową, przeliterował.

- Zawsze mnie o to pytasz – roześmiała się, chwytając jego dziób i przechylając go z boku na bok. – Oczywiście, że jestem!

Ril westchnął, otwierając i zamykając dziób gwałtownie by wydać klaszczący dźwięk. Wiedział, że powtarzał prośbę zbyt często, ale zawsze chciał usłyszeć odpowiedź. Jej ojciec zabił jego pierwszą królową, ale Lizzy należała do niego od urodzenia. Prosił ją żeby była jego królową odkąd nauczyła go używać bloczków i zawsze odpowiadała: tak. Pewnego dnia, naprawdę będzie jego królową i zawsze będzie ją kochał. Żeby to wszystko się stało najpierw jej ojciec musi umrzeć. Wtedy oboje będą wolni.



Airi szybowała wysoko na wietrze z powrotem do swojego mistrza, podążając za stałą świadomością tego gdzie był. To był najdłuższy czas gdy nie było jej przy Devonie odkąd została mu dana, ale i tak go znalazła, siedzącego w swojej kwaterze w barakach używanych przez samotnych mężczyzn z sylfami i ostrzącego nóż. Wpłynęła przez otwarte okno i uniósł głowę z uśmiechem ulgi.

- Airi! Wróciłaś!

Witaj, powiedziała w jego umyśle, wirując wokół niego i formując twarz z kłębków kurzu, które uniosła z podłogi.

- Dobrze cię widzieć – powiedział jej. – Zaczynałem się martwić. Co się stało?

Bitewnik zabrał ją do doliny gorących źródeł, a potem do wioski na południe od nas. Tej w której się urodziłeś. Devon patrzył z zaskoczeniem. *Są w domu mojego dawnego mistrza, na krawędzi wsi.*

- Co? Są z Ojcem? – Wzmocnił uścisk na nożu, z przestraszoną twarzą i zatańczyła na westchnieniu, prawie pewna że wiedziała co nadchodzi. Devon by temu zaprzeczył, ale naprawdę był typem ruszającym na ratunek. Donal Chole był teraz staruszką, ale bitewnik ciągle będzie go widział jako groźbę. Jak długo bitewnik zostanie zostawiony w spokoju ze swoją kobietą, z wszystkimi wkoło będzie wszystko w porządku. Jeśli ktoś mu zagrozi – albo gorzej, jej – mógł zmienić całą wioskę w krater.

Donal pracował wokół bitewników. Wiedział dobrze co mu grozi, pod warunkiem, że wiedział co było w jego domu. Ale mógł nie zdawać sobie sprawy, że ma pod swoim dachem bitewnika, przyznawała Airi.

O to chodziło.

- Jedziemy tam – zdecydował Devon, wstając i chwytając torbę.

Chcesz walczyć z bitewnikiem?

Niemal się zakrztusił.

- Och bogowie, nie! Chcę się tylko upewnić, że z Ojcem wszystko w porządku – Chwycił swój miecz i przypiął go. – Mam wolny czas.

Wynajmijmy konia – Airi mogła go nieść gdyby musiała, ale taka podróż go przerażała, a ją wyczerpywała. Wiedziała, że był naprawdę zmartwiony gdy prosił żeby go zaniósł.

Devon poszedł do przełożonych żeby powiedzieć, że nie będzie go jakiś czas. Airi szymbowała za nim, tańcząc wokół kilku innych sylfów, komunikując się przez dotyk i ruch, skoro nie pozwalano im mówić. Chociaż po stuleciach niewolnictwa znaleźli sposoby by obejść zasady i ponownie zaznajamiała się z przyjaciółmi czy z oryginalnego roju czy nie, zanim podążyła za mistrzem przez drzwi, zmierzając ku głównej drodze która prowadziła na wschód a potem północ.



Leon wyniósł na zewnątrz torby do siodła, miecz miał przyczepiony w poprzek pleców razem z łukiem. Z Rilem tak naprawdę nie potrzebował broni, ale widział zbyt wielu ryzykujących nieprzygotowanie.

Ptak siedział na ramieniu Lizzy, muskając jej włosy gdy dziewczynka patrzyła na ojca z łzami.

- Musisz jechać tak szybko? – Wszystkie jej siostry zostały w środku, ich krzyki protestu były zbyt głośne by Leon mógł je znieść. Pożegnał się z nimi i uściskał, ale ciągle krzyczały. Betha położyła rękę na plecach Lizzy, potrząsając głową.

- Wiesz, że muszę jechać – powiedział Lizzy ciężko, przywiązując torby do siodła.

- Ale...

- Mówię poważnie – ostrzegł i ruszył by unieść Rila z jej ramienia.

Bitewnik parsknął na niego i Leon z przekleństwem cofnął rękę.

- Ril! Zachowuj się! – Ptak syknął, ale pozwolił się zabrać. Może, pomyślał Leon, nie powinien pozwolić bitewnikowi bawić się z córkami; Ril był coraz bardziej krnąbrny za każdym razem, gdy był od nich zabierany. Ale gdy Leon zobaczył zażawioną twarz córki, ustąpił. Nigdy by mu nie wybaczyła gdyby odebrał jej zwierzaka.

- Niedługo wrócę – obiecał jej, potem pocałował Bethę. – To tylko kilka dni, mam nadzieję.

Obracając się, wspiał się na konia i przejechał przez bramę, machając do żony, gdy odjeżdżał. Odmachała.

Lizy biegła razem z koniem ojca aż opuścił ziemię, a potem przyśpieszył konia do galopu. Z posiadłością za sobą, Leon znów poczuł na sobie spojrzenie Rila i jego nienawiść, palącą, straszna wżgardę, którą kierował na niego bitewnik. Czasami to malało. Czasami, gdy byli sami w lesie i nikogo innego tam nie było, znikало i Leon niemal był pewien, że czuje inne emocje swojego bitewnika, ale teraz było to jasne i ostre jak zwykle.

Koń zarżał ze strachem, próbując odskakiwać na boki i Leon westchnął ciężko.

- Dzięki, Ril – mruknął sarkastycznie. – Zawsze dobrze jest cię mieć z powrotem.



Schodząc ze strychu, Heyou słuchał głosów mężczyzn przy wejściu do domu. Pan Chole mówił, że nie było tu Solie, ale był okropnym kłamcą. Heyou słuchał jak się jąkał i podszedł za niego. Staruszek wrzasnął i odskoczył do tyłu, potykając się na ścianę i niemal przewracając.

Heyou zignorował starca, skupiając się na dwóch pozostałych. Ojciec Solie był tylko odrobinę wyższy niż on, łysiejącą głowę słabo pokrywały jasnoczerwone włosy. Drugi samiec był nawet wyższy, ale otyły, niemal w tym samym wieku co ojciec Solie.

- Odejdźcie – warknął Heyou, próbując nie używać swojej aury, żeby nie obudzić królowej. Nie, dopóki nie będzie musiał.

- Ty – parsknął jej ojciec, wskazując. – To ty byłeś z moją córką. Gdzie ona jest?

Drugi mężczyzna się gapił.

- Ma kochanka? Nie zapłaciłem ceny za pannę młodą, żeby Solie miała kochanka.

- Nie ma! – zapewnił gwałtownie ojciec. – Nie zrobiłaby tego. To dobra dziewczyna – Rzucił Heyou nienawistne spojrzenie. - Kim, u diabła, jesteś?

Heyou warknął. Ciągłe było dobrze wypowiadać jego imię, ale ci mężczyźni go złościли. Nie mieli żadnych praw jeśli chodziło o jego królową.

- Odejdźcie. Solie jest moja.

Obaj mężczyźni mieli ten sam zszokowany wyraz twarzy. Było by to śmieszne, gdyby Heyou w ogóle był rozbawiony. Jego prawdziwa forma swędziała pod skórą z potrzeby uderzenia ich jego aurą nienawiści, rozciągnięcia jej jak niektóre zwierzęta pokazywały upierzenie by odstraszyć rywali. Ich własna nienawiść była niczym. Nie mogli być dla niego nawet pożywieniem. Ale jego królowa spała. Nie chciał jej budzić.

- Ty... - zaczął mówić jej ojciec, jej twarz była zarumieniona z gniewu. – Ty parszywy mały...

- Przestań – sapnął pan Chole. Odepchnął się od ściany, chwytając się za pierś poniżej białej twarzy. – Nie prowokuj go. To bitewny sylf.

Narzeczony się zagapił, nie rozumiejąc w pełni, podczas gdy ojciec wybuchnął śmiechem.

- To chory żart!

- Nie – przysięgał Chole. – Czułem jego nienawiść. Przez lata pracowałem z powietrznym sylfem. Wiele razy czułem bitewników. Kazała mu to ukryć, ale i tak to czułem. To bitewny sylf.

- To niemożliwe – warknął ojciec. – Jak moja córka miałaby zdobyć bitewnika?

- Nie wiem – wysapał starzec. – Ale błagam, nie złość go.

- Saml – zaskamlał narzeczony do ojca Solie. – Nie płaciłem za to.

- To wszystko kłamstwa! – parsknął Saml. – On nie jest bitewnikiem, to jakiś przygłup plątający się przy niej. Cóż, wejdę tam i zaciągnę ją do domu. Sprawię, że pożałuje, że mi się przeciwstawiła! – Ruszył, żeby przepchnąć się obok Heyou, pchając silnymi mięśniami farmera i był zaskoczony gdy jego przeciwnik nie drgnął. Zatrzymując się, Saml pobiełał.

To było za dużo, nieskończenie za dużo. Grozić jego królowej? Atakować jego królową? Każdy instynkt Heyou zapłonął i eksplodowała wściekłość, jego aura nienawiści się rozciągnęła. Pomniejsze sylfy uciekłyby przed tym. Inni bitewnicy przygotowaliby się na rozlew krwi. Nazwani samce przygotowaliby się by zabić. Całe roje ruszały na wojny przez temperament bitewnika, chyba że królowa zabroniła.

Jego oczy zmieniły się z szaroniebieskiego, który Solie uważała za atrakcyjny do pałacej bitewniczej czerwieni. Heyou usłyszał jak staruszek zawodził, biegnąc za Samla i za uciekającym narzeczonym, ale ojciec Solie dalej gapił się na niego, zmrożony. Heyou warknął i błyskawice wypełniły jego usta, gdy przemówił:

- Trzymaj. Się. Z. Dala. Od. Mojej. Królowej.

Wtedy Saml krzyknął, potykając się do tyłu i upadając za stopniem, lądując na plecach w brudzie. Patrzył w górę z przerażeniem, na Heyou już tracącym kształt. Bitewnik urósł, zmieniając się w dym i błyskawice, jego aura rozprzestrzeniła się po wiosce gdy się rozrósł, nagle wielki jak chata, gdy rozciągnął osłonę i skrzydła. Jego głos rozniósł się po wiosce i słyszał jak maleńcy ludzie krzyczą ze strachem. To terytorium było jego – nic nie mogło mu się przeciwstawić – i ryknął, jego krzyk odbijał się echem przez dolinę i po wzgórzach.

Inni bitewnicy odpowiedzieli, odkrzykując własne wyzwania. Brama! Przypomniał sobie nagle. Byli inni bitewnicy przy bramie, samce starsi niż on.

Chociaż brama była w rozsądnym dystansie. Miał kilka minut żeby tu skończyć, jeśli się pospieszy. Potem zabierze królową i ucieknie, zanim jeden z innych zdecyduje się potraktować jego wyzwanie osobiście.

Schylił się nad Samlem, jego zdobione kłami, płonące usta były większe niż cały mężczyzna.

- SOLIE JEST MOJA! – ryknął. Już nie było w człowieku chęci przeciwstawienia się, jego wściekłość zmieniła się w panikę... ale wciąż będzie łatwiej go zniszczyć. Solie nie będzie musiała martwić się o ojca jeśli będzie martwy. Heyou otworzył usta szeroko, w pełni zamierzając pożreć ojca w całości, gdy poczuł na krawędzi jego osłony dotyk, który sprawił, że migocząc wrócił do ludzkiej postaci, pojawił się ponownie w tunice, którą w siebie wchłonął gdy się zmienił.

Solie stanęła za nim, drżąc nawet gdy przycisnęła się do jego pleców i otoczyła ramionami jego pierś, trzymając dłonie płasko przy jego ciele. Heyou odchylił głowę, zamykając oczy i odprężając się. Czuł jej zapach i zamruczał, próbując pamiętać, że byli tam inni bitownicy, którzy mogli przybyć i że był zbyt niewypróbowany by mieć pewność, że wygra nawet przeciw choćby jednemu.

- Nie krzywdź mojego ojca, Heyou. Proszę.

Dla niej, wszystko. Przesunął ręce do tyłu, opierając dłonie na jej biodrach.

- Tak, moja królowo.

Uścisnęła go i cały jego gniew znikł. Jego aura opadła i napięcie pokrywające wioskę znikło.

- S-Solie...?

Warcząc, Heyou opuścił głowę i syknął na ojca, który był zmrożony w miejscu gdzie upadł, patrząc w górę z popielatą twarzą. Nie było widać Chole ani drugiego mężczyzny, chociaż inni wieśniacy stali w odległości, gapiąc się, uzbrojeni w to co mieli pod ręką. Heyou warknął na nich i się wzdrygnęli.

- Heyou – upomniała Solie, ściskając go. – Przestań – Rozluźniła uścisk na moment, potem znów go wzmocniła. – Odjedź, Ojcie – Błagała delikatnym głosem. – Nie chcę żeby Heyou cię skrzywdził.

- A-ale... - sapnął. Jej ramiona zostały wokół bitownika, jej ciało przyciśnięte do niego. Heyou znów pozwolił swoim oczom się zamknąć, po prostu rozluźniając się przy niej. Zapach jego królowej go upajał.

- Nie skrzywdzi mnie – Solie powiedziała ojcu. – Uratował mi życie.

Jakoś, zrozumiał Heyou, mężczyzna zbierał odwagę. Może dlatego, że Solie go obejmowała, więżąc. Heyou czuł niechęć, że mężczyzna to zauważył, nawet gdy odchylił się ku swojej królowej, pragnąc jej. Wzięłby ją w tym miejscu, gdyby pozwoliła, i do diabła z innymi bitownikami.

- Ale Solie, twoja rodzina cię kocha!

- Nie chcę wychodzić za pana Falthera – odparła. – Wiem, że się na to zgodziłeś, ale ja nie – Przerwała. – I myślę, że Heyou zabije każdego mężczyznę, jaki spróbuje się teraz do mnie zbliżyć.

Na to, Heyou posłał Samlowi szczególnie zły uśmiech. Ojciec Solie zadrzał, rozumiejąc że przegrał i potem odtoczył się do tyłu, zostawiając córkę stojącą w wejściu i obejmującą bitewnego sylfa od tyłu, kryjącą twarz za jego plecami. Heyou widział żal w oczach mężczyzny, ale go to nie obchodziło; odchodził. Saml uciekł, wstając i biegnąc do innych, ku linii niepewnych mężczyzn z ich bezużyteczną bronią.

- Heyou – powiedziała Solie. – Ja...

Ledwie to poczuł na czas: przebłysk skoncentrowanej energii uderzającej na nich z góry, coś czego może by nie zauważył jeśliby tego na wpół nie oczekiwał, nawet gdy pozwolił swojej królowej się rozproszyć. Obrócił się, otaczając Solie ramionami, gdy sylf w kształcie jastrzębia ruszył na nich z góry.

Cała chata eksplodowała.

Rozdział 7

Devon wyjechał ze stolicy na wynajętym koniu wzdłuż głównej drogi, przyspieszając go do galopu, który mógł utrzymać przez pewien dystans. Koń był jednym z tych, których używał wcześniej, ciemno kasztanowy z białym nosem. Bestia była do niego przyzwyczajona, a jej uszy stawały żarliwie gdy przyspieszał. Pysk konia był twardy po latach wynajmowania go niekompetentnym jeźdźcom, ale stworzenie odpowiadało dość dobrze na wędzidło, a jego chód był gładki.

Airi unosiła się nad jego głową, wichrząc włosy Devona. To był jej sposób okazywania uczuć i próbował się zrelaksować jadąc. Nie dojedzie tam szybciej niż to możliwe. Z jego ojcem wszystko będzie w porządku. Właściwie, pewnie zrobił już to co zrobiłby jego syn – chwycił buty i płaszcz i uciekł. Devon mógł nawet znaleźć ojca na drodze, zmierzającego ku miastu. To była pocieszająca myśl.

W większości. To i tak piętnastomilowa jazda z miasta do wioski ojca.

Devon opadł na siodle i próbował nie myśleć czemu może musieć stawić czoła, co było po prostu jedną ze zbyt wielu rzeczy, które nie były normalne: dziewczyna z bitewnikiem, dwaj bitewnicy wysłani by zniszczyć piratów dość śmiałych by napaść na statki króla, plotka że księżę korony jest martwy. Nikt nic nie wiedział. Nikt przynajmniej nie wiedział na pewno. Devon podejrzewał, że gdyby wiadomo było coś więcej niż plotki, nie zostałby zwolniony. Krążyły nawet historie, że dziesięciu innych bitewników zostanie zwołanych do zamku! Chociaż o tym zawsze mówiono. Generałowie i ich bitewnicy zostawali w osobnych twierdzach przez większość czasu i król nigdy nie zwoływał ich wszystkich na raz. Nie ze zniszczeniami jakie mogli spowodować bitewnicy. Devon widział raz magię bitewnika, a to tylko był test. Wzgórze już nie istniało. Ani więźniowie, którzy zostali do niego przykuci.

Teraz stawi czoła bitownikowi, o którym wiedział, że nie jest plotką. Devon odetchnął głęboko, próbując uspokoić nerwy. Już mógł poczuć nienawiść, otaczającą go i niszczącą.

Airi nagle przestała się bawić jego włosami, unosząc się nad nim obronnie. Devon spojrzął za siebie. Inny mężczyzna galopował, jego wysoki siwek miał lepszy krok niż kasztan. Poczł jak zaciska mu się żołądek, gdy poznał Leona Petrulę'a, głowę ochrony króla i mistrza bitownika. Rękę miał uniesioną w pozycji sokolnika, Ril jechał na niej łatwo. Bitownik gapił się na Devona, który się wzdrygnął. Tego nie oczekiwał.

Leon podjechał do niego i zwolnił odrobinę, jego siwek wyrównał krok z kasztanem. Mistrz bitownika spojrzął na Devona zwyczajnie, a ten nagle poczuł, że musi wyjaśnić swoją obecność tutaj. Nie wątpił, że mężczyzna go rozpoznał. Airi unosiła się powyżej, gotowa złapać go i uciec jeśli będzie to konieczne. Jeśli mogła prześcignąć bitownika. Ptak spojrzął prosto na nią zanim zwrócił spojrzenie na Devona.

- Dzień dobry, mój Lordzie Petrulę – wykrztusił Devon. – Miłe popołudnie na przejażdżkę.

- Odrobinę na to późno – odpowiedział mężczyzna. – Zawsze wyjeżdżasz tak blisko zachodu słońca?

Devon przełknął, próbując wyglądać naturalnie. Jego jedyną pomocą było to, że każdy mężczyzna w królestwie był nerwowy w pobliżu Rila.

- Jadę zobaczyć się z ojcem – przyznał – częściowo kłamiąc. – Źle się miewa.

- Przykro mi to słyszeć.

Mistrz bitownika znów spojrzął w przód. Ril syknął, trzepocząc skrzydłami, jego aura nienawiści wzrosła. Jak Petrulę znosił tego bitownika bez popadania w szaleństwo?

- A ty, mój panie? – zapytał, bojąc się odpowiedzi.

Mistrz spojrzął na niego kątem oka, a Devon próbował się nie wzdrygnąć.

- Szukam kogoś – odparł cicho mężczyzna i zostawił to tak.

Devon czuł się chory. Mógł sobie wyobrazić kogo szukał człowiek króla. Co jeśli ją znajdzie? Devon spojrzął na Rila i spróbował sobie wyobrazić dwóch walczących bitowników. Nie mógł.

- Sam wyglądasz na chorego – zauważył Leon.

Devon zadrżał.

- To twój bitewnik – powiedział. – Jest raczej denerwujący.

- Tak – Leon spojrział na bitewnika z czymś co mogło być tylko uczuciem, chociaż ciężko w to uwierzyć. – Musi być łatwiej z powietrznym sylfem.

- Tak, mój panie – wykrztusił Devon i poczuł jak Airi tańczy ponad nimi.

- Nie ma niczego innego takiego jak bitewnik – kontynuował mężczyzna. – Sprawiają, że musisz na wszystko zapracować.

- Tak, mój panie – odparł Devon, nie wiedząc co innego mógłby powiedzieć.

Jakiś czas jechali w ciszy. Wciąż była jeszcze godzina do zmierzchu, ale słońce powoli znikało za horyzontem. Devon próbował wymyślić dlaczego Leon jechał razem z nim, ale mógł tylko zgadywać, że mężczyzna pragnął towarzystwa. To albo wiedział, że został okłamany.

Na wprost, w końcu zobaczyli skrzyżowanie.

- Tu jadę na prawo, mój panie. Wioska mojego ojca tam leży – powiedział Devon.

Leon skinął.

- Równie dobrze mogę do ciebie dołączyć. To równie dobry kierunek żeby zacząć jak każdy inny.

- Tak, mój panie – odparł młodzieniec, jego serce opadło w piersi.

Dotarli do skrzyżowania i skręcili, ich konie ruszyły traktem zniszczonym przez setki wozów. Wybierając gładszą północną drogę, znów przeszli w galop, jadąc bok przy boku. Robiło się zimniej i Devon zacisnął wokół siebie płaszcz.

- Znasz jakieś dziewczyny z wioski ojca? – nagle zapytał Leon. – Dziewczyny z długimi, rudymi włosami które noszą spinkę z zielonym motylem? – Uniósł delikatny przedmiot w ręce.

Devon poznał to natychmiast i w gardle mu zaschło.

- Uch...

Nagle, ryk. Oba konie zarżały, cofając się i Devon musiał walczyć o kontrolę nad kasztanem – i sobą, bo ogarnęła go przejmująca nienawiść i usłyszał głęboki głos krzyczący: „SOLIE JEST MOJA!” Odbijało się to echem wszędzie i Ril się wyprostował, rozciągając skrzydła i nagle ptak również krzyczał, jego nienawiść uderzyła.

Gdy jego siwek znów się cofnął, Leon przeklął, jedną ręką obniżając głowę konia gdy drugą uniósł.

- Ril! Idź! – Gdy opuścił rękę, bitewnik już był w powietrzu, ruszając w niebo. Ril zniknął w chmurach, zmierzając ku wiosce.

- Och, bogowie! – sapnął Devon. Obrócił gwałtownie głowę kasztana i popędził bestię naprzód, zmierzając w stronę domu ojca. Koń przeszedł w galop, grzmiąc kopytami po drodze.

Pół sekundy później, człowiek króla go minął, schylony nisko nad karkiem konia. Devon przyspieszył swojego, próbując go dogonić. Airi zawodziła w panice, biegnąc przy jego boku.



Solie krzyknęła w panice gdy świat eksplodował, płomień wypełnił pole jej widzenia, gdy Heyou otoczył ją swoim kształtem, chroniąc przed tym. Przez moment była zamknięta w jego ciepłej ciemności i słyszała jak zawył, jego nienawiść była wyczuwaną siłą. Mogła wyczuć jego ochronę, jak również jego strach. Coś w niego uderzyło i zadrżał. Nie mógł tak walczyć, zrozumiała.

Heyou również to zrozumiał. Po chwili znów był człowiekiem, cienie czerni wirowały wokół niego jak eteryczne skrzydła i rzucił ją w wolne miejsce. Solie upadła z wrzaskiem i spojrzała w górę. Chata płonęła, rozpadlina głęboka na dwie stopy rozciągała się ku niej. Rozdarta ziemia dymiła, otaczając Heyou gdy się obrócił, patrząc w przeciwnym kierunku.

Coś błysnęła na niebie i Solie patrzyła jak ptak zawrócił w powietrzu, ponownie zmierzając w ich kierunku. Zanurkował, jego szpony były podwinięte a skrzydła rozciągnięte. Zmierzał prosto na Heyou i niewidzialna ściana destrukcji czyniła chaos przed nim.

Heyou skrzyżował ramiona, blokując tę siłę i samo powietrze wokół niego krzyknęło, drżąc. Chwilę później ptak go minął, obniżając lot a Heyou obrócił się, transformując. Masywne czarne szczęki zamknęły się tuż za ogonem ptaka, ale jastrząb zdołał uciec i wystrzelić w niebo by ponownie zaatakować.

Solie wstała z trudem, przerażona. Nie było w wiosce ani na ziemiach w pobliżu miasta nikogo, kto nie poznałby królewskich bitewników. Jakkolwiek Ril był zamknięty w jednej formie, podczas gdy Heyou mógł swój zrzucić kompletnie, z krzykiem wznosząc się w niebo. Ptak i czarna chmura wystrzelili w przód, znikając z widoku. Ciągle czuła ich nienawiść, absolutną wzdargę dla siebie nawzajem.

- Heyou! - Krzyknęła, nie chcą żeby został ranny. Jeśli ją słyszał, nie odpowiedział.

Dwaj bitownicy znów się pojawili, zderzając się, siła ich kontaktu uderzyła na miasteczko poniżej, przewracając ludzi. Grzmot rozbrzmiał chwilę później, ogłuszając Solie. Wyciszyło to dźwięki krzyków i paniki. Ludzie i zwierzęta próbowali uciekać we wszystkich kierunkach, ale sylfy walczyły dokładnie nad wioską, sypiąc iskry w każdym kierunku i nikt nie był pewny gdzie uciekać. Jedno uderzenie zniszczyło mały sklep, podczas gdy drugie uderzyło w sad w którym najpierw wylądowali Solie i Heyou.

Solie zaczęła płakać, nie wiedząc co robić.



Heyou rzucił się na drugiego bitownika, uderzając w niego swoją energią, ale ptak unikał każdego ataku, wirując wokół niego i próbując zająć go od tyłu. Heyou niemal wychodził z siebie, żeby dalej mieć przeciwnika na wprost. Nie mógł zrozumieć dlaczego inny bitownik, dużo starszy niż on, nie zmieniał kształtu. W końcu zrozumiał, że nie mógł i jego ekscytacja wzrosła. To jedyna walka, w której miał przewagę.

Minuty później, stało się jasne że ta przewaga wcale nie była duża. Drugi bitownik mógł utknąć jako ptak, ale był zbyt szybki by go uderzyć. Unikał najlepszych uderzeń Heyou, a wioska poniżej za to płaciła: połowa budynków stała w płomieniach, ludzie i zwierzęta próbowali uciec. Nieszczęsne ofiary leżały porzucane wszędzie.

Niektóre ciała nosiły długie spódnice. Heyou czuł agonię i wstyd i zdesperowane przerażenie, że Solie skończy złapana w wymianie ognia. Chociaż drugi bitownik nie wziął jej na cel – wyraźnie chciał Heyou. Co znaczyło, że z Solie wszystko będzie w porządku. Czuł jej strach i dezorientację, ale nie ból. Gdyby była ranna, wiedziałby. Gdyby została zabita, straciłby uścisk na tej rzeczywistości.

Myśl była przerażająca i wznowił ataki, teraz ostrożny by unikać bezładnych uderzeń energią na przeciwnika; to było zbyt wyczerpujące i nieprecyzyjne. Zamiast tego ruszył naprzód, próbując walki z bliska – i krzyknął, gdy szpony ptaka rozdarły jego osłonę.

Przegrywał, nagle zrozumiał Heyou. Zdesperowany, rozejrzał się za swoją królową. Muszą uciec.



Leon galopował na koniu przez wioskę, ściskając kark stworzenia i klnąc. Wioska była w ruinach, wszystkie zasady przyzwoitości odrzucone w walce powyżej.

Nie było wiele walk pomiędzy bitewnikami, nie takich. Każde królestwo o jakim się kiedykolwiek uczyło miało ich, ale byli bardziej używani jak odstraszacz niż cokolwiek innego, zapobiegając wojnom czy inwazjom. Właściwie bitewnicy byli pod ścisłą kontrolą. Na północ leżały martwe Łupkowe Równiny, niemal rozmiaru Eferem, ale w większości pozbawione życia, dzięki konfliktowi bitewników stulecia temu. Nie zostawili za sobą niczego poza gruzem, ścierając królestwo które istniało między Eferem i Para Dubh. Ril był napuszczany na rozbójników i grupy piratów dość głupich by ryzykować atak, ale do tej pory był tylko w trzech formalnych walkach. Wygrał każdą.

Musiał myśleć, że to będzie łatwe, zrozumiał Leon, wymyślając sobie. Ale ten nowy bitewnik nie był kontrolowany, a jego kształt migotał dziko gdy walczył. Jak jego moce, a miasteczko za to płaciło.

Leon przeskoczył swoim koniem nad strzaskanym wozem i chowającymi się za nim ludźmi, szukając. Ril rozmyślnie nie zniszczyłby wioski – jego rozkazy co do dopuszczalnych strat były jasne – ale nawet on mógł popełniać błędy. Jest jedna łatwa droga by zakończyć walkę zanim ten skurczybyk zniszczy wszystko. Leon zobaczył ją chwilę później, stojącą w szoku na środku ulicy przed płonąłą chatą, z rękoma przyciśniętymi do twarzy, gdy patrzyła w górę. Jej długie, rude włosy wirowały na nienaturalnym wietrze. Nie miała kontroli nad swoim bitewnikiem. Nie jej wina, ale to prawda.

Leon wyciągnął miecz i przyspieszył konia. Zabij mistrza i odeślij sylfa: rozkaz króla był łatwy. Przynajmniej próbował sobie wmówić, że taki był. To nie pierwszy raz gdy zabije dziewczynę dla bitewnika.



Devon wjechał na rozhisteryzowanym koniu do wioski, sam tak spanikowany, że ledwie mógł się skupić. Airi przyciskała się do jego pleców, mrożąco lodowata w swoim przerażeniu.

Miasteczko było w ruinie, ludzie przebiegali obok niego. Rozglądał się za ojcem, ale nie było go w polu widzenia. Objechał wóz... i zamiast ojca zobaczył Leona, który z uniesionym mieczem galopował wprost na rudowłosą dziewczynę stojącą do niego plecami. Devon ja znał, widział ją wcześniej gdy mieszkał w wiosce, a ona odwiedzała ciotkę. Poznał jej spinkę z motylem w ręce Leona.

- Airi! – krzyknął, nie wiedząc co zamierzał powiedzieć ani co chciał żeby zrobiła.

Musiała zgadnąć. W jednej chwili powietrzny sylf opuścił go i wystrzelił do przodu, drzenie powietrza które przebiegło obok człowieka króla i otoczyło dziewczynę. Błyskając, ściągnęła Solie z drogi, zrywając krzyżącą dziewczynę z nóg i wznosząc w powietrze, ponad głowę Leona i w kierunku swojego mistrza.

Devon sapnął, widząc, że mężczyzna tak gwałtownie zatrzymał konia, że siwek niemal usiadł na zadzie. Leon obrócił się, patrząc na niego. Winiąc go. Potem Airi była na miejscu. Chwyciła również Devona i ściągnęła go z konia, zderzając go z krzyżącą dziewczyną gdy się wycofała, unosząc się nad dachami chat, cały czas będąc dość nisko, by nie wpaść w walkę między bitewników. Trzymając oboje ludzi blisko, odleciała.



Heyou wyczuł nagłe przerażenie Solie i obrócił się, zapominając o sobie. Była w powietrzu, trzymana przez powietrznego sylfa – tego samego powietrznego sylfa, którego zignorował – otoczona przez mężczyznę i zniknęła za nachyleniem doliny. Ktoś ja zabierał.

Solie! Krzyczał.

Ril uderzył w jego plecy, przedzierając się przez niego. Heyou sapnął i upadł, zmieniając się z powrotem w człowieka gdy spadał, uderzając w dach chaty i wpadając do głównego pokoju. Deski podłogi popękały pod nim i

zwymiotował krwią, w straszliwym bólu, pobity. Powyżej, widział jak drugi bitewnik okrąża budynek na ciemniejszym niebie, krzycząc w triumfie.

Był martwy. Drugi bitewnik go zabije. Solie zostanie sama, nie chroniona, królowa drugiego bitewnika każde ją zabić. Heyou została tylko jedna opcja, jedyna dostępna nowo wyklutym bitnikom, jeśli mieli przetrwać dość długo by urosnąć i służyć swoim królowym: opanował swoją wściekłość – całą – jak również formę. Migocząc w nicość, rozluźnił swój uścisk na rzeczywistości i się ukrył.



Wciąż patrząc w zadumie w kierunku, w którym zniknęła dziewczyna, Leon uniósł rękę.

- Ril!

Bitewnik wylądował i zaczął układać dziobem pióra. Leon uniósł go do przodu i sprawdził wolną ręką, szukając ran. Sylf był przypalony, ale nie ranny, więc Leon odetchnął z ulgą. Ril zignorował go, chociaż pozwolił Leonowi dotknąć swojego ciała, skupiając się na czyszczeniu piór na ogonie. Jego nienawiść była mniejsza niż zwykle. Był zmęczony.

- Dobry chłopiec, Ril – wyszeptał Leon, głaszcząc jego grzbiet gdy ptak pił jego energię. Czasem czuł jak stworzenie to robiło, szczególnie jeśli Ril pił więcej niż zwykle, i czuł to teraz, dziwnie zmysłowe mrowienie na skórze. – Dobry chłopiec – Ril uderzył go z odrobiną wymuszoną wzdargą i ułożył się, strosząc pióra i wsuwając głowę pod skrzydło. Chwilę później, bitewnik spał.

Leon na to pozwolił. Bitewne sylfy rzadko spały i na palcach jednej ręki mógł policzyć ile razy robił to Ril. Zmarszczył brwi i spojrzał od zniszczeń w wiosce do miejsca gdzie zniknęła dziewczyna. Słońce zaszło i nie widział żadnych szczegółów, a co dopiero gdzie zniknęła dziewczyna i jej ratownicy. Nie sądził, że mistrz tego powietrznego sylfa będzie miał dość jaj by zrobić coś takiego. Rzeczywiście jechał odwiedzić ojca!

Obrócił konia, ostrożnie by nie obudzić Rila. Było niejasne czy drugi bitewnik został zniszczony. Nie, żeby nie mógł zapytać Rila, ale wątpił by ptak pozwolił sobie na sen, jeśli wciąż istniałoby niebezpieczeństwo.

Miasteczko było w ruinie, więcej niż połowa zniknęła a ci, którzy przetrwali patrzyli na niego z przerażeniem. Leon mocniej zmarszczył brwi.

Posortowanie tego bałaganu zajmie godziny, ale Devon powiedział że jego ojciec tu mieszka. Musi sprawdzić czy to kłamstwo. Jeśli nie, zobaczy co staruszek będzie mógł mu powiedzieć.

Rozdział 8

Jasar stoczył się z kobiety z jękiem, wzdychając gdy wylądował na plecach i ocierając pot z oczu. Była pomniejszą dwórką, dość ładną, ale nudną w łóżku. Choć krzyczała dość razy i wiedział, że ją zadowolił. Uśmiechnął się złośliwie: zawsze je zadowalał.

Alica westchnęła i rozciągnęła się przy nim, jej piersi błyszczały w świetle lampy. Spojrzał na nią z uznaniem. Na pewno była atrakcyjną kobietą.

- To było cudowne – odetchnęła, przewróciła się, opierając głowę o jego ramię, ręką przesuwając po jego piersi. – Byłeś fantastyczny.

Jasar zmarszczył brwi, nie chcąc by go teraz dotykała gdy skończył. Odepchnął ją i wstał, sięgając po szatę. Tylko kobiety chciały tego całego przytulania. Gdy dostał czego chciał, nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

- Potrzebuję kąpieli – powiedział jej. – Możesz już iść.

Alica nie załapała aluzji jak większość kobiet. Usiadła, nadaśana.

- Ale chcę więcej. Ty nie? – Potrząsnęła piersią.

Uśmiechnął się drwiąco.

- Nie sędzę. Może później – Dużo później. Było dużo innych kobiet na jego liście i już półtuzina bastardów biegających z jego oczyma. Chociaż żadnego nie uznał. Nie było powodu.

- Jesteś pewnym, że nie mogę tego uczynić wartym chwili? – zamruczała, kładąc się i wyginając kręgosłup.

Nie był – nie całkiem. Co podsunęło mu pomysł, coś co go zastanowiło podczas spotkania konsulu. Nie miał sposobności tego wypróbować i może teraz powinien.

- Chcesz w coś zagrać, moja droga? – zapytał z uśmiechem.

Rozpromieniła się.

- Oczywiście!

Jasar się roześmiał, zastanawiając się czy za minutę dalej będzie tak myśleć. Nie żeby to miało znaczenie. Była tylko pomniejszą dwórką. Nie miała szans zaprotestować.

- Mace! – zawołał. – Wejdz!

Drzwi się otworzyły, ogromny, szary bitewnik wszedł do środka. Jego kroki odbijały się od kamiennej podłogi, a Alica pobieliała. Mace spojrzała na Jasara i napłynęła znajoma nienawiść.

Jasar który do tego przywykł ledwie to zauważał. Mace nie mógł mu nic zrobić.

- Mace – zagruchał. – Lady Alica chciałaby, żebyś się z nią kochał. Zrób to.

Mace się zatrzymał, jego nienawiść zgasła w zaskoczeniu i Jasar roześmiał się głośno. Zszokowany bitewnik obrócił głowę w stronę kobiety i ruszył ku łóżku.

- Nie – sapnęła Alica, odczołgując się. – Proszę! Nie!

- Równie dobrze możesz się położyć i cieszyć – powiedział jej Jasar siadając w fotelu obok łóżka. – I tak to robi.

Mace wspiał się na łóżko, a jego mistrz oblizał usta gdy bitewnik wczołgał się nad kobietę, jego jarzące się oczy nie opuściły jej twarzy. Patrzyła na bitewnika w zmrożonym przerażeniu, gdy się układał. Jasar się pochylił, obserwując detale z zainteresowaniem. Mace się posuszył i Alica zaskomlała.

- Przynajmniej jesteś anatomicznie poprawny – skomentował Jasar po chwili. – Muszę powiedzieć, myślałem że będziesz większy. Jakie to rozczarowujące.

Mace go zignorował, jego nienawiść ledwie obecna gdy skupił się na kobiecie, łóżko drżało od jego ruchów. Jasar obserwował jak oczy Alici się rozszerzyły i roześmiał się gdy jej głowa gwałtownie odchyliła się do tyłu. Jej wyraz twarzy zmienił się w skrzywienie.

Myślał, że to ból – oczekiwał tego, z czymś tak dużym w niej – ale gdy zaczęła dyszeć i krzyczeć, jej całe ciało się wygięło. Zrozumiał, że to wcale nie ból. To było nawet bardziej ekscytujące i sięgnął w dół by się chwycić, gdy Mace się uniósł, unosząc biodra kobiety z łóżka. Sylf pchał szybciej, sprawiając że piersi Alici drżały.

Minęły minuty. Jakkolwiek, zamiast rosnącej ekscytacji, Jasar poczuł jak jego zapach mija. Alica krzyczała teraz niekontrolowanie, drżąc i wijąc się na łóżku, sięgając w górę po bitewnika i wyjąc, jej rozkosz była oczywista. Wciąż szczytowała, wyginając się niemal w C, gdy Mace ułożył się na kolanach, przyciągając ją wciąż do siebie.

Jasar nigdy nie sprawił żeby kobieta się tak zachowywała.

- Niech to cholera – warknął, odpuszczając i wstając z krzesła. – Ty przekłeta dziwko.

Mace spojrzał na niego i nagle sylf skończył, głęboko w przejętej kobiecie. To tylko pchnęło ją dalej poza krawędź, krzyczała aż jej głos się załamał. Bitewnik odłożył ją na łóżko z dziwną jak dla siebie delikatnością.

- Wynos się! – warknął Jasar. – Wynos się natychmiast!

Mace wysunął się z kobiety i wstał, wychodząc z pokoju tymi samymi ciężkimi krokami jak gdy wszedł, jego nienawiść wróciła, zaciekła.

Jasar to nie obchodziło. Stał nad łóżkiem, patrząc na wyczerpana Alicę. Miała na twarzy delikatny uśmiech, leżała bezwładnie, jej nogi rozchylone, a uda wilgotne.

- Rany – odetchnęła. – Och, rany – Naprawdę ugaszone pragnienie było w tym głosie i wściekłość Jasara wyrwała się spod kontroli.

- Ty dziwko! – warknął i uderzył ją. – Ty brudna dziwko!

Krzyknęła, ale dalej ją bił, wykrzykując przekleństwa i niemal płacząc gdy ją tłukł, chwytając ciężki, srebrny lichterz z szafki przy łóżku i uderzając ją tym. Robił to aż nic nie zostało z jej twarzy i głowy i czuł się chory – nie z powodu tego co się z nią stało, ale tego co zrobił Mace.

- Jak śmiał - sapnął, ocierając podbródek zakrwawioną ręką. – Jak śmiał! – Ruszył roznieść pokój, nie chcąc żadnego przypomnienia tego co się stało, ani jak jego niewolnik go przyćmił.



Na zewnątrz, Mace stał w swojej alkowie. Jedynym wyrazem jego emocji była ręka powoli zaciskająca się w pięść.



Devon i Solie oboje krzyczeli unoszeni w powietrzu, opadając co chwilę, gdy Airi próbowała zonglować nimi i uciekać jednocześnie. Przestraszona, że w każdej chwili bitewnik może ją rozedrzeć, powietrzny sylf prześliznął się nad wzgórzem i w dół po drugiej stronie, przeskakując nad sosnami przed opadnięciem do rzeki, by nie można jej było tak łatwo zauważyć. Jej

pasażerowie krzyczeli i wymiotowali, ale nie była dość silna, żeby im było wygodnie. Ledwie mogła ich oboje utrzymać i się męczyła. Starszy sylf uciekłby z nimi łatwo. Starożytny sylf, taki jak Tempest, uniósłby całe miasto i uciekł z nim, ale Airi była ciągle młodziutka według standardów jej rodzaju, nawet mimo tego że przeżyła trzy generacje.

Rzeka odpływała od wioski, skręcając i wiodąc ku północnym lasom. Airi leciała wzdłuż niej, zdolna wyczuć, że walka za nimi się skończyła i bała się, że to znaczyło, że bitewnik ruszy za nimi. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby młodszy nie podążył za mistrzem, nie, chyba że przegrał, a wtedy ten drugi może ich gonić. Airi zaskomlała, ale знаła umysł swojego mistrza i nie mogła sobie wyobrazić żeby prosił ją o coś mniej. Uratuj dziewczynę. Uratuj ich wszystkich.

Gdy już nie mogła lecieć dalej, opuściła ich delikatnie na pełną mchu łąkę. Nic jej nie zostało.

- Airi! - Sapnął Devon, stając i sięgając ku niej. Jego ręka przeszła przez miejsce gdzie migotała przy ziemi i zaklął zanim szarpnął swoją tunikę, wydając mały, cienki flet. Airi zadrżała gdy przyłożył go do ust i zaczął grać. Grał na tym instrumencie odkąd był brzdącem, ucząc się stylu muzyki jaki lubiła i nut jakie kochała, trenowany przez ojca, jak jego ojca trenował dziadek. Występował dla niej. To była obietnica złożona gdy przekraczała bramę i Devon zawsze się upewniał, że ja wypełnia.

Jego muzyka była lecząca dla Airi, dając jej coś na czym mogła się skupić gdy karmiła się na jego żywej energii, przeciągając ją w siebie. Ten świat był i obcy i trujący dla jej rodzaju, ale po związaniu mogła się karmić od Devona, a jego muzyka tylko czyniła jego smak słodszy. Piła głębokimi łykami i dziewczyna którą uratowali patrzyła na nich oboje i w obliczu tego jej strach bladł. Devon zamknął oczy i grał, wysokie, słodkie nuty wypełniały całą łąkę gdy słońce skończyło zachodzić i pokazały się gwiazdy. Rozbrzmiały cykady, duplikując muzykę Devona.

Airi zaczęła czuć się lepiej, śpiewając. Ten bitewnik mógł nadchodzić, ale to nieważne. Jej mistrz grał tylko dla niej i nawet dziewczyna którą uratowali nie liczyła się. W końcu Airi czuła się dość silna żeby przybrać bardziej cielesną formę z wszystkich jakich używała: przeźroczyściej dziewczynki, dość chudej by mogła być zrobiona z gałęzi – ten kształt dość nielegalny i Devon mógł

zostać skazany na śmierć za pozwalanie na to. W tej formie usiadła na ziemi, ramionami otaczając kolana, podczas gdy jej mistrz odłożył flet. Na jego twarzy gościła ulga.

Ludzka kobieta siedziała kilka stóp dalej, drżąc na zimnie, w poszarpanych ubraniach i oberwała ich uważnie. Była przerażona, Airi mogła to wyczuć i nie było widać jej bitewnika. Do tego czasu, jak wiedziała Airi, był albo martwy albo pokonany. Airi czuła żal dla dziewczyny.

- Znam cię, prawda? – zapytała rudowłosa, patrząc na Devona.

Skinął, wkładając flet do kieszeni i czołgając się do przodu by położyć dłoń na policzku Airi.

- Wszystko w porządku? – zapytał, jego głos zmartwiony.

Uśmiechnęła się do niego. Jego troska nie była tym co ją tu trzymało, ale to ją uszczęśliwiało.

Wszystko będzie w porządku, odetchnęła w jego umysł. *Dziękuję.*

Skinął, gładząc jej policzek i obrócił się do dziewczyny, którą uratowali, jego twarz znów pobieleła gdy na nią spojrzał.

- Tak – powiedział jej. – Jestem Devon Chole. Dużo razy widziałem cię w wiosce gdy tam dorastałem. Jesteś bratanicą piekarki, prawda?

Skinęła.

- Solie. Wiesz co się stało?

Ona nie wiedziała? Airi przypuszczała, że człowiek nie ma skąd wiedzieć. Nie przechodzi się z bycia ofiarą do posiadania bitewnika. Airi pamiętała jak sama była dezorientowana po przejściu przez bramę, a ona nie została oszukana przy swojej nagrodzie jak to robiono bitewnikom. Dawno temu rozmawiała z kilkoma o tym, używając języka bez słów, który wykształcili by ominąć zasady mistrzów i wiedziała jakie to dla nich straszne. Wszyscy ci bitewnicy już teraz odeszli. W przeciwieństwie do innych sylfów, bitewnicy nie byli przekazywani z pokolenia na pokolenie i znikali gdy ich mistrzowie umierali. Z tego co wiedziała Airi, pewnie byli z tego zadowoleni, bo nigdy nie dochodzili do siebie po tym co zostało im zrobione: byli zmuszeni patrzeć jak ich kobiety umierają zanim mieli szansę zmienić je w królowe, zmuszeni służyć ich zabójcom... Bitewnikowi Solie zostało to oszczędzone, ale to nie mogło mu pomóc zrozumieć co się tu dzieje, ani jakim był szczęściarzem.

- Wiesz, że związałaś bitewnika? – zapytał ją Devon. Gdy dziewczyna skinęła, dodał: - To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nie widziałem tego, ale mogę sobie wyobrazić, że król nie jest szczęśliwy – Westchnął. – Wysłał mężczyznę zwanego Leon Petrula i jego bitewnika, Rila, za tobą. To oni zaatakowali cie w wiosce – Odetchnął głęboko. – Gdy Ril rozpraszał twojego bitewnika, Leon ruszył na ciebie. Byłabyś martwa, gdyby Airi cie nie chwyciła.

Dziewczyna zbladła, jej dolna warga drżała gdy uniosła rękę do ust. Moment później szlochała, zwinięta w pól, by przycisnąć czoło do ziemi. Devon spojrział na Airi z zdesperowaną dezorientacją, ale ona nie wiedziała co mu powiedzieć. On był mistrzem. W końcu, podczołgał się i otoczył dziewczynę ramieniem. Oparła się o niego, ciągle płacząc a on ją trzymał gdy się wypłakiwała.

Zajął to chwilę i Airi zaczęła blednąć w bezcielesność. Ciężko wspięła się w powietrze i sięgnęła zmysłami jak daleko mogła. Dym unosił się z wioski w oddali, ciemniejszy nawet niż nocne niebo, ale nie widziała nic więcej. Nie było widać żadnego bitewnika. Nie była pewna czy to dobrze czy źle, ale nie miała zamiaru sprawdzać bez wyraźnego rozkazu Devona. Nie była wojowniczką i była zbyt zmęczona by biec. Nawet po nakarmieniu, nie miała siły by próbować się ukryć. Potrzebowała odpoczynku.

Poniżej, Solie mówiła miękko do Devona, opowiadając mu co się wydarzyło: jak skończyła z bitewnikiem i przez co przeszli, co zaczęła do niego czuć. Airi nie zawracała sobie głowy słuchaniem. Dziewczyna była w pełni związana z bitewnikiem, jej dusza odwzorowana w nim jak jego w niej. Zawsze będzie chciała czuć tę więź i będzie cierpieć z dala od niego, tak jak Devon gdyby Airi odeszła. Powierzny sylf nie mógł sobie poradzić z tym wszystkim na raz. Devon musi zdecydować co muszą zrobić, a ona musi to zrobić. Zaczeka na jego rozkaz.

Znużona, została na warcie i wirowała we wspomnieniu muzyki, tańcząc w tańcu, którego nie mogły zobaczyć ludzkie oczy.



Solie przyłgnęła do mężczyzny, którego właściwie nie знаła i płakała, próbując zrozumieć jak mogła być tak zdenerwowana przez kogoś kogo dopiero spotkała. Jednak była. Tęskniła za Heyou, strasznie tęskniła i żadne z

dwójki, którzy ja uratowali nie mogli jej powiedzieć czy on żyje. Z tego jak to brzmiało, odpowiedzią było nie.

Myśl o śmierci Heyou raniła bardziej niż mogłaby sobie wyobrazić. Chronił ją. Nie liczyło się jak w zasadzie był szalony, warcząc na każdego mężczyznę który się do niej zbliżył, albo jak próbował dostać się pod jej spódnicę. Nawet wtedy sprawiał, że czuła się bezpieczna, a gdy mówiła, słuchał. Solie nie była do tego zbyt przyzwyczajona, nie przy jej rodzinie. Ze strony ciotki, pewnie, ale starsza kobieta ciągle dawała rady i wskazówki. Heyou wcale nie próbował jej mówić jak powinna myśleć. Mógł z dużymi zdolnościami obchodzić jej nakazy, ale ciągle słuchał i jakoś wypalił sobie drogę do jej duszy. Bez niego tutaj, czuła się pusta.

Siąknęła nosem i otarła oczy koszulą Devona. Zdawało się niemożliwe nie winić się za Heyou, wioskę i wszystko. Mogła sobie wyobrazić co by na to powiedziała jej ciotka. Jeśli weźmiesz na siebie winę, pozwolisz żeby prawdziwemu winowajcy uszło płazem. Jednak wciąż czuła się odpowiedzialna.

Powinna była zrozumieć, że król za nią ruszy i powinna była zabrać Heyou daleko stąd, gdzie nikt by ich nie znalazł. Niesienie jej nie byłoby dla niego trudne. Zamiast tego, pobiegła do wioski najbliższej zamku i pozwoliła mu oświadczyć światu swoją obecność gdy jej bronił. Jak mogła być taka głupia? Teraz nawet wcale nie miała Heyou i nie mogła wrócić do domu. Jej ojciec nigdy by jej nie zaakceptował, mieszkańcy wioski by ja winili i już nie była taką idiotką żeby myśleć że król zostawi ją w spokoju, teraz gdy nie było już jej bitewnika. Co najmniej chciałby zemsty za syna. Chciał też jej śmierci za bycie dowodem, że kobieta też może związać bitewnika. Musi uciec, znaleźć miejsce gdzie łowca króla jej nie znajdzie... a teraz Devon będzie musiał iść z nią, za to że popełnił zbrodnię ratując ją. Był teraz w takim samym niebezpieczeństwie, on i Airi.

- Tak mi przykro – zaszlochała. – Wmieszałam cię w to wszystko!

Devon pogładził jej włosy.

- Jestem pewien że sam się w to wmieszałem bez pomocy z twojej strony – nie zgodził się. – Nie wiń się.

- Ale nigdy nie będziesz mógł wrócić do domu! A ten mężczyzna będzie cie ścigał!

- Taa- usłyszała jak westchnął. – Próbuję o tym nie myśleć. Choć czasami po prostu musisz się postawić – Odepchnął ja i otarł jej oczy chusteczką, sprawiając, że Solie zastanowiła się co by pomyślał Heyou o tym, że jej dotyka. To przyniosło potrzebę śmiechu i płaczu jednocześnie.

Devon się uśmiechnął, choć jego usta były zaciśnięte, a wokół oczu miał linie których nie pamiętała z wcześniej. Nigdy nie znała go dobrze, ale zawsze wydawał jej się spokojnym typem.

- Powinniśmy spróbować się przespać i ruszyć rano – powiedział jej. – Wtedy zobaczymy gdzie zmierzamy i zdecydujemy co zrobimy.

- Gdzie możemy pójść? – zapytała, łykając powietrze, w większość je wyszlochując. Nie znała kraju zbyt dobrze - nie poza wioska w której się urodziła i wioska ciotki.

- Nie jestem pewny. Myślę, że na północ. Jeśli przebedziemy Łupkowe Równiny i przejdziemy góry, dostaniemy się do królestwa Para Dubh. To będzie trudne, ale nie będą nas tam szukać – Mam nadzieję, mogła niemal usłyszeć jak dodał.

- Okej – zgodziła się, nie wiedząc co innego mogłaby zasugerować. Miał płaszcz, buty, flet i powietrznego sylfa, który nie mógł ich zanieść daleko. Ona miała znoszona sukienkę i była bez butów. Wstała i odetchnęła głęboko. – Zgaduję, że na razie musimy znaleźć schronienie pod drzewami. Chodźmy.

Rozdział 9

Dwudziestu ośmiu mężczyzn nie żyło, wszystkie ich sylfy były zniszczone. Żniwa były stracone i zdołali odzyskać tylko trzecią część żywego inwentarza. Przynajmniej mieli dość narzędzi by zrobić obóz i ciągle mogli związać więcej sylfów. Mogli wszystko odbudować, jeśli dość długo będą zostawieni w spokoju i przetrwają zimę.

Morgal stał na krawędzi urwiska, na którym założyli obóz, patrząc na jego rzekome królestwo. Nie było to dużo. Kolekcja namiotów i ognisk, zbudowana na stoku klifu. Mieli blisko pięćdziesiąt namiotów, dwieście mężczyzn, kobiet i dzieci, razem z dziesięcioma ognistymi sylfami, ośmioma powietrznymi, siedmioma ziemnymi, czterema wodnymi i nawet jednym uzdrowicielskim. W dolinie, razem byli cudowną rzeczą – ożywiającą. Teraz to wyglądało tylko jak brudny obóz pełen zdesperowanych ludzi.

Wysłano za nimi bitewnych sylfów, dwóch bitewnych sylfów, którzy wdarli się w ich maleńką wspólnotę, rozdierając ludzi i rozpraszać ich w Łupkowe Równiny. Kilka dni im zajęło przegrupowanie się tutaj i kosztowało ich połowę sylfów i więcej przyjaciół niż Morgal chciałby zliczyć, włączając w to ich przywódców. Zamknął oczy na chwilę, czując lodowaty wiatr na twarzy i próbując nie czuć zniechęcenia. Był chudym mężczyzną, wychudzonym i dziobatym, a malejące racje żywnościowe nie pomagały. Jego długie włosy rzedły na szczycie głowy i również siewały. Jego lewe ramie było zabandażowane i oddychanie bolało, ale uzdrowicielski sylf był wyczerpany. Straciliby dużo więcej, gdyby nie ona, a ciągle miała pracę do wykonania. Przez jakiś czas sam musi zdrowieć.

Za nim migotało światło, ogień w kształcie dziewczyny patrzącej na jałowe równiny. Wydawała się zrobiona w całości z płonącego żaru i była odpowiednio nazwana, Ash². Patrząc na nią, Morgala natychmiast stężał.

- Wracają? – zapytał

Ognisty sylf wzruszył ramionami.

² eng. Popiół.

- Nie – odpowiedziała głośno i się odprężył. Teraz wszystkie sylfy wyglądały ataku. Mogły się wyczuć nawzajem gdy były dość blisko i czuły bitewników przede wszystkimi. Sylfy mogły ukrywać swoją energię, ale bitewnicy nie mieli powodu. Morgał miał tylko nadzieję, że „dość blisko” nie okaże się za blisko.

Obrócił się i przeszedł wzdłuż urwiska, z Ash przy jego boku, próbując nie nadrywać ran gdy wracał do obozu. Ci, którzy przetrwali patrzyli na niego i kiwali gdy ich mijał, przed powrotem do swojej pracy. Zostało wielu mężczyzn, ale z ofiarami kobiety miały przewagę liczebną, związane i owdowiałe. Były również dzieci, bawiące się wśród namiotów, chociaż dwie trzecie było sierotami.

Powinniśmy byli oczekiwać ataku, pomyślał – tak jak myślał odkąd się to stało. Staliśmy się aroganccy, beztroscy. Zapłaciliśmy za to.

Wszyscy jego rodacy byli chłopami z górskich wiosek w Para Dubh, ludzie zbyt biedni i nieważni by dostać sylfy od króla – albo od kapłaństwa, o ile mieliby dość pieniędzy by zapłacić. Większość tutaj było nowo związana, dzięki zbuntowanemu kapłanowi, który do nich dołączył i dał im powód by się usamodzielnic. Chcąc więcej od przyszłości niż klasowa struktura Para Dubh, pierwsi mężczyźni zaprzyjaźnieni z Petrem kapłanem zapoczątkowali tę wspólnotę, zamieszkując na krawędzi Łupkowych Równin w dolinie w kanionie który chronił ją przed najgorszym wiatrem i śniegiem. Powinni tam być zostawieni w spokoju przez lata, ale byli głupi. Na sugestie przywódców, zaczęli atakować powietrzne statki lecące z królestwa Eferem do Para Dubh. Zajęło lata budowania wspólnoty i ludzie przestali kwestionować tego bezpieczeństwo. Potem nadeszli bitewnicy. Morgał modlił się tylko, żeby mistrzowie bitewników myśleli, że zabijają tylko piratów – co więcej, żeby uwierzyli że ich zniszczyli.

Przed nim, obok beczek z wodą wspólnoty stał namiot wyróżniający się wśród innych. Morgał wszedł do środka schylając się i obecne tam kobiety spojrzały na niego znad pielęgnowanego rannego. Siedmiu ocalałych ciągle leżało, czekając na leczenie. Oczywiście było więcej niż siedmiu, ale ci byli najciężej ranni, niezdolni wyzdrowieć bez pomocy.

Ta pomoc spojrzała na Morgała, wężąc ku jego ranie, nim wróciła do mężczyzny którego łątała. Ciężko było ją zobaczyć, niejasno kobieca w

kształcie ale w większości bez formy i zdecydowanie przezroczyta. Coraz bardziej bladła samej pomagając rannym, a jej mistrz przyglądał jej się ze zmartwieniem. Zem był małym, nerwowym człowiekiem, ale był do swojego sylfa bardziej przywiązany niż jakikolwiek inny mistrz.

Zem zbliżył się pośpiesznie, wykręcając dłonie.

- Pozwól mi powiedzieć jej, żeby przestała, Morgalu – błagał, patrząc przez ramię jak uzdrowicielka położyła dłoń na czole rannego mężczyzny.

Zamigotała i jego oddech się uspokoił, pogłębił, choć nadal był nienaturalnie blady. – Luck³ się zabije!

Morgal westchnął, mając nadzieję, że Zem jest tylko paranoiczny.

- Jeśli teraz przestanie, nasi przyjaciele umrą.

- Ale jeśli nie przestanie, nie będziemy jej mieć dla następnych rannych! – Jej mistrz niemal zalał się łzami. – Jest jedyną uzdrowicielką jaką mamy!

- Czy ona chce przestać? – zapytał Morgal.

- Wiesz, że nie – zawył Zem. – Nigdy nie chce przestać. Wyleczy trądzik jeśli nie znajdzie nic innego.

Za nimi nad łóżkiem, Luck spojrzała na nich i uniosła się, przenosząc się do następnego koca, gdzie położyła rękę na jego okupancie. Uzdrowiała rannych po trochu, co zajmowało więcej czasu ale zużywało mniej energii. Morgal był pod wrażeniem gdy na początku zobaczył jej strategię. Ciągle był, nawet gdy ignorowała jego rany.

- Wszystko z nią będzie w porządku.

- A co jeśli nie? – zawył Zem.

Morgal spojrzał w tył na swego ognistego sylfa.

- Ash, czy z Luck wszystko w porządku?

- Tak.

- Widzisz? – powiedział Morgal mężczyźnie. – Ash mówi, że wszystko z nią w porządku. Wiedziałyby.

- Ale to powietrzny sylf! Luck jest uzdrowicielką! Są totalnie różne!

Morgal potrząsnął głową.

- Po prostu pozwól jej pracować. Wie żeby przestać, gdy będzie potrzebowała odpoczynku. Rozumie jak ważna dla nas jest.

³ eng. Szczęście.

Na chwilę podchwycił spojrzenie Luck, ale sylf nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Odpowiadała tylko Zemowi – który, na szczęście, wciąż odpowiadał przed Morgalem. Gdyby nie, pewnie oboje by odeszli. Gdyby tylko mieli innego uzdrowiciela... Ale uzdrowiciele byli najrzadszymi z sylfów, a rytuał wezwania nie był stałym procesem. Grupa mogła otworzyć bramę i ich własne sylfy mogły im powiedzieć co było po drugiej stronie, ale nie mogli wycelować bramy na typ potrzebnego sylfa. Nie znaleźli innych uzdrowicieli, ani nie znaleźli mężczyzn z cechami Zema, by zwabił takiego sylfa. On był nieustannie chory dopóki Luck nie przeszła – albo skarżył się że był. Jakoś ją uszczęśliwiała utrzymywanie go w dobrym zdrowiu.

Gdy Morgal stał kontemplując, sylf przeniósł się do następnego pacjenta, zatrzymując się by położyć dłoń na swoim mistrzu gdy to robiła. Odetchnął głęboko i się otrząsnął. Morgal odwrócił wzrok.

- Zostawię ci to – Morgal powiedział Zemowi i wyszedł na zewnątrz zanim mężczyzn mógł się skupić i znów skarżyć. Gdy ostatnio tam był, zajmowała się tuzinem. Zem klóciłby się, aż stałby się cały niebieski, ale Luck uleczy ich wszystkich w tydzień. Jutro, może będzie mógł nalegać żeby zrobiła przerwę, bez ryzyka że ktoś umrze.

Na zewnątrz, rosnące zimno sprawiło, że zadrżał i Ash się przysunęła, grzejąc go. Niedługo zacznie sypać śnieg, co było kolejnym problemem. Nie wiedział co powiedzieć tym ludziom. Ich prawdziwi przywódcy nie żyli. Morgal był tylko asystentem, jednak był najbardziej doświadczonym przywódcą jakiego mieli. Stworzyli nowy konsul, z nim jako dowodzącym. Ale był też jednym z tych, którzy zasugerowali atak na statki handlowe Eferem, użycie ich do zwiększenia swoich zapasów i przyspieszenie znalezienia ich nowego zamierzonego królestwa. Jako jedyni ocalały z tej grupy, czuł ciężar katastrofy.

Nie mogli sobie pozwolić na jeszcze jedną taką walkę. Ich sylfy były bezużyteczne przeciw bitownikom, a sami nigdy nie będą mieć żadnych. Nie, gdy musi zostać poświęcona kobieta by ich związać. Nikt z jego grupy nie chciał nikogo zabijać, nawet ochotnika. Przypomniawszy sobie jak ten statek ruszył na nich zamiast uciekać gdy zaatakowali, a potem ptaka i rycerza w zbroi jak zeskoczyli...

Zamknął oczy. Skończone. Większość jego ludzi uciekła, dzięki ich sylfom. Znów będą mogli to zrobić.

Podszedł do następnego namiotu, bliższego krawędzi obozu. W środku, ich jedyny kapłan i mężczyzna, który uczynił wszystko to możliwym, spojrzął znad kręgu który rysował. Był niemal skończony, gotowy do napełnienia energią, by mogli otworzyć bramę do sylfów. Wciąż mieli mężczyzn, którzy nie byli z żadnym związani. Przyciągali tak wielu jak mogli i jeśli będą mieli szczęście, zdobędą kolejnego uzdrowiciela.

Morgał skinął do Petra i usiadł na drewnianym krześle w rogu. Ash unosiła się nad nim, teraz w formie kuli ognia, dość blisko by ogrzać jego obolałe mięśnie bez palenia go.

- Niedługo? – zapytał.

- Tak – kapłan skinął, klękając by kontynuować rysowanie. Był łysy, a jego skalp mocno poblizniony, jak reszta ciała. Gdy Morgał pierwszy raz go spotkał, Petr nie miał języka, ale z czasem Luck sprawiła, że odrósł. Morgał nie wiedziała co zrobił mężczyzna by zarobić karę, ale był torturowany a jego ziemny sylf został zniszczony, a potem został porzucony w dziczy na śmierć. Poprzedni przywódcy Morgala go znaleźli a w zamian dał im sekret wzywania sylfów. Sam nie miał nowego sylfa. Morgał mógł to zrozumieć. Sam nie mógł sobie wyobrazić zastąpienia Ash.

Obserwował pracę kapłana, wiedząc że trzeba było więcej niż nauczenie się wzorów by uczynić rytuał udanym. Petr miał lata doświadczenia i Morgał był więcej niż wdzięczny, że kapłan przetrwał atak bitewników. To o czym żaden z nich nie mówił, to fakt, że sam Morgał przetrwał bitwę tylko dlatego, że chwycił kapłana i uciekł, zostawiając innych by walczyli sami. Każdy nosił własne rany. Siedział i obserwował, i miał nadzieję, że przejdą sylfy które zapewnią im przetrwanie.



Heyou wrócił do spójności najdyskretniej jak mógł o wschodzie słońca, wyczuwając drugiego bitewnika każdą odrobiną świadomości jaka mu została. Czuł wroga na obrzeżach percepcji, jego aura była przygaszona i odpoczywająca.

Nie gratulował sobie zmęczenia drugiego bitownika. Heyou był ciężko ranny, jego forma rozdartą, a poziom energii niski. Ból był niemal obezwładniający, ale nie ośmielił się czekać dłużej aż się uleczy. Już nie był taki pewien że wyzdrowieje. Kiedyś zostałby gdzie jest i albo by żył albo umarł, ale teraz Solie go potrzebowała. Była gdzieś tam z tym mężczyzną i musiał się do niej dostać.

Powoli, jako mniejsza część świata niż chmura pyłu, ale ciągle w agonii, Heyou uniósł się z miejsca ukrycia i nad strzaskaną podłogą chaty, zamierzając oddalić się od drugiego bitownika. Kompletnie przełknął aure, nie zostawiając nic co mógłby wyczuć wróg, ani nic po czy mógłby go tropić. Czuł się bez tego niemal ślepy i tak nagi, że teraz rozumiał Solie z chwili gdy ją spotkał – bezbronny. To było... upokarzające.

Sunął płynnie po podłodze i na zewnątrz przez pęknięcie w ścianie. Wczesnoranne słońce świeciło na niego, ogrzewając jego krawędzie gdy skradał się nad ścieżką i między drzewa. Stamtąd przeleciał przez sady i wzgórze, podążając za cieniutkim śladem który wiódł go na północ, w kierunku w którym zmierzała jego królowa.

To było niewiarygodnie trudne, jego forma chmury energii była zakłócona tak bardzo że ledwo mógł utrzymać kształt. Heyou w końcu musiał przestać i wznowić ludzki kształt, nadając sobie formę w jakiej istniał wcześniej, zanim zapadł całkiem w nieświadomość.

Robienie tego bolało tak bardzo jak przyjęcie uderzeń drugiego bitownika. Heyou klęczał na liściastym, spleśniałym gruncie i przycisnął do niego twarz, płacząc z bólu, jego skóra zimna po raz pierwszy pod znoszoną tuniką. Fizycznie, wyglądał jak chciała Solie, ale czuł rany w środku. Wróg go okaleczył.

- Solie – sapnął. Ona wszystko naprawi. Jego królowa nakarmi go energią, której potrzebował i wiedział, że musi z nią być. Ten instynkt był ciągle niewiarygodnie mocny, nawet jeśli tłumiony przez wyczerpanie i dziwną, nową samotność. Nigdy wcześniej nie był samotny. Zły, tak, i zdeterminowany, ale nigdy samotny. Nie mógł już jej bronić, ale mógł z nią być, tak jak ona mogła być z nim. To było warte przetrwania.

Heyou zmusił się do wstania samą siłą woli, krztusząc się i drżąc gdy to zrobił. Czuł szorstki grunt pod bosymi stopami i potknął się, upadając na kolana. To bardziej bolało.

W końcu, znalazł złamana gałąź swojego wzrostu i poodrywał gałązki, użył tego by pomóc sobie wstać. Opierając się na tym, powoli ruszył by podążyć za swoją królową.



Głęboko w śnie o Lizzy, Ril drgnął i się obudził, jego oczy się rozchyliły gdy rozejrzał się w wczesnorannym świetle. Przez chwilę myślał, że czuł... Wzburzył pióra, nasłuchując czymś innym niż uszy.

Był pewny, że zabił drugiego bitewnika – albo zranił go tak, że jego energia będzie wyciekać, aż umrze. Teraz już nie był taki pewny. Poruszył się i na wpół rozłożył skrzydła, gotowy wzlecieć w jakimkolwiek kierunku było konieczne by mógł dokończyć robotę. Ale nie wyczuwał niczego. Nie wyraźnie.

Leon, który rozmawiał z przestraszonym staruszkiem obok krateru, który był chatą, spojrział na niego unosząc jedna brew. Jednak nic nie powiedział.

Ril widział wielu mistrzów mówiących do swoich sylfów, zadających im pytania na które nie mogły odpowiedzieć. Leon przynajmniej nigdy nie był tak głupi. Powstrzymał język, pozwalając swojemu bitewnikowi szukać. Ril go zignorował i skupił się, szukając słabego drgnienia nienawiści, które ujawniłoby jego ofiarę.

Obrócił głowę i Leon również się obrócił, powoli idąc w kierunku w jakim patrzył Ril, niosąc go naprzód. Przeszli przez ruiny miasteczka do zniszczonej chaty w którą wbił się bitewnik, starzec podążył niepewnie na wezwanie Leona. Tam, Leon uniósł rękę z Rilem i ostrożnie wszedł do środka, ręką przeganiając pył sprzed twarzy. Ril spojrział w dół i mistrz klęknął, opuszczając go. Ril mocno chwycił przedramię Leona.

Podłoga była poznaczona energią, która była krwią drugiego bitewnika, kolory wirowały w sposób, który tylko Ril mógł zobaczyć. Patrzył i słuchał, i w końcu uniósł głowę ze skrzekiem. Leon wstał, a gdy Ril spojrział na ścianę, mistrz go do niej zaniósł.

Tu był najślabszy ślad, tylko odrobina energii migoczącej na pęknięciu szerokim na cal. Ril spojrział na nie, a potem na swojego mistrza.

- Cholera – wymamrotał Leon. Wstał i wyszedł na zewnątrz. Wskazując staruszka którego przepytował, nakazał mu zostać tam gdzie był, zanim zaniósł Rila do tylnej ściany.

Energia prowadziła między drzewa za wioską, przez sady. Ril pochylił się do przodu i pozwolił swojej wadze kierować mistrza. W parze wspięli się na wzgórze i weszli między drzewa, śledząc ślad energii, który skończył się na polanie.

Ril patrzył i otrząsnął się z niesmakiem. Drugi bitewnik zmienił kształt, zamykając energię w fizycznej formie. Z aurą zduszoną, będzie cięższy do wytropienia. Uwieszony jako ptak, zmysł Rila był tak przytłumiony, że wątpił, żeby mógł to w ogóle zrobić.

Leon obserwował go przez chwilę, czekając i Ril skupił trochę nienawiści na nim, tylko po to by wyrazić swój niesmak. Mężczyzna zbladł i potrasnął głową. Przenosząc Rila na ramię, przeszedł po polanie, przyglądając się ziemi. Chwilę później powoli zaczął podążać na północ, śledząc ślady, których Ril nigdy nie nauczył się znajdować. Bitewnik zaklaskał dziobem, ale inaczej nie wyraził uznania dla wysiłków mistrza.

Podążali skręcającą ścieżką między drzewami i w górę stoku. W kilku miejscach Ril zauważył grunt zdartą przez wagę czegoś przechodzącego, ale tylko tyle. To Leon prowadził pościg do szczytu wzgórza i przez las, podchodząc w końcu do klifu nad rzeką. Tam para stanęła, oglądając płynącą wodę w obu kierunkach.

Nic.

Ril krzyknął z frustracją i rozwinął skrzydła, wzlatając na jedno z pobliskich drzew. Tam układał pióra i czekał aż jego mistrz zawróci do wioski, zanim mógł wrócić na jego ramię. Leon nie rozkazał inaczej. Obaj czuli to samo. Tym razem, zawiedli.



Pod krawędzią klifu, w zagłębieniu o którym nie wiedział, że tam było dopóki na wpół nie spadł z krawędzi, Heyou przylgnął do zimnej, pokrytej gliną ściany i próbował nie wydać żadnego dźwięku, nawet nie oddychać.

Czuł dwóch łowców powyżej i wiedział, że zabiją go jeśli znajdą, i po raz pierwszy w życiu, bał się. Cała brawura zniknęła. Już nie miał w sobie chęci walki. Zamiast tego ukrywał się, mając nadzieję że odejdą, a nawet gdy to zrobili, to zimno i desperacja w końcu go stamtąd wyciągnęły.

Kontynuował swoją bolesną podróż, powoli zmierzając na północ.

Rozdział 10

Dwadzieścia mil na północ od wioski, z której zmuszeni byli uciec stała następna, która rosła służąc lokalnym drwalom i traperom, którzy byli chętni zaryzykować długą, niebezpieczną drogę do Para Dubh. Było to bardziej surowe miasteczko niż poprzednie i krzepcy mężczyźni na obrzeżach krzyczeli i śmiali się do siebie nawzajem, wykrzykując przekleństwa równie często jak powitania.

Solie rozglądała się nerwowo, owinięta płaszczem Devona i ściskając jego ramię. Nie chciała tu być, ale nie mieli wyboru. Było późne popołudnie dzień po tym jak uciekli z wioski i wędrowali od świtu. Zaczynali desperacko potrzebować jedzenia i ubrania. Z płaszczem Devona było jej ciepło, ale on również czegoś potrzebował i nie mogła iść dalej bez butów. Jej stopy były posiniaczone i pocięte i wzdrygała się z każdym krokiem, ale Airi była wciąż zbyt zmęczona by ja nieść. Sylf wisiał gdzieś nad głową mistrza, niewidzialna – ale była tam, przy Devonie.

Nie wiedziała jak zdołałaby przetrwać bez mężczyzny. Nie skarżył się ani nie protestował na jej wolne tempo, pomagając jej gdy tego potrzebowała i w przeciwieństwie do Heyou, nie próbował jej przekonać by z nim spała. Odkryła, że i tak się nim nie interesuje. Był bardziej jak brat.

Próbowała nie myśleć o Heyou, ale pustka jaką w sobie czuła bez niego, ciągle w niej była. Strasznie za nim tęskniła. Jeśli Devon czuł jej smutek, nic nie powiedział i zawsze odwracał wzrok gdy płakała.

- Jesteś pewien że masz dość pieniędzy? – wyszeptała, próbując nie przyciągać uwagi mieszkańców miasteczka. Miejsce było większe niż jakiegokolwiek miasto jakie Solie kiedykolwiek widziała i była przerażona, że jakiegokolwiek widoczne kobiety zdawały się sprzedawać.

- Powiniennem – zapewnił ją Devon. – Powinno starczyć na kilka posiłków i pokój w zajeździe. Jeśli nie podnoszą tu cen – Brzmiał niepewnie i chwyciła go odrobinę mocniej. Nie mieli zbyt wielkich szans jeśli nie zdobędą tutaj

zapasów. Bardzo daleka droga była do Para Dubh, które stało się ich miejscem przeznaczenia.

Ku zaskoczeniu Solie, ich wejście zostało niezauważone. Każdy nieznajomy był wielkim wydarzeniem w jej wiosce. Tutaj, nikt nie zwracał uwagi i zostali kompletnie zignorowani gdy zbliżyli się do miejsca handlowego blisko centrum miasteczka.

- Ja zajmę się rozmową, dobrze? – powiedział Devon i Solie skinęła.

Sklep był wypełniony większą ilością rzeczy niż Solie mogła sobie wyobrazić, ułożonych na półkach aż pod sufit. Widziała talerze, lalki, zwoje materiału, narzędzia, broń, dostawy górnicze, wysuszone owoce i tysiące innych rzeczy. Nigdy nie widziała czegoś takiego i gapiła się jak dziecko przejęte zbyt wieloma prezentami. Devon trzymał jej rękę, ciągnąc ją za sobą aż znalazł beczkę pełną butów. Grzebiąc, w końcu znalazł parę dość małych.

- Przymierz te – zasugerował.

Solie to zrobiła, z radością wsuwając jej obolałe, zimne stopy do środka i odkrywając, że zostało sporo miejsca.

- Są za duże – przyznała.

- Typowe – Rzucił jej kilka par wełnianych skarpet. – Spróbuj z tym.

Zrobiła to i odkryła, że buty pasowały lepiej, choć nada czuła się dziwnie w wielkich, niepasujących butach.

Devon przeszedł dalej w dół przejścia i znalazł zwykły, szary płaszcz. Był niemal zbyt długi, ale niewiarygodnie ciepły. Owinęła się nim.

- Dziękuję – odetchnęła.

- Nie ma za co. Potrzebujemy jakiejś torby na zapasy.

Po poszukiwaniu, znalazł torbę z woskowej skóry w którą włożył rondel, talerze, sztucce i pudełko z hubką. Zatrzymał się z zamyśleniem przed półką z przyprawami, ale zamiast tego wybrał linę i trochę mydła. Z rzeczami w ręce, podszedł do kontuaru się targować.

Solie podążyła za nim, nie chcąc wchodzić w drogę, gdy obserwowała coś co brzmiało jak gwałtowna kłótnia. Zamiast tego stała z tyłu i patrzyła jak jego włosy się poruszały, choć nie było wiatru: Airi się nimi bawiła. Solie patrzyła z ciekawością, ledwie zdolna zobaczyć migotanie powietrznego sylfa i to tylko gdy poruszyła się przed świecą płonąca na półce z nią.

Była taka inna od Heyou, zrozumiała Solie. Airi była samicą. Ale z drugiej strony, wszystkie sylfy były samicami, poza bitownikami. Rzadko przybierała solidny kształt, zwykle nawet nie była widzialna. Heyou to robił, jak i inni bitownicy. Oczywiście, byli uwiezieni w jednej formie. Solie zastanowiła się czy wcześniej minęła niewidzialne sylfy. Wątpiła w to. Jej wioska nieszczerze kogokolwiek interesowała, co dopiero mistrza sylfa.

Dziwnie, stwierdziła że tęskni za domem i rodziną. Mieszkali w maleńkim domu na farmie, wszystkie dziewczęta dzieliły jeden pokój. Nie mogła tak naprawdę winić ojca za to, że próbował wydać ją za męża, ale jego wybór był tak odrażający. Tęskniła za nimi wszystkimi... jednak wciąż lepiej czuła się w sklepie w obcym mieście, słuchając Devona próbującego obniżyć cenę ubrań i zapasów.

Westchnęła i odwróciła wzrok, patrząc na zbiór rurek w otwartym pudełku. Inny ból nadal był obecny: strasznie tęskniła za Heyou. On wniknął w jej duszę tak głęboko jak ona w jego i chciała go odzyskać, nawet z tą niezdolnością do przebywania z innymi mężczyznami. Do tej pory urwałby głowę właścicielowi sklepu, żeby tylko dostać co chcieli.

Solie patrzyła jak Devon kłócił się nad zapasami przez dłuższą chwilę, potem podeszła do głównego okna. Na zewnątrz, konie ciągnęły wozy przez miasto, i zobaczyła kilku jadących mężczyzn, ale wiedziała że nie mogą sobie pozwolić na konia. Ten, na którym jechał Devon został w wiosce i wiedziała, że mu to przeszkadzało. Martwił się, że sam nie wróci do domu. Solie po prostu chciałaby żeby tu był. Solie i Devon będą musieli iść bardzo długo.

Gdy patrzyła, mężczyzna jadący wozem ciągniętym przez dwa stare konie zsiadł, przywiązując zwierzęta do słupa na zewnątrz. Wszedł do sklepu i Solie zeszła mu z drogi, zauważając że miał głębokie cienie pod oczami. Wyglądał również na nerwowego. Skinął ku niej lekko, naprawdę nie nawiązując kontaktu wzrokowego i poszedł przejrzeć półkę ze śrubami i białym materiałem. Nie mając nic innego do roboty, Solie obserwowała, zastanawiając się co go tu sprowadziło.

Do tej pory, Devon skończył się targować i narzekał potężnie gdy sklepowy pakował jego zakupy. Podał kilka monet i obrócił się, resztę wsadzając do kieszeni. Ale gdy wziął swoje rzeczy i szedł do Solie, minął mężczyznę który dopiero wszedł do sklepu. Obaj natychmiast stanęli, patrząc na siebie.

Silna bryza przeszła po sklepie, Airi nagle użyła swojej mocy. Solie nie mogła zrozumieć dlaczego. Arii wciąż wisiła niczym przeźroczyście dziecko nad swoim mistrzem. Sklepowy nic nie zauważył, znikając na tyle z pieniędzmi.

Devon i nieznajomy dalej patrzyli na siebie, zapach ziemi wypełnił nos Solie. Chwilę później, z pęknięć w podłodze wystrzeliła ściana ziemi między dwoma mężczyznami. Devon cofnął się o krok, oglądając się na Solie ze zmartwieniem.

Ziemny sylf, zrozumiała zaalarmowana. Bali się bitewników, ale może zamiast tego został za nimi wysłany mistrz innego sylfa? Czekala za dwojgiem mężczyzn, czując rosnące napięcie aż nie mogła tego znieść dłużej.

- Przestań! – krzyknęła, stając między nimi, ostrożna by nie dotknąć żadnego sylfa. Obaj się cofnęli i mężczyźni patrzyli na nią z zaskoczeniem. – Poddaje się! Poddaje! On nie ma z tym nic wspólnego!

Szczęka mistrz ziemnego sylfa opadła i gapił się na nią.

- Ty co? Nie szukacie mnie?

- Po co mielibyśmy? – zapytał Devon. – Myślałem, że ty szukasz nas.

Podejrzliwość mężczyzny zmieniła się w szeroki uśmiech.

- Cal Porter. Miło was poznać – Wyciągnął rękę.

Devon nią potrząsnął, cały czas mając zdumiony wyraz twarzy. Solie się odprężyła, znów zdolna oddychać. Oba sylfy zbladły w niewidzialność.

- Naprawdę mnie przestraszyliście – powiedział im Cal radośnie. – Myślałem, że zostaliście wysłani przez króla albo coś, żeby mnie znaleźć, chociaż nie wiem czemu ktoś miałby mnie tu szukać. Albo w ogóle mnie. Jestem nikim. Nie powiedziałem nikomu co robię i nikt nie pytał. To jest dobre miasto do nie zadawania pytań. Nikt nie dba o to co robisz, dopóki schodzisz im z drogi. Chociaż jest drogie. Nie mam pojęcia jak zdobędę dość zapasów i nie jestem pewny czego potrzebuję. Dostałem jedną wiadomość i była krótka. Skoda, że Stria⁴ nie może nosić wiadomości. Nie może latać, plus nie lubię jej wysyłać. Robi się tu samotnie i potrzebuję jej do wozu...”

Gdy mówił, ściągnął belę materiału z półki i zaniósł ją do kontuaru. Solie i Devon wymienili spojrzenie, każde zastanawiając się jak ten mężczyzna zdołał utrzymać jakikolwiek sekret. Zostawił bele i ruszył szukać innych zapasów,

⁴ eng. bruzda.

chwytać okłady i maści, i inne rzeczy potrzebne do leczenia. Paplał non stop, mówiąc o swoim koniu i jego obolałych stopach, i braku pieniędzy i swoim ziemnym sylfie. Solie nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on.

- Umm... - przerwał Devon. – Chwilę. Dlaczego się nas bałeś?

Cal spojrzał na niego a potem ku sklepowemu, który wyszedł z zaplecza, tym razem szukając ziół jakich zażądał Cal. Pochylił się.

- Jestem ze Wspólnoty – wyznał szeptem. – Zostali zaatakowani kilka dni temu. Dowiedziałem się wczoraj. Zabieram tyle zapasów ile mogę. Najwyraźniej stracili wszystko i jest wielu rannych.

Solie zamrugła.

- Wspólnota?

- Taa – skinął Cal. Gdy sklepowy wrócił, odesłał mężczyznę po sól. – To grupa ludzi którzy nie lubią jak wszystko prowadzi król Para Dubh i jak nie pozwala nikomu mieć sylfów. Wyrwaliśmy się i próbujemy założyć miejsce z własnymi zasadami – na północy, gdzie nie żyje nikt inny.

Oddech uwiązał Solie w gardle. Czy to gdzieś gdzie mogli się ukryć?

- Możemy tam iść? – zapytała.

- Z sylfem? Jasne. Zawsze przydadzą się nowi rekruci – Cal naprężył się dumnie.

Solie zerknęła na Devona. Był miłym facetem, ale nie mogła sobie wyobrazić uciekania przez resztę życia. Zresztą nie sądziła żeby on mógł.

- Powiedzieliście, że zostaliście zaatakowani – powiedział Devon, nie patrząc na nią.

- Taa – przyznał Cal, jego głos opadł. Sklepowy wrócił, więc zaprowadził ich w dół przejścia gdzie leżały koce. – Tak jakby... porwaliśmy parę statków i ruszyliśmy na taki, który miał na pokładzie bitewnika. Tak mówiła wiadomość – Gdy usłyszał jak Solie odetchnęła, dodał. – Nie kazałem im atakować statków. Myślałem, że to zły pomysł, ale powiedzieli że to najszybszy sposób by zdobyć zapasy. Nie krzywdziliśmy nikogo i wypuszczaliśmy załogi. Zdobyliśmy tylko kilka, ale potem ten bitewnik, i... Wiadomość mówiła że wielu zginęło.

- Ten statek przewoził dwóch bitewników – powiedział im Devon stanowczo – Rila i Mace'a. Macie szczęście, że ktokolwiek przetrwał – Zmarszczył czoło. – Jak mogliście być tak głupi?

- To nie ja! – zawył Cal. – Mówiłem.

- Prawda – Devon spojrział na Solie. – Nie wiem czy chcemy słyszeć więcej.

Ci ludzie mają własne problemy.

Solie patrzyła na ziemię.

- Ale... musimy gdzieś iść.

- Niemal się założyłem, że Ril i Leon nas tropią – odparł Devon.

- Ale... ale jeśli Heyou nie żyje... - Głos utknął jej w gardle i musiała otrzeć łzę. – Już nie mają powodu – Przynajmniej w to chciała wierzyć. Nawet jeśli to kłamstwo.

- Kto to Heyou? – zapytał Cal.

Solie odwróciła spojrzenie.

- Mój przyjaciel. Zabili go – zaczęła płakać mocno. Płakała za nim tak wiele razy, ale łzy nadal nadchodziły. Zakryła twarz drżącymi dłońmi. Żaden z dwóch mężczyzn nie wiedział co robić. Obaj patrzyli na nią, ogłupiali.

- Może i tak powinniście ze mną pójść – powiedział w końcu Cal. – To znaczy, wszystkich nas gonią bitewnicy.

Devon westchnął.

- Dobra. Jeśli Solie chce. Chcesz?

Zmusiła się, żeby przestać płakać. Nie obchodziło ją gdzie pójść, nie naprawdę. Jak długo było bezpiecznie i w pobliżu byli inni ludzie – inne kobiety z którymi mogłaby porozmawiać i się wypłakać.

- Tak.

- Dobrze – Devon wzruszył ramionami. – Ustalone.

Skończyli kupować koce i asortyment innych przyborów i medykamentów. Cal nie miał dość, więc Devon dołożył z własnych pieniędzy, żeby mogli kupić wszystko. Przynajmniej dostali jedzenie, pomyślała Solie, żując kawałek i patrząc jak Devon pomagał ładować wóz. Nawet mimo tego ile wydali pieniędzy było mnóstwo miejsca dla pasażerów.

Godzinę później wyprowadzali zwierzęta z miasta, zmierzając na północ brukowaną, starą drogą przez las. Miało być gorzej, przyznał radośnie Cal. Tam gdzie jechali nie było dróg i żeby jechać dalej potrzebowali pomocy sylfów. Dmuchał zimny wiatr, ale Solie było ciepło w płaszczu. I tak Airi blokowała większość wiatru. Drugi sylf zmaterializował się jako masa ziemi w kształcie dziecka na tyle wozu, bawiąca się bloczkami które dał jej Cal.

Obserwowała bawiącego się sylfa i znów myślała o Heyou. Owijając się płaszczem, próbowała znaleźć zadowolenie, ale było to trudne. To było jakby ciągle go czuła, wędrującego gdzieś, zagubionego i szukającego jej.

Zamknęła oczy i naciągnęła kaptur, zdeterminowana złapać trochę snu, gdy wóz powoli zmierzał na północ.



Heyou przedzierał się między drzewami, jego nogi pokryte były brudem i sosnowymi igłami po kolana. Naprawdę zbierał na nich cięcia i jego stopy krwawiły. Jednak czuł Solie, gdzieś przed sobą i bezbłędnie za nią podążał, w prostej linii – przynajmniej, na ile mógł. Kiedy napotykał przeszkodę, której nie mógł przejść, okrążał ją i wracał do marszu, wiernie tropiąc swoją królową.

Nie wiedział jak długo szedł, ani o to nie dbał. Wiedział tylko, że musi ją znaleźć. Nie liczyło się ile czuł bólu, czy strachu. Wszystkie aspekty jego bitewniczej natury były stłumione, wszystkie poza tą niezniszczalną więzią. Swoją królową czuł zawsze i zawsze będzie czuł.

Tak jak czuł słabe dotknięcia członków swojego roju porzucanych po tym dziwnym, solidnym świecie. Nie było wielu, ale byli tu i sięgał ku nim desperacko... tylko by poczuć ich żal. Czuł nawet żal bitewnika, który nie mógł mu przyjść na pomoc, mimo że bardzo chciał. Musiał sobie sam poradzić, odetchnął z dystansu bitewnik. Tylko Solie mogła mu pomóc, jeśli ją znajdzie.

Heyou był przekonany, że może. Znajdź królową, chroń królową. Nic innego się nie liczyło.

Potknął się na wąskiej ścieżce, opierając się na ręcznie zrobionej lasce. Było zimno i nie był do tego przyzwyczajony, w ogóle nie był przyzwyczajony do czucia zimna, ani umierania. Heyou zacisnął nowo stworzone zęby i zebrał siły, nisko skłaniając głowę gdy szedł dalej. Będzie szedł dość długo i dotrze do niej. Tylko, że jak mógł stwierdzić, ona się poruszała szybciej. Nie wiedziała, że zostawia go z tyłu?

Nigdy do niej nie dotrze, zrozumiał desperacko, nie tak. Ale nie miał już energii by zmienić kształt. Wszystko niewidzialnie z niego wyciekało. Drugi bitewnik wiedział co robi.

Heyou zadrżał, zdeterminowany, absolutnie skoncentrowany na tym że się nie podda... i potknął się, upadając na ziemię. Świat odpłynął na chwilę.

Wszystko wróciło z dźwiękiem kopyt uderzających o trakt. Heyou otworzył oczy, odkrywając że leży całym ciałem na ziemi i jeszcze nie był martwy. Chociaż wszystko bolało. I ktoś nadchodził. Zmusił się do uniesienia głowy, podniesienia się na przedramionach i zobaczył szare nogi konia, który podjechał do niego ścieżką. Oszołomiony, spojrzął w górę zwierzęcia na mężczyznę siedzącego na nim okrakiem, zerkającego zza krzaczastej brody i futrzanego płaszcza.

- Czy to nie znak? – powiedział mężczyzna lekko i Heyou miał jedną chwilę nim zemdlał by przekląć fakt, że został znaleziony przez kolejnego przeklętego ludzkiego samca.

Rozdział 11

Leon zaciskał usta idąc korytarzem prowadzącym ku komnacie audiencyjnej króla. Na jego ramieniu był Ril, sztywny od furii, jego nienawiść uderzała.

Nie dowiedzieli się niczego od starca, ani ojca – nic poza tym, że dziewczyna ma na imię Solie a bitewnik Heyou i zdawał się jej nie nienawidzić, nawet mimo tego, że ledwie miała nad nim kontrolę. Ciotka nawet nie zdawała sobie sprawy, że nie był człowiekiem i tylko ojciec Devona rozpoznał go jako bitewnika... przynajmniej dopóki nie zaatakował ojca dziewczyny.

Leon zebrał tyle informacji ile mógł i przygotował się by ruszyć dalej, tym razem tropić parę ostrożniej, gdy pojawił się powietrzny sylf z informacją nakazującą zdać raport królowi. Czas nie mógł być gorszy. Jeśli nie zacznie natychmiast tropić grupy, mogą uciec. Był zdolny, ale czas był wrogiem każdego tropiciela. Dziewczyna była nieprzygotowana, bitewnik ranny. Teraz była najlepsza chwila by ich znaleźć. Zamiast tego, był zmuszony mitrężyć czas. Gorzej, mógł sobie wyobrazić króla chcącego wiedzieć co robił i żądającego śmierci każdego kto wiedział czym był Heyou. Dziewczyna i bitewnik mają większe szanse uciec jeśli Leon będzie musiał marnować czas na ukrywanie jej rodziny.

Leon dotarł do alkowy sylfów przed salą audiencyjną i spojrzał w górę by zobaczyć Mace'a. Bitewnik uderzył go nienawiścią, ale Leon miał już tak podły nastrój że o to nie dbał – a Ril nawet syknął na wielkiego sylfa w odpowiedzi.

Leon westchnął i przesadził swojego bitewnika na zwykłą grzędę.

- Zaraz wrócę – powiedział Rilowi zanim ruszył do drzwi. Dwaj bitewnicy milcząco wpatrywali się w jego plecy.

Służący przytrzymał dla niego drzwi do sali audiencyjnej i obwieścił jego przybycie. Leon wszedł i pokłonił się przed mężczyzną siedzącym na tronie. Jasar stał poniżej podium i patrzył groźnie. Thrall stał z boku za tronem, patrząc na niego. Bijąca od niego nienawiść była lepka.

- Wasza Wysokość – powiedział Leon. – Przybyłem jak nakazałeś.

- Tak – król potarł podbródek. – Powiedz mi co się stało.

Leon się wyprostował. Im szybciej złoży raport, tym szybciej się stąd wydostanie.

- Dziewczyna ma na imię Solie. Nazwała bitewnego sylf Heyou i zabrała go do piekarni ciotki w wiosce Otalo, na południe stąd.

- Hej, ty? – powtórzył sucho Jasar.

- Najwidoczniej – odparł Leon. – Ril walczył i zranił bitewnika, ale uciekli po walce. Wiem, że zmierzają na północ, w towarzystwie mistrza powietrznego sylfa zwanego Devon Chole. Jeszcze nie wiem dlaczego jej pomaga. Będę musiał zapytać kiedy go znajdę – Ucichł, patrząc jak król żuł kciuk.

Alcor patrzył na niego przez kilka chwil, potem spojrzał na Jasara. Znow spojrzał na Leona.

- Zabierz go ze sobą – nakazał.

- Co? – krzyknęli obaj mężczyźni – Leon w szoku, Jasar z przerażeniem.

- Wasza Wysokość! – sapnął dandys, robiąc krok do przodu. – Nie możesz oczekiwać, że znów ruszę w dzicz.

- Mogę i to robię – parsknął król. – Nie powinieneś być zabijać tej dwórki. Nie chcę cię widzieć przez jakiś czas.

Jasar drgnął i rzucił Leonowi nienawistne spojrzenie, jakby to była jego wina.

- Tak, Wasza Wysokość. Przypuszczam, że kolejna podróż na powietrzu będzie odświeżająca – Niemal wypluł ostatnie słowo.

Król wyglądał na rozbawionego.

- Wątpię żeby Leon mógł kogoś wytropić ze statku.

- Nie, Wasza Wysokość. Będziemy musieli jechać konno.

- Konno? – zaskrzeczał dandys.

Król machnął ręką, odsyłając ich.

- Złóżcie raport gdy skończycie – było jego ostatnim rozkazem.

Leon skłonił się i wyszedł. Jego twarz nic nie pokazywała, ale był rozwścieczony. Alcora nie obchodziło kto wiedział o bitewniku, przynajmniej na razie, ale jego nowy kompan był gorzej niż bezużyteczny. Ostatnim razem gdy pracowali razem, w zasadzce na tych piratów, Jasar zajął kajutę kapitana i odmówił wyjścia po cokolwiek. Przynajmniej wysłał bitewnika do walki z piratami gdy zaatakowali, ale pewnie tylko po to by się chronić – nakazał

Mace'owi wrócić na długo wcześniej nim skończyła się walka. Jedyną dobrą częścią wyprawy było to, że Leon nie oglądał go dużo. Teraz będą podróżować w dużo bliższych kwaterach.

Wszedł do alkowy, świadomy, że Jasar podąża za nim; przekleństwa dandysa były głośne i niewyczerpane. Leon zabrał Rila i obrócił się do rzekomego partnera, ostrożny by zachować na twarzy i w głosie zadowolenie.

- Wyjedziemy za godzinę, mój panie. Przygotuj się.

Jasar patrzył na niego jakby był szalony.

- Godzinę? Nie mogę się przygotować w godzinę! Musimy wyjechać rano.

Leon zmrużył oczy.

- W tym czasie mogą zniknąć na dobre.

Jasar już odchodził, Mace podążał za nim.

- Rano – powtórzył, machając. – Po śniadaniu.

Leon patrzył jak dworak odchodził i z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że zaciska zęby. Ril zerkał na niego oceniająco, wcale nie promieniując nienawiścią i Leon ruszył ku nowemu miejscu przeznaczenia. Jeśli miał tu utknąć na noc, przynajmniej spędzi ją z rodziną.



Heyou czuł ciepło, opierając się o coś co się pod nim poruszało, słysząc równy łomot. Choć było mu zimno w stopy, nie czuł nic poza futrem i zwierzęciem.

Powoli, otworzył oczy. Siedział przed kimś na koniu, opierając się o ich ciała gdy jechali. Otoczyli go płaszczem, ale jego stopy zwisały, chłodzone przez nocne powietrze. Słyszał pod uchem bicie serca tej osoby i czuł jej oddech.

Nawet czuł się lepiej niż wcześniej – bolało, ale nie był tak wyczerpany. Zamrugał, po prostu siedząc cicho przez chwilę. Jeździec przytrzymał go ręką na podbrzuszu, trzymając Heyou na koniu i pachniał starą krwią i ziemią.

On?

Heyou wyprostował się gwałtownie, odsuwając się z dala od mężczyzny z sapnięciem, ale ramię zacisnęło się nim mógł spaść z siodła.

- Spokojnie – usłyszał głos. – Nie rób tego, bo przestraszysz konia.

Zdumiony, Heyou spojrział przez ramię w brodatą twarz mężczyzny, który znalazł go wcześniej. Niemal uderzył go nienawiścią, ale się powstrzymał. Czuł się lepiej, ale ciągle był zbyt słaby by zmienić kształt – i jeśli miał być ze sobą szczery, zbyt przestraszony. Nie wiedział gdzie był drugi bitewnik. Nie chciał więcej walczyć i Solie kazała mu się ukrywać. Heyou przełknął ciężko i zrobił jak mu nakazano.

- Kim ty jesteś? – zaskrzeczał.

- Galway – powiedział mu mężczyzna. – Znalazłem cię umierającego w lesie. Pomyślałem, że zabiorę cię do najbliższego miasta.

- Dlaczego? – Heyou przerwał by odkaszląć. – Czemu to zrobiłeś?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mam bandę dzieciaków w domu, włączając syna w twoim wieku. Jasne jak diabli, że chciałbym żeby ktoś go zabrał, gdyby się zgubił. Jak masz na imię, chłopcze?

Heyou odwrócił wzrok. Nienawidził tego nieznanego, gardził nim dla zasady, ale... mężczyzna go uratował.

- Heyou – wyszeptał.

- Hej ty? Dziwne imię dla chłopca.

Heyou spojrział groźnie.

- Wcale nie!

Galway wyruszył ramionami.

- Dziwne, ale nie złe. Starczy.

Heyou nie odpowiedział, patrząc przed siebie i siedząc tak sztywno, że plecy zaczęły go boleć. Nie chciał, żeby ten mężczyzna go dotykał, nie chciał go nigdzie w pobliżu, ale był za słaby, żeby iść samemu. Bez względu na motyw, przynajmniej zabierał go we właściwym kierunku. Czuł królową daleko przed sobą, ciągle zmierzającą na północ. Teraz mógłby ją dogonić, jeśli ten mężczyzna by pomógł.

Skrzywił się. Myśl o proszeniu o pomoc sprawiała, że czuł się chory, a nie mógł grozić. Był za słaby by się zmienić czy walczyć i nie ośmieli się użyć aury nienawiści. Musi polegać na dobroczynności.

Zamknął oczy, oddychając głęboko i próbując się uspokoić, próbując pamiętać Solie i że robił to dla niej.

- Możesz mi pomóc? – zapytał powoli. – Muszę kogoś znaleźć.

- Och? – zapytał mężczyzna. – Kogo?

- Moja kr... dziewczynę. Podróżuje na północ.

- Niedaleko na północ, chyba że zmierza do Para Dubh – Mężczyzna poprowadził konia wokół przewróconej kłody. Podążało za nimi drugie zwierzę, zobaczył Heyou, skóry tworzyły wysoką kupę na jego grzbiecie. – Czemu zostawiła cie z tyłu?

Heyou niemal uderzył go swoją nienawiścią.

- Po prostu to zrobiła. Nie wie gdzie jestem – Wyprostował się odrobinę by zwiększyć dystans między nimi, wzdrygając się z bólu w boku. – Musze ją dogonić. Pomożesz mi?

- Cóż... - Galway myślał podczas gdy Heyou rozważał kilka różnych sposobów żeby go zabić za przeciąganie odpowiedzi. – Mam pułapki na północy. Przypuszczam, że mogę cię podwieźć. Dobrze mieć przez chwile towarzystwo.

Heyou odwrócił wzrok i nie odezwał się ponownie, upokorzony, ale czując ulgę. Może teraz dogoni swoją królową.



Devon siedział obok Cala na siedzeniu wozu, tylko na wpół słuchając gawędzącego mężczyzny. Airi bawiła się jego włosami podczas gdy Solie spała na tyle, a Stria bawiła się bloczkami. Czasami, ku zaskoczeniu Devona, mówiła głośno do swojego mistrza, coś co było zakazane w Eferem, ale najwyraźniej normalne we wspólnocie do której zmierzali. Cicho powiedział Airi, że może mówić głośno, ale ciągle mówiła tylko do niego i tylko w jego umyśle. Była w tym większa intymność, którą oboje doceniali i nie wznowił tematu.

Był zaintrygowany tą wspólnotą, ale ciągle zbyt zestresowany by o tym dużo myśleć. Nie miał pojęcia czy z jego ojcem wszystko w porządku i martwienie się o to doprowadzało go do szału. Nie wiedział też czy za nimi podążano i w końcu spojrział w górę na powietrznego sylfa, potrzebując prawdy. Jeśli byli tropieni przez Leona i jego bitewnika, mogli sprowadzić śmierć na tych ludzi.

- Airi – wyszeptał – Wróc do wioski i znajdź mojego ojca. Dowiedz się czy wszystko z nim w porządku i czy ktoś nas tropi. Jeśli możesz, dowiedz się czy

z ciotką i ojcem Solie też wszystko w porządku. Ale bądź ostrożna! Nie ryzykuj.

Okej, odpowiedziała i już jej nie było, odpłynęła na wiatrach. Devon westchnął i mocniej opatulił się płaszczem, patrząc na las który przemierzali. Wróci. Dystans nie był dla niej duży i wiedziała jak być dyskretną. Wszystko z nią będzie w porządku. Chociaż będzie liczył sekundy do jej powrotu.

Wrócił do oglądania scenerii – nie żeby było tego dużo. Las tworzyły sosny i krzaki, grunt połamane gałęzie i niskie wzgórza, którymi prowadziła droga. Konie ciągnęły przez te wzgórza wóz, nawet jeśli podskoki w końcu obudzą Solie, a Devona przyprawią o mdłości. Cal ciągle paplał o swoim dzieciństwie.

Gdy konie okrążyły wielką skałę, ukazała się duża dziura w ziemi i Devon powiedział:

- Um – zastanawiając się czy mężczyzna w ogóle zauważył. Teraz gawędził o swoim synu i pozwolił koniom wybierać drogę, nie robiąc nic więcej niż rzadko patrząc na trasę. Konie zmierzały ku dziurze i Devon zaczął się modlić by były dość bystre by się zatrzymać.

- Stria! – nagle zawołał Cal, potem wrócił do historii. Na tyle wozu, ziemny sylf odłożył bloczki do torby zanim zeskoczył. Gdy Devon patrzył, przebiegła obok nich i wskoczyła w ziemię, znikając.

Dziura nagle się wypełniła i konie przejechały bez przeszkód. Była to nawet najgładsza część trasy. Devon spojrzał za nich i gdy konie minęły przerwę, Stria się pojawiła, goniąc za wozem.

Devon spojrzał na cala.

- Niezły trik – powiedział.

Cal się rozpromienił.

- Dlatego dostałem tę robotę. Są miejsca, których nie przebędziesz konno, ale Stria może mnie przeprowadzić każdą drogą. Jest niesamowita –

Rozpromienił się przez ramię do sylfa, który usiadł znów na wozie i otworzył torbę z bloczkami. Spojrzała w górę i uśmiechnęła się, jej uśmiech był dziwnie szerszy niż ludzki i z odrobiną zbyt wieloma zębami.

Devon spojrzał z powrotem na drogę. Sylfy wyglądały jak chciały, przypomniał sobie i znów zastanowił się co robił jego sylf.



Airi wysoko znalazła prąd powietrzny, pozwoliła mu się nieść i wykonać całą pracę. Wciąż była odrobinę zmęczona i nerwowa, ale też szczęśliwa, że znów ma zajęcie. Devon nic nie powiedział i wątpiła żeby to zrobił, ale przeraziła go ratując Solie. Ciągle była pewna, że to właściwa decyzja, ale to tak utrudniło jego życie, a ona tego nie chciała. Chociaż zawsze była mu posłuszna, tym razem zareagowała szybciej. Jeśli chciał by znalazła starego mistrza, zrobi to. Przynajmniej to mogła zrobić.

Ciągle czuła staruszka, bo zawsze będzie jej mistrzem, nieważne komu ją da. Miała nowszą więź z Devonem, ale wzory poprzednich mistrzów zostaną z nią jak długo będzie żyła. Chociaż te mogła zignorować i gdy Donal Chole ją oddał, zrobiła to. Nie chciała wracać do swojego roju, co stałoby się gdyby jej mistrzowie umarli, ale chciała kogoś kto chciałby jej jako coś więcej niż przedmiot posiadania, chciała kogoś kto chciałby żeby została z nim przez całe jego życie – i kto przynajmniej by ją zapytał czy chciałaby zostać przekazana. Miała nadzieję, że Devon to zrobi gdy nadejdzie czas, chociaż nie zaczynała tego tematu.

Przynajmniej jego mogła zapytać. Był jedynym z jej mistrzów, który dał jej pozwolenie na mówienie. Ojciec Devona był przerażony gdy się dowiedział i nigdy sam do niej nie mówił. Teraz będzie musiał.

Airi opuściła się do wioski, ostrożnie wyglądając innych sylfów. Nie było żadnych i nie wyczuła, żeby jakiś się zbliżał. Bitewnicy rzadko się ukrywali i wyczuwała tylko tych na zamku.

Unosząc się nad ruinami zrujnowanej wioski, szukała aż znalazła ojca Devona. Siedział przy małym stoliku przed piekarnią, jego ręce drżały, gdy pił z kubka. *Donal*, wyszeptała w jego umyśle i mężczyzna wypluł ciecz na stół zanim spojrzał w szoku na drżenie atmosfery, które tworzyła.

- Airi? – sapnął i rozejrzał się, żeby upewnić się że nikt nie widzi. – Gdzie jest mój syn?

Bezpieczny, odpowiedziała, zdolna mówić do niego tak samo jak do Devona. *Zmierzamy do miasta na północy. Ktoś nas śledzi?*

Dyskretnie, starzec potrzasnął głową.

- Nie. Mężczyzna z bitewnikiem zadawał mi pytania, ale wrócił do zamku.

Airi zadrżała jednocześnie ze szczęścia i żalu. Bitewnik musiał być martwy, jeśli się poddali. To znaczyło, że Devon nie był w niebezpieczeństwie. Jednak Airi współczuła Solie.

Co z ciotką i ojcem Solie?

- Bezpieczni, oboje – Donal wydawał się źle czuć, rozmawiając z nią.

Dziękuję, powiedziała, ale ojciec Devona machnął ręką, wyraźnie nie chcąc więcej uwagi. Airi się uniosła, znów zmierzając ku swojemu mistrzowi, zadowolona że może mu powiedzieć, że są bezpieczni. On i Solie nie mogą wrócić do domu, nie wątpiła w to, ale nikt nie będzie ich szukał. W końcu mogą iść do Wspólnoty.

Poleciała z powrotem, tym razem walcząc z prądami powietrza, ale nie śpieszyło jej się i Devon był niedaleko – dla niej. Tańczyła wracając do niego, wirując gdy przypominała sobie jego muzykę.

Rozdział 12

Trochę przed świtem, Leon cicho zszedł po schodach w swoim domu, z oporządzeniem przerzuconym przez ramię. Betha podążyła za nim, niosąc lampę. Była zadowolona z zobaczenia go i wiedział, że była zawiedziona, że wyjeżdżał tak szybko, ale nic nie można było z tym zrobić i wiedziała o tym.

Pozwolił jej odprowadzić się do drzwi i odłożył oporządzenie, gdy służący pospieszył siodłać jego konia.

- Wróc niedługo – powiedziała mu Betha. – Tęsknimy za tobą.

- Jak tylko będę mógł – odparł, całując ją lekko i wziął lampę. – Muszę wziąć Rila.

Zostawiając ją, cicho wszedł po schodach do pokoju dziecinnego. Wszystkie cztery dziewczynki spały w swoich łóżkach, ich oddechy były delikatne w wielkim pokoju. Leon opuścił lampę i podszedł do łóżka najstarszej córki. Była zwinięta na boku, Ril spoczywał na poduszce obok niej. Bitewnik nie spał. Spojrzał na Leona i jego oczy się rozjarzyły.

- Chodź – wyszeptał Leon, opuszczając pięść. – Nie budź jej – Cicho, ptak wskoczył na jego ramię. Unosząc go, Leon wykradł się z pokoju, jego córeczki nawet nie drgnęły.

Zabrał Rila na dół i na zewnątrz, gdzie Betha stała obok jego konia. Ich służący trzymał lejce, ziewając i przecierając oczy. Oporządzenie Leona było przywiązane do siodła.

- Dzięki – powiedział służącemu i znów pocałował żonę. W końcu wsiadł i wyprowadził konia przez bramę, galopując do zamku.

To była tylko pięciominutowa jazda i gdy wjechał na dziedziniec, nie był strasznie zaskoczony nie widząc śladu Jasara czy Mace'a.

- Świetnie – wymamrotał. Obracając konia wielkim kołem, czekał, ale nie widać było mężczyzny. – Ril. Idź obudź Jego Lordowskość.

Ril spojrzał w górę na chwilę, potem niechętnie rozwinął skrzydła i wzleciał na drugie piętro jednej z wież. Leon podejrzewał, że tropił Mace'a. W końcu ptak usiadł na ramie okna i zaskrzeczał do pokoju tak głośno, że Leon

podejrzewał, że było go słychać w jego posiadłości. Modlił się, żeby skrzek nie obudził króla. Chwilę później, miał nadzieję, że nie obudził Lizzy i dziewczynek, szczególnie maleństwa. Betha nie musiała sobie z tym radzić.

Ril definitywnie kogoś obudził. Bitewnik zerwał się z ramy, ledwie unikając wielkiej pięści która wystrzeliła na niego z okna. Leon ukrył uśmiech. Mace nie zaatakowałby bez bezpośredniego rozkazu. Przynajmniej teraz Jasar był przytomny.

Dziesięć minut później, wyszedł służący w liberii, pociągając władczo nosem, gdy podszedł i się pokłonił.

- Lord Jasar Doliard of Sialmeadow wysyła wyrazy żalu, ale nie będzie mógł dołączyć przez kilka następnych godzin.

Leon pochylił się nad koniem.

- Powiedz lordowi Jasarowi że jeśli nie wyjdzie za pięć minut, wyślę Rila żeby przyniósł mi jego jaja. Jego reszta może zostać.

Na jego ramieniu, Ril wydał klaszczący dźwięk. Sługa zbladł i skłonił się zanim pośpieszył z powrotem.

Zajął kolejne dziesięć minut nim Jasar wyszedł ubrany w szatę z podążającym za nim Macem i dworak był siny z wściekłości. W towarzystwie wzgardy ich bitowników, dwóch mężczyzn patrzyło na siebie groźnie.

- Jak śmiesz! – warknął Jasar. – Wiesz kim jestem?

- Doskonale wiem kim jesteś – parsknął Leon. – Teraz oporządź się albo tak dosiądź konia. Nie obchodzi mnie którego.

- Nie jadę nigdzie dopóki nie będę gotowy!

- Chcesz, żeby bitewnik uciekł? – krzyknął Leon. – Chcesz wyjaśniać to królowi? Oporządź się!

Jasar był wściekły, jego twarz czerwona. Ale obrócił się, wykrzykując obsceniczne rzeczy do służącego i każąc mu przyprowadzić konia i zapasy. Szturmem ruszył się ubrać, Mace podążył za nim.

Nie pojawił się przez kolejną godzinę i do tego czasu Leon był niemal wściekły. Słońce było wysoko na horyzoncie i w takim tempie nie znajdują żadnych śladów. By to pogorszyć, Jasar ubrał się w nieodpowiednie odzienie z aksamitu i jedwabi, z wysokimi butami i zdobionym płaszczem, który wogóle go nie ogrzeje, gdy zmoknie.

Dworak patrzył groźnie na Leona i wsiadł na konia, delikatną klacz, która nie wydawała się mieć żadnej wytrzymałości. Mace, pod jego rozkazami, przejął prowadzenie drugiego konia obłożonego zapasami. Leon nigdy nie widział czegoś takiego, ale też go to nie obchodziło. Obracając siwka, pojechał w przód, zostawiając Jasara by podążył, co stało się po wielu przekleństwach. Najwidoczniej mężczyzna myślał, że będzie dowodził. Leon nie miał zamiaru się na to zgadzać, nie po farsie z piratami.

Wyjechali z miasta, zmierzając do wioski gdzie Ril walczył z zabójczym bitewnikiem; Leon miał nadzieję znaleźć ślad sylfa, tam gdzie stracił go nad rzeką. Ale jechali tylko dwadzieścia minut zanim Jasar zawołał o przerwę.

- Jesteś szalony? – zagrział Leon. – Dopiero wyjechaliśmy!

- Jestem zmęczony! – parsknął Jasar. – A to siodło jest twarde!

- Jesteś mężczyzną czy kobietą? – krzyknął Leon. – Nie zatrzymamy się teraz.

- Nie rozkazujesz mi, chudopachołku!

Leon uniósł ramię, rozwścieczony.

- Ril! – Bitewnik rozchylił skrzydła, sycząc.

- M-Mace! – wyjąkał Jasar, bezużytecznie szarpiąc lejce. Masywny sylf stanął przed nim, patrząc na Leona.

- Naprawdę chcesz się dowiedzieć kto ma silniejszego bitewnika? – zapytał Leon z niesmakiem. – I chcesz się dowiedzieć co ci zrobię gdy będą sobą zajęci? Przestań skamleć i podążaj za mną. Mogłem z tobą utknąć, ale nie pozwolę ci spieprzyć mojej misji. Czy to jasne, mój panie?

Jasar patrzył na niego, jego dolna warga drżała. W końcu się odwrócił.

- Dobra. To ty jesteś rzekomym ekspertem.

- Dobrze – Leon obrócił konia i jechał dalej.

Jasar nie nakazałby Mace'owi zaatakować. Nie, gdy była chociaż najmniejsza szansa, że przegra. Leon spojrzał na swojego bitewnika, jego rozkaz dla Rila był niewymówiony, ale jasny: pilnuj ich.

Ptak odwzajemnił spojrzenie, ale jego nienawiść na chwilę opadła w zgodzie. Obracając się na ramieniu Leona, patrzył w tył, nie mrugając. Jasar wkrótce zaczął o to skamleć, ale Leon nie odpowiedział.

Wjechali do Otalo blisko południa. Leon zobaczył starca, którego przepytował i ciotkę dziewczyny, oboje przed piekarnią i patrzących na nich z

przerażeniem, ale nie zwracał sobie głowy rozmową z nimi; zdobył od nich informacje jakich potrzebował. Prowadząc dworaka i w towarzystwie dwóch bitewników, przejechał przez nagle cichą wioskę i do lasu. Na krawędzi klifu ponad rzeką zsiadł, rozglądając się w miejscu w którym zgubił bitewnika.

Cholera. Ślad był łatwy do znalezienia. Bitewnik ukrywał się w zagłębieniu tuż pod krawędzią klifu i zostawił mnóstwo śladów gdy wspiął się z powrotem. Ślady sylfa prowadziły na północ, bez prób ich ukrywania.

- Mam jego ślad – oświadczył, zaciskając zęby. Gdy wstał i wrócił do konia, pomyślał o wysłaniu Rila przed nimi, ale nie był pewny co jego sylf znajdzie o drugim bitewniku.

- Cudownie – powiedział Jasar, siedząc okrakiem na koniu i nie patrząc na nic, trzymając chusteczkę przy nosie jakby czuł coś zgniłego. Leon przewrócił oczyma i wsiadł na konia. Z odrobiną szczęścia, szybko znajdują bitewnika i skończą z tym. Potem pozbędzie się tego balastu.

Wbił pięty w boki konia i powoli wjechał do lasu, pochylając się nad siodłem i przyglądając ziemi by czytać ślady. Jasar westchnął i podążył, a Mace za nim z koniem z zapasami.



Galway wyszedł ze sklepu z ciężką sakiewką monet, jego skóry poszły po dobrych cenach i odkrył, że jego nowy towarzysz odszedł. Unosząc brwi, spojrzął w górę z miejsca gdzie jego konie ciągle były przywiązane, wzdłuż drogi prowadzące do rozwidlenia na Para Dubh i Łupkowe Równiny. Chłopiec był rozwścieczony, że marnowali czas w mieście, ale chyba nie poszedł znów sam? Galway planował zdobyć mu jakieś buty i płaszcz, i zabrać go do lekarza, żeby ten go obejrzał. Chłopiec nie wyglądał na rannego, ale wyraźnie było widać, że był chory. Był też głupi?

Najwidoczniej, zadumał się traper, gdy odwiązywał konie i wsiadał. Nie mógł pozwolić chłopcu podejmować własnych decyzji, nie w jego najwidoczniej bezmyślnym stanie umysłu. Chłopak za bardzo przypominał mu jego samego gdy był młody, pełny złości i idiotyzmu. Potrzebował kogoś starszego niż on, żeby walnął go w głowę i uratował przed samym sobą. Galway miał dość szczęścia, że miał kogoś takiego i zawsze miał zamiar oddawać przysługę.

Rozbawiony tym jak młodzi zawsze byli zdeterminowani, że wszystko musi stać się teraz, obrócił konia i powiodł go lekkim galopem na północ, zapasowy koń biegł z tyłu. Miał pełną sakiewkę pieniędzy, wszystkie jego pułapki były sprawdzone. Miał trochę wolnego czasu. Początkowo planował wrócić do domu i zobaczyć żonę i rodzinę, ale przywykli że go nie było. Mógł trochę pouczyć, może przyprowadzić do domu kolejnego dzieciaka żonie na wychowanie. To nie byłby pierwszy raz.

Chłopak zaszedł dalej niż Galway oczekiwał, powłócząc nogami na bosych stopach i w cienkiej tunice, ciężko opierając się na ręcznie robionej lasce. Już minął rozwidlenie które wiodłoby wokół Łupkowych Równin do Para Dubh. Dzięki bogom. Tylko głupcy sami zmierzaliby przez równiny.

Galway widział jak ramiona chłopca zeszywniały uparcie gdy podjechał i zwolnił konia by szedł obok niego, patrzącego przed siebie. Niewiele było widać, tylko drzewa i skały. Chmury nad głową były ciężkie, powietrze dość zimne by grozić śniegiem.

- Miły dzień – skomentował, opierając rękę na nodze, drugą trzymając lejce. Heyou go zignorował, patrząc przed siebie i idąc.

- Chociaż wygląda jakby miał padać śnieg – kontynuował Galway – Wieczorem raczej będzie zimno. Równiny są szczególnie złe z arktycznym powietrzem nadchodzącym z gór. Pomyślałeś o tym? Co z bosymi stopami i w ogóle?

Heyou odchylił wargi i spojrzał na niego z niemal taką wzgardą, jaką Galway widział u swojego szesnastoletniego syna.

- Odejdź! – parsknął. – Albo cię zabiję!

- Czym? – zapytał traper rozsądnie. – Tym kijem? Myślę, że powinien być grubszy.

- Nie wiesz czym jestem? – warknął chłopak. Wyglądał tak, że Galway pomyślał, że będzie płakał. – Jestem niebezpieczny! Odejdź! Nie chcę twojej pomocy!

- Cóż, możesz mówić, że nie chcesz mojej pomocy, ale myślę, że chcesz i przywykłem do niebezpieczeństwa. Może cię podwiozę, skoro i tak zmierzamy w tym samym kierunku?

Heyou zadrzał, próbując przyśpieszyć chód, choć wyraźnie nie miał na to energii. Galway łatwo nadażył, czekając aż chłopiec się zmęczy. Wątpił żeby

długo to zajęło. Dzieciak był masą gniewu i emocji wymykających się spod kontroli. Szybko padnie.

- Spadaj – powiedział mu Heyou jadowicie. – Umrzyj straszliwie, skurwielu! Nie rozumiesz? Nie chcę cię w pobliżu! Nienawidzę cię! – Potknął się, ledwie podtrzymując się laską. Jego twarz była teraz bardziej biała niż czerwona.

Galway widział dość.

- Cóż, ja cię nie nienawidzę – Zbliżając konia, sięgnął w dół i chwycił rękę chłopaka, wciągając go na siodło i otaczając płaszczem. Heyou zadrżał, próbując go uderzyć, ale Galway trzymał go tak blisko, że chłopak nie mógł wziąć zamachu.

- Dlaczego musisz być taki cholernie miły? – zaszlochał Heyou, w końcu się poddając.

- Bo umrzesz jeśli cię tu zostawię i nie każdy na tym świecie jest dupkiem – Nie mógł jeszcze zabrać chłopaka do domu, nie jeśli miał do niego dotrzeć. Chłopiec chciał iść na północ, więc na razie pójdą na północ. Iyala zrozumie.

Galway poprowadził konia środkiem, tylko żeby pokazać Heyou że będą jechać szybciej jeśli przestanie walczyć i w końcu chłopiec opadł przy nim. To najpewniej tylko wycieńczenie, ale też początek. Jechali na północ i mijali mile. To gdzie jechali się nie liczyło, jeszcze nie. To, że Galway był chętny zabrać go gdzie chciał, wystarczyło. W końcu nie było nic na Łupkowych Równinach.

Był bardzo zaskoczony gdy okazało się, że się myli.

Rozdział 13

Dwadzieścia mil za miastem w którym spotkali Cala, las się kończył i grunt zaczął opadać, ścieżka prowadziła w dół ku równinie uformowanej ze skał i łupku, usianej małymi jeziorami. Wielkie góry było widać na długim dystansie, pokryte śniegiem. Solie usiadła na siedzeniu wozu między Devonem a Calem, patrząc. Horyzont wyglądał na wyludniony i zimny, bez życia. Nic dziwnego, że król nie przejmował się tą ziemią. Nie wyglądało, żeby ktoś mógł tu przetrwać.

Przed nimi droga opadała, nie wyglądając ani trochę lepiej niż w lesie. Właściwie, wyglądało na to, że ścieżka niknęła gdzieś na równinie i nikt nie przejmował się dalszym jej ciągnięciem.

Wóz był ciężki a konie stare, ale z pomocą sylfów, może przejadą dziesięć mil przez zmrok. Solie spojrzała w górę na chmury i miała nadzieję, że nie spadnie śnieg. I tak było dość zimno i bała się, że wóz utknie.

- Ile nam zajmie dotarcie do Wspólnoty? – zapytała.

- Około czterech dni, jeśli będziemy mieć dobry czas – odpowiedział Cal. – Mieliliśmy miasto wybudowane w dolinie na północ stąd. Obrobiliśmy ziemię dość by znów była żyzna i mieliśmy plony. Całkiem ładne miejsce. tam gdzie to było, ściany doliny blokowały wiatr. Były też tam naprawdę stare malowidła na skałach. Nie wiedzieliśmy kto je zrobił, ale były starożytne. Konie, łosie i takie tam.

- Gdzie są teraz twoi ludzie? – zapytał Devon.

- Och, przepraszam – Cal potrzasnął głową, przypominając sobie. – Wiadomość mówiła że są na urwisku. To ten klif, który z jednej strony jest całkiem pionowy. Niektórzy z nas myślą, że został tak zrobiony, ale nikt naprawdę nie jest pewny dlaczego. Nikt nie może się dostać od przodu bez sylfów, a po drugiej stronie można wjechać po stoku. Nie ma źródła wody w promieniu paru mil, ale jest bardziej obronnie. Wydaje mi się, że teraz myślą, że tak jest dobrze. Ze szczytu widać na mile. Będą wiedzieć, że nadjeżdżamy na długo nim dotrzemy.

Solie westchnęła, zastanawiając się jak to będzie gdy dojadą, albo czy Wspólnota już się przeniosła. Przypuszczała, że w takim wypadku wysłaliby kolejną wiadomość...?

Roztarła skronie. Głowa ja bolała i serce, nie mogła przestać myśleć o Heyou. Nawet śmieszniej, ciągle się oglądała za siebie, jakby myślała, że wyjdzie z lasu w pościgu. Znow się obejrzała, tylko żeby zobaczyć i Devon położył jej rękę na ramieniu.

- Wszystko w porządku? – zapytał cicho, żeby Cal nie słyszał.

- Ja... nie mogę przestać myśleć o Heyou – wyznała. – Ledwie go znałam, ale to boli.

- Taa – uściśnął jej ramię. – Mówią, że gdy stracisz sylfa albo ci go zabiorą... Przykro mi, Solie.

Przygryzła wargę.

- Czy to kiedyś przechodzi?

- Mój ojciec mówił że tak, po tym jak dał mi Airi. W końcu.

Odwróciła znow wzrok, nie chcąc o tym rozmawiać. Przynajmniej Devon i Airi byli bezpieczni i wiedzieli, że nikt za nimi nie podąża. Mogli dołączyć do Wspólnoty i zacząć nowe życia.

Może mieli tam pocztę i uda jej się namówić Devona do napisania listu do jej ciotki, wyjaśniającego wszystko. Może będzie musiała pożyczyć Airi do zanieśienia go. Solie siedziała cicho, próbując pomyśleć o tym co napisze, ale nie mogła przebrnąć za wyjaśnienie o Heyou. Przygryzając wargę, patrzyła na swoje ręce, znajdując to łatwiejszym niż cokolwiek inne.



Galway łatwo galopował na koniu wzdłuż drogi, z lasu i na stok prowadzący na równinę. To co zobaczył sprawiło, że uniósł brwi z zainteresowaniem. Przed nim, powoli jechał wóz, jego żółte koła były rażące przy szarości łupku.

- Niech mnie diabli – wymamrotał. Chłopak naprawdę za kimś podążał. Nie, żeby ich dogonił bez pomocy. No i jeśli na wozie była dziewczyna.

Szturchnął chłopaka, który zasnął po przeklnięciu go z fatalnym brakiem zdolności.

- Hej, Heyou. Spójrz na to.

Heyou się obudził, siadając powoli i mrugając. Galway musiał mu położyć rękę na głowie i obrócić ją we właściwym kierunku, wskazując przed niego aż dość się obudził by zrozumieć co powinien zobaczyć.

Heyou zobaczył i niemal spadł z konia próbując się do niej dostać. Galway ledwie go złapał i musiał objąć go niemal niedźwiedzim uściskiem, żeby powstrzymać przed wystraszeniem konia i zrzuceniem ich obu.

- Uspokój się! – krzyknął. – Wylądujesz na głowie!

- Proszę! – Heyou sapnął, sięgając ku niej. – Solie! Proszę! – Spojrzał na Galway'a, jego oczy zdesperowane i w końcu niestrzeżone. – Proszę, zabierz mnie do niej!

Chłopcy i dziewczyny. Nigdy się nie zmieniają. Galway ukrył rozbawienie, wiedząc, że Heyou byłby głęboko obrażony i zamiast tego popędzając konia. Heyou wyprostował się przy nim sztywno, patrząc naprzód i tak napięty, że niemal wibrował. Galway zdecydował się nie mówić, że w wozie mogło nie być dziewczyny, której chłopak szukał. W końcu, w ogóle nie oczekiwał znaleźć tu kogokolwiek. Nawet on nie jeździł tą drogą. Nikt tego nie robił, a ta droga kończyła się tylko pięć mil dalej. Galway nie miał pojęcia jak chcieli jechać dalej.

Konie jechały gładko, zdolne utrzymać tempo przez godziny i dogonili wóz. Galway nie próbował ukryć ich zbliżenia, jednak podjechali bardzo blisko nim zostali zauważeni. Gdy byli na mniej niż milę, pasażerowie wozu poruszyli się i spojrzeli w tył, a potem jedna figura wstała, figura z długimi, rozwianymi włosami, które widział nawet stąd.

- Solie! – krzyknął Heyou. – Solie!

Z dystansu Galway usłyszał jak wykrzyczała w zamian imię chłopca i uśmiechnął się szeroko. Zawsze uwielbiał szczęśliwe zakończenia.



Heyou myślał, że oszaleje. Widział Solie, słyszał jak krzyczała jego imię i czuł szaleńczą wdzięczność do mężczyzny, który go trzymał co było okropnie dezorientujące. Samce byli źli. Każdy instynkt tak mówił, ale ten mężczyzna utrzymywał go przy życiu i teraz przyprowadził go do jego królowej.

Konie pogalopowały naprzód, nie poruszając się ani trochę wystarczająco szybko. Heyou zobaczył jak Solie zeskoczyła ze swojego wozu, biegnąc ku

nim z rozłożonymi rękoma. Niemal zaskomlał i Galway w końcu zatrzymał konia, gdy była obok nich i ześliznął się ze zwierzęcia, prosto w jej ramiona. Niezdolna utrzymać jego wagę, upadła na ziemię z nim na sobie.

Solie niezgrabnie wylądowała na plecach, kamień wbijał jej się w zebra a ciężar Heyou ją miażdżył, ale nie dbała o to. Żył, naprawdę żył i był ciepły i całował ją i nie dbała o to kto ich widzi.

Oddała pocałunek, ściskając go mocno i płacząc, z taką ulgą że nie mogła zrobić nic poza objęciem go i płaczem. Czuła jego umysł, jego absolutną radość i to tylko sprawiło, że rozplakała się bardziej. On po prostu dalej ją całował, przyciskając usta do jej ust, policzków, oczu, szyi...

Devon podszedł powoli do nich, na jednym poziomie szczęśliwy, że bitewnik żyje, ale też bardzo wystraszony jego istnieniem. Airi przycisnęła się do jego pleców, z chłodnym dreszczem zgody. Mężczyzna, który przywiózł Heyou zsiadł, patrząc na Devon łagodnymi oczyma. Devon nie mógł zrozumieć jak mógł być taki spokojny.

- Galway – powiedział, wyciągając rękę.

- Devon – Potrząsnęli dłońmi. – Znalazłeś go?

- Tak – Galway spojrział w dół na parę i roześmiał się. – Znalazłem go zamierzającego na śmierć w lesie. Powiedział, że podąża za dziewczyną. Zgaduje, że tak było. Cieszę się widząc, że miał racje. Jest uparty.

Devon sapnął.

- Uparty?

- Taa. Ma też temperament, ale zgaduję, że ma też gdzieś dobrą stronę.

Devon zagapił się na bitewnika. Mówili o tej samej osobie? Biorąc pod uwagę reakcję Solie, to musiał być Heyou, ale nie czuł żadnej aury nienawiści od sylfa. Solie mówiła, że jej nie nienawidzi, ale to...

Biorąc pod uwagę, że obecnie sylf miał język w głębi jej gardła, Devon zrozumiał, że najwidoczniej w ogóle nie była w to zamieszana nienawiść.

Cal podszedł, wyglądając na zdumionego.

- To jest Heyou?

- Najwidoczniej – powiedział Devon.

- Myślałem, że nie żyje.

- Jak i ja.

- Nie żyje? – zapytał Galway. – Dlatego został z tyłu?

Devon się zawahał, niepewny jaką odpowiedź dać, ale Cal go uprzedził.

- Taa. Rzekomo zabił go bitewnik. Nie mam pojęcia jak mógł uciec. Nie mogę sobie wyobrazić stawienia czoła któremuś z nich. Myślę, że natychmiast bym się obsikał i błagał o litość, choć wątpię by to pomogło. To bym zrobił gdybym był na miejscu gdy tamtych dwóch zaatakowało Wspólnotę.

Mężczyzna naprawdę nie potrafił dochować tajemnicy. Devon rzucił mu spojrzenie, ale Galway nie wydawał się zaskoczony. Wyglądał na tak spokojnego, że Devon wątpił, żeby cokolwiek go zszokowało, włączając w to informację, że uratował bitewnego sylfa.

- Wspólnota? – powtórzył Galway. Spojrzał na ciężko załadowany wóz i na jałowy teren. – Zgaduje, że tam zmierzacie. Myślę, że dołączę na chwilę. Czuję się jakby odpowiedzialny za chłopca. Chcę się upewnić, że tym razem dotrze tam gdzie zmierza.

Było coś bardzo kategorycznego w słowach mężczyzny i Devon poznał reprimendę. Jeśli chodziło o Galway'a, opuścili młodego na śmierć i miał zamiar osobiście się upewnić, że to się nie powtórzy.

Nie wiedząc jak mógłby powiedzieć mu prawdę, Devon skinął.

- Dobrze cię mieć.

Cal otworzył usta a potem je zamknął, widocznie rozumiejąc, że ten mężczyzna być może nie spełnia wymagań jakie Wspólnota stawiała rekrutom.

- Um... - powiedział. – Nie wiem, czy chcesz jechać. Będziemy długo jechać i to naprawdę niemiła wyprawa, ani nie ma tam nic miłego do zobaczenia.

- W porządku – odparł Galway. – I tak jadę – Obracając się plecami do mężczyzn, podszedł tam gdzie Heyou i Solie zdawali się być zdeterminowani zadusić się nawzajem swoją pasją i chwycił bitewnego sylfa za tył tuniki, ściągając go z dziewczyny. – Chodź, będzie na to później dość czasu.

Devon zaskowyczał głośno, napinając się do biegu zanim bitewnik go zdmuchnie. Sądząc z wyrazu szoku na jej twarzy, Solie czuła to samo, a wyraz twarz Heyou byłby komiczny, gdyby Devon nie widział zniszczeń spowodowanych jego walka z Rilem. Chociaż eksplozja nie nadeszła i Heyou został postawiony na nogach, gdzie chwiał się dopóki Galway nie położył mu ręki na plecach.

- I nie chcesz chyba jej przekazać tego od czego jesteś chory – dodał mężczyzna.

- Jesteś chory? – sapnęła Solie, wstając. Heyou uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Devon odetchnął głęboko. Nie podobało mu się to.

- Mogę z nimi porozmawiać przez minutę na osobności? – zapytał.

Galway wzruszył ramionami.

- Pewnie – Poprowadził konie ku wozowi. Cał zamrugął i podążył, pewnie mówiąc o tym, że to żeby mężczyzna z nimi jechał, nie było dobrym pomysłem.

Devon zebrał się w sobie i spojrzał na dziewczynę i bitewnika, mając nadzieję uzyskać jakieś odpowiedzi nie złościąc Heyou. Nie wiedział jak Galway zdołał przetrwać.

Solie spojrzała w górę niepewnie, ręką otaczając Heyou. Sylf stał opierając głowę na jej ramieniu. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Myślałem, że zginąłeś – powiedział mu cicho Devon. – Wszyscy tak myśleliśmy. Nigdy byśmy cię nie zostawili, gdybyśmy wiedzieli, że przeżyłeś.

Bitewnik uniósł głowę i spojrzał groźnie, ale spojrzenie nie trwało długo i znów ukrył twarz przy Solie.

- Ukryłem się – powiedział im miękko. – Gdy było bezpiecznie, podążyłem za moją królową.

- Wiedziałaś – odetchnęła Solie. – Nie wiem skąd, ale wiedziałam.

Wiedziałaś, że żyjesz – Odsunął się znowu i uśmiechnął do niej.

Devon zmarszczył brwi.

- Dlaczego dogonienie nas zajęło ci tak dużo czasu? I dlaczego nie jesteś, um...

- Straszny? – Bitewnik westchnął. – Myślę, że umieram – Gdy Solie z trudem wciągnęła oddech, znów się do niej przycisnął. – Ale jestem szczęśliwy.

- Jak możesz być szczęśliwy jeśli umierasz? – zawyła.

- Jestem z tobą.

Solie spojrzała na Devona tak łamiącym serce spojrzeniem, że musiał odwrócić wzrok. Nie wiedział jak uratować umierającego bitewnika. Nie wiedział nic o zdrowiu sylfów. Nie chorowały!

- Airi? – zapytał. – Możemy coś zrobić?

Nie my.

Westchnął i potrząsnął głową. W ludzkiej formie i bez tej aury nienawiści, Heyou nie wyglądał jak bitewny sylf, tylko jak chory chłopak.

- Nie mówmy nikomu, że jest bitewnikiem, okej? – Solie skinęła ze łzami w oczach, gdy dodał. – Nie wiem jak ci ludzie zareagują. Chodźcie.

Pomógł im podejść do wozu. Heyou opierał się ciężko na Solie. Devon nie był pewny czy było to spowodowane jego stanem czy tym, że chciał być blisko niej. Para wspięła się na tył wozu i Solie owinęła Heyou kocami.

Devon usiadł na przedzie z Calem i wóz ruszył, Galway łatwo jechał obok. Devon odetchnął i próbował nie patrzeć na gołąbki z tyłu, ale nie mógł przestać się zastanawiać co to wszystko znaczyło.



Solie leżała w wozie na kocu okrywającym Heyou. Za poduszkę służyła mu torba ryżu i patrzył na nią z radością, trzymając jej twarz w dłoni.

Również nie mogła przestać go dotykać, głaskać jego włosy i policzki podczas gdy wydawał dziwny, niemal mruczący dźwięk. Żył! Jakaś dziwna pustka w niej znów była pełna. Jej bitewny sylf był z nią i czuła jaki był szczęśliwy. Musiała otrzeć łzy i pochyliła się, żeby go pocałować.

- Tęskniłam za tobą – wyszeptwała. Nie rozumiała tej więzi między nimi, ale też nie mogła już jej zaprzeczać. Był jej, tak długo jak oboje żyli.

Heyou uśmiechnął się do niej, jego twarz była blada.

- Też za tobą tęskniłem.

- Co ci się stało? – zapytała. Wóz przejechał po dużej bryle i się wzdrygnął. Przygryzła wargę ze zmartwieniem.

- Był ode mnie starszy – przyznał bitewnik. – Myślałem, że mogę go pobić skoro był uwięziony w jednej formie, ale zamiast tego mnie zniszczył – Odwrócił na chwilę wzrok. – Zabiłby cię.

- Devon i Airi mnie uratowali – powiedziała mu. – Byłeś bardzo dzielny. Nigdy bym bez ciebie nie uciekła – Znów uśmiechnął się szczęśliwy. – Ale nie umrzesz, prawda? Nie mogłeś tego naprawdę mieć na myśli – Głos jej się załamał. – Dopiero mnie znalazłeś.

- Nie wiem – rozpacział. – Zranił mnie... ja po prostu... spróbuję.

Solie schyliła głowę, przyciskając swoje czoło do jego. Otoczył jej szyję ramieniem by spoczęło ciężko na jej ramionach.

- Po prostu nie umieraj – powiedziała. – Nie wolno ci umrzeć, rozumiesz? Dojedziemy na miejsce w trzy dni.

- Tak, moja królowo.

- Dobrze – Pocałowała czubek jego nosa i uśmiechnęła się. – Nie mogę być twoja królową jeśli mnie zostawisz.

- Więc nigdy nie odejdę – obiecał. – Nigdy.

Rozdział 14

Po raz pierwszy w życiu, Leon był w idealnej zgodzie ze swoim bitewnym sylfem: Jasar Doliard naprawdę musi umrzeć. Leon podejrzewał, że Mace by się zgodził, chociaż był bitewnikiem mężczyzny.

Zajęty podążaniem za śladami w gęstym lesie, Leon skupiał wzrok na ziemi i naprawdę mocno próbował ignorować mężczyznę jadącego za nim. Chciał robić przerwy, chciał jechać wolniej, chciał jechać szybciej, chciał gotowanych posiłków, chciał szybkich przekąsek. Chciał zatrzymać się na długo przez zmierzchem i jechać dalej na długo po świcie. Gdyby nie Mace, Leon wypatroszyłby go już dawno i pochował ciało.

Nawet krzyczał na bitewnika, wciąż wymyślając Mace'owi, co Leonowi wydawało się najgłupszą rzeczą jaką ktokolwiek mógł zrobić. W najlepszym wypadku bitewnicy emanowali aurą nienawiści, która wykańczała wszystkich wokoło. Wkurwiony bitewnik był tysiąc razy gorszy. Mace szedł za nimi, prowadząc konia z zapasami i emanował tak silną wzdrgardą, że zdawała się sprawiać, że liście więdły. Leon miał od tego desperacki ból głowy i zdawało się to nawet wpływać na Rila. Podróżowali dopiero drugi dzień i ciągle tkwili w lesie, próbując tropić bitewnika w ludzkiej formie. Powinno być to łatwe, ale Leon był w takim bólu, że ledwo mógł się skupić. Bitewnik został zabrany przez kogoś na koniu – tyle był zdolny się zorientować – ale nie mógł zrozumieć kto mógłby to zrobić. To nie miało sensu, ale był pewny, że podąża dobrym śladem.

Zmierzali na północ, ku miasteczku służącym traperom i drwalom pracującym w tym obszarze. Bitewnik musiał zabrać się z którymś. Ale dlaczego? Jak bardzo był ranny?

Za nim, Jasar skrzeczał na bitewnika coś o posiadaniu mniejszego penisa, co było tak absurdalne, że Leon się w końcu obrócił, niemal strząsając Rila z ramienia. Bitewnik mocno wbił szpony w ochraniacze, sprawiając że Leon się wzdrygnął a jego nastrój popsuł jeszcze bardziej.

- Skończysz w końcu? – krzyknął. – Wątpię, żeby twój bitewnik w ogóle miał fiuta! Przestań go porównywać do swojego!

Twarz Jasara się napięła, jego gniew był wyraźny. Mace przeszedł obok obu ludzi, ponuro prowadząc konia.

- Nic nie wiesz – dandys powiedział zimno Leonowi.

- Wiem, że doprowadzasz mnie do szaleństwa. Przestań złościć Mace'a. Przyprawia mnie o ból głowy.

- Nie możesz tego znieść? – zadrwił Jasar. – To tyle jeśli chodzi o głowę ochrony króla. Nie może znieść nienawiści bitewnika.

Leon potrząsnął głową ze zdumieniem.

- Jak ty w ogóle zdobyłeś bitewnika? Jestem zaskoczony, że nikt nie uduślił cię w kołysce.

- Lepiej uważaj, żeby nikt nie zadźgał cię we śnie – odparł dworak.

Leon warknął, a Ril krzyknął na jego ramieniu. Wiedział, że bitewnik za nim nie przepadał, ale sylf wyraźnie zdawał się nienawidzić bardziej Jasara. Leon właściwie współczuł Mace'owi i był tak zły, że nie dbał o to co mówił do Jasara. Dandys i tak nie mógł mu nic zrobić, nie z Rilem w pobliżu.

- Jesteś idiotą – parsknął. – I chorym skurwielem. Założę się, że byłeś zachwycony zabiciem kobiety by dostać Mace'a.

- A ty nie? Założę się, że to kochałeś.

- Ciągle mam koszmary! Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym miał wybór! – krzyknął Leon. – Ale zostałeś tu wysłany by uczynić z mojego życia piekło bo nie masz dość zabijania kobiet! – Słyszał o dziewczynie, zatłuczonej z jakiegoś chorego powodu, z którego Jasar mógł pobić kogoś bezbronnego. Nigdy nie spotkał takiego tchórza. Nawet mając Mace'a nim był, a poza tym brutalem.

- Zamknij się! – krzyknął Jasar. Jego bitewnik dalej szedł, nie oglądając się. – Mace! Wracaj tu!

Obracając się, bitewnik wrócił, przynosząc ze sobą swoją wzgardę.



Dwie godziny później dotarli do miasta i nawet mimo tego, że było dopiero popołudnie, Leon był wdzięczny za szansę na przerwę. Jego głowa pulsowała teraz nawet gorzej, a żołądek mu ciążył. Tęsknił za rodziną tak bardzo, że czuł się chory i naprawdę chciał zabić swego kompana.

Jasar był wyraźnie szczęśliwy z zobaczenia miasta, nie żeby ktoś był szczęśliwy widząc jego szczęście. Dwaj bitewnicy byli w tak podłym nastroju, że oczyścili ulice zanim nawet dotarli na miejsce i mężczyźni przejechali pustymi ulicami do jedyne go miejsca z kwaterami.

- Nazywają to zajazdem? – powiedział Jasar z niesmakiem.

Leon go zignorował, zsiadając z konia i wnosząc Rila do środka. Mężczyźni, którzy się tam ukrywali patrzyli z przerażeniem gdy wszedł i wskazał na kontuar.

- Chcę pokoju tak daleko od tego dupka na zewnątrz jak to możliwe i ktoś musi się zająć moim koniem. Chcę też jedzenia, w moim pokoju. Teraz – Ciężko ruszył ku schodom i przestraszona kobieta w fartuchu pośpieszyła wskazać mu drogę.

- Z-za mną – wyjąkała, przytrzymując spódnice przy wchodzeniu.

Leon podążył. Była śliczna młódka, odrobinę chudą ale o miłej twarzy. Teraz, wyglądała też na przerażoną, strzelając spojrzeniem przez ramię na Rila.

Spojrzał na bitewnika.

- Straszysz ją – Jedno złote oko obróciło się ku Leonowi i nienawiść zbladła, Przynajmniej od niego. Mace był ciągle w podłym nastroju, ale był na zewnątrz i dziewczyna rozluźniła się odrobiną, patrząc na Leona rozszerzonymi oczyma.

- Słucha cię? – sapnęła.

- Słucha gdy nie daję mu innego wyboru – przyznał. Dziewczyna zachichotała i zakaszła, znów próbując wyglądać poważnie. Ril przechylił głowę na bok i Leon musiał powstrzymać śmiech. Przynajmniej jego ból głowy malał.

Dziewczyna zaprowadziła go do pokoju na końcu korytarza. Była to prosta komnata, czysta i użyteczna. Otworzyła okno, a Leon przełożył Rila na oparcie krzesła. Bitewnik obserwował, jego aura teraz spokojna jak gdy był w pobliżu rodziny Petrule. Dziewczyna obróciła się by zobaczyć, że na nią patrzy i odwzajemniła spojrzenie, ale nie było w nim prawdziwego strachu.

- Nie jest taki straszny, co? – zapytał Leon. Podszedł i podał jej pensa. – Za twój czas – Zatrzymał się, jego palce ciągle trzymały monetę w jej dłoni. – Mój

kompan, ten z dużym bitewnikiem: ostrzeż przyjaciółki by go unikały. Jest bardzo... niemiły.

Dziewczyna zamrugła i dygnęła.

- Dziękuję za ostrzeżenie, mój panie.

- Nie jestem panem. Ale on tak – Leon znów spojrzął na Rila. – Jeśli mężczyzna... będzie sprawiał problemy, powiedz przyjaciółką żeby krzyczały imię Ril jak głośno potrafią. Pomoc nadejdzie – Spojrzął prosto na bitewnika. – Zrozumiane?

- Tak, mój panie – odparła dziewczyna, a bitewnik skinął raz.

Leon ją odesłał i usiadł ciężko na łóżku, odpoczywając chwilę nim ściągnął buty i odłożył je na bok. Były obdarte. Musi je wypolerować by dalej były wodoodporne. Chciał sprawdzić oporządzenie i upewnić się, że wszystko w porządku. Nie ufał swej zwykłej dokładności w aurze tej podróży.

- Żadnej nienawiści? – zapytał Rila. – Myślałem, że do tego wrócisz gdy odejdziesz – Uniósł głowę i spojrzął na bitewnika. Ptak patrzył na niego jednym okiem, nie mrugając.

- Co? Tak nienawidzisz Jasara, że teraz wydaję się lepszy w porównaniu z nim?

Bitewnik mrugnął raz.

- Czy to tak? – Leon przesunął ręką po włosach, potem wymamrotał – Muszę być zmęczony jeśli zadaję ci pytania na które nie możesz odpowiedzieć.

Pomyślał o bitewniku którego tropili, któremu było wolno mówić – jego mistrzyni nie wiedziała by nakazać mu inaczej. Znów spojrzął na Rila.

- Jak to się mogło stać? Wiem, że nie możesz odpowiedzieć, po prostu myślę na głos. Jak kobieta mogła skończyć z bitewnikiem, jeśli to śmierć kobiety was, skurwieli, sprowadza? Czemu tak lubicie kobiety, jeśli nic poza ich śmiercią was nie zwiąże?

Ril uderzył go nienawiścią tak silną, że Leon się wzdrygnął i krzyknął z bólu. Bitewnik skrzeczał na niego, zrozumiał, tak głośno że okno mogło się strzaskać. Gdzieś w zajeździe, Jasar wrzasnął, żeby Ril się zamknął zanim wyśle za nim Mace'a.

Leon położył się na łóżku, przyciskając dłonie do czoła i próbując powstrzymać potężną migrenę. Ril nigdy wcześniej tego nie zrobił. Leon

nawet nie wiedział, że mógł uderzyć tak mocno. Bitewnik był rozwścieczony i Leon powoli się podniósł, patrząc na ptaka przez czarne punkty które wywołał ból. Zawsze chciał uczucia Rila i czasami myślał, że je miał, w chwilach gdy Ril zdawał się zapominać, że powinien go nienawidzić. Ale to zdawało się zadawać kłam wszelkim nadziejom na to i Leon czuł prawdziwy smutek w sercu na tę myśl.

Mistrzowie przywiązywali się do sylfów tak jak sylfy do nich, stając się im bliższymi niż własne żony. Bitewne sylfy powinny być inne, ale zawsze wiedział, że to nieprawda. Ich mistrzowie po prostu udawali że tak było, przez nienawiść i głęboki smutek jaki niosła. Przynajmniej, to że Ril go nienawidził smuciło Leona.

- Co powiedziałem, żeby rozwścieczyć cię tak bardzo? – wyszeptał.

Z rozłożonymi skrzydłami, Ril syknął.

Słaby, przestraszone pukanie dobiegło od drzwi.

- M-Mój panie? – zawołał kobiecy głos. – Przyniosłam posiłek.

Leon westchnął. I tak Ril nigdy nie dawał mu żadnych odpowiedzi.

- Wejść – zawołał.

Drzwi się otworzyły i weszła ta sama dziewczyna co wcześniej. Gdy Ril powściągnął nienawiść, weszła, niosąc talerz i kubek na tacy. Położyła je na stoliku i rozłożyła wszystko, nim obróciła się i dygnęła, z głową nisko.

- M-mój panie? Mój ojciec prowadzi zajazd. Chciał bym zapytać jak uspokoić tego drugiego bitewnika na dole. Jest w stajni, ale straszy wszystkich.

To było takie w stylu Jasara, żeby zostawić bitewnika na zewnątrz, a siebie zagrożonego atakiem. Leon miał nadzieję, że ktoś to wykorzysta.

- Jak masz na imię, panienko? - zapytał.

- Sally, mój panie.

Podszedł i wziął jej dłonie w swoje.

- Cóż, Sally, jeśli chcesz, żeby Mace się uspokoił, zaczekaj aż jego mistrz będzie w swoim pokoju, a potem pójdz do Mace'a i powiedz mu że cię straszy. Założę się, że przestanie.

- J-ja, mój panie?

- Tylko ty. Nie twój ojciec, czy bracia. Ty - Podszedł do posiłku.

- Dziękuję, mój panie.

Gdy Sally uciekła, Leon usiadł do jedzenia, decydując się zostawić wszystko inne na później.



Z jego sugestią w myślach, Sally wyszła na zewnątrz i do stajni, zwijając w dłoniach fartuch. Jej ojciec natychmiast podchwycił wskazówkę by poszła, tam gdzie nikt inny nie chciał, a nikt nie śmiał stawić czoła mistrzowi sylfa. Rzucił swój posiłek na inną dziewczynę, która tu służyła i nie wiedzieli czym mają go nakarmić. Była szczęśliwa, że została wyznaczona do tego miłego. Gdyby tylko nie musiała tego robić.

Nienawiść dochodząca ze stajni była wyczuwalna i musiała zebrać całą odwagę i strach przez pasem ojca, żeby wejść do środka.

- Panie Mace - wyszeptała.

Ku jej zaskoczeniu, nienawiść natychmiast zgasła.

Sally podeszła naprzód, nerwowo, zamierzając wyjaśnić, gdyby to było konieczne.

- Panie Mace?

Bitewny sylf wyszedł z cienia w otwartym boksie żeby na nią spojrzeć i przełknęła. Był ogromny, jego oczy były jarzącymi się punktami w hełmie. Ale bez nienawiści, nie był już tak przerażający. Przycisnęła rękę do piersi i przełknęła.

- Mój... mój ojciec prosi, żebyś nas nie straszyl. Ja... straszysz mnie. Możesz przestać?

Stworzenie skinęło milcząco i Sally odetchnęła, drżąc.

- Dziękuję - odetchnęła, potem odeszła, wstrząśnięta z powodów, które nie miały nic wspólnego ze strachem.

Wróciła do zajazdu, ciągle drżąc i dokończyła obowiązki. Ale po tym jak wszyscy inni rozeszli się do łóżek, wróciła do stajni i nie poszła z powrotem do zajazdu prawie do świtu.



Stria, ziemny sylf pracowała wściekle, unosząc ziemię i spłaszczając ją, przesuwając po niej w tym szalonym cyklu płytę kamienia niosącą wóz Cala i konie. Pojazd pędził ze straszliwą prędkością trzydziestu mil na godzinę,

sprawiając, że przerażeni pasażerowie przywierali do wozu i zmuszając ich do oślepienia rozhisteryzowanych koni.

Solie krzyczała ze strachu, trzymając rękę Heyou na tyle wozu. To dla niego poruszali się tak szybko, zostawiając za sobą ślad spłaszczonej ziemi. Airi walczyła by powstrzymać wiatr przed zdmuchnięciem ich z platformy. Ziemny sylf był dużo starszy, dużo silniejszy i Airi drżała pracując, ciche zachęty drugiego sylfa były wszystkim co powstrzymywało ją przed poddaniem się zmęczeniu. Podróżowali tak od świtu, gdy Solie obudziła się by odkryć, że Heyou niemal umarł w ciągu nocy.

W wozie, słyszał jak rozmawiali, czuł strach mężczyzn i przerażenie jego królowej. Jednak nie mógł się podnieść. Jego poziom energii opadł tak bardzo, że nie miał siły, żeby wziąć więcej od Solie. Mógł tylko leżeć w bezruchu i z trudem oddychać, czując jak powoli niknie. Solie błagała by walczył, ale był to rozkaz, któremu nie mógł być posłuszny. Ril był zbyt precyzyjny w swoim uderzeniu.

Odgarnęła mu włosy z twarzy, miękkie włosy, które stworzył dla niej. Zachwycał się jej dotykiem nawet gdy rozpaczał. Nawet nie był zdolny ją kochać, stworzyć ostatnie połączenie, które naprawdę uczyniłoby ją królową linii jego roju. Był porażką jako bitewny sylf, przegrywając pierwszą walkę. Nie był jej wart.

- Przepraszam - wyszeptał.

Potrzaskała szaleńczo głową.

- Nie poddawaj się - nakazała. - Prawie tam jesteśmy.

- Myślę, że jesteśmy - poprawił Galway, trzymając się krawędzi wozu tuż przy nich.

Solie się wyprostowała. Góry przybrały na wielkości gdy grupa przeleciała przez równiny ku nim, stając się wysokimi szczytami i klifami. Przed nimi było urwisko, krawędź idealnie pionowa, stworzona przez siłę jakiej nie mogła sobie wyobrazić. Jednak Stria obróciła wóz, posuwając go wokół wzgórza na tył. Tam strona była gładkim stokiem normalnego wzgórza, pokrytego krótkimi, poskręcanyimi krzakami i kamieniami. Ubity trakt prowadził w górę, ocieniony wzgórzami i górami z tyłu.

Na płaskich przestrzeniach wokół dziwnego wzgórza, bydło pasło się na belach siana. Konie były zebrane w długich liniach, podczas gdy bydło i owce były obserwowane przez mężczyzn owiniętych w grube płaszcze.

Stria pognęła wóz dalej, mijając przestraszone zwierzęta i ich zszokowanych opiekunów. Solie gapiała się na nich gdy nikt nie był w oddali, choć niektórzy próbowali za nimi pobiec.

Sylfy nagle były wszędzie wokół nich, istoty z powietrza i ognia, krzyżąc wysokimi głosami by się zatrzymali, Cal odkrzykiwał, że byli przyjaciółmi. Solie znów spojrzała w dół na Heyou, chwytając jego rękę.

- Jesteśmy na miejscu, Heyou – W odpowiedzi zamknął oczy. Jego oddech był powolny. Ledwie czuła jego obecność. – Heyou?

- Jesteśmy na miejscu! – Platforma z wozem i końmi dotarła do szczytu urwiska. Tam zwolniła, zatrzymując się przed zbiorowiskiem namiotów i domami z kamienia stworzonymi przez ziemne sylfy. Ludzie zbierali się tu mimo zimna, wszyscy szepcząc i wielu z nich było uzbrojonych.

Devon uniósł ręce gdy Galway wskoczył na wóz i uniósł Heyou w ramionach, razem z kocami. Solie podążyła za nim gdy traper zeskoczył, niosąc nieruchomego bitewnika, ale niepewny gdzie iść.

- Potrzebujemy pomocy! – krzyknął. – Powiedzcie, że macie lekarza!

Mężczyzna z przerzedzonymi włosami i z ramieniem na temblaku wyszedł naprzód.

- Kim jesteście? – Spojrzał na Calę. – Coś ty zrobił?

W odpowiedzi Cal zaczął się jękać.

- Bez kłótni – przeszkodził Galway, z autorytetem podchodząc do nowego mężczyzny. – Ten chłopiec umiera – Solie z lękiem spojrzała na nieznanego, modląc się, żeby mogli pomóc.

- Nie wiem czy możecie zrobić cokolwiek... - zaczął mówić Devon, z uniesionymi rękoma i Solie rzuciła mu rozwścieczone spojrzenie. – Nie wiem czy lekarz może pomóc.

- Proszę – błagała, nie dbając że łzy sprawiały, że wyglądała słabo. - Proszę, uratujcie go jeśli możecie – Nie mogła sobie wyobrazić jakby to było nie mieć przy sobie obecności Heyou czy jego emocji w swoim umyśle. Już nie. Był uzależnieniem, którego straty nie mogła znieść.

Uzbrojona część grupy zaczęła szeptać. Zbliżyły się kobiety i dzieci, razem z tyłoma sylfami ilu Solie nigdy sobie nie wyobrażała, z których wiele przybrało formę przeźroczystych dzieci.

Jeden sylf w szczególności wyszedł naprzód, przedzierając się przez tłum. Ruszyła ku Heyou, jej forma dorosła w rozmiarze ale tak miękka i bez rysów jak statua po tysiącach lat na wietrze. Jej oczy się jarzyły gdy sięgnęła po niego i Solie mogła wyczuć w niej moc, tak jak wyczuwała potencjał bitewnika z którym walczył Heyou. Ta była inna, wcale nie niebezpieczna.

- Luck! – ktoś krzyknął. – Zaczekaj!

Sylf zignorował rozkaz, chwytając Heyou. Opadając na kolana, przyciągnęła go do siebie, już przelewając moc. Czuła jego ból jeszcze gdy był na równinach, czuła niosące go sylfy: powietrznego i ziemnego. Jego aura była ukryta przed innymi, ukrywając czym był, ale ona to czuła. Bitewnik, bitewnik przyprowadzony do jej dziwnego, adoptowanego roju. Bitewnik którego była zobowiązana uleczyć. Zawsze byli leczeni pierwsi, nawet przed królową. Ochraniali rój, a ten został już raz zaatakowany. Z nim mieli by własnego bitewnika – młodego, ale wciąż bitewnika!

Czuła gdzie był rozdarty, jego osłona rozerwana tak profesjonalnie żeby jego energia wyciekała aż umrze, osłabiając go aż nie będzie się mógł nawet żywić. Chociaż osłona wciąż tu była i pracowała by ją naprawić, załatać rany. Przełała wszystko co w sobie miała w ciało bitewnika, słysząc za sobą wycie swojego mistrza, ale jego również będzie to chroniło i nigdy nie był dobry w wydawaniu rozkazów. Ciągle leczyła i bladła, latając ciało drugiego sylfa, gdy jej własne się rozpadało.

Solie patrzyła ze zdziwieniem jak światło sylfa rozlewało się po nieruchomej formie Heyou. Wszyscy ucichli, zbierając się na lodowatym wietrze i patrząc jak go leczyła. Nie stało się nic co mogłaby zobaczyć Solie, ale czuła wszystko. Jakakolwiek była więź łącząca ja z Heyou, wróciła w całości. Czuła jak uderzył go nagły ból, potem zbladł i jego siła wróciła. Wykończona, upadła na kolana.

W końcu uzdrowicielka puściła Heyou, jej własna forma zbladła tak bardzo że nie widać było nic poza małą kulą energii jaką się stała. Drżąc, kula uniosła się i poleciała do przestraszonego, łysego mężczyzny, który czule uniół ja w dłoniach i odszedł ku namiotom, stawiając tak pewne kroki, że wszyscy schodzili mu z drogi.

Mężczyzna z temblakiem obserwował ich. Obracając się do grupy Solie z poważnym spojrzeniem, najwyraźniej nie zadowolony z tego co zrobił sobie uzdrowicielski sylf dla nieznanego, warknął:

- Kim jesteście? – Uzbrojeni mężczyźni zebrali się wokół niego, razem ze swoimi sylfami.

- Solie?

Obejrzała się żeby zobaczyć jak Heyou usiadł, pocierając głowę i patrząc groźnie na mężczyzn, chociaż jego aura pozostała ukryta. Wyglądał na zmęczonego, ale czuła że był dezorientowany ale nie w bólu, i podbiegła do niego z płaczem, otaczając rękoma jego ramiona.

- Och, Heyou! – zapłakała. – Jesteś zdrowy!

Szczęśliwy, oddał uścisk, choć jego oczy nie opuściły koła uzbrojonych mężczyzn.

- Nie rób tego – wyszeptała. – Nie, jeśli nie będziesz musiał – Jego ramiona zacisnęły się w zgodzie.

- Jeszcze nie wiem o nich wiele – odezwał się Galway, odpowiadając na pytanie mężczyzny. – Ale ja jestem Galway, a tam na ziemi siedzi Heyou. Jestem traperem z lasów po stronie Eferem od Łupkowych Równin. Heyou znalazłem w lesie. Rzekomo jest z nimi – Skinął na Solie i wskazał kciukiem na Devona i Cala.

Devon spojrział na grupę uzbrojonych mężczyzn i powoli opuścił ręce.

- Nazywam się Devon Chole, a dziewczyna to Solie. Heyou jest z nią. Mój powietrzny sylf to Airi. Jesteśmy... cóż, uciekamy przed królem. Cal powiedział, że moglibyście mieć dla nas miejsce.

Cal uśmiechnął się nerwowo.

- Zrobiłem to. Um, taa. Naprawdę.

Dowodzący mężczyzna zmierzył ich wzrokiem i w końcu westchnął.

- Dobra. Luck najwidoczniej jest za wami. Na razie, witam we Wspólnocie. Mam na imię Morgal. Jestem przywódcą konsulu który tu ustanowiliśmy. Będziecie odpowiadać przede mną.

Cal zbladł.

- Co się stało z Norem i resztą?

- Zginęli – powiedział Morgal. – Odciągnęli bitewników, żeby reszta mogła uciec. Wiecie o ataku na nas? – zapytał resztę.

- Nie – odpowiedział Galway, gdy Devon powiedział. – Tak.

Morgał potrząsnął głową.

- To nasza wina – przyznał. – Równie dobrze możecie wiedzieć, jeśli planujecie tu zostać. Zaatakowaliśmy kilka powietrznych statków z Eferem żeby zebrać dość zapasów żeby przetrwać zimę. To się nie powtórzy. Nie mamy wiele, ale znajdziemy dla was miejsce, jeśli jesteście chętni do pracy. Devon, twój powietrzny sylf będzie użyteczny. Chłopak i dziewczyna mogą pomóc w codziennej pracy. To utrzyma ich z dala od kłopotów. Ty... - Spojrzał na Galway'a.

- Nie zostanę długo – powiedział mu traper. – Przyjechałem się upewnić że z chłopcem będzie wszystko w porządku. Chyba że macie jakiś problem z wyjeżdżaniem ludzi?

- Nie – westchnął Morgał. – Nie jesteśmy tak surowi. Po prostu obiecaj że nikomu nie powiesz, że tu jesteśmy. I tak dowiedzą się wystarczająco szybko.

- To mogę zrobić – Galway potrząsnął ręką Morgala.

Solie z wdzięcznością uściśnęła swego bitewnego sylfa.

- Jesteśmy bezpieczni, Heyou. Możemy zostać!

- Co to jest codzienna praca? – zapytał.

Rozdział 15

Gdy sylfy były zajęte stworzeniem systemu dostarczającego wodę na szczyt wzgórza, gdzie nigdy wcześniej jej nie było i kopaniem tuneli i komnat w środku, żeby ludzie mogli uciec przed wszechobecnym zimnem, większość podstawowej pracy spadła na młodzież, żeby, jak zaznaczył Morgal, trzymać ich z dala od kłopotów.

Z oczyma rozszerzonymi w absolutnym przerażeniu, Heyou podniósł kamień, przytrzymał go przy brzuchu i w stylu kaczkę doniósł go do krawędzi klifu, gdzie przerzucił go na drugą stronę, dokładnie jak towarzyszący mu więzień.

- Skończyliśmy już? – zaskamlał.

Drugi, pryszczaty piętnastolatek zwany Relig – dla którego Heyou uważał, że był bardzo wspaniałomyślny nie czyniąc żadnych śmiertelnych gróźb – spojrzał na niego groźnie.

- Całą tę stertę trzeba przerzucić przed lunchem albo wiedźma nie pozwoli nam jeść.

Heyou spojrzał na stertę, która musiała być przynajmniej wielkości całego świata i marzył, żeby Solie nie zmusiła go do obiecania, że będzie ukrywał swoją prawdziwą naturę. Relig odszedł w innym kierunku, mamrocząc coś o latrynie gdy mijał stertę i zniknął. Heyou natychmiast to wykorzystał, chwytając kilkanaście większych głazów i przerzucając je przez krawędź przy której stał. Właśnie zaczynał ze średnimi gdy wyczuł zbliżającego się samca. Natychmiast, chwycił kamień w tradycyjny sposób i zaczął go nieść do krawędzi.

Zrozumiał, odrobinę niechętnie, że samce w tym świecie nie są tacy jak w jego. W końcu Galway uratował mu życie, a Devon ocalił Solie. Cal był idiotą, ale pomógł im tu dotrzeć. Heyou zdecydował, że może sobie pozwolić na odrobinę luzu i przebaczenia, szczególnie jeśli to uszczęśliwiło Solie.

Wokół sterty przeszedł chłopak, który sprawił, że Heyou chciał porzucić cały pomysł z wybaczeniem i wrócić do masowych zabójstw. Bevan był

przywódcą lokalnej młodzieży, czy chcieli tego czy nie i był też ich głównym dręczycielem. Heyou nienawidził go szczególnie, nawet po tylko kilku dniach. Marzył, żeby mógł mu pokazać, że jest bitewnym sylfem.

- Hej, frajerze – drażnił nowoprzybyły, patrząc na stertę. – Tylko tyle przerzuciłeś? Ja już pozbyłbym się wszystkiego.

- Odejdź – powiedział mu Heyou.

Zamiast tego chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Ach, boisz się mnie?

- Nie.

- Kłamca – Bevan uśmiechnął się złośliwie, podchodząc do niego. Był odrobinę wyższy niż obecna forma Heyou i, jak powiedziano Heyou, dużo mniej atrakcyjny.

- Solie mówi, że jesteś brzydki – zauważył sylf.

Chłopak pobiełał, a potem poczerwieniał.

- Chcesz zarobić w pysk? – Za nim pojawił się Relig, wracając ku stercie kamieni, ale uciekł gdy zobaczył co się dzieje.

- Chcesz umrzeć? – odparł Heyou, jego temperament zapłonął. Groził wyrwaniem się spod kontroli, ale wspomnienie bitewnika w kształcie ptaka i jego własną upokarzającą porażkę zmusiło go do kontrolowania się. Solie powiedziała mu, żeby udawał człowieka. Była królową. Tym razem będzie jej słuchał, bez względu na wszystko.

- Lepiej uważaj z kim zaczynasz – ostrzegł Bevan.

Heyou upuścił kamień, który trzymał na stopę idioty.

Bevan zawył. Kilka sekund później, on i Heyou mieli cudowną walkę, uderzając w siebie pięściami. Bevan właściwie nie mógł go zranić i czyniło to cuda dla zranionej pewności siebie Heyou, że mógł kogoś pobić i naprawdę wygrać. Przycisnął twarz Bevana do ziemi, sprawdzając czy ludzie mogą oddychać z piachem w nosach, gdy poczuł jak znajoma ręka chwyta go za tył koszuli i ciągnie. Chwilę później, Galway go postawił, jego wyraz twarzy mówił, że nie jest pod wrażeniem.

- Widziałeś co zrobiłem? – zapytał radośnie Heyou. – Wygrałem!

- Widziałem – odpowiedział traper, obracając go tak że obaj patrzyli w innym kierunku. Starsza kobieta w czerni o czerwonej twarzy stała tam, tak

zła że niemal biła od niej para. Heyou przypomniał ją sobie z poranka, gdy wyznaczyła go do przerzucania kamieni.

- Cześć! – powiedział do niej zwycięsko. – Jesteś wiedźmą?



Solie była przyzwyczajona do ciężkiej pracy, szczególnie po dorastaniu na farmie. Jednak wciąż miała nadzieję, że już nie będzie musiała obierać tyle ziemniaków. Siadając przed owocami swojej pracy, westchnęła i ściągnęła z głowy chustkę. Razem z tłuczonymi ziemniakami miała kawałek chleba i kilka ugotowanych marchwi.

Chłopiec usiadł obok niej, ale natychmiast został pociągnięty do tyłu na podłogę. Zamiast niego usiadł obok niej Heyou, niosąc własny talerz, którzy natychmiast zignorował, żeby się do niej rozpromienić.

- Cześć!

Solie uśmiechnęła się szeroko. Był naprawdę uroczy i bycie przy nim sprawiało, że jej serce biło szybciej. Więzy między nimi stawała się coraz silniejsza im dłużej byli razem i coraz lepiej wyczuwała jego emocję. Albo coraz lepiej je nadawał. Cokolwiek to było, odkryła że jest przy nim coraz bardziej rozluźniona i jej wcześniejsze zahamowania słabły. Może powinna znaleźć jakieś miejsce żeby go tam zabrać i popróbować znowu tego całego całowania. Ale żeby to zrobić, musieli by uciec Wdowie Blackwell. Kobieta pilnowała wszystkich osieroconych dzieci, które stanowili ich dwie trzecie i Solie już słyszała o niej straszne historie.

- Co robiłeś cały ranek? – zapytała.

- Przesuwałem kamienie – powiedział jej. – Potem kogoś pobitem. Potem musiałem wyrzucać z dziury fekalia – Przerwał. – Co to są fekalia?

- Nie chcesz wiedzieć. Umyłeś ręce?

Spojrzał na nie ze zdumieniem.

- Idź umyć ręce – nakazała i wstał, natychmiast wychodząc.

Trzy dziewczęta siedzące po drugiej stronie stolika pochyliły się do przodu, ich twarz jaśniały. Każda miała coś do powiedzenia.

- Jest boski! Gdzie go spotkałaś?

- Jesteście zaręczeni?

- Chciałabym go zabrać za namiot z zapasami – Ten ostatni komentarz uciszył wszystkie dziewczęta, które z zaskoczeniem spojrzały na tę która przemówiła. Wyglądała na dwa lub trzy lata młodszą od Solie. – Co? Jakbyście same o tym nie myślały – Spojrzała na Solie. – Byłaś tam już z nim?

Każda spojrzała na Solie z fascynacją.

Dziewczyna poczerwieniała.

- Ja... - Myślała o tym, ale jak mogła im to powiedzieć? Heyou nie był człowiekiem. Nie mogła z nim być! Prawda? Ale całowała go gdy ją znalazł i cieszyła się tym. A on pragnął jej tak bardzo. Za każdym razem gdy się do niej zbliżał, coraz trudniej było jej pamiętać żeby powiedzieć nie.

- Och, tak – zdecydowała trzecia dziewczyna. – Była tam z nim

- Nie! – sapnęła Solie i wszystkie zaczęły chichotać. – Nie mogłabym!

- Czemu nie? Jest piękny. Jestem Loren. Masz na imię Solie? – Dziewczyna wyciągnęła rękę.

Solie ją chwyciła.

- Tak. Przyjechaliśmy tu kilka dni temu.

- Zauważyłyśmy. To małe miejsce. To Mel i Aneala – Wskazała inne.

- Słyszałam, że wdał się dziś rano w walkę z Bevanem – powiedziała Mel bez tchu. – Musi być bardzo odważny.

- Tak – Solie zgodziła się niepewnie. Heyou coś o tym wspomniał.

Przynajmniej nikogo nie zabił.

- Słyszałam, że Luck, uzdrowicielka, pozwoliła komuś umrzeć, żeby go uleczyć – kontynuowała Aneala. – Moja kuzynka mówiła, że Brev zdrowiał, ale umarł dziś rano bo była za słaba żeby się nim zająć po uleczeniu twojego chłopaka – patrzyła na Solie poważnie. – Nikt nie rozumie czemu pomogła nieznanemu przed jednym z nas. Brev był tu od lat.

Solie walczyła z przerażeniem. Skoro utknęła w kuchni od wczoraj, nic o tym nie słyszała. Zanim wróciła do namiotu do spania który dzieliła z kilkoma innymi dziewczynami, chciała już tylko myśleć o Heyou i spać.

- C-co?

- Brev – powtórzyła Aneala. – Był kowalem. Został z tyłu żeby pomóc walczyć z bitownikami ze swoim ognistym sylfem. Zabili ją i jego niemal też. Zgaduje, że jednak go zabili, skoro umarł ostatniej nocy.

- Hej – zaprotestowała Mel. – To nie wina Solie. Luck oszalała. Zamiast tego jej chłopak powinien umrzeć?

- Powiedz to żonie Brevy.

Solie patrzyła na ziemię, niepokieszona.

Chwilę później, Heyou znów opadł na siedzenie obok niej, uśmiechając się szeroko.

- Wróciłem! – powiedział. Potem odebrał jej nastrój gdy skupił uwagę, czytając jej emocje. Spojrzał groźnie na inne dziewczyny. – Co jej powiedziałyście? – To nie była całkiem groźba. Nie groziłby kobiecie.

- Nic – powiedziała mu słodko Loren, podczas gdy pozostałe zalały się rumieńcem. Heyou spojrział groźnie, zdolny wyczytać kłamstwo, potem obrócił się do Solie.

- Wszystko w porządku – powiedział jej miękko i pochylił się by pocałować jej ramię. Wywołało to na jej ciele cudownie ciepłe mrowienie i z trudem chwyciła oddech, sprawiając że pozostałe dziewczyny zaczęły chichotać. Heyou wziął jej reakcje za zaproszenie i pochylił się bliżej, gładząc jej plecy, gdy pochylił się by ją pocałować.

Wydawało się to dobrym pomysłem, pomyślała Solie. Naprawdę dobrym.

Heyou zamarł chwilę później gdy drewniana łyżka mocno uderzyła w czubek jego głowy.

- Mam was rozdzielić? – parsknęła Wdowa Blackwell.



Wspólnota, jak się dowiedzieli, składała się z dwustu ludzi z różnych wiosek z gór Para Dubh, wszyscy chcieli czegoś więcej niż to co oferowała klasa chłopska królestwa. Było tu wiele kobiet i dzieci – więcej niż na początku myślał Devon – i na nieszczęście większością były wdowy i sieroty. Przed atakiem, było o wielu więcej mężczyzn we wspólnocie. Teraz wszyscy byli straceni, włączając całą bazę przywódczą.

Było tu też więcej sylfów niż Devon kiedykolwiek widział w jednym miejscu, nawet po życiu w barakach. W domu, pracowały zakulisowo, zwykle niewidzialne a jeśli widoczne to milczące. Nawet w barakach czy prywatnych pokojach pozostawały niewidzialne. Tylko bitewnicy byli oczywiści. Tutaj, nie było bitewników, a sylfy nie miały ograniczeń. Przybierały taką wariację

kształtów, że wielu Devon nie mógł zidentyfikować, chociaż większość przybierała formę dziwnych małych dzieci – i wszystkie mówiły. Świergotały jak ptaki, większość ignorowała ludzi poza swoimi mistrzami, ale gawędziły między sobą podczas pracy by zmienić urwisko w dom, wykonując zadania do których ludzie się nie nadawali.

- Tak zachowujecie się normalnie? – Devon zapytał swojego sylfa, odrobinę oszołomiony. Grupa wodnych i ziemnych sylfów kopała tunele pod ziemią by doprowadzić wodę do urwiska. Wyglądały jak grupa chichoczących dziesięciolatek, poza tym że były brązowe lub niebieskie, tworzone z ziemi lub wody i skrzeczały jak króliki za każdym razem gdy coś im się udało. Ich mistrzowie krążyli wokół nich jak nauczyciele, pomagając w czym mogli.

Tak, powiedziała radośnie Airi.

- To dobry rój – Ostatnie zdanie powiedziała na głos gdy uformowała się w przeźroczystą, długowłosą dziewczynę. – Podoba mi się to – dodała.

Devon patrzył na nią, zdumiony. Rzadko widział ją w tak solidnej formie i nigdy nie słyszał by mówiła na głos. Wyglądała bardzo podobną do niego, zauważył, tak że mógłby być jej ojcem lub wujem. To było wzruszające.

- Rój – zapytał.

W domu żyjemy w rojach, kontynuowała. Na tym świecie nie ma żadnych, ale skoro jest tu nas tak wiele zdecydowaliśmy się zrobić własny rój. Jestem szczęśliwa. Nigdy bym nie pomyślała o zrobieniu adoptowanego roju.

- Nie ma żadnych adoptowanych roi w Eferem? – zapytał z ciekawością. Nigdy nie pomyślał o tym, żeby zapytać skąd pochodziła. Nikt tego nie robił. Wielu myślało, że sylfy pochodziły z nicości albo piekła. Z jakiego innego powodu przekraczałyby bramę?

Nie. Zbyt wiele zasad. Nie wolno nam ze sobą rozmawiać, więc nikt nie mógłby podzielić się pomysłem gdyby na niego wpadł... Tak jest dużo milej. Możemy zostać?

Devon się popatrzył na pracę, którą trzeba było zrobić by zmienić urwisko w dom.

- Pewnie – Gdzie indziej mieliby pójść?

Dziękuję! Airi znów zniknęła i poczuł jak otoczył go wiatr. Podoba mi się tu. Są tacy jak ja. Czuję się tu mile widziana. Każdy mówi do każdego.

Spojrzał tam gdzie wiedział że była, choć została niewidzialna.

- To dotyczy też Heyou?

Nie. Ciągłe się ukrywa. Choć i tak bitewnicy nie wchodzą w interakcje z nami, mniejszymi sylfami. Są inni. Chociaż może będzie chciał być naszym bitewnikiem i chronić nas. To sprawiłoby, że wszyscy poczuli by się lepiej.

Devon nie był tego pewny. Szczególnie nie był pewny czy ludzie w nowym „roju” Airi byliby szczęśliwi wiedząc że mają między sobą bitewnego sylfa. Zdawało się że nie było tu rodziny która nie straciłaby kogoś przez zasadzkę Rila i Mace’a, więc wątpił czy powitaliby między sobą młodego bitewnika. Przyjęcie jego do grupy też mogłoby się szybko skończyć jeśli bitewny sylf by się ujawnił.

- Devon.

Wciąż rozważając ich przyjęcie, obrócił się żeby zobaczyć idącego ku niemu Galway’a. Wiatr przeszył Devona mimo ciepłego płaszcza. W przeciwieństwie do Devona, traper zdawał się w ogóle nie czuć zimna.

- Interesujące miejsce, prawda? – zapytał mężczyzna.

Devon skinął.

- Takie jest. Jestem pod wrażeniem ile byli zdolni zrobić tak szybko. Kiedy odjeżdżasz?

- Jeszcze parę dni zostanę. Ryzykuję, że dam się złapać śniegowi, ale chciałbym zobaczyć w co się zmieni to miejsce... i upewnić się że z chłopakiem wszystko w porządku.

Śmiech Devona był pusty.

- Nie sądzę, żeby Heyou potrzebował pokierowania tak bardzo jak ci się wydaje.

- Jest młody. Młodzi zawsze potrzebują, żeby ktoś na nich uważał – Galway spojrzał w kierunku z którego przyszedł, dalej w dół stoku. – Morgal powiedział, że próbują przywołać uzdrowicielkę. Pomyślałem, że możemy popatrzeć.

Dwójka zeszła w dół wzgórza. Jego stok był ledwie zauważalny przez pierwsze kilka set stóp, potem spadek był wyraźniejszy, spłaszczając się do równin i wymagając traktu by jakiś wóz mógł tu dojechać. Jako defensywne miejsce przeciw ludziom, było genialne. Przeciw bitewnikom, nic nie będzie działać.

Przed Devonem, ziemny sylf stał obok swojego mistrza, patrząc krytycznie na ziemię. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko. Chwilę później,

wskoczyła w ziemię i Devon poczuł jak ta zadrżała. Pojawiła się dziura i on i Galway się zatrzymali, mistrz sylfa gestem nakazał im się cofnąć. Otwór się poszerzył rosnąc do dwudziestu stóp przekroju a potem formowały się schody , tworząc klatkę schodową prowadzącą w dół. Ognisty sylf wskoczył za ziemnym, oświetlając drogę do komnaty poszerzającej się poniżej.

Devon sapnął.

- Co robisz? – Wiedział że kopali we wzgórzu, ale ta dziura miała przynajmniej pięćdziesiąt stóp głębokości.

- Robimy domy we wzgórzu – powiedział mu mężczyzna. – Całe podziemne miasto. To pomysł sylfów. Zabierze nas z tego cholernego wiatru – Cofnął się, gdy płyta kamienia pojawiła się nad dziurą, zgięła się i stworzyła łukowate wejście na klatkę schodową.

Robią prawdziwy rój, zrozumiał Devon i był zdumiony. Airi wzburzyła jego włosy, stając za nim.

Będzie dobrze, obiecała. To będzie dom

Jeśli grupa ludzi mogła znieść takie życie. Potrząsając głową, Devon podążył za Galway'em.

- Nie wiem co sądzić o mieszkaniu w dziurze w ziemi – zauważył traper, jakby czytając mu w myślach.

Na krawędzi namiotów do spania stał większy. Galway wprowadził go do środka i obaj zobaczyli ogromny, zdobiony krąg narysowany na ziemi, mężczyznę w szatach ze straszliwymi bliznami na twarzy stojącego nad nim. Nie było ołtarza, ale młodszy mężczyzna stał na środku, nerwowo patrząc na intonującego kapłana. Jego oddech świszczął gdy oddychał, trzymając się za pierś.

Morgal spojrział w górę gdy weszli, jego sylf był płonącym znakiem na ziemi.

- Witam – powiedział cicho. Milej przyjmował parę odkąd przybyli, albo zbyt niechętny albo zbyt zajęty by długo ich o cokolwiek podejrzewać.

Devon skinął.

- Co się dzieje?

Morgal wskazał młodego.

- Jes ma problemy z oddychaniem. Mieliśmy nadzieję że wygląda to na dość dobre wyzwanie by przyciągnąć uzdrowicielkę.

Kapłan kontynuował intonację i uniósł ręce, zamykając oczy i krąg rozjaśnił się blado. Rytuał nie był tak wspaniały jak te kilka jakie widział Devon; był oddarty z wszelkiej parady. Jednak nad chłopcem otworzył się krąg nicości i wzdrygnął się, kaszląc.

Devon czekał z innymi przy ścianie namiotu, obserwując, ale nic się nie stało. Stali cicho przez dziesięć minut aż w końcu kapłan opuścił ramiona i krąg przestał błyszczeć. Brama się zamknęła.

- Żadnej uzdrowicielki dzisiaj, najwidoczniej – powiedział kapłan.

Morgał westchnął.

- Nie powiem, żebym był zaskoczony. Rzadko opuszczają roje, więc niewielu kręci się na zewnątrz żeby zostały przyciągnięte. Gdy Ash powiedziała mi, że jedna jest w pobliżu bramy, mieliśmy nadzieje, że chwyci przynętę. Przypuszczam, że była zbyt zajęta żeby zauważyć. Albo bitewnik ją powstrzymał. Na szczęście nie próbował przejść.

- Wiecie o ich rojach? – zapytał Devon, ciągle otrząsając się ze swojego zdziwienia ostatnią rewelacją.

- Trochę. Wiem że sylfy tutaj tworzą jeden. Daje nam to coś do roboty, a wejście pod ziemię wynagrodzi fakt że nie ma tu żadnej osłony przed pogodą – Mężczyzna skinął ku nim. – Jeśli możecie pójdźcie zobaczyć się z Rasebem u stóp wzgórza, powinien mieć dla was jakąś pracę – i dla Airi. Potrzebujemy każdego powietrznego sylfa jakiego możemy mieć.

- Nie ma problemu – Galway obrócił się i wyszedł.

Devon podążył wolniej. Gdy wyszedł z namiotu, oddali zauważył grupę młodych ludzi pędzonych przez starszą kobietę w czerni, jak przypuszczał do następnego zadania. Heyou był pomiędzy nimi, wślizgując się obok chichoczącej Solie po pocałunek gdy wdowa była obrócona plecami. Wyglądali jak normalne nastolatki z hormonami poza kontrolą. Devon odetchnął głęboko i odwrócił się. Jako odpowiedzialny dorosły, powinien powstrzymać ich przed zrobieniem czegoś głupiego. Jako inteligentny mężczyzna, nie miał zamiaru wchodzić między bitewnego sylfa a coś czego chciał. Zamiast tego podążył za Galway'em.

Rozdział 16

Łóżko Solie było postaniem ze słomy w namiocie, który dzieliła z trzema innymi dziewczynami, koce wisiały między ich łózkami by dać im odrobinę prywatności. Była z tego zadowolona, bo leżała na nim, przygryzając wargę, żeby powstrzymać się od krzyczenia, gdy Heyou poruszał się nad nią. Uniósł jej koszulę nocną do szyi i lizał jej sutki, sprawiając że chciała krzyżeć. Najwidoczniej wszystkie ograniczenia zniknęły. Gdy z zadowoleniem przeniósł się od jednej piersi do drugiej, zrozumiała z oszołomieniem, że niedługo pozwoli mu ściągnąć swoje spodenki.

Czytając jej emocje, Heyou mógł wyczuć gdzie było każde wrażliwe miejsce na jej ciele – i był zdeterminowany znaleźć wszystkie. Delikatnie ssał jej piersi, czując jak pod nim drżała, potem przeniósł się niżej, pocałunkami wyznaczając drogę wzdłuż jej brzucha. Inne dziewczyny spały, a jego królowa go pragnęła. Jej pragnienie wyciągnęło go z własnego łóżka po drugiej stronie urwiska i do jej namiotu. Teraz pozwalała mu stać się ze sobą jednym.

Sięganie po ubranie, które nosiła na dolnej połowie ciała było tylko łagodnym rozproszeniem, ale gdy przesuwiał nosem niżej, Solie wydała zduszony dźwięk, drząc.

Na zewnątrz namiotu, Heyou wyczuł Wdowę Blackwell robiącą obchód, sprawdzającą młodych pod swoim nadzorem. Spojrzał przez ramię w tym kierunku, potem obrócił się w kierunku swojej królowej. Nie mógł jej mieć tutaj – nie było bezpiecznie. Instynkt żądał bezpieczeństwa. W domu, to działałoby się w samym środku roju, inni bitownicy strzegliby drzwi. Tutaj, nie miał takiego luksusu.

- Chodź ze mną, Solie – nalegał.
- Gdzie? – wyszeptała.
- Gdzieś gdzie nikt nas nie znajdzie.
- O-okej – wykrztusiła po kilku sekundach. Pozwoliła mu się podnieść.

Wyszli przez tył namiotu, Heyou bezbłędnie prowadził ją przez ciemność. Kilka sylfów ich minęło, ale żaden się nie odezwał i spojrzął na krawędź klifu. Sapiąc, Solie się cofnęła.

- W porządku – obiecał, otaczając ją ramionami. – Nie pozwolę ci spaść.

Pozwolił sobie się zmienić po raz pierwszy od walki z Rilem, obejmując ją osłoną i schodząc z klifu. Solie przywarła do niego, drżąc gdy zaniósł ją na równinę poniżej, wolną od bydła i pilnujących ich ludzi, poruszając się szybko nim wystraszy się dość by stracić zainteresowanie. Lądując na równinie, opuścił ją na płat miękkiej ziemi, kładąc się na niej by ją ogrzać i całując ją w szyję.

- Gdzie jesteśmy? – sapnęła.

- Bezpieczni – Byli. Nie wyczuwał nikogo w pobliżu.

Szybko, ściągnął jej koszule, ostrożny żeby naprawdę na nią nie spojrzeć, jak nakazała, nawet gdy przesunął nosem po jej piersi i wrócił do jej sutka. Solie spojrzała na niego, jej twarz zmiękła w bladym świetle księżyca.

- Możesz na mnie patrzeć – wyszeptała.

Zrobił to. Była piękna.

Pełny szacunku, ściągnął jej spodenki i Solie znów zadrżała, nagle przestraszona. Co ona robi? Jednak znów ją pocałował, wciągając do ust wrażliwą skórę po wewnętrznej stronie jej uda i opadła na piasek. Czy to naprawdę miało znaczenie, przyzwoitość? Należeli do siebie i zbyt dobrze było to czuć żeby przestać.

- Heyou – wyszeptała.

Lizał i przygryzał, posyłając ogień wzdłuż jej nóg i wszystko co mogła zrobić to chwycić jego włosy i drżeć. Zdawał się nie mieć nic przeciw, jego pocałunki przesuwają się w górę aż lizał jej środek i zawyla, jej całe ciało drżało. Czuła się jakby wszystko w niej eksplodowało, a on to czuł. Czuła jak to czuł a jego radość wstrząsnęła nią jeszcze bardziej. Krzyknęła w ciemność i nieprzytomnie przyciągnęła go do siebie.

W końcu ogień złagodniał odrobinę i była zdolna puścić jego włosy. Heyou z zadowoleniem przesunął po niej nosem, gdy wczołgał się wzdłuż niej, jednocześnie ściągając pożyczone ubrania.

- Solie – wyszeptał. – Moja królowa.

Jej ciało było ciepłe, serce łomotało, gdy położył się przy niej, jego nogi idealnie wpasowały się między jej. Pozwoliła mu, ciągle z trudem łapiąc oddech w reakcji. Poruszył się, naciskając na centrum jej ciała, nie odwracając spojrzenia.

Wszedł w nią. Przez chwilę napotykał opór. Potem dostosował swój rozmiar i wszedł łatwo. Potem zamknęła się wokół niego, gorąca i wilgotna.

- Och, mój boże – sapnęła, jej twarz pobieląła.

Był w niej, w swojej królowej! Przejęty, Heyou pocałował ją i z opóźnieniem przypomniał sobie żeby się ruszyć, wychodząc i ostrożnie wchodząc, zaczynając rytm do którego zaczęła się powoli dopasowywać. Zaczęła krzyczeć, wydając pod nim delikatne jęki rozkoszy, gdy paznokciami znaczyła jego plecy, przyciągając go do siebie.

Fenomenalnie było ją czuć. Heyou zaczął poruszać się szybciej, mocniej gdy jej ciepło płonęło wokół niego a jej biodra uniosły się tak, że ich brzuchy się zderzały. Ekstaza! Kochał ją i jego umysł nadawał to i jego pasję. W zamian, poczuł umysł Solie i jej zdziwienie, zaakceptował je i zrozumiał i w czystym bitewniczym instynkcie nadawał je.

Już nie była niewinna. Była królową, suwerenem wszystkich i w ostatecznym akcie zajęła miejsce jako bezsporna władczyni roju w potrzebie przywódcy. Heyou to czuł i jako jej wybrany, wzmocnił jej wzór. Solie była królową!

Każdy sylf w promieniu kilkunastu mil i wszyscy z linii roju Heyou, usłyszeli.



Na górze, we Wspólnocie sylfy odpowiedziały na wołanie Heyou, ignorując rozkazy zdumionych mistrzów i zebrały się na krawędzi urwiska, patrząc w noc. Królowa została wybrana, partnerka bitewnika i sylfy pochodzące z tuzina różnych roi teraz czuły akceptację ich nowej królowej tak jak czułyby w domu. Zebrały się z szacunkiem, choć żadna nie podeszła na tyle blisko by zagrozić bitewnikowi. Nie musiały i nawet gdy ich mistrzowie panikowali, wykrzykując wezwania do broni, odprężyły się.

Sama Airi znalazła spokój jakiego nieoczekiwała od przejścia przez bramę. Znow była królowa, a z królową i bitewnikiem, rój był bezpieczny.



Sto dwadzieścia mil dalej, Mace obrócił się nagle. Patrzył na północ przez Łupkowe Równiny, jego oczy się jarzyły. Jasar i Leon spali, a Ril spojrział na niego ze znudzonym niezrozumieniem.

Mace nie mógłby mówić nawet gdyby było mu wolno. Królowa! Królowa linii jego roju! Czuł jej wyniesienie z jej wybranym i gdyby mógł, krzyknąłby i pobiegł ją chronić. Tam była królowa! Gdy inny bitewnik nadawał w niego jej rozkosz i wzór jej umysłu, Mace zaakceptował oba, biorąc wzór w swoją duszę, czyniąc własnym. Stała się jego królową i jego połączeniem z tym światem, westchnął z rozkoszą, wolny w sercu, jeśli nie w formie. Spojrzała w dół na Jasara. Jeszcze nie.



Solie krzyknęła, przejęta. Czuła absolutną radość Heyou gdy poruszał się przy niej, w niej i czuła własną. Nie mogła ich rozróżnić i powiedzieć kto komu sprawiał rozkosz. To nie miało znaczenia. Ogień rósł w jej brzuchu nawet gorętszy niż wcześniej i Heyou nie mógł się poruszać dość szybko. Paznokciami znaczyła jego plecy, palce mieszały się w jego osłonie gdy stał się na wpół bezcielesny i na wpół człowiekiem, wciąż wpychając ją w piasek. Całowała go i była całowana w zamian, jej ciało było pokryte warstwą palącego potu.

Rozkosz rosła i nagle było jej zbyt dużo. Zesztywniała, zdusiła krzyk. Heyou wszedł w nią ostatni raz, drżąc i przywierając. Chwilę później oboje opadli, wstrząśnięci.

- Och, bogowie – odetchnęła. To było wspaniałe. Delikatnie położyła rękę na policzku kochanka i poczuła jego szczęśliwe westchnienie. – Dziękuję.

- Nie ma za co – mruknął, twarz przyciskając do jej szyi.

Przygryzła wargę.

- Um, nie mów o tym nikomu, okej?

- Okej – obiecał.



Zebrane sylfy westchnęły. Skończone: mieli królową.

W pobliżu, Devon stał na krawędzi klifu i patrzył w ciemność, nie wiedząc co działo się na równinach poniżej. Wokół niego, inni mężczyźni byli równie przestraszeni. Kobiety dalej były przygotowane do ucieczki z dziećmi.

Sylfy zaczęły się rozchodzić, gawędząc jakby nic się nie stało.

- Airi! – zawołał Devon gdy podszedł Galway trzymając łuk i strzały. –
Gdzie jesteś?

Jego sylf przywarł do jego boku i usłyszał jak mężczyźni wokół niego zaczęli się relaksować, gdy ich sylfy wróciły do normalności. Naprawdę byli spięci, zrozumiał Devon. Wspólnota bała się kolejnego ataku. Ale mieli powody, przyznał. Król Alcor nie będzie ich tutaj chciał, nawet na tak bezużytecznej ziemi, która mogła być używana tylko przez ich powietrzne sylfy. Atak którego bali się ci ludzie kiedyś nadejdzie... ale Devon był teraz jednym z nich. Nie miał gdzie pójść.

Mężczyźni zaczęli się rozchodzić, wracając do łóżek. Napięcie opadło.
Devon patrzył na Airi.

- Co się stało? – zapytał.

Dobre rzeczy. Rój jest kompletny.

Miał zapytać co to znaczyło, zauważając zdezorientowane wyrazy twarzy mistrzów przepytujących swoje sylfy, gdy usłyszał krzyk. Wszyscy mężczyźni znów stężeli, ale krzyk był gniewny nie przestraszony i to Wdowa Blackwell przepchnęła się przez tłum. Wyraźnie kogoś szukała.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Zgubiłaś kolejnego dzieciaka?

- Nie śmieję się – parsknęła Wdowa. – Dwójki nie ma w łózkach. Nowego chłopaka i dziewczyny. Przetrzepię im tyłki!

Wszyscy mężczyźni się roześmiali, żartując o nastolatkach, ale Devon poczuł jak przeszyło go zimno. Patrzył w ciemność.

- Heyou, co ty zrobiłeś? – wyszeptał.

- Co? – zapytał Galway.

Patrząc w pustkę, Devon najpierw zobaczył bitewnego sylfa, zobaczył czern poruszającą się w czerni i błysk jarzących się oczu. Chwilę później Heyou stał na krawędzi klifu, jego osłona się cofnęła by ukazać Solie w koszuli nocnej i

wznowił ludzki kształt. Było to tak szybkie, że Devon zobaczył zmianę tylko dlatego że patrzył we właściwe miejsce, ale wszyscy usłyszeli sapnicie Solie.

Mężczyźni, którzy zmierzali do łóżek obrócili się i zobaczyli stojącą tam parę, jak i wdowa.

- Gdzie byłaś? – zagrzmiała. – Wymykać się w koszuli nocnej z chłopakiem! Co sobie myślałaś? – Ruszyła ku parze, obserwujący mężczyźni uśmiechnęli się szeroko. Galway zachichotał, ale serce Devona zaczęło łomotać, chciał ostrzec kobietę, ale się bał.

Wdowa chciał chwycić rękę Solie, ale Heyou wszedł między nie. Nagle w pobliżu nie było żadnego sylfa. Nawet Airi zniknęła. Wyczuwając ich nieobecność, ich mistrzowie gapili się w szoku, ich strach wrócił. Wdowa była nieświadoma.

- Cofnij się – ostrzegł Devon, kładąc rękę na piersi Galway'a gdy się cofał. Traper pozwolił się poprowadzić, zdezorientowany.

- Co się dzieje? – zażądał Morgal gdzieś z ciemności za nimi. – Czy ktoś ma sylfa?

- Atakują nas? – ktoś inny krzyknął. – Sylfy zniknęły!

Sylfy nie są głupie, chciał powiedzieć Devon.

- Cofnijcie się – powtórzył głośniej, w ustach mu zaschło.

Heyou zmierzył wdowę płaskim spojrzeniem.

- Nie dotykaj jej.

Wdowa zamarła patrząc na niego. Jak po chwili wszyscy. To nie była nienawiść. Było to dalekie od nienawiści, ale aura była ogromna i obiecywała przemoc. Devon skamieniał z przerażenia. Dorastał wiedząc by nigdy nie złościć bitowników. Trzymać się od nich z dala. Każda komórka w jego ciele wiedziała, że to oznaczało śmierć.

Heyou patrzył na wszystkich groźnie. Bitownik trzymał ramię wokół Solie, blisko przyciągając jej ciało, a jego zachowanie było oczywiste: nikt się do niej nie zbliża. Potem na niego spojrzęła, położyła dłonie na jego ramionach, szepcząc do ucha. Uśmiechnął się i jego aura zniknęła.

- Heyou odprowadzi mnie do namiotu – powiedziała wdowie. Para odbiegła trzymając się za ręce, Heyou z tyłu. Uzbrojeni mężczyźni rozdzielili się żeby ich przepuścić i zniknęli w ciemności.

Devon czuł się jakby kolana miały się pod nim załamać. Wdowa patrzyła na zebranych z przestraszonym zdumieniem.

Morgal wyszedł naprzód z dzikimi oczyma.

- Czy jeszcze ktoś to czuł? Co się stało? – Rozejrzała się za odpowiedzią, której nikt nie miał.

Devon wrócił do swojego namiotu, kolana mu drżały. Galway podążył za nim, ale zobaczył jego twarz i nie zadawał pytań. Devon był z tego zadowolony. Ktoś zapytał wystarczająco szybko, gdy wszyscy się uspokoją. Nie wiedział tylko co im powie.



Solie weszła do namiotu, Heyou za nią. Inne dziewczyny zaskrzeczały na jego widok, ale widział tylko swoją królową. Solie ruszył prosto do swojego łóżka i usiadła na krawędzi, wstrząśnięta. Ona... spała z Heyou i och, cieszyła się tym. Uśmiechnął się do niej szeroko, odbierając jej emocje. Spojrzała na niego groźnie w odpowiedzi.

- Jak bardzo jesteś mnie świadomy? – zażądała odpowiedzi.

Bardzo świadomy, odpowiedział w jej umyśle.

Podskoczyła. Nie robił tego wcześniej. Było to trochę straszne, ale łatwe do usłyszenia. Ciągle nie wiedziała czy odbierała jego emocje czy wypychał je w nią, ale czuła jego szczęście i zadowolenie. Co więcej, teraz również czuła inne sylfy, wędrujące na zewnątrz namiotu. Też były szczęśliwe. Wszyscy poza nią byli szczęśliwi. Była zdezorientowana.

Heyou wziął ją za rękę.

- Wszystko będzie okej, Solie.

Patrzyła na niego gdy usiadł obok niej, jego oczy błyszczały. Okej? Nie była pewna. Czuła się inaczej, w sposób który nie sądziła by miał cos wspólnego ze straceniem dziewictwa.

- Co się stało? – wyszeptała. – Co mi zrobiłeś?

Jesteś moja królową, powiedział jej.

Potrzaskała głową.

- Ciągle mi to mówisz, ale teraz jest inaczej. Nie tylko ciebie czuję. Dlaczego? Spojrzał na nią głupkowato.

Nie wiem, przyznał. Też nie rozumiem.

- Jak to nie? – zawyła. Inne dziewczyny patrzyły z oszołomieniem, zdumione ich jednostronną rozmową. – Ty to zrobiłeś! Jak możesz tego nie rozumieć?

Wyglądał na zranionego.

- Przepraszam – powiedział głośno.

Opadła, niezdolna się na niego złościć. Przygryzając wargę, pochyliła się żeby go uścisnąć i napotkał ją w połowie drogi z pocałunkiem. Było to dobre i bardzo rozprasające, sprawiając że zapomniała o dziwnej nowej świadomości i że z za rogu zerkały inne dziewczyny, gdy pchnął ją na łóżko.

Niewidocznie dla Solie, Heyou spojrzał groźnie na dziewczyny ponad jej ciałem, jego spojrzenie było bardzo wyraźnym ostrzeżeniem. Przetykając, uciekły i z zadowoleniem wrócił do swojej królowej, sam zdumiony tym co się stało, ale szczęśliwy że inne sylfy też zdawały się uważać Solie za swoją królową. To sprawiało że to miejsce zdawało się odpowiednim rojem. Przynajmniej wiedziały by się do niej nie zbliżać, jak również i ludzie. Te dziewczyny mogą znaleźć inne miejsce do spania, gdy on spędzi resztę nocy dając rozkosz swojej królowej.



Galway zdjął czajnik z ognia gdy zaczął gwizdać i nalał wody do kubka, dodając liście herbaty. Jego ramiona napinały się w zimnie, zaniósł kubek z powrotem do namiotu dzielonego przez większość samotnych mężczyzn. W środku nie było dużo ciepłej, i zostawił płaszcz idąc do posłania po prawej. Devon tam był, ciągle drżąc, jego twarz popielata i dłoń przyciskał do ust. Galway nie rozumiał co się stało, ale drugiego mężczyznę najwidoczniej to przeraziło.

Podał Devonowi kubek i zmusił go do przełknięcia.

- Powiesz mi co się stało? – zapytał.

- Nie chcesz wiedzieć – odparł. – Zaufaj, nie chcesz. Bogowie, było blisko. Zabiłby nas wszystkich.

- Heyou? – zapytał zdumiony Galway. – To szalone.

- Nie masz pojęcia.

Kłapa namiotu się otworzyła, uderzenie zimnego wiatru poprzedziło Morgala i kilku innych, którzy teraz przewodzili Wspólnocie. Wszyscy

wyglądali na wstrząśniętych i złych. Devon odłożył kubek, jego ręce wciąż drżały tak bardzo że niemal go upuścił.

- Co się dzieje z sylfami? – zażądał Morgal. – Myślę, że wy wiecie.

- Ja nie – Galway wzruszył ramionami. Spojrzał na Devona oceniająco. – On myśli, że Heyou jest niebezpieczny.

- Heyou? – zapytał Morgal. – Kto to jest Heyou?

- Chłopak, który był ranny – przypomniał jeden z mężczyzn. Miał na imię Norlud. – Ten dla którego uleczenia Luck prawie się zabiła.

- Jak został ranny? – zapytał trzeci mężczyzna, zwany Borish. – Nie widziałem na nim śladu gdy tu przyjechał.

Devon przesunął dłońmi po włosach, nie patrząc na nic.

- Wdał się w walkę z jednym z bitewników którzy was zaatakowali. Zniszczyli wioskę w której byli.

Mężczyźni Wspólnoty się zagapili.

- To niemożliwe.

Devon wziął drżący oddech. Nie mógł trzymać tego w sekrecie. Jeśli to zrobi ktoś mógł zginąć.

- Heyou... - wykrztusił. – Heyou jest bitewnym sylfem.

Rozdział 17

Ośmiu mężczyzn zagapiło się w szoku.

- Jest chłopcem! – krzyknął Galway. Devon nie wyobrażał sobie, że traper mógł się tak zdenerwować. – Tylko chłopcem!

Devon potrząsnął głową, w ustach mu zaschło.

- Nie, nie jest. Widziałem jak zniszczył tę wioskę. Widziałem jak rozwalił część zamku po tym jak zabił księcia korony. Czułem jak wykrzykiwał nienawiść przez mile. Jest bitewnym sylfem. Jakoś, coś poszło źle gdy był wzywany i teraz należy do Solie – Spojrzał na mężczyzn, czując wagę ich szoku. Wyglądało to na ciężkie, ale musieli wiedzieć resztę. – Jest jego mistrzynią – kontynuował. Kazała mu udawać człowieka, żeby mogli się wpasować. Tylko, myślę... Myślę, że zrobił z nią coś dzisiaj – Roześmiał się gorzko. – Właściwie całkiem wyraźnie było widać że jej pragnie.

- Dlaczego cię nie zabił? – zapytał Borish wstrząśniętym głosem. – Albo nas wszystkich?

- Solie mu nie pozwoliła. Ale niemal zabił mojego ojca i całą masę innych ludzi, którzy weszli mu w drogę. Nie mam pojęcia ile ma nad nim kontroli.

Wszyscy wyglądali na osłupiałych.

- Co zrobimy? – zapytał starszy mężczyzna o imieniu Bock.

- To co robi się w pobliżu bitewników – powiedział Devon. – Nie złościć go. Po prostu schodźcie mu z drogi i trzymajcie się od niej z dala. Nawet jej nie dotykajcie. Zabije, żeby ją chronić.

- Nie wierzę ci! – parsknął Galway. – Jest normalnym chłopcem.

- Czułeś tę aurę na krawędzi klifu, prawda? Tę, która sprawiła, że wszystkie sylfy znikły? Nawet mój jeszcze nie wrócił. A wasze? To on nas od niej odstraszał.

- Ale... - Galway usiadł powoli, ciągle potrząsając głową. – Znalazłem go w lesie. Nigdy nic mi nie zrobił.

- Był wtedy ranny. Potrzebował twojej pomocy. Ril rozdarł go w walce. Wcześniej mógł nie mieć siły by być groźny, ale teraz jest uleczony.

- Dlaczego Luck go uleczyła? – wyszeptał Morgal. Mężczyzna był szary. Niekontrolowany bitewnik w jego wspólnocie, gdy dopiero co stracił trzecią część ludzi przez dwóch innych? Devon był całkiem pewnym, że mężczyzna może stracić rozum.

- Kto wie. Nie myślą w taki sposób jak ludzie.

- Może możemy go użyć do ochrony Wspólnoty – zasugerował Norgal.

- To szaleństwo! – parsknął Bock.

- Chcę dowodu – powiedział Morgal, sprawiając, że Devon na niego spojrział. – Chcę dowodu, że jest bitewnikiem. Do tego czasu, dlaczego mamy ci wierzyć?

- Chcesz poczekać aż kogoś zabije? – zapytał Devon.

- Nie bardzo. Ale też wcześniej widziałem bitewników i nie mogę uwierzyć, że jest jednym z nich. Musisz to udowodnić – Morgal odetchnął głęboko. – Wtedy zdecydujemy co zrobić.

Devon potrząsnął głową. Będzie musiał porozmawiać z Solie, pomyślał ze strachem, jeśli będzie mógł. Cokolwiek stało się dzisiaj między tamtą dwójką, Heyou wyglądał jakby był dużo bardziej opiekuńczy. Westchnął i potarł skronie. Może jego zmasakrowane ciało będzie wystarczającym dowodem.

Cokolwiek się stanie, musi poczekać do rana, bo nie ma zamiaru przeszkadzać czemukolwiek co dzieje się w namiocie Solie. Nie teraz. Wątpił, żeby ktokolwiek dzisiaj spał dużo.



Leon budził się o świcie od lat, choć Betha skarżyła się na to, gdy był w domu. Podobał mu się pomysł pospania, ale jakoś nigdy mu się to nie zdarzyło. Odkąd wyjechali na tę wyprawę, wstawał razem ze słońcem, przygotowywał oporządzenie i przygotowywał śniadanie, robiąc tyle hałasu ile mógł aż Jasar niechętnie wygrzebał się z łóżka i nakazał Mace'owi zrobić śniadanie i posprzątać po nim. Nawet zmuszał bitewnika by go ogolił, zanim zgodził się ruszyć. Ten rytuał zajmował około godziny, ale ciągle rozpraszał Leona.

Tego ranka obudził się i otworzył oczy, patrząc w górę gdzie Ril siedział na torbie do siodła przy jego głowie. Ptak go ignorował, patrząc na coś w obozie. Pocierając oczy, Leon obrócił się i spojrział.

Mace składał obóz. Bitewnik spakował już większość oporządzenia i oba konie były osiodłane. Leon patrzył z zaskoczeniem, zastanawiając się co tak zmotywowało Jasara, ale drugie mężczyzna był ciągle w namiocie, chrapiąc.

Gdy Leon patrzył, Mace podszedł, pociągnął słupek podtrzymujący namiot i zwinął materiał. To odkryło śpiącego w środku mężczyznę, który dalej chrapał. Leon uniósł brew. Mace zaniósł namiot do konia z zapasami, zapakował go i wrócił. Chwytając koniec koca Jasara, ściągnął go z mistrza i również zaczął go zwijać. To obudziło Jasara. Rozwalony półnagi w brudzie, zaczął wyrzaskiwać wyzwiska, ale jego bitewnik kompletnie go zignorował i spakował koc.

To było nierealne. Bitewnicy nie robili nic z własnej inicjatywy, chyba że włączało to zabicie kogoś. Ale Mace zwijał obóz. Podszedł w kierunku Leona, a ten sturlał się z łóżka zanim sylf mógł i jego zrzucić na ziemię. Mace zwinął jego koce i zabrał je i torby do siodła do jego siwka. To był pierwszy raz gdy coś takiego się zdarzyło.

Ril, którzy odleciał z drogi, wylądował na ramieniu Leona i rzucił mu spojrzenie odzwierciedlające oszołomienie mistrza.

- Mace! – zaskrzeczał Jasar. – Skurwielu! Przestań składać moje rzeczy!
Mace go zignorował.

Leon wstał z jedną ręką na bardzo napiętym Ril. Cofnął się, patrząc na masywnego sylfa.

- Chodź tutaj! – nakazał Jasar, wskazując ziemię przed sobą.

Z niechęcią, która Leona uczyniłaby bardzo nerwowym, gdyby pochodziła od Rila, Mace podszedł do mistrza, który zaczął skrzeczeć na niego za jego zachowanie.

- Przynieś mi śniadanie! – skończył.

Mace wrócił do konie. Wyciągając garść suszonego mięsa z torby przy siodle, rzucił to na mistrza – co w końcu przebiło wyraźną pewność Jasara. Patrzył na bitewnika ze strachem, potem spojrział na Leona.

- Co jest z nim nie tak? – zaskomlał.

Leon nie miał najmniejszego pojęcia. Nigdy nie widział bitewnika, który tak by się zbliżył do otwartego buntu. Chwytał płaszcz i pogłaskał Rila co rozpoznałby jako nerwowy gest, gdyby nie był rozproszony.

- Ubieraj się i wsiadaj na konia – powiedział dworakowi. – Nie czuję się tu dobrze.

Jasar spojrział na puste równiny. Rozłożyli obóz w cieniu wielkiej skały, która zatrzymywała wiatr, ale powietrze ciągle było bardzo zimne i oddech był widoczny. Chmury na górze były ciemne, obiecując śnieg. Poza nimi i dziwnymi szarymi krzakami, nie było tu życia.

- Jesteśmy w niebezpieczeństwie? Dlatego chcesz, żebyśmy ruszyli? – Chłonąc pomysł, Jasar ubrał się i pośpieszył do konia szybciej niż Leon kiedykolwiek widział.

Mace przejął prowadzenie gdy ruszyli, niemal biegnąc przez Łupkowe Równiny. Dotarli do końca oficjalnej drogi i bitewnik podążył za dziwnie płaską linią ciągnącą się stamtąd. Holując za sobą konia z zapasami, ruszył, z Jasarem depczącym mu po piętach, który skarżył się na zimno, gdy już uspokoił nerwy.

Leon podążył wolniej z Rilem, nie chcąc się za bardzo zbliżyć do drugiego bitewnika. Ril był tak nerwowy, że wcale nie wydawał nienawiści, zamiast tego patrzył na Mace'a. To była bardzo niewygodna jazda.



Solie obudziła się splątana z Heyou, jej głowa opierała się na jego piersi. Nie usłyszała bicia serca i jej głowa uniosła się gwałtownie, jej serce łomotało.

Heyou się uśmiechnął.

- Dzień dobry – Wyglądał na świeżego i wypoczętego.

- Spałeś? – zapytała.

- Nie. Nie śpię dużo.

Zamrugła i rozejrzała się. Ciągle byli w namiocie dziewczyn, ściśnięci na maleńkim łóżku. Zarumieniła się przypominając sobie poprzednia noc.

- Co się stało z innymi?

- Poszły sobie – Pocałował jej nagie ramię i zadrżała, szybko siadając i chwytając sukienkę. Usiadł za nią i pocałował ją w plecy. To było rozpraszające, ale założyła sukienkę przez głowę.

- Głodny? – zapytała.

- Nie. Wypiłem trochę twojej energii gdy spałaś.

- Co? – Zagapiła się na niego. Zapomniała, że właściwie nigdy nie widziała żeby jadł. Brał jedzenie jeśli zostało mu zaoferowane, ale właściwie nigdy nie jadł. – Nakarmiłam cię?

Skinał radośnie.

- Żyję na energii w tobie. To jedyna jakiej mogę użyć.

Zamrugła. Historie mówiły, że sylfy karmiły się energią mistrzów.

- Jak często to robisz? – zapytała.

- Raz albo dwa dziennie. Nigdy nie zauważasz.

Najwyraźniej.

- A w domu co jadłeś?

- Jadłem energię jaką robiły sylfy od jedzenia. Twoja smakuje lepiej – Wstał i chwycił nową koszulę i spodnie, które mu dano, wkładając je przed założeniem trochę za dużych butów. Zabierając płaszcz, Solie wyszła z nim na zewnątrz.

Było okropnie zimno od mroźnego wiatru, który zdawał się nigdy nie przestawać wiać z dodatkową siłą na szczycie urwiska. Mężczyźni mieli opuszczone głowy, gdy szli swoją drogą i Solie nie widziała nikogo z młodzieży z którymi pracowała przez ostatnie dni. Było już dobrze po świcie, ale nikt ich nie obudził. Albo raczej, nikt jej nie obudził, skoro Heyou nie spał. Rozejrzała się i stanęła.

Kilkanaście stóp dalej, Wdowa Blackwell kłóciła się z Morgalem, podczas gdy Devon patrzył, a kobieta wskazywała na namiot Solie. Solie zarumieniła się i podskoczyła z wrzaskiem gdy Heyou podszedł do niej od tyłu i zaczął ją lizać po karku.

- Zachowuj się! – syknęła. Ostatnie czego potrzebowała to żeby wdowa zobaczyła jego zachowanie. Nie chciała sobie wyobrazić co kobieta powie o ostatniej nocy i wzdrygnęła się gdy kobieta spojrzała groźnie w jej kierunku. Chociaż zamiast podejść, kobieta uniosła ręce gwałtownie i odeszła w inną stronę.

Dwóch mężczyzn ruszyło ku niej. Solie przełknęła nerwowo. Heyou warknął.

- Przestań! – syknęła cicho. – Nie zrobią mi krzywdy! – Może pouczą, pewnie. Sprawia, że poczuje się okropnie, na pewno. – Bądź miły – dodała.

- Tak, moja królowo – westchnął.

Dwóch mężczyzn się zbliżyło, Morgał rzucił jej spojrzenie bez wyrazu, podczas gdy Devon nie nawiązał kontaktu wzrokowego. Bał się, zrozumiała – nie jej, ale Heyou. Morgał był niepewny, ale w nim również był strach. Spojrzenie obu skupiło się na niej, mając nadzieję, że da im odpowiedzi jakich chcieli.

Zamrugła z zaskoczeniem. Emocje jakie czuli były słabe ale niezaprzeczalne. Musieli podejść na dziesięć stóp nim poczuła cokolwiek, ale teraz było to wyraźne i dekoncentrujące. Rzuciła spojrzenie na Heyou. Czuła go i czuła wszystkie inne sylfy tak jak poprzedniej nocy. Teraz będzie czuć każdego?

Heyou uśmiechnął się do niej szeroko.

- Solie – odezwał się Devon, ciągle nie napotykał jej spojrzenia. – Heyou. Jak się dziś miewacie?

- W porządku – odparła, czując zainteresowanie Heyou wymianą słów. Nie nienawidził Devona, Solie to czuła. Przeszedł zbyt wiele by nadal łatwo nienawidzić. Dobrze było to wiedzieć.

Devon nie wiedział, że nie był zagrożony i jego strach pozostał ostry.

- Dobrze. Dobrze! Ach, Solie. Najpierw powinienem z tobą porozmawiać, ale wczoraj w nocy... wczoraj w nocy powiedziałem Morgałowi, że Heyou jest bitewnym sylfem. Chce dowodu.

Czy zostaną poproszeni o odejście? Solie zamrugła i spojrzała na Heyou. Przygryzła wargę i napotkała jego niebiesko-szare spojrzenie.

- Możesz im pokazać? Um, bez straszenia wszystkich?

Heyou zmarszczył brwi i zamknął oczy. Gdy ponownie je otworzył, jarzyły się czerwienią. Nadeszło maleńkie drżenie nienawiści i obaj ludzcy mężczyźni się cofnęli. Potem zniknęło. Po kolejnym mrugnięciu, oczy Heyou wróciły do normalności.

Devon zakrztusił się, obracając do Morgala.

- Przekonany?

Drugi mężczyzna skinął, jego twarz była blada.

- Czego tu chcesz? – zapytał Heyou.

Heyou podrapał się po głowie, zdumiony pytaniem.

- Chronić i służyć mojej królowej. Co innego tu jest?

Morgał zacisnął usta.

- Jeśli tu zostaniesz, będziesz chronił Wspólnotę?

- Cóż, tak, tu ona jest. Dlaczego nie?

Obaj mężczyźni rozluźnili się odrobinę. Solie obserwowało ich niepewnie, ale czuła że byli zadowoleni – albo przynajmniej niechętni naciskać o więcej. Nigdy wcześniej nie spotkała się z czymś takim. Zwykle ludzie mówili jej co robić.

Przyzwyczajaj się do tego, powiedział jej milcząco Heyou. Nikt nie mówi królowej co robić.

Solie zadrżała, niepewna co uczyniło ją nerwową.



Niedługo. Niedługo będzie ze swoja królową.

Mace szybko przemierzał równinę, ignorując wyraźny ślad sprasowanej ziemi gdy szedł prostą linią ku swojej królowej. Wyczuje ją wszędzie, tak jak wyczuwał każdego w linii swego roju. Ta linia stała się dużo większa odkąd nastąpiła królowa i włączała tyle innych sylfów. To było wspaniałe.

Mace wyczuwał również bitewnika królowej, młodego, którego śmierć wyczuwał i nie mógł pomóc. Dziecko rzeczywiście poradziło sobie świetnie. Mace nie czuł potrzeby wyzywać go o przewagę. Bitownicy nie robili tego w rojach. To królowa wybierała któremu pozwoli się mieć, a większość bitowników nigdy tego nie robiła. To dotyk jej duszy był ważny i wszyscy byli związani potrzebą chronienia i służenia jej. Nikt z nich nie sądził, że stracą tę więź przechodząc przez bramę, ale tak było. Mace nigdy nie oczekiwał znalezienia tej więzi w tym świecie.

Ril posłał mu niemal komunikacyjną ciekawość o to co go tak podekscytowało. W domu, nigdy by nie wchodzili w integrację poza walką, będąc z innych linii roju. Ale Ril wcale nie miał królowej. Był zbyt daleko by nowa go włączyła. Chociaż nowa królowa Mace'a mogła go zaakceptować. Ril mógł zostać wciągnięty tak jak każdy sylf ze zdobytego roju. Ci którzy przetrwali zawsze byli włączani przez zwycięską królową, zajmowani przez linie roju. Królowa mogła teraz włączyć Rila. Mógł stać się naprawdę przyjacielem, zamiast niemal przyjacielem od chwili gdy się spotkali, żaden sylf nie mający nikogo innego. Jeden bitownik nie wystarczył by chronić królową i zapewnić jej wygodę. Z trzema byłoby dużo lepiej.

Chociaż nie miał sposobu by powiedzieć to Rilowi. Czuli swoje emocje, ale ciężko byłoby je dzielić tak by ich mistrzowie też ich nie wyczuli, a ich instynkt nadal nakazywał im sobie nie ufać. To się skończy gdy królowa będzie miała ich obu. Wtedy wszystko będzie możliwe.

Mace biegłby gdyby mógł. Zamiast tego musiał maszerować szybko, rzucając Rilowi wyraz nadchodzącej radości, której bitewnik nie rozumiał. Mace niemal musiał się roześmiać, szczególnie gdy mijały mile i zbliżali się do roju.

Rozdział 18

W końcu zdecydowano nie ujawniać tożsamości bitewnego sylfa innym we Wspólnocie. Bano się paniki, a dość było kłopotów próbując się upewnić, że przetrwają nadchodzącą zimę. Żaden z członków konsulu nie chciał ryzykować dodatkowych zamieszek. Chociaż Heyou i Solie zostali wyłączeni z grup pracy, w razie gdyby ktoś zirytował bitewnika.

Spotkanie Solie z wdową, którego bała się Solie nigdy nie nadeszło. Zamiast tego razem z Heyou dostali mały, stary i przewiewny namiot dla siebie. Starszej kobiecie nie podobał się nowy układ, ale powiedziano jej by zostawiła ich w spokoju. Zamiast tego skupiła się na reszcie młodzieży, upewniając się żeby nikt nie myślał, że wyjątek Solie i Heyou ich dotyczy. Inni młodzi patrzyli z zazdrością gdy wdowa odwracała się plecami i Solie odkryła, że tylko kilku chciało z nią siadać. Bolało to odrobinę, ale ciągle miała Heyou i jego niesłabnące oddanie. To przez większość czasu podtrzymywało ją na duchu.

- Będzie miło, gdy jaskinie zostaną wykopane – powiedziała mu trzy dni później gdy przeszli z ich namiotu do obszaru jadalnego. Wiatr stawał się zimniejszy i ostrzejszy i czuła w nim śnieg. Trochę już spadło i widziała małe sterty w miejscach chronionych przed wiatrem. Ale praca była bliska ukończenia. Ziemne sylfy pracowały bez przerwy robiąc tunele i pokoje w urwisku, a ogniste sylfy je ogrzewały. Wodne sylfy doprowadziły wodę, a powietrzne utrzymywały w środku świeże powietrze.

Heyou zabrał ją na dół żeby wybrała duży apartament w środku. Ku zaskoczeniu Solie, sylfy zdawały się zgadzać na to i pracowały by ten skończyć pierwszy. Większość ludzi musiała poczekać jeszcze parę dni żeby mogli opuścić namioty, ale ona i Heyou zaczęli mieszkać w swoim pokoju dziś wieczorem. Ku jej nawet większemu zaskoczeniu, żaden z dorosłych nie miał problemu z tym że brali ten pokój. Chociaż wątpiła żeby ktoś wiedzący czym jest Heyou chciał się z nim kłócić.

- Taa – zgodził się Heyou, rozglądając się po terenie. Często tak robił, jak zauważyła. Nie wiedziała przed czym myślał że ją chronił, ale był zdeterminowany. Więcej niż raz budziła się w nocy by odkryć że zniknął. Za każdym razem gdy go szukała, znajdowała go stojącego na krawędzi klifu, patrzącego.

- Dobry wieczór.

Obróciła się by zobaczyć Heyou już obserwującego zbliżenie się Galway'a, jego emocje iskrzące ku szczęściu. Galway był spokojny. Traper skinął ku nim i owinał się płaszczem. Solie nie miała pojęcia czy powiedziano mu o tożsamości Heyou, ale podejrzewała że nie. Nie traktował ich inaczej i nie bał się.

- Niedługo będzie mocno śnieżyc – zauważył mężczyzna.

Solie spojrzała ponad równinami. W oddali było widać śnieg.

- Tak myślisz?

- Mamy może kilka dni nim zrobi się źle. Muszę wyruszyć rano. Chciałem złapać waszą dwójkę żeby się pożegnać, gdybyśmy się już nie zobaczyli.

Heyou spojrział na mężczyznę uważnie, jego emocje były skomplikowane i odrobinę smutne. Nie chciał żeby traper odchodził, zrozumiała. Miał dziwny sentyment do Galway'a, którego tak naprawdę nie rozumiał. Chociaż nie kwestionował uczucia, tylko je akceptował.

- Musisz odchodzić? – zapytał.

- Jeśli nie chcę zostać całą zimę, tak – Galway klepnął Heyou w ramię i Solie zdecydowała że nie znał prawdy. Nie, żeby bitewnik go skrzywdził. Nawet gdyby nie czuł wdzięczności do Galway'a, przez ostatnie kilka dni naprawdę wpajała w niego ideę o nie używaniu przemocy. Nie miał nikogo ranić, chyba żeby ratować czyjeś życie. – Wrócę wiosną. Okej?

- Okej – mruknął Heyou i traper uśmiechnął się szeroko.

W pobliżu, powietrzne sylfy przeleciały nad krawędzią urwiska, niosąc worki mąki do magazynów na dole. Torby wyglądały jakby same unosiły się w powietrzu. Same sylfy były szczęśliwe, chętne służyć roju. Było to dziwnie uspokajające dla Solie.

Jedna minęła ją z wiadrem mleka, potem ziemniaki zdające się lecieć w powietrzu, choć niosące je prądy powietrza groziły splątaniem jej włosów.

Galway widział ale nic nie powiedział. Wszyscy przyzwyczajali się do takich rzeczy.

- Jadłeś już? – zapytała trapera.

- Jeszcze nie. Dołączycie do mnie?

Uśmiechając się i kiwając głową, Solie obróciła się ku namiotowi z posiłkami, mając nadzieję tam dotrzeć nim zniknie całe gorące jedzenie. Ale gdy Galway do niej dołączył, Heyou tego nie zrobił. Zawołała go. Obracając się, zobaczyła że patrzy w innym kierunku, na ciemniejsze równiny. Opuszczając jej bok, powoli przeszedł przez zabezpieczającą linę wokół krawędzi, wszystkie jego zmysły skupione.

Solie poczuła przyływ strachu, gdy, patrząc w spowijającą ciemność, Heyou zaczął warczeć.



Cały dzień góry rosły przed nimi, z przodu mając urwisko które stało niczym strażnik. Wyglądało nienaturalnie, jakby ktoś rozłupał je na przedzie, a potem również szczyt. To była najpewniej robota bitewników, zdecydował Leon, z wojny która stulecia temu zniszczyła równiny. Albo sylfy stworzyły to przed wojną. Chociaż to nie miało znaczenia. Wszystko co się liczyło to to, że miejsce było zamieszkane.

Zerknął przez lunetę na klif, widząc oczywiste ślady ludzi mieszkających na szczycie. Uniesiony szlak którym podążali prowadził prosto tutaj, tak jak Mace. Bitewnik był już sto stóp prze nimi.

Widząc jak blisko byli, bitewnik zmusił Jasara do podróżowania pomimo zachodzącego słońca. Jeśli chodziło o niego, Leon nie miał nic przeciwko. W końcu lepiej będzie zaatakować w ciemności. Na szczęście nikt nie wiedział by ich wyglądać, ale wciąż musieli się dostać bliżej niezauważeni.

- Zawołaj swojego bitewnika zanim podejdziesz zbyt blisko i go wczują – ostrzegł.

Jasar spojrział na niego ponuro, ale zawołał Mace'a. Nienawiść obu bitewników można było wyczuć z dużego dystansu, ale ciągle byli poza zasięgiem i wszyscy których Leon widział przez lunetę zdawali się odprężeni. Nie oczekiwali ataku.

- Widzisz coś? – wypluł Jasar. Leon mógł powiedzieć, że sam mógłby zobaczyć, ale nie zniżył się do przyznania tego.

- Tak. Widzę piratów – Z tej samej grupy na którą wcześniej zrobili zasadzkę. Leon był tego pewny. Poznał wozy u podstawy klifu. Skrzywił się. Był pewny, że nie złapali wszystkich, ale ich statek był zniszczony, dzięki samobójczemu biegowi tuzina ognistych sylfów, a Jasar dowodził tamtą misją. Nakazał odwrót, a szczerze mówiąc Leon nie miał nic przeciwko. Zwracanie Rila na kogokolwiek, nawet piratów, zdawało się morderstwem.

Spojrzał na kompanów, zastanawiając się czy Jasar w ogóle zdał sobie sprawę że byli znów w tym samym obszarze. Byli mniej niż sto mil od miejsca zasadzki i teren był niemal identyczny.

Z jego znudzonego wyrazu twarzy można było odczytać, że Jasar nie poznał niczego. Ale też całą wyprawę zostawał w kabinie. Ciągłe zdawał się niezainteresowany, ale to nie on ruszał do walki. Leon spojrzał na Mace'a i zastanawiał się czy powinni go zwolnić, biorąc pod uwagę jego ostatnie zachowanie. Choć ślad był wyraźny, nie podążyli nim tutaj. Mace ich przyprowadził.

Przynajmniej z Rilem było wszystko w porządku. Leon pogłaskał bitewnika i poczuł jego nienawiść, choć Ril nie próbował go powstrzymać. Wiedział, że sylf nigdy by tego nie przyznał, ale Ril lubił być głaskany. Pod nienawiścią, Leon czuł błysk zadowolenia i oczekiwanie wypuszczenia.

- Za chwilę – powiedział mu. – Niedługo pozwolę ci walczyć – Albo zamordować ich, poprawił milcząco. Tym razem ci ludzie nie mieli żadnych szans. Jeśli dziewczyna, która ukradła bitewnika rzeczywiście była tu ze swoim sylfem, nie miała szans. Jej bitewnik wcześniej nie był w stanie wygrać z Rilem. Teraz będzie musiał się zająć dwoma.

To nie wydawało się właściwe. Leon uważał tak gdy zasadzili się na piratów i teraz też. Właściwie, gdy nadeszła pora, myśl o zabiciu dziewczyny sprawiła, że czuł się chory.

- Ruszaj na bitewnika – powiedział Rilowi. – Dziewczynę zabij tylko jeśli będziesz musiał. Resztę grupy zostaw w spokoju – Król nic o nich nie mówił gdy wydawał rozkazy i na pewno nauczyli się swojej lekcji. Leon nie zabije ich jeśli nie będzie musiał. Piraci czy nie, nie zabili załóg które okradli. Gdyby to

zrobili, wykończyłby ich za pierwszym razem, nie ważne jak głośno krzyczałyby Jasar że statek spadnie.

Dandys spojrzął z niesmakiem gdy Leon wydawał rozkaz.

- Co jest z tobą? Litość jest stratą czasu – Machną ręką na Mace'a. – Zabij wszystkich na tym klifie – nakazał. – Zaczynając od dziewczyny. Idź.

Mace ruszył jak sprinter z miejsca w którym stał, biegnąc ku urwisku.

- Cholera! – Leon szarpnął lejce zdumionego, cofającego się konia i opuścił ramie. – Ril! Idź!

Skrzeczając, ptak poleciał, przeganiając biegnącego bitewnika.

Niezmartwiony, Jasar uśmiechnął się z zadowoleniem do Leona. Leon chciał go uderzyć.



Heyou odskoczył z zaskoczenie, jego wzory w nim zamarły. Jego zmysły były naturalnie lepsze niż innych sylfów i czuł ich tam: dwóch bitewników zbliżających się szybko. Jeden był z linii jego roju, ale milczący, nie chcący z nim rozmawiać, a drugi... Ten już raz niemal go zabił.

W pobliżu, powietrzny sylf uniósł się nad krawędź klifu z koszem wysuszonego mięsa. Zawahała się, wzory jej energii odzwierciedlały dezorientację. Potem zaczęła krzyczeć, ostrzeżenie o ataku bitewnika. Wszystkie sylfy na urwisku podjęły krzyk i poleciały do mistrzów, zdesperowane zabrać ich w klify, ukryć rój gdy ich bitewnik wykona swoje zadanie chroniąc ich.

Heyou obrócił się do Solie. Jej twarz była biała.

- Są tam dwaj bitewnicy – powiedział jej przerażony. Jeśli przedrą się przez niego, zabiją ją, ale nie mógł walczyć z dwoma na raz. Byli starsi od niego, silniejsi... - Muszę iść – Gdy się odwrócił, wykrzyknęła jego imię. Spojrzał w tył.

Rzuciła się na niego.

- Kocham cie! – wyszłochała, ściskając go mocno. – Nie idź!

Zadrżał. To był jedyny rozkaz jaki mogła mu dać a jakiego nie mógł wykonać.

- Muszę – wyszeptał. – Po to jestem.

Galway zmierzył go spojrzeniem gdy zbliżyli się mężczyźni Wspólnoty niosąc broń, Devon i Morgal wśród nich. Większość członków wspólnoty uciekła pod ziemię z sylfami, niektórzy zaholowani na siłę przez sylfy, gdy chcieli stawić czoła niebezpieczeństwu.

- Nie marnuj swego życia, chłopcze – powiedział traper.

- Nie zrobię tego – Heyou odepchnął Solie, chcąc ją pocałować, ale wystraszony, spojrzał na chwilę na zebranych mężczyzn, większość z nich nie wiedzących czym jest czy co się zbliża, ale wszyscy i tak chcący walczyć. To sprawiło że był zadowolony z tego co miał dla nich zrobić.

Obrócił się, pobiegł do krawędzi klifu i zeskoczył. Usłyszał jak mężczyźni krzyczą z zaskoczenia i przerażenia, gdy zmienił kształt. Zrobiony z dymu i błyskawic, ze skrzydłami rozciągniętymi szeroko, ruszył do ataku, wykrzykując swą nienawiść, aż odbijała się echem na równinach.



Ril wystrzelił naprzód, ruszając do ataku. Czuł przeciwnika, jego strach i nienawiść, jego niedoświadczenie. Mody będzie walczył, nie mając innego wyboru.

Jego wróg ruszył ku niemu, na pewno poznając Mace'a jako członka linii swego roju, ale nie wiedząc, że Mace ma rozkaz zabić jego mistrzynię. To był głupi ruch, pomyślał Ril. Szczęściem nawet w pełni nie wyzdrowiało po ich ostatniej walce. Będzie strasznie łatwy do zabicia – a Mace zetrze wszystkich na urwisku, gdy Ril się tym zajmie.

Wykrzykując wyzwanie przeciw nienawiści bitewnika, skrzydła zwijając przy ciele, Ril ruszył ku wrogowi, zamierzając szybko wygrać tę walkę.



Mace biegł sprintem ku klifowi, jego długie nogi niosły go szybciej niż koń, ale nie tak szybko jak skrzydła Rila. Widział jak ptak wystrzelił górą a młody bitewnik na klifie zeskoczył by walczyć. Młody sylf nie miał szans, nie przeciw wiekowi i doświadczeniu Rila.

Mace schylił się w biegu, unosząc ciężką skałę. Zważył ją, westchnął i rzucił.



Ledwie metry od wroga, Ril przygotował się na uderzenie ścianą energii. Tak blisko, moc przejdzie przez młodego i pewnie zniszczy większość klifu, więc musiał być ostrożny. Przygotował się, kierując tak żeby zabić wroga i nikogo innego. Rozkazy Leona pasowały do jego upodobania: niech Mace zabije ludzi i sylfy. Nie chciał brać w tym udziału.

Przygotował się... i skała rzucona niczym błyskawica przeszła jego lewe skrzydło.



- Co, do diabła? - krzyknął Leon, odciągając lunetę od twarzy.

Jasar uśmiechnął się do niego złośliwie.

- Co?

- Twój przeklęty bitewnik zaatakował Rila!

Leon był wściekły. Chciał kogoś zabić. Nie, chciał okaleczyć i zabić. Widział punkt w którym Ril spadał, a drugi bitewnik opadał by go wykończyć, maleńkie cienie w zmierzchu. Znów podnosząc lunetę, patrzył jak Ril walczył by poruszyć złamanym skrzydłem, opadając w powietrzu i w końcu poddając się i upadając by uniknąć chmury z kłami która próbowała go złapać.

Poniżej, Mace przebiegł obok małej, panikującej trzody i rzucił się na ścianę klifu. Wbijając palce w ścianę, bitewnik zaczął się wspinać.

Leon wsadził lunetę do kieszeni i wskazał na Jasara, który był widocznie zszokowany.

- Jeśli Ril zginie, ty też! – Wbił pięty w boki siwka i pogalopował do przodu.

Jasar patrzył z przerażeniem jak drugi mężczyzn jechał w walkę. Po spojrzeniu na swego oddalonego bitewnika, chwycił lejce konia z zapasami. Obracając konia, wkrótce galopował ku bezpieczeństwu jak szybko mógł.



Heyou był tak zaskoczony przez nagły atak, że stracił szansę żeby zabić bitewnika w kształcie jastrzębia. Krzycząc z bólu, ptak opadł, jego strzaskane skrzydło ledwie pozwalało mu się unosić. Chociaż je do tego zmuszał, uniósł

się i uderzył ścianą energii. Heyou odskoczył ale wciąż trafiło jego osłonę. Zebrał się w sobie i walczył o odzyskanie kontroli.

Poniżej, bitewnik z linii jego roju wspinał się po ścianie klifu ze zdumiewającą prędkością, prosto ku niczego nie oczekującej Solie. Serce Heyou urosło. To tamten bitewnik rzucił kamień. Będzie chronił królową! Razem łatwo pokonają trzeciego sylfa.

Bitewnik był więcej niż dwie trzecie drogi w górę klifu, tuż poniżej miejsca gdzie stała Solie. Heyou opadł, ruszając do boku królowej by do niego dołączyć.



Ril walczył z bólem, próbując zmusić złamane skrzydło do pracy i ekstremalnie świadomy że był niemal bezradny. Zdrada Mace'a była w nim agonią i z desperacją wyglądał swojego mistrza. Leon galopował przez równiny ku klifowi – sądząc po jego emocjach, wyraźnie zdeterminowany go ratować. Przynajmniej raz, Ril był z tego zadowolony.

Jego młody wróg nie wykorzystał przewagi, zamiast tego wracając na klif. Ril widział stojącą tam mistrzynię bitewnika i wspinającego się poniżej Mace'a. W bólu i wściekłości, Ril złożył skrzydła i zanurkował. Jego rozkazy były proste: zabij bitewnika jeśli będziesz mógł, a jeśli nie, dziewczynę. Teraz był zbyt ranny by walczyć nawet z młodym bitewnikiem, ale dziewczyna była niestrzeżona. Krzycząc, zaatakował.



Solie stała z Devonem i innymi mężczyznami Wspólnoty, patrząc jak Heyou walczył z drugim bitewnikiem. Nie zauważyła skały uderzającej ptaka, ale zobaczyła jak jastrząb spadł a Heyou zawrócił ku niej.

- Po co wraca? – sapnął Morgal. – Powinien to skończyć!

Sekundę później, ogromny kształt pojawił się na krawędzi klifu, masywna zbroja z jarzącymi się oczyma. Solie krzyknęła, nawet gdy wyczuła radość stworzenia pod nienawiścią. Wokół niej, mężczyźni cofnęli się w panice. Devon desperacko próbował się zmusić żeby ją chronić, ale ciało go nie słuchało i nie mógł się ruszyć. Ogromny bitewnik spojrział na nią... i rzucił się.

Nagle Heyou był między nimi, próbując odepchnąć większego bitownika. Krzyknął, ale zbrojne stworzenie odepchnęło go na bok i znów ruszyło na Solie. Rozciągnięty na ziemi, zszokowany i zaskoczony, Heyou patrzył ze strachem na nowo przybyłego. Solie poczuła jak ramiona drugiego bitownika ją otoczyły, jego metalowe płyty ciepłe przy jej skórze...

- Nie! – krzyknęła. – Przestań! Nie krzywdź mnie!

Hełm tworzący twarz bitownika był tylko cale od jej twarzy i Solie zamrugła gdy zrozumiała że nienawiść zniknęła, przynajmniej od niego. Teraz tylko nadchodziła z góry, od jastrzębia, który zmierzał prosto na nią.

Bitownik rzucił ją na bok i się obrócił. Heyou ją złapał i przeturlał się, zakrywając ją własnym ciałem. Zbrojny bitownik skoczył w górę. Złapał uderzającego ptaka w wielkie dłonie a potem wylądował na stopach, walcząc by go utrzymać. Jastrząb krzyknął, wbijając szpony w zbroję, bijąc jednym skrzydłem po twarzy. Uderzyły fale mocy, ale Heyou wzniósł swoją energię by ją chronić. Mężczyźni Wspólnoty się wycofali, krzycząc, podczas gdy ci którzy nie ruszali się dość szybko zostali zdmuchnięci z nóg.

Zbrojny bitownik napotkał atak energii jastrzębia własnym. Solie zawyła z przerażeniem gdy ciśnienie w powietrzu wzrosło, bitownicy naciskali na siebie swoją energią dość by zniszczyć każdy kamień na jakim stali. W końcu większy sylf uderzył ptakiem o ziemię. Jastrząb opadł bezwładnie, jego aura nienawiści zbladła. Rozciągnięta na ziemi pod Heyou, Solie patrzyła.

Heyou też patrzył na wielkiego, szarego bitownika, niepewny czy jest po ich stronie. Instynkt mówił że jest, ale przez chwilę... Przez sekundę, był bardziej przestraszony niż kiedykolwiek w życiu. Leżał na swojej królowej i nie był pewny co robić.



Mace zerknął w dół, naprawdę szczęśliwy. Od bardzo dawna nie czuł tej emocji, a wszystko przez szczupłą młodą dziewczynę pod bardzo wystraszonego bitownika. Dziecko niemal popełniło fatalną pomyłkę, ufając instynktowi który mówił, że Mace jest częścią linii jego roju. Ale rozkaz Jasara był jasny: zabij wszystkich, zaczynając od dziewczyny.

Tyle, że Mace nie mógł zabić własnej królowej. Rozkaz który wydał Jasar był niemożliwy do wykonania, nawet zanim kazała mu przestać. Teraz, gdyby tylko mógł im to powiedzieć.



Ogromny bitewnik był zadowolony. Solie przełknęła, ciągle wystraszona swoją zdolnością czucia emocji innych, ale i tak próbowała się na nim skupić. Wydawało się, że bardzo chce jej coś powiedzieć.

- Jak masz na imię? – zapytała w końcu.

Heyou uściskał ją i wstał, pociągając Solie na nogi i wpychając ją za siebie, patrząc groźnie na zbrojnego sylfa. Wielki bitewnik tylko na nią patrzył, milczący.

- Ma na imię Mace – powiedział Devon. Stał tuzin stóp dalej, jego twarz była popielato biała, zakrwawiona i brudna. – Jest bitewnikiem lorda Jasara Doliarda. Nie mówi.

- Jest jednym z tym, którzy nas zaatakowali – odetchnął Morgal. – Och, mój boże.

- C-co? – Solie się rozejrzała, chcąc żeby ktoś jej powiedział co robić. Chociaż każdy patrzył jakby chciał żeby ona podjęła decyzję. Było to przejmujące i w końcu musiała coś powiedzieć by przerwać napięcie. – Możesz mówić jeśli chcesz – powiedziała mu.

- Tak, moja królowo – powiedział Mace.

Wszyscy sapnęli. Devon był tak zaskoczony, że upadł na tyłek.

- Możesz mówić? – sapnął. – Ale to jest ci zakazane! – Mace go zignorował, skupiając się na Solie.

- Um... - Przełknęła mocno i oparła się o Heyou, potrzebując jego ciepła. Nie odwrócił oczu od drugiego bitewnika, ale otoczył ją ramionami i uściskał uspokajająco. To pomogło. – Dlaczego przemówiłeś skoro ci nie wolno?

- Dałaś mi pozwolenie, moja królowo.

Dlaczego wszyscy ciągle ją tak nazywają?

- Jak mogę być twoją królową?

- Nosisz wzór linii roju. Twoje rozkazy są święte – Skinął ku Heyou. – On też to czuje.

Solie zerknęła na Heyou, którzy zaczął się odprężyć gdy Mace mówił, jego mięśnie się rozluźniały, a uwagę skupił bardziej na nieprzytomnym ptaku wiszącym z pięści większego bitownika.

- Heyou? – sapnęła.

Spojrzał na nią, a potem na Mace'a.

- Jest częścią roju. Wystraszyłem się przez minutę, ale jest okej – Spojrzał na ptaka. – Mogę go zabić?

- Nie! – sapnęła Solie.

Galway się odezwał.

- Może będziesz musiał – W przeciwieństwie do innych, nie bał się. Zarobił tylko krwawe cięcie na jednym policzku i czekał żeby zobaczyć co się stanie teraz, gdy skończyła się bitwa.

Nie wszyscy byli tak spokojni.

- Co się dzieje? – zażądał odpowiedzi Morgal. – Niech mi ktoś to wyjaśni! – On i inni się cofnęli, patrząc na Mace'a z przerażeniem. Ogromny bitownik ich zignorował.

- Możesz nam powiedzieć co się dzieje? – zapytała go Solie.

Mace odpowiedział natychmiast.

- Zostaliśmy wysłani by cię zabić. Nakazano mi zabić wszystkich na tym urwisku, zaczynając od ciebie, ale nie mogę skrzywdzić królowej.

- Co? – wyszeptała, ciągle zdezorientowana. Heyou oparł się o nią.

- Jesteś królową roju – powtórzył Mace i wskazał na Heyou. – Dzięki niemu. Nakaz by cię chronić i ci służyć zastępuje wszystko od mojego mistrza – Gapiała się na niego. – Czułem jak stałaś się królową. Od tamtej pory do ciebie szedłem.

- Szedłeś... do mnie...? – powtórzyła.

- Tak, moja królowo.

Solie czuła się słabo. Wszystko działo się za szybko. Teraz miała dwóch bitowników?

- Co z nim? – zaskamlała, wskazując nieprzytomnego ptaka.

- Ril jest z innej linii roju, ale nie ma królowej – Oczy Mace'a się rozjarzyły. – Możesz uczynić go swoim.

- Moim? – powtórzyła Solie.

- To szaleństwo! – odezwał się Morgal, na tyle się otrząsając by być złym. – Nie będziemy...

Mace spojrzał na niego groźnie i nagle nienawiść wróciła, gęsta w powietrzu. Morgal wrzasnął i potknął się do tyłu, razem z większością innych. Tylko Galway ustał.

Solie patrzyła na ptaka.

- Czemu miałyby to zrobić? – zapytała.

Heyou się obrócił i pocałował ją w ramię.

- Jeśli tego nie zrobisz będziemy musieli go zabić.

- Co mam zrobić? – wyszeptała. Zadrzała.

- Pozwól mi przelać w niego twój wzór – zasugerował Mace. – Twoje prawo rządzenia. Bez królowej, nie będzie miał ochrony – Uniósł ptaka i potrzasnął nim.

Solie tylko drżała i patrzyła.



Ril obudził się w dezorientacji i bólu. Został zaatakowany, oszukany i zraniony. Ból bił z jego skrzydła i oszołomiony, wisiał do góry nogami. Mace go miał, zrozumiał, gdy drugi bitewnik otoczył ręką jego szyję i obrócił do góry jak dławionego kurczaka. Następną rzeczą jaką zobaczył była dziewczyna, jej oczy rozszerzone i wystraszone. Stała przed nim, patrząc.

Mace się skupił, biorąc wzór duszy dziewczyny i nadając go. Ril zadrzał. Nie była po prostu mistrzem, to był umysł królowej, wzór królowej. Tyle, że nie była sylfem, ale człowiekiem, który związał bitewnika ze sobą i sprawił że ten rozpoznawał jej wzór tak jak ten królowej. Chociaż to nie czyniło jej królową Rila i krzyknął, próbując skupić nienawiść i moc.

Dziewczyna cofnęła się, dłońmi zakrywając usta i młody bitewnik otoczył ją ramionami, jego oczy jarzyły się czerwienią. Ril walczył przeciw nim wszystkim, ale Mace wmuszał w niego wzór królowej nawet mocniej. Wepchnął go w pęknięcia w umyśle Rila, które kiedyś, dawno temu, trzymały królową – która nie wybrała go na partnera zanim Ril przeszedł przez bramę dla obietnicy miłości i skończył związany z mężczyzną. Żaden mężczyzna nie mógł stworzyć takiego wzoru, ale dziewczyna to zrobiła i im mocniej naciskał Mace, tym głębiej wsiąkało to w Rila, powoli wydawając się coraz bardziej

właściwe i w końcu wcale nie walczył z Macem, tylko mu pomagał. Była jego królową, wzór posłuszeństwa był w jego umyśle, i centrum jego życia. Ril zadrżał, jego energia się zmieniła by pasować do jej i Mace go puścił, zamiast tego unosząc go w dłoniach. Teraz był członkiem roju, jak wszyscy na klifach i w urwisku.

Był w roju, zrozumiał Ril z oszołomieniem. Nigdy nie sądził, że to jeszcze kiedyś się stanie i trząśnięcie się od reakcji.

- Um, cześć – wykrztusiła Solie. – Zgaduję, um, możesz mówić jeśli chcesz i zmienić kształt. Jeśli chcesz.

Och, to był dobry rój. To był bardzo dobry rój.



Nawet po skończonej bitwie, chaos na urwisku trwał do późnej nocy. Z koniem ukrytym gdzie nikt nie mógł go znaleźć, płaszczem zostawionym za sobą, Leon przedzierał się na zimnie tylko w tunice i spodniach, z mieczem przyczepionym na plecach i nożem w ręce. Większość piratów tkwiła w namiotach, ułatwiając mu zadanie. Przekradł się obok straży, patrzących na cienie tak mało uważnie, że nie mogli rozróżnić gdy ciemność była nim. Byli amatorami i nie było ich dość, więc minął ich, przekradając się na tył stoku.

Musi dostać się do Rila. Ostrożnie by zmartwienie nie przywiodło go do pomyłki, Leon podążył za więzią łączącą go z bitewnikiem. Większość mistrzów nie czuła w swoich Bitewnikach nic poza nienawiścią, ale Leon spędził lata wzmacniając tę więź i teraz czuł gdzie był Ril. Minęło go kilka sylfów w różnych kształtach, ale żadna nie zauważyła jego obecności, zajęte swoimi zadaniami. Tylko bitewnicy byli dobrymi strażnikami.

W namiotach, piraci rozmawiali. Jak się wydawało połowa chciała zwinąć rzeczy i uciec, ale Leona to nie obchodziło. Nie obchodziło go gdzie pójdą. Wszystko czego chciał to odzyskać Rila. Słyszał słowo bitewnik kilka razy i zacisnął usta, szczerze niepewny co zrobili ze swoim nieoczekiwanym zwycięstwem. Mogli zabić Rila? Mace i drugi bitewnik na pewno mogli.

Czuł Rila, czuł jego ból i zmęczenie niemal jakby były jego i odkrył że tęskni za znajomą nienawiścią sylfa tylko dlatego, że znaczyłoby to, że jest zdrowy. Emocje sylfa były najsłabsze niż kiedykolwiek czuł, niemal nierozpoznawalne

i Leon przeklął Jasara gdy ruszył naprzód. Jak ktoś może stracić kontrolę nad swoim bitewnym sylfem?

Ścieżka którą wybrał zaprowadziła go do zakrytej studni prowadzącej głęboko w urwisko ze skrzyżnymi schodami. Leon przykleknął przy krawędzi i spojrzał. Nikt tego nie strzegł. Chwyając nóż, zszedł na dół.

Klatka schodowa była głęboka przynajmniej na osiemdziesiąt stopni, powietrze w środku było zaskakująco ciepłe i świeże, droga oświetlona pochodniami. Leon dotarł na dół i znalazł się w szerokim atrium z wypolerowanymi ścianami, setki odbić patrzyło na niego.

Kilka korytarzy rozchodziło się w różnych kierunkach i w ścianach było wyciętych kilka przejść, ale czuł obecność Rila. Gdy ruszył korytarzem, ściany były zwierciadlane tak jak w atrium, zaczął również słyszeć głosy.

- Jesteście po naszej stronie czy nie? – zapytał męski głos, brzmiąc jednocześnie gniewnie i przestraszenie. – Po prostu mi odpowiedzcie!

- Proszę – dodała kobieta. – Powiedzcie im.

- Słuchamy królowej – odparł głęboki głos. – Jeśli będzie chciała byśmy was chronili, będziemy.

- Nie rozumiem tego – zaskomlał czwarty. – Co to za cała bzdura o królowych?

Leon podkraść się do otwartego przejścia, gdy kolejny, lżejszy głos odpowiedział skamłacemu.

- Przybywamy tu dla królowych, kobiet obiecanych nam, których nie możemy zdobyć w naszych rojach – Leon zerknął wokół pustej ramy drzwi i patrzył w szoku. Głos pochodził od Rila, który spoczywał w ramionach rudowłosej dziewczyny. – Tyle, że gdy przechodzimy, są zabijane, zostawiając nas uwięzionymi i pod kontrolą mężczyzn.

- To nie stało się z Heyou – kontynuował Mace swoim głębokim głosem. – Solie przeżyła i związała go jako jego mistrzyni. Pociągnęli to dalej i stała się królową każdego sylfa będącego wystarczająco blisko i tych z oryginalnej linii roju. Rila wciągnęliśmy.

- Ona żyje – powiedział miękko Ril, patrząc na dziewczynę. – Oszalałem gdy moja królowa umarła, ale ona żyje – Zagruchał miękko.

Leon patrzył na swego bitewnika z przerażeniem, zapominając, że był na terytorium wroga i oznaczało to śmierć jeśli go zobaczą. Ril. Zrobił to swojemu

syfowi? Leon wrócił myślami do dziewczyny, przestraszonej małej brązowowłosej dziewczyny z przerażonymi oczyma i poczuł się chory. Ril przeszedł dla niej, nie dla niego, a on ją zamordował.

Cofnął się, upuszczając nóż i krztusząc się. Cała nienawiść Rila z tych wszystkich lat zdawała się uderzyć go na raz. Nic dziwnego, że sylf nim gardził.

- Na zewnątrz! – usłyszał jak krzyknął przestraszony głos.

Opadł na niego cień i Leon spojrzał w górę by zobaczyć Mace'a. Pięść bitownika uderzyła mocno.

Rozdział 19

Ril stał w kwaterach królowej i zmieniał kształt w sposób w jaki kobieta zmienia ubranie, próbując znaleźć taki który by mu się podobał.

Siedząc na beli siana która została przyniesiona by służyć za siedzenie, Solie chichotała do niego. Heyou leżał rozwalony na jej kolanach i obserwował do góry nogami, a Mace stał cicho przy drzwiach. Drugi bitewnik był uszczęśliwiony pierwszą formą w jaką się zmienił – mężczyzny wyższego od innych, z potężnymi muskułami – ale Ril nie mógł się zdecydować. Spędził tyle czasu jako ptak, a przed tym miał taki kształt jaki chciał albo najczęściej żadnego.

Ale królowa chciała żeby się wpasowali. Ril spojrział na swoje odbicie w zwierciadlanej ścianie i skupił się. Uczynił się wyższym i szczuplejszym, jego blond włosy były krótkie z tyłu, podczas gdy grzywka wpadała mu do oczu. Wyglądał jak jeden z bohaterów z ulubionej opowieści Lizzy, pomyślał. Jego tęczówki były szare, ale oczy tak twarde jak te jakie miał jako ptak.

- Ten jest dobry – powiedziała mu Solie pomocnie.

Ril spojrział w dół i westchnął. To naprawdę nie miało znaczenia. Równie dobrze mógł zostać ptakiem. Dopasowując luźną tunikę, którą nosił po zmienieniu formy, podszedł by usiąść obok królowej, opierając się o prześcieradło pokrywane sianem. Podłoga była zimna.

Inni byli zachwyceni. Solie była zadowolona z ich obecności. Mace był spokojny jakby zawsze służył królowej, a nie był związany z mistrzem którym gardził. Nawet Heyou był usatysfakcjonowany, gdy zdołał się przekonać że nie będzie musiał dzielić łóża królowej razem z jej suwerennością. Ril nie mógł dojąć co było z nim nie tak. Czuł się jakoś niespokojny, był szczęśliwy będąc w roju z królową ale ciągle czuł, że czegoś brakowało. Oczywiście, to zawsze było jego problemem. Przez to przeszedł przez bramę.

Spojrział na królową. Cokolwiek to było, to nie jej problem. Podchwyciła jego spojrzenie, wyglądając na zdezorientowaną, więc się odwrócił. Żaden sylf nie mógł długo ukrywać swoich uczuć przed królową. Miał tylko szczęście, że

odbierała jego nieumyślne projekcje tylko ograniczenie. Królowa roju w którym się wykluła odbierałaby jego emocje jak syrena. Po prostu by jej to nie obchodziło.

Solie zmarszczyła brwi, wyraźnie niepewna co czuje i spojrzała w dół na Heyou. Uśmiechnął się do niej radośnie.

Na korytarzu rozległy się kroki i wszyscy trzej bitewnicy stężeli, czekając. To była kobieta i Mace otworzył drzwi gdy zapukała, ostrożny by trzymać swoje ciało między nowo przybyłą a królową. Ril również stężał, gotowy zniszczyć nawet kobietę gdyby musiał.

- Zejdiesz mi z drogi? W tym tempie biedne dziecko będzie musiało wszystko dla siebie robić, bo nikt nie będzie się chciał do niej zbliżyć. Może nie być zadowolona z posiadania tylko was trzech do towarzystwa przez resztę życia.

Mace cofnął się o krok, zerkając ze zdumieniem na kobietę w średnim wieku w czarnej sukience. Pchnęła go na bok łokciem i weszła, wnosząc zakrytą tacę. Przynosząc ją do beli, położyła ją i spojrzała groźnie na Solie.

- Planujesz siedzieć tu już zawsze? – parsknęła, ręce opierając na biodrach.

Solie się zarumieniła i trzej bitewnicy spojrzeli po sobie, niepewni jak się tym zająć. W domu nikt nie karmił królowych.

- A ty – kontynuowała kobieta, obracając się do Heyou. – Złaż! Jesteś kotem? Jej kolana nie są odpowiednim miejscem na twoją głowę! – Chwyając młodego bitewnika za ucho, pociągnęła go do siedzącej pozycji, ciągle go besztając.

Obok drzwi, Mace zaśmiał się drwiąco.

Ril wrócił do obserwowania kobiety. Była głośna i szorstka, ale większość jej brawury była właśnie tym. Pod spodem bała się tak jak inni, choć była zdeterminowana tego nie pokazywać. Jednak pachniała kobietą, płodną i silną. Nie była królową, ale była intrygująca.

Odwzajemniła spojrzenia wszystkich trzech bitewników.

- Nie jest grzecznie się gapić – parsknęła, potem obróciła się do Solie, ignorując ich. – Zjedz swój lunch, moja droga – powiedziała. – Potem wyjdź na zewnątrz. Jesteś tu cały dzień. Zaczyna śnieżyć i jest naprawdę ślicznie.

Przyda mi się twoja pomoc w kuchni w przygotowaniu wieczornego posiłku,

a ci beżużyteczni chłopcy też mogą pomóc. Zrujnujesz sobie reputację siedząc tu z trzema mężczyznami.

- Nie są naprawdę mężczyznami – wskazała Solie. Brzmiała niepewnie.

- Są leniwi i dobrzy tylko do walki: są mężczyznami. Przynajmniej nie piją – Pogłaskała dziewczynę po głowie. – Oczekuję cię za godzinę – Obracając się, potrząsnęła palcem na resztę. – A wy trzej, zachowujcie się! Nie jesteście tak wielcy żebym w razie czego nie mogła was sprać.

Solie westchnęła gdy kobieta wyszła i wszyscy bitewnicy skupili na niej uwagę.

- Ma rację. Myślę, że chyba zaczynam się czuć uwięziona – przyznała.

Ril zmarszczył brwi, wiedząc że był częścią problemu, ale więź była ciągle taka nowa, nie miała nawet dnia! Znów czuł się nowo wykluty, niezdolny nawet pomyśleć o opuszczeniu królowej. Chociaż miała racje. Mogła być królową, ale ciągle była również człowiekiem. Oszaleje jeśli będą przy niej obecni wszyscy przez cały czas.

Wstał, oświadcżając:

- Postoję na straży – Jak długo jeden z nich był z nią, będzie to starczało, a ktoś powinien obserwować okolicę.

Z tuniką muskającą nogi – dziwne, nowe odczucie – przeszedł korytarzem i w górę po schodach. Jedyna osoba, która go spotkała rozpląszczyła się przy ścianie gdy ją mijał. Śnieżyło na zewnątrz, również na schodach pod zakryciem, ale nie czuł tego pod bosymi stopami, nie naprawdę. Naprawił złamane skrzydło, gdy zmienił kształt, ale uszkodzenie formy wciąż w nim było. Choć nie dostateczne by się nim martwić.

Wszyscy na pewno byli go świadomi. Wiedział że odstawał, chodząc boso i w za dużej dla siebie tunice i nie wiedział co zostało im powiedziane o bitwie wczorajszej nocy, ale nie obchodziło go to. Podszedł do krawędzi klifu i rozejrzał się po Łupkowych Równinach. Nie były całkiem pokryte bielą, widział pod nimi szare skały. Chociaż nic się tam nie poruszało i poczuł wszystkie formy życia na klifie, poniżej, jak i w środku: inne sylfy, ich mistrzów i wszystkich innych. Nikt nie był dla niego wrogi. Nikt nie był zagrożeniem.

Mace pojawił się obok niego, ubrany bardziej kompletnie niż Ril, z dodatkiem spodni i butów. Również spojrział na równiny.

- Myślałem, że mógłbym teraz ruszyć za moim mistrzem – powiedział bitewnik. – Jest mu zimno i jest przestraszony – byłby łatwy do zabicia. Ale nie chcę na tak długo zostawiać królowej, ani dowiedzieć się że ciągle może mi wydawać rozkazy.

- Wrócisz do domowego roju jeśli go zabijesz – wykazał Ril. – Jest tutaj twoim więzłem.

- Nie. Mój wzór jest teraz przywiązany również do królowej. Może mnie tu zatrzymać jeśli on umrze – Mace spojrzał na niego. – Twój mistrz ciągle tu jest, ale z królową wiążącą cię do tego świata, też nie jest już potrzebny.

Ril zamknął oczy, czując w sobie nienawiść tak silną że mógł ją smakować. Wydobywała się z niego i usłyszał ludzkie krzyki. Niechętnie, powściągnął ją. Solie wydała rozkazy: żadnych aur. Chociaż nadal to czuł.

- Tak – odetchnął.

- Podoba mi się tu – zauważył Mace. – Stąd łatwo mogę strzec roju.

Ril się odwrócił, wiedząc że drugie bitewnik będzie obserwował równiny jak długo będzie to potrzebne, a Heyou strzeże i zabawia królową. Wrócił do schodów ula i nie potrzebował aury by przestraszyć ludzi, którzy widzieli jego oczy.



Heyou obserwował jak Solie je, szczęśliwy z bycia z nią, z tego że wokół były inne sylfy i inni bitewnicy. To nigdy nie wydarzyłoby się w domu, ale był jej kochankiem, a nie inni i jasno dała do zrozumienia że chce tylko jego. Nigdy nie czuł się tak kochany.

Solie jadła gulasz i potrzaskała głową.

- Znów się gapisz – wskazała.

- Och, sorry – Odwrócił wzrok na pokój. Był ciemny, oświetlony tylko przez świece i lampy oliwne, ale ciepły i bezpieczny. Wszyscy inni przeprowadzą się tutaj gdy praca będzie skończona, jeśli uda się przekonać ludzi do życia pod ziemią. Pomieszczenia pewnie będą się wydawały bardziej pociągające gdy na zewnątrz zrobi się naprawdę zimno. Heyou się podobało. Projekt był podobny do jego starego ula, choć trochę inny w kształcie. Jednak gdyby jego królowa chciała żyć na zewnątrz w śniegu, byłby szczęśliwy tylko będąc z nią.

Solie dalej jadła gulasz i kawałek chleba jaki dostała. Jeszcze nie mieli racjonowanej żywności, ale delectowała się chlebem, wiedząc że przez zimę nie będzie go wiele. Kończąc, spojrzała na tacę.

- Co się teraz stanie? – zastanawiała się głośno.

- Kto mówi że cokolwiek się stanie? – zapytał Heyou.

Wzruszyła ramionami.

- Zgaduje że nikt. Przypuszczam że wygraliśmy. Mamy trzech bitewników. Kto nas teraz może powstrzymać? – zrobiła minę i podrapała się po głowie. - _
Chociaż to takie dziwne. Muszę się do wielu rzeczy przyzwycząić.

Heyou uśmiechnął się szeroko.

- Pomyśl o tym jak czują się Ril i Mace – Opowiedzieli mu trochę o swoim życiu odkąd przeszli przez bramę i sprawiło to, że czuł zimno w środku. Ten nowy rój był niebem, nawet bez porównywania tego do koszmarów jakie zmuszeni byli znosić.

Odwzajemniła uśmiech i poruszyła ramionami.

- Rozmyślałam trochę. Dostałam cię bo przeprowadzili ten rytuał i księżę mnie nie zabił. To tak powinien działać ten rytuał, prawda? Dostajesz bitewnego sylfa oferując mu kobietę. Co się stanie jeśli ktoś inny to zrozumie? Ktoś kto myśli, że jesteśmy wrogami?

Heyou nie odpowiedział.

- I co z Rilem i Macem? Przeszli chcąc kobiety – Wydała zduszony śmiech. – Definitywnie nie będę spała z żadnym z nich. Poczują się samotni, prawda?

Heyou wzruszył ramionami, niepewny co powiedzieć.

- Tutaj jest wiele kobiet – zadumał się. – Może znajdą sobie jakąś.

- Mówisz, żeby się umawiali?

- Um. Tak jakby. Mace mówił że był z setkami kobiet. Nie mamy takiej szansy w domu. W roju jest zawsze tylko jedna królowa. Ale możemy kochać każdą. Już rozgląda się za dziewczynami tutaj. Tak mówił.

Oczy Solie się rozszerzyły.

- Nigdy nie myślałam, że bitewnikowi jest dozwolone mieć dziewczyny...

- Nie miał, po prostu z nimi spał.

Opadła jej szczeka.

- On co? Chwila, powiedziałaś setki?

- Pewnie – Heyou wzruszył ramionami.

Solie zamknęła usta i zaczęła chichotać przez absurdalny obraz jaki pojawił się w jej umyśle.

- Wdowa Blackwell będzie sina z wściekłości! Możesz to sobie wyobrazić? – Zakryła dłońmi usta, krztusząc się na myśl o Mace'ie wkradającym się do namiotów samotnych dziewczyn i wdowie goniącej go ze swoją łyżką.

Heyou również się roześmiał, szczęśliwszy z rozbawienia Solie niż przez sytuację. Była królową i jej wzór był elementarny, ale sylfy mogły zaabsorbować tyle wzorów ile chciały. To pozwalało im się wiązać z mistrzami. Inni w końcu będą musieli znaleźć nowych mistrzów. W tym świecie ubogim w energię, karmili się od ludzi z którymi byli związani, a Solie nie mogła sama już zawsze utrzymywać trzech bitewników.

Oczywiście Ril i Mace nie mogli zatrzymać swoich poprzednich mistrzów. Solie nakazała im nie okazywać wściekłości mężczyznom, mówiąc że ludzcy samce nie byli tacy jak ci z innych roi, czyli wrogami. Po poznaniu Galway'a, Heyou mógł w to uwierzyć. Ale mistrzowie którzy ich zniewolili? Byli najgorszymi wrogami jakich mogli sobie wyobrazić sylfy. Lepiej znaleźć chętną kobietę i uśmiercić dawnego mistrza. Na pewno Solie im tego nie pożałuje.



Konsul nigdy nie był duży, zebrany z mężczyzn którzy przeżyli pierwszy atak bitewników i próbowali przejąć dowodzenie bez wielkiego doświadczenia czy nawet zainteresowania. Fakt, że ci sami dwaj bitewnicy żyli teraz między nimi wcale nie pomógł i Wspólnota stała na krawędzi upadku, niemal wszyscy chcieli zabrać rodziny i uciec. Usadzeni przy wielkim stole w największym namiocie, członkowie konsulu byli niemal zmiażdżeni przez wszystkich składających petycje. Przyszli niemal wszyscy mężczyźni.

- Jak mogliście na to pozwolić? – ktoś krzyknął, unosząc głos nad pomruki innych. Mielіśmy stada i pola, własne domy. Teraz utknęliśmy w dziurze pełnej sylfów z tymi samymi bitewnikami którzy nas tu przygnali!

Inni mężczyźni krzyknęli w zgodzie i Morgal próbował ich uspokoić, naprawdę żałując śmierci mężczyzn, którzy na początku prowadzili Wspólnotę. To oni zebrali ludzi i tak ich utrzymali, zachęcając innych do związania sylfów i użycia ich do uprawiania surowej ziemi. Mieli pełne pole

zbiorów by przeżyć zimę... dopóki bitewnik go nie wysadził i miasta razem z nim.

- Uspokójcie się! – krzyknął. – Proszę!

- Zmuscie ich do odejścia! – krzyknął inny mężczyzna, z twarzą pełną strachu. – Albo ich zabijcie!

- Nie możecie zabić bitewników! – zbeształ Morgal.

Przy kłapie namiotu, Galway obserwował ich kłótnię. Patrząc w dół na Devona, zobaczył że młodszy mężczyzna ma uniesioną rękę, nie próbując przyciągnąć niczyjej uwagi, ale zaledwie dotykając swojego ledwie widocznego sylfa. Wyglądał na wyczerpanego. Wszyscy byli. I całe ich zmęczenie i strach spowodują problemy, których potem mogą nie być zdolni naprawić.

Galway odepchnął się od podtrzymującego słupa o który się opierał i wyszedł naprzód, samemu unosząc głos.

- Jeśli zagroziecie bitewnikom, zepchniecie ich do defensywy. Są niebezpieczeństwem tylko jeśli będą czuć że muszą walczyć – Gdy tłum spojrział na niego z nieufnością, dodał. – Traktujcie ich z szacunkiem i nie będą mieli powodu komukolwiek zawracać głowy.

- Jesteś po ich stronie! Przyjechałeś z nimi! – To oskarżenia rzucił Zem, mężczyzna związany z jedyną uzdrowicielką Wspólnoty.

Galway wzruszył ramionami.

- Prawda. I Heyou nigdy mi nie zagroził – Poczekał chwilę w dalszej ciszy. – Pomyślcie o tym. Mówicie że zostaliście tu przygnani przez atak bitewnika. Cóż, teraz macie trzech bitewników. Nie pozwolą żeby cokolwiek stało się temu miejscu, chyba że zmusicie ich do odejścia, w co wątpię żebyście byli zdolni zrobić. Nie opuszczą dziewczyny, a jeśli jej zagroziecie - uniósł palec. – Zetną całą tę górę.

Zimny dreszcz przebiegł po pokoju. Galway tylko skinął.

- Podoba wam się to czy nie, zostaną. Czemu tego nie wykorzystać? Mamy bitewników. To znaczy, że gdy nadejdzie kolejny atak nie będzie taki straszny. Myślicie, że to się nie stanie? Dlaczego budowaliście fortecę, jeśliście tak nie myśleli?

Wszyscy ucichli, wydali kilka pomruków, zanim kolejny mężczyzna wstał.

- Mamy więcej problemów niż bitewnicy – zawołał. – Jak przeżyjemy zimę? Nie ma dość jedzenia a już nie możemy polować. Jest powód dla którego te równiny są opisywane jako śmierć.

- I co z więźniem? – ktoś inny krzyknął. – Chcemy go powiesić! Skąd zwłoka? – Większość zebranych się zgodziła.

Galway odwrócił się, wzdychając. Nie chciał słyszeć o żadnym wieszaniu. Devon za nim podążył.

- Wykazałeś dobry punkt widzenia – zauważył gdy wyszli.

- Co innego mogę zrobić? – traper spojrzał przez sypiący śnieg. – Powinienem wyjechać wcześniej. Dopóki ten śnieg nie ustanie, a nie wątpię że tak będzie, utknąłem tutaj. I nie będzie tak miło z trojgiem rozgniewanych bitewników. Wolę żeby nie myśleli, że jesteśmy zagrożeniem.

- Tak spokojnie o nich mówisz – zauważył Devon, wyraźnie zdumiony. – Mnie przerażają. Nie wiem jak możesz ich znieść.

Galway się roześmiał.

- Pewnie pomaga to, że spędziłem życie polując na niebezpieczne zwierzęta. Też są straszne. Heyou jest dobrym dzieciakiem. Nie przejmuje się tak bardzo tym, że jest bitewnikiem, więc dlaczego ja powinienem?

- Nie wszyscy by się z tym zgodzili – odparł Devon.

- Większość kobiet tak. Wiedzą, kto będzie chronił ich dzieciaki – Galway obejrzał się na namiot konsulu, gdzie ciągle słyszał kłótnię, o jedzeniu i egzekucjach i nawet znów o bitewnikach. Powiedział swoje. Coś więcej osłabiłoby jego argument.

Nagle naszedł go pomysł.

- Może pomogę im zobaczyć że bitewnicy mogą pomóc w czymś czego nie mogą zrobić ludzie – Klepiąc drugiego mężczyznę w ramię, traper ruszył przez śnieg.

- Gdzie idziesz? – zapytał Devon.

- Poprosić o przysługę.

Rozdział 20

Leon klęczał na zimnej podłodze w pokoju wyciętym z solidnej skały, jego jedynym źródłem światła był gruba świeca kąpiąca rzekami wosku po bokach. Zabrano mu buty, razem z bronią, a ręce i nogi miał związane z tyłu. Krótka lina łączyła więzy, sprawiając że nie mógł się wyprostować ze skulonej pozycji. Jego dłonie i stopu były zdrętwiałe z braku krążenia i miał wielki guz na głowie w miejscu gdzie uderzył go Mace. Wzrok miał lekko zamroczony i przy każdym ruchu czuł mdłości.

Nie ruszał się wiele, klęcząc w mgle bólu i wyczerpania, głowę schylając do piersi. Wszystko w co kiedykolwiek wierzył waliło się na niego, strzaskane w chwili gdy usłyszał jak jego bitewnik przemówił. Zabił tę biedną dziewczynę na nic, zamordował bez powodu poza rozkazem króla, którego nie szanował od lat.

Ril nigdy do niego nie należał. Pracowali razem przez piętnaście lat, żyli razem, obserwowali jak dorastały córki Leona. Przez cały ten czas Ril zdawał się go nienawidzić trochę mniej niż inni bitownicy swoich mistrzów i Leon przekonał samego siebie, że sylf żyli do niego uczucie na jakimś poziomie, nawet że Ril odwzajemniał odrobinę miłości swojego mistrza. Teraz Leon wiedział jak okropnie się oszukiwał. Był zdrajcą, mordercą. Zabrał stworzenie które ryzykowało wszystko przechodząc przez bramę i zdradził go w sposób poza wszelkim porównaniem, potem zmienił go w niewolnika.

Kark i plecy Leona bolały gdy tam klęczał, jego kolana płonęły na twardej podłodze. W ustach miał sucho, ale łzy ściekały mu po twarzy i na brodę. Wszystko co mógł to czekać aż ktoś przyjdzie go zabić, gdy rozpamiętywał każdy dzień z ostatnich piętnastu lat i każdą sekundę śmierci tej dziewczyny. Nie wiedział czemu Mace jeszcze go nie zabił, ale to było okrutne.

Drzwi, cienki płat doskonale zbalansowanego kamienia, otworzyły się z zaledwie powiewem powietrza. Wpuściły oślepiające światło z korytarza na zewnątrz i Leon zamrugał w bólu, zerkając w górę. Mężczyzna stał w przejściu, ubrany w szorstką tunikę parę rozmiarów za dużą dla niego i

wiszącą do jego nagich kolan. Był wysoki i szczupły, jego krótkie blond włosy wpadały mu do oczu.

Wyglądał jak jeden z bohaterów ulubionej książki Lizzy, pomyślał Leon mgliście. Oczy, jakkolwiek, były jasne od nienawiści. Były znajome, nawet choć były szare a nie złote.

- Ril? – wyszeptał. Twarz bitewnika wykrzywiła się z wściekłości i głowa Leona znów opadła. – Och, bogowie.

Ril powstrzymywał nienawiść, w ogóle nie nadając, ale Leon wciąż na dość był mistrzem by ją czuć. Czuł wzgardę i wściekłość sylfa, jak również ból, który Ril nadal czuł od rany. I teraz Leon wyczuwał wszystko co wcześniej było maskowane przez aurę nienawiści Rila, nawałnicę emocji o jakich nie miał pojęcia, że sylf je miał.

Smakując jego wrzenie, Leon mocniej pochylił głowę. Cisza. Po piętnastu latach niewolnictwa, widocznie jego bitewnik nie wiedział co powiedzieć.

Leon przemówił pierwszy.

- Przepraszam.

To się przedarło.

- Jak śmiesz mi to mówić! – krzyknął Ril. Jego aura nienawiści błysnęła na chwilę, potem równie szybko została ukryta.

- Co innego mam powiedzieć?

- Zabiłeś ją! – krzyknął. Opadając na kolana przed swoim mistrzem, chwycił Leona za gardło i wyprostował go. – Była bezbronna, a ty ją zabiłeś!

Leon odkrył że się dusi, ale chwycił powietrze nawet marząc by bitewnik to skończył.

- Wiem. Przepraszam! Tak mi przykro! – Dziewczyna mogła być Lizzy, którakolwiek z jego córek.

- Ty! – Ril ścisnął mocniej, odcinając Leonowi dopływ powietrza, ale w końcu pchnął go w tył, mocno. – Nie mogę cię zabić! Te cholerne rozkazy chronią cię przede mną!

Leon leżał na podłodze, jego ręce i nogi krzyczały bólem, gdy chwycił powietrza. Mógł pomyśleć tylko o jednej rzeczy, która mogła mu pozwolić żyć ze sobą. Albo i nie.

- Uwalniam cię! – sapnął. Od wszystkiego! Zrób mi cokolwiek chcesz!

Ril patrzył, czując jak więzi się rozluźniają. Leon był wciąż jego mistrzem. Mógł się żywić energią mężczyzny i odetchnął, pijąc głęboko. Było to znajome, wygodne, leczące. Ale zasady zniknęły. Nie tylko komendy by nigdy nie mówić czy zmieniać kształtu, te i tak złamała Solie. Teraz mógł zrobić wszystko.

Chociaż ciągle czuł Leona, tak jak Leon wyraźnie mógł czuć jego. Bez podniesionej aury nienawiści, Ril czuł skruchę i żal mężczyzny, jego absolutną miłość do żony i córek, i nawet do samego Rila. Bitewnik powiedział sobie że to nie wystarczy, że jego mistrz musi umrzeć za każdą popełnioną zbrodnię, ale ciągle wspominał jak Leon go głaskał, jego delikatny dotyk, chwile gdy pozwalał swoim córką zostać i bawić się z nim, gdy wszyscy mówili że nie powinien, jak przyszedł tu i ryzykował życie żeby uratować Rila przed dwoma bitownikami, po tym jak widział, że został pokonany. Leon zawsze zwracał na niego uwagę, co było rzeczą przez którą Ril przeszedł przez bramę: dla czyjejs uwagi.

Twarz bitownika wykrzywiła się strasznie.

- Niech cie cholera! – sapnął. – Niech cię cholera! – Obracając się, uciekł.

Leon leżał gdzie został zostawiony, płacząc cicho przez emocje, których nie mógł nazwać.



Radosny z wolności, Heyou leciał wysoko ponad równinami, jego zmysły błędziły po złamanej ziemi poniżej, gdy szybował na wietrze. Ciągle śnieżyło, ale łatwo poruszał się między płatkami, stale zmierzając na wschód. Nie wiedział co leżało w tym kierunku, skoro przyszli z południa, ale coś być musiało.

Optymistyczny, zdecydował lecieć przed siebie i zniżył się, podróżując dość szybko by już widzieć koniec równin i grunt unoszący się w więcej gór. Przeszybował ponad nimi i ponad lasami pokrywającymi stoki, zmierzając do dolin poniżej.

Tak naprawdę nie widział tego czego szukał, nie w tych górskich lasach pełnych śniegu. Galway nie był zbyt szczegółowy, poza tym by unikał ludzi i ludzkich osad. Solie się zgadzała gdy zostawił ją z Macem. Dziwnie było być z dala od niej, ale dobrze że mu z tym zaufano.

Heyou wystrzelił przez kanion i uniósł się gdy ten otworzył się w osadę z pasterzami bydła i miastem pełnej wielkości. Nikt nie był na zewnątrz by go zobaczyć, wielkości chaty i składającego się w skrzydlatą chmurę dymu, ale usłyszał szczekanie psów. Wleciał w chmurę powyżej i leciał dalej, ostrożny by bardziej się nie ujawnić.

Wszędzie były ludzkie siedliska. Droga prowadziła przez pierwszą dolinę i w następną, gdzie stało więcej wiosek. Zmuszony zostać wysoko, Heyou podążył za nią, mijając góry i doliny aż ostatnie się skończyły. Przed nim leżała teraz ogromna płaszczyzna wody, jakakolwiek ziemia za nią była zbyt daleko by zobaczyć. Tu na wybrzeżu, było zbudowane miasto z zamkiem i zatoką z nabrzeżami sięgającymi w błękit, gęsto załadowane statkami. Więcej statków było na morzu, łowiąc w lodowatej wodzie. Zaintrygowany, Heyou poleciał za najdalszy statek i dopiero wtedy opadł z wysokości.

Woda pachniała dziwnie i poruszała się bez przerwy. Ledwie muskając fale, Heyou wysłała w głąb swoje zmysły, szukając życia... i był zdumiony gdy znalazł je wszędzie wokół siebie. Nawet woda zdawała się ożywiona, choć nie nadawała się do jego celów. Zwolnił odrobinę i posłał zmysły dalej, znajdując ławice ryb pływające we wszelkich kierunkach. Też się nie nadają.

W końcu dalej odkrył to czego potrzebował, naruszające wodę w powolnych łukach. Większość była większa niż mógł unieść, ale zobaczył parę dość dużych do celów Galway'a jednocześnie nie za dużych do uniesienia. Przynajmniej miał nadzieje że to jest to czego chciał Galway. Traper nie mówił nic o wielkich ciałach w wodzie.

Heyou opadł, skupiając uderzenie mocy dość silne by zabić bez okaleczania. Uderzyła w cel, unosząc stworzenie z wody podczas gdy jego towarzysze rozpierzchli się w panice, i wbił szpony w zwłoki nim mogły upaść, unosząc to ze sobą w powietrze. Waga jednak niemal okazała się zbyt ciężka do uniesienia. Wydając skrzek, Heyou niemal skończył lądując w falach. Zamiast tego zmusił się do uniesienia, całą energię skupiając na zadaniu.

Drżąc, ruszył drogą którą przybył, jego łup zwisał poniżej, ale jakoś uczyniło to zostanie nie zauważonym mniej sukcesywnym. Heyou zobaczył ludzi stojących na ulicach miasta, patrzących na niego. Próbowano zyskać na wysokości, ale nie był dość silny. Zdesperowany, stworzył więcej szponów i wbił je w bestię, gdy te które już stworzył zaczęły się przedzierać i wysłał

prośbę do domu na liniach roju. Nadeszła daleka odpowiedź, gdy przedzierał się do przodu, powoli unosząc się nad dolinami rzek i gór i Ril napotkał go po kilku godzinach, pojawiając się gdy Heyou walczył przeciw zmiennym prądom powietrza, które mu nie przeszkadzały w drodze nad morze.

Drugi bitewnik cały dzień miał podły nastrój i zniżył się z chmur powyżej, jakby oczekiwał walki. Sapnął gdy zobaczył co niósł Heyou. Było to trzy razy większe niż młodzik.

Co to jest?

Nie wiem. Galway poprosił żeby to przyniósł.

Dlaczego?

Do jedzenia, tak myślę. Heyou zmienił uścisk i niemal upuścił rzecz. Pomożesz?

Ril zadrżała z odrazą, ale się zbliżył, pomagając dźwignąć ciężar. Razem, mogli unieść zwłoki powyżej linii chmur, gdzie prądy powietrza nie były tak zdradliwe i nikt ich nie widział. Czując ulgę, Heyou zmierzał do domu, zadowolony z podzielenia ciężaru.

Galway powiedział ci żeby to przynieść? Zapytał w końcu Ril, jego chmurzysta forma migotała z dezorientacją. Dlaczego miałbyś być posłuszny człowiekowi?

Heyou to rozważył. *Solie powiedziała że mężczyźni tutaj nie są bitewnikami i nie powinniśmy się zachowywać jakby byli. Powiedziała że musimy przestać ich widzieć jako wrogów.*

Mężczyźni są wrogami, odparł Ril.

Galway nie jest, kłócił się Heyou. Był dla mnie miły. Umarłbym bez jego pomocy. Przerwał. Myślę, że go lubię. Jest przyjacielem. Jeśli ktoś jest dla ciebie miły, nie liczy się czy jest samcem czy samicą, prawda? Są przyjaciółmi.

Liczy się.

Ale my jesteśmy przyjaciółmi, zauważył Heyou.

Ril uderzył dymem. Jesteśmy inni. Jesteśmy z tej samej linii roju.

I co? Ty na początku nie byłeś. Chociaż teraz jesteśmy przyjaciółmi. Chcę żeby mężczyźni tacy jak Galway też byli przyjaciółmi.

Nie potrzebuję przyjaźnić się z żadnym mężczyzną! Zagrzmiał Ril i puścił swój koniec by odlecieć.

Heyou wrzasnął i otoczył sobą swoją zdobycz, próbując jej nie upuścić, jednocześnie opadając z ledwie kontrolowaną prędkością. Już minawszy góry, prawie wylądował brzuchem na równinie i musnął zaśnieżoną powierzchnię,

zmierzając powoli i nieszczęśliwie do domu. Widział Rila, gniewny punkt na horyzoncie, nienawiść sylfa rozchodziła się po liniach roju, nawet jeśli nie w eterze, gdzie Solie tego zakazała.

Z dystansu nadeszło zapytanie Mace'a, o to co się dzieje. Heyou tylko warknął, samemu nie rozumiejąc. Otaczając zwłoki taką ilością swojej chmury jaką mógł, co nie zapobiegło kapaniu krwi na zaśnieżony grunt poniżej, z wysiłkiem kontynuował wyprawę.

Dotarcie do domu zajęło mu niemal resztę dnia i zanim dotarł był wyczerpany. Zbyt wykończony by unieść się nad ścianę klifu, poleciał od tyłu i w górę stoku, zdumieni ludzie patrzyli na niego i jego ładunek w szoku. Dzieci krzyczały, biegnąc za nim, ale w końcu Heyou zobaczył Solie wychodzącą z kuchennego namiotu z nożem do obierania i na wpół obranym ziemniakiem. Miała rozszerzone oczy z zaskoczenia i zachwytu.

Mace był tuż za nią, jego twarz bez wyrazu, ale zszokowani mężczyźni patrzyli na Heyou z każdego kierunku - na to co niósł. Przynajmniej raz się nie bali. Heyou nawet poczuł szczęśliwą ulgę od nich i zrozumiał co miał na myśli Galway: że bitownicy mogą zdobyć dość jedzenia dla Wspólnoty do przetrwania zimy.

Heyou podleciał o swojej królowej i upuścił swój ładunek, pozwalając piętnastopowemu wielorybowi upaść na śnieg. Zmieniając się w swoją ludzka formę, potknął się ku niej i upadł w jej ramiona, kompletnie wykończony. Gdy jej energia pulsowała wokół niego, przycisnął się blisko, pijąc.

- Czy to dość mięsa? – zapytał żałośnie.

Zachichotała.

- Na pewno mam taka nadzieję.



Zjedli dobrze tej nocy, ucztując na grubych stekach z wieloryba. Części których nie mogli zjeść już były wędzone, a tłuszcz odprowadzany na świecę i olej. Takie przygotowania były odrażającą, brzydką pracą, ale Wspólnota była szczęśliwa i ufna po raz pierwszy od miesięcy.

Solie siedziała przy stole ze swoimi bitownikami i podczas gdy żaden z sylfów nie jadł, cieszyła się swoim posiłkiem. Była już rozmowa o tym by

przynieśli więcej jedzenia, włączając owoce i warzywa jeśli możliwe. To było zadanie jakiegoś innego sylfy nie mogły wykonać, skoro nie zabiłyby niczego, nawet rośliny. Choć sylfy pomagały uprawiać i dbać o uprawy, zbiory musiały być zbierane przez ludzi. Bitewnicy, naturalnie, nie mieli takich skrupułów.

- Nie macie nic przeciwko pomaganiu w zdobyciu jedzenia? – zapytała ich jedząc. Mięso wieloryba było oleiste ale dobre i było go więcej niż dość.

Heyou wzruszył ramionami.

- Dopóki nie będzie takie duże. Chyba sobie coś naciągnąłem.

Ril odwrócił wzrok, ale Mace skinął powoli.

- Jak długo to miejsce nie zostanie niestrzeżone, nie mamy nic przeciwko.

Solie uśmiechnęła się do tria. Ciągle nie była przyzwyczajona do tej dziwnej empatii i przez większość czasu ją ignorowała, dla dobra swoich zdrowych zmysłów, ale jej bitewne sylfy ciężko było zablokować. Mace czuła jak gładkie jezioro, silne i uspokajające. Heyou był musującą fontanną, ekscytującą i szczęśliwą. Ril... był zduszonym bagnem albo tamą przed pęknięciem.

Spojrzała na niego. Bitewnik patrzył na zebrane rodziny, jego aura była powściągnięta ale nastrój podły, przygnębiając ją. Coś go zajmowało i nie wiedziała co z tym zrobić. Ril był od niej dużo starszy. Czy miała prawo wtargnąć w jego prywatność? Mimo że był jej, ledwie w ogóle go znała.

Solie westchnęła, oleistość posiłku pokonała jej apetyt. Była zmęczona. Była zmęczona zanim tu przyszła a teraz odczucie się pogorszyło. Wiedziała że bitewnicy brali od niej energię dla siebie, ale jakoś nie przyszło jej do głowy, że mogła nie mieć jej dość dużo. Zachowanie Rila ją przygnębiało.

Gdy patrzyła na swój talerz, Mace pochylił się nad stołem i uderzył drugiego sylfa w głowę. Ril się obrócił, oczy miał rozszerzone z wściekłości, gdy większy bitewnik wskazał kciukiem na Solie.

- Przestań od niej pić. Heyou wziął dziś dość.

Ril spojrzał na Solie i nagle jej zmęczenie złagodniało. Heyou pochylił się ku niej.

- Wszystko w porządku? – zapytał.

- Tak – przyznała. Jej apetyt wrócił i wzięła kolejnego gryza.

- Idź nakarmić się z tego twojego mistrza jeśli jesteś zmęczony – powiedział Mace Rilowi. – Tylko jeden z nas powinien brać energię od Solie.

- Nie widzę, żebyś szedł do swojego mistrza – warknął Ril.

- Znajdę kogoś innego – obiecał Mace spokojnie. – Jest tu wiele opcji. Może też powinieneś skorzystać.

Gdy Ril zrobił minę, Heyou uśmiechnął się do Solie.

- Przepraszam, że wzięłem tak dużo.

- Nie winię cię – powiedziała mu. – Ta rzecz była ogromna! A jeszcze nie tak dawno miałeś tę dużą walkę. Mogę to znieść.

- Nie powinnaś znosić trzech – zapewnił ja Mace.

Przy jednym z innych stolików, rodzina skończyła jeść i zaczęła zanosić talerze na przód namiotu. Chociaż zamiast unikać bitewników, zbliżyli się do stołu. Żona zwróciła się do tria.

- Bardzo wam dziękujemy – powiedziała im, jej oczy błyszczały. – To pierwszy raz od dawna gdy nie chodzimy głodni – Jej dzieci z czcią patrzyły na bitewników i nawet mąż zdołał unieść głowę by spojrzeć na nich bezpośrednio.

- Um, taa, dzięki.

Bitewnicy nic nie odpowiedzieli, żaden normalnie nie miał skłonności do rozmawiania z ludźmi. Chociaż Solie czuła ich aury. Heyou był zadowolony z pochwały – stosunkowo łatwo akceptując zmianę podejścia do ludzkich mężczyzn. Mace był spokojny – nie zainteresowany, ale też nie groźący. Ril był zbity tak ciasno że gotowy był uderzyć. Z wahaniem, Solie położyła mu rękę na ramieniu i zeszywniał zanim zmusił się do zrelaksowania. Jego emocje zmieniły się w skruchę.

Pierwsza rodzina ruszyła tamę, wielu innych podeszło podziękować trójce, która ich nakarmiła. Solie wiedziała że jedzenia było mało, ale widać nie zdawała sobie sprawy jak źle stały rzeczy. Jej sylfy prawdopodobnie uratowały Wspólnotę i rozpromieniła się do nich, mając nadzieję, że będzie to trend, który będą chętni i zdolni kontynuować.

Rozdział 21

Jasar zabił jednego ze swoich koni wracając do zamku, a ten który przetrwał sapał ciężko galopując głównymi bronami i na dziedziniec. Brudny i przestraszony, dandys ciągle zdołał spoglądać władczo na stajennego, który przyszedł zabrać zwierzę.

- Zawiadom króla, że wróciłem – nakazał, zsiadając i wzdrygnął się gdy mięśnie w jego nogach i tyłku zaprotestowały. To tylko bardziej go rozzłościło.
- Muszę pomówić z nim prywatnie gdy się wykąpię.

Obracając się, wszedł do zamku, służący i dworacy schodzili mu z drogi. To, że widzieli go w takim stanie było upokarzające, ale dobrze było wrócić. Wszedł do swoich apartamentów a w środku, odetchnął głęboko. Był w domu, z dala od pustych dróg i zimnych wiatrów, z dala od gróźb Leona i zdrady własnego bitewnika. Przerazenie, które czuł przez ostatnie pięć dni odeszło w obliczu komfortu i strzelił palcami, nakazując czekającej służbie przygotowanie kąpieli i usunięcie jego brudnych ubrań.

Alkowa Mace'a stała pusta z kącie pierwszego pokoju. Jasar spojrzał na pustą przestrzeń i odwrócił się, nie chcąc wspominać. Ta bitwa była naprawdę katastrofalna i jeśli nie będzie bardzo ostrożny, zostanie o nią obwiniony. Chociaż czuł jak jego pewność siebie wraca. Teraz gdy był znów na znajomym gruncie wiedział, że przetrwa.

Kąpiel zajęła mu godzinę, a służący dwa razy zmieniali wodę. Przynajmniej tyle czasu zajmie, nim król będzie gotowy go zobaczyć, a Jasar czuł się cały brudny. Nawet po niej nie czuł się całkiem czysty, choć był dość inteligentny by wiedzieć że jego dyskomfort jest wewnętrzny.

Żaden ze służących nie mówił do niego podczas kąpieli – gdyby się ośmielili natychmiast by ich odprawił – ale wiedział że zastanawiają się co stało się z Macem. Szeptano o tym po całym zamku. Jasar na samą myśl płonął z zawstydzenia. Warcząc, uderzył w twarz służącego, który nie ruszał się dość szybko, wstał z wanny i uniósł ramiona do szaty. Gdy została wokół niego zawiązana, poszedł do garderoby.

Ubrali go w satynę i jedwab, z koronkami na nadgarstkach i karku. Miękkie buty objęły jego stopy i westchnął z zadowoleniem gdy układali mu włosy i perfumowali. Dobrze było być czystym i odpowiednio ubranym, siła materiałów znów chroniła go przed tymi, którzy mogli z niego drwić czy lżyć. Przerzucając przez ramię krótki płaszcz, poszedł stawić się przed królem.

Alcor oczekiwał go w tej samej komnacie audiencyjnej co, gdy wysyłał go na tę wyprawę. Thrall stał za nim w tym samym miejscu, patrząc na Jasara bez wyrazu.

- Co się stało? – warknął król gdy Jasar podszedł do stóp podium i pokłonił się głęboko.

Jasar uniósł się i spojrzał suwerenowi prosto w oczy. Bezpośredniość Alcora mu nie przeszkadzała. Byłby bardziej zmartwiony gdyby król zapytał o jego zdrowie, co zwykle znaczyło, że Alcor planował zmienić jego stan. Choć szczerłość króla wymagała podobnej odpowiedzi.

- Wasza Wysokość – powiedział. – Przynoszę straszne wieści. Leon Petrulę cię zdradził. Przeszedł na stronę piratów, a jego bitewnik zabił mojego.

Alcor milczał przez długą chwilę. Jasar widział jak jego umysł pracuje. Król nie był głupcem, ale zawsze wszędzie widział wrogów, a Jasar wspierał taką postawę. Zawsze też był ostrożny by nie kłamać Alcorowi bezpośrednio. Pewnego dnia, rozumiał Jasar, będzie potrzebował tej historii szczerłości. Definitywnie ten dzień właśnie nadszedł.

- Głowa mojej ochrony ucieka, a twój bitewnik zabity przez innego? Jak przetrwał? – Alcor przyglądał się Jasarowi zmrużonymi oczyma.

- Dzięki poświęceniu Mace'a – odparł gładko dworak i złączył przed sobą dłonie. – To była grupa piratów, których mieliśmy wyeliminować. Sprawiono bym wierzył, że wszyscy zginęli, ale gdy wytropiliśmy tam dziewczynę, Ril zaatakował Mace'a. Przepraszam, że nie przewidziałem tej zdrady. Chociaż Leon definitywnie dla nich pracował. Zabiłby mnie gdyby mógł.

Król zmarszczył brwi, wydymając dolną wargę.

- A dziewczyna?

- Była z nimi, jak i jej bitewnik. Mace nie miał szans przeciw dwóm – Potrząsnął głową, jego ton miał wyliczoną dawkę żalu. – Najwidoczniej, twierdzenie Leona, że była niewinna, było kłamstwem. Ojciec Belican miał

rację – była podstawiona. Piraci są bardziej zorganizowani i napastliwi niż myśleliśmy.

Król usiadł na tronie, rozważając. To było dobre kłamstwo. Mimo paniki, opracowywał je przez kilka dni swojej ucieczki, całą winę zrzucając na Leona. Mógł z tego wyjść zyskując nawet więcej siły i szacunku niż wcześniej. Oparł się pokusie oblizania ust i czekał.

- To poważna sprawa – w końcu powiedział król i Jasar był zadowolony słysząc nutę niepewności w jego głosie. Alcor mu wierzył. Oczywiście, to kłamstwo niemal tego wymagało. – Zbierz konsul – nakazał służącemu, który wszedł po tym jak usiadł prosto i klasnął. – Przedyskutujemy to.

Potem król spojrzał na Jasara.

- Dobrze zrobiłeś przynosząc te wieści – przyznał i Jasar znów się skłonił, nie pokazując śladu złośliwego uśmiechu który czuł w środku. – Zostaniesz nagrodzony – gdy skończy się bitwa i wrócisz.

- Wróć, Wasza wysokość?

Król wygiął usta i Jasar zastanowił się w ile właściwie z jego kłamstwa uwierzył. Król oświadczył:

- Wiesz gdzie są piraci. Ktoś musi poprowadzić armię i bitewników, których wyślę by ich zniszczyć. Znasz teren. Będziesz bezcenny.

Krew Jasara zamarła. Musi wrócić? Gdzie Leon chciał jego śmierci, a Mace był poza kontrolą? Żaden bitewnik nigdy nie był nieposłuszny swemu mistrzowi i zobaczył nagle straszny obraz stworzenia ruszającego po niego.

- Wasza wysokość, nie mogę! Ja... będę celem. Leon obiecał mnie zabić jeśli wróć, a wciąż ma bitewnego sylfa.

Król leniwie machnął ręką i spojrzał przez ramię na Thralla.

- Więc przypuszczam, że musimy zdobyć ci innego bitewnika, prawda? – wycedził.

Jasar zamarł z nagłą ambicją. Kolejny bitewnik? Który słuchałby go jak Mace nie słuchał? Którego Leon nie będzie oczekiwał? Uśmiechnął się i znów pokłonił, głębiej niż wcześniej.

- Tak, Wasza Wysokość. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.



Zdecydowali nie informować dzieci i nastolatków. Żadne z młodych Wspólnoty nie musiało widzieć tak strasznej rzeczy jak wieszanie. Żadne nie powinno wiedzieć, że mężczyzna został zabity, jak większość nawet nie wiedziała, że tu był.

- Równie dobrze możemy pozwolić im zachować niewinność – wymamrotał Devon cicho. Airi przycisnęła się do jego pleców gdy patrzył jak ziemne sylfy wznoszą kamienny słup na krawędzi klifu a potem rozszerzają go na szczycie. Lina leżała zwinięta u podstawy, gotowa do zawieszenia. Ta lina obejmie szyję więźnia. Wszystko co muszą zrobić to zepchnąć go za krawędź i jego własna waga to zakończy.

Nie podoba mi się to, zaliła się Airi. Czy on musi umierać?

Devon potrząsnął głową. Nie on miał prawo się wypowiadać. Choć Morgal i reszta byli zdeterminowani. Leon Petrulle spowodował śmierć wielu ludzi. Rilowi najwyraźniej wybaczone zostaną jego działania, ale nie mistrzowi sylfa. Galway odszedł od Strii i sylfów tworzących szubienicę, idąc zająć się swoimi końmi, jego nieobecność wyrażała co o tym myślał. Devon wciąż nie był pewny czy nie powinien przyjąć oferty trapera by mu towarzyszyć.

- Nie mogę powiedzieć żebym ich winił – powiedział Airi.

Królowa będzie niezadowolona.

- Nie sądzę, żeby Solie miała tu prawo głosu.

Devon spojrzał na tłum gromadzący się przy wejściu do ula. Solie i Heyou byli teraz na dole, pomagając, jak i Mace. Coraz większa część Wspólnoty przeprowadzała się na dół by uciec przez zimnem i śniegiem, skoro miejsce było ciepłe i przytulne, jeśli nawet ciemne w miejscach gdzie nie było ognistych sylfów. Kuchnie zostały przeniesione na dół, gdzie Wdowa Blackwell zatrzymała młodzież by ich rozproszyć. Łatwiej było ich tak odizolować i Devon wątpił, żeby któreś wiedziało że ich rodzice są ponad ziemią, zebrani na zimnych skałach i czekający na egzekucję. Temperatura zdawała się zimniejsza niż jakkolwiek wcześniej czuł Devon, ale wciąż nikt nie odchodził.

Zerknął za siebie. Ril stał kilka stóp dalej, wyglądając na równiny. Zdawało się, że to on ostatnio cały czas stoi na straży. Ktoś znalazł mu lepiej pasującą

tunikę i spodnie i sylf naprawdę nie wyglądał inaczej od kogokolwiek – poza tym, że nie nosił płaszcza na lodowatym wietrze i wszyscy omijali go z daleka.

Dziwne, jak trzech bitewników się zaadaptowało. Heyou był ogromnie akceptowany we Wspólnocie, będąc radosnym i przyjacielskim. Mace zdawał się zdobywać reputację pośród kobiet, która sprawiała że mężczyźni zaciskali zęby a Wdowa Blackwell obserwowała go jak sokół gdy znalazł się w pobliżu jej podopiecznych. Ale Ril był najgorszy. Cichy i gniewny, czynił wszystkich nerwowymi i Devon miał nadzieję, że nie dbał o to, że jego dawny mistrz zostanie powieszony. Jeśli wiedział, w ogóle nie reagował. Nawet nie patrzył na wznoszącą się szubienicę.

Tłum się zebrał, niemal każdy dorosły ścisnął się dla ciepła i mamrotał miękko. Ich sylfy migotały wokół nich, powietrzne sylfy w większości niewidoczne, ziemne wyraźne i ciężkie, wodne i ogniste różniące się ekstremalnie. Wszystkie gawędziły jak dzieci, niektóre pytając mistrzów co się dzieje i jak można było wywnioskować, odpowiedź im się nie podobała.

- Nie musisz tu zostawać – powiedział Airi. – Wiem, że nie lubisz śmierci.

Zostanę z tobą, odpowiedziała lojalnie, co sprawiło że się uśmiechnął i zanucił dla niej pod nosem. Przycisnęła się do niego, ledwie widoczna.

W pobliżu tłum mamrotał, cofając się i Devon zobaczył Leona po raz pierwszy od schwytania. Głowa ochrony króla wisiał nieruchomo pomiędzy dwoma mężczyznami niosącymi go przez śnieg, siniak na czole był wyraźny na jego białej skórze. Jego ręce i stopy były związane i był boso, nawet płaszcz go nie otaczał.

Devon przełknął, życząc sobie absurdalnie żeby to nie musiało się stać. Członkowie Wspólnoty pluli na Leona, rzucając obelgi i śmiejąc się. Niektórzy płakali. Wszyscy będą zadowoleni z jego śmierci i Devon nie mógł ich winić. Leon Petrule był ekstremalnie niebezpiecznym mężczyzną.

Jednak miał nadzieję, że Leon umrze szybko. Wyglądało na to, że tak będzie. Król Alcor lubił sprawiać cierpienie więźniom. Leon pewnie wolałby umrzeć natychmiast od złamanego karku. Devon zadrżał, jego własny kark zamrowił na samą myśl. Jednak zmusił się do obserwowania. Musiał tak bardzo zostać jak Galway odejść – z szacunku do Wspólnoty i samego Leona.

Nie odwrócił się gdy wynieśli naprzód mężczyznę. Nikt tego nie zrobił, więc nikt nie widział co działo się za nimi.



Gdy Ril obrócił trzeci raz podczas obowiązku strzeżenia, coś pod jego ludzka skórą zamrowiło. Nie wiedział jak to podrapać, ani nawet co to. Jednak uczucie wracało co sprawiało, że Heyou obserwował go uważnie a Mace ciągle wyznaczał do strzeżenia.

Od kilku dni nie był w pobliżu królowej. Mace trzymał go od niej z dala, Ril wiedział, że na wypadek gdyby pękł. Też zaczynał myśleć, że to się stanie. Czuł w sobie szaleństwo, jak gdy jego pierwsza królowa umarła aż do czasu narodzenia Lizzy. Dlatego był zmuszony zostawać na zewnątrz tego ula, tak jak w roju w którym się wyklął.

Tak, rozpadał się drugi raz i nie wiedział jak to powstrzymać. Ciągle widział Leona – widział go zabijającego brązowowłosą dziewczynę, widział Leona wyciągającego rękę jako jego siedzisko, widział jak przychodził na pomoc po tym jak Mace zepchnął Rila z nieba. Widział Leona dającego mu wolność by zrobił cokolwiek chciał, włączając zabicie go.

Powinien go zabić. Ril chciał go zabić, ale też czuł poczucie winy mistrza. Ale to się nie liczyło. Nienawidził Leona, zawsze będzie go nienawidził. Był teraz bitewnym sylfem z królową, która znała jego imię!

Chociaż... ciągle pragnął Lizzy.

Czy będzie go nienawidzić jeśli zabije jej ojca? Nie mógł. Solie nakazała swoim bitownikom nie czynić krzywdy, nawet gdyby Leon błagał. Chciał! Tylko, że Leon również chciał żeby to zrobił. Jak mógł dać Leonowi coś czego ten tak chciał? Jednak czy mógł pozwolić mu żyć? Co się z nim działo?

Ril zadrżał, chcąc biec, chcąc walczyć, chciał ukryć twarz przy sercu Solie i krzyczeć póki to wszystko nie odejdzie. Chciał iść do Lizzy i oddać się jej. Chciał zabić Leona. Chciał zrzucić mistrza z klifu i pozwolić mu spaść. Chciał być posłuszny. Nienawidził Leona, a jednak coś go powstrzymywało, coś poza królową. Szaleństwo wzywało, jedyna obietnica spokoju.

Ludzie w pobliżu zbierali się wokół dziwnego urzędnika. Ril czuł jak się poruszali ale ich ignorował. Chociaż ich emocje wzrastały, zmierzając ku wściekłości i w końcu przesyły jego obojętność, dużo później niż stałoby się to w przypadku Mace'a czy Heyou. Obrócił się i zamrugał gdy zobaczył swego związanego mistrza niesionego ku czemuś co nagle rozpoznał jako

szubienicę. Emocje Leona były zgaszone, chore i smutne, żal zmieszany z ulgą. Widział przed sobą własną śmierć i był z tego zadowolony.

Ril też to zobaczył. Zamarł, jego oczy się rozszerzyły, gdy jego kształt rozproszył się w szoku. Zabijają jego mistrza? Nie mógł na to pozwolić! Tyle, że Leon go uwolnił. Mógł na to pozwolić. Zabijają Leona za niego, uwolnią go, pozwolą zbliżyć się do Lizzy bez poczucia winy. Śnił o tym od lat.

Nie, nieprawda. Nienawidził Leona – albo tak sobie mówił – ale pracowali razem, lepiej niż jakikolwiek bitewnik i mistrz. Leon rozumiał go lepiej niż ktokolwiek mógł pomimo litanii zasad i dał Rilowi wszelką wolność jaką mógł. Kochał bitewnika mimo jego nienawiści. Nawet teraz Ril wyraźnie czuł tę miłość. Leon chętnie szedł ku swej śmierci, mając nadzieje odpokutować to czego nigdy nie chciał zrobić.

Zmieniając formę w czarny dym i błyskawice, Ril zawył wzdłuż eteru, jego zaprzeczanie w końcu odeszło. On też kochał Leona, ta emocja wkradała się przez lata i chciał żeby mistrz żył. To dlatego nie mógł go zabić i dlatego niszczył samego siebie. Pomimo wszystkiego kochał swego mistrza.

Niemal ruszył by uratować Leona, ale jego objawienie i szok nie pozwalały mu skupić kształtu, co dopiero mocy. Zabiłby wszystkich, włączając Leona, a nakaz Solie był absolutny. Nie krzywdź nikogo.

Solie! Ona może to powstrzymać!

Czekaj na mnie! Ruszył, zmierzając za tłum i ku schodom prowadzącym do ula. Musi ja znaleźć zanim będzie za późno.



Leon był zadowolony gdy w końcu po niego przyszli. Wiedział, że to się stanie. Nie liczyło się jak strasznie się czuł albo jak próbował przeprosić. Wciąż pomógł zabić tych ludzi i musi za to umrzeć. Zamiast tego milczał, próbując im to ułatwić.

Choć opłakiwał to, że nigdy już nie zobaczy swojej rodziny, czuł też ulgę. To co zrobił Rilowi... Zrozumienie rozdarło go i zostawiło zakrwawionego. Nie mógł sobie wybaczyć. Uważał się za człowieka honoru, tylko po to by odkryć że wcale honoru nie miał. Stał się mordercą i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, winiąc Rila, kochając Rila, zawsze myśląc że Ril nie miał powodu do swej niekończącej się nienawiści. Ośmielił się nawet myśleć, że na jakimś

poziomie Ril odwzajemniał jego miłość. Był takim głupcem. Teraz za to zapłaci.

Został wyniesiony z celi i przez korytarze podziemnego pałacu który wykopali, na górę w zimno które zmroziło mu skórę i sprawiło, że szczekał zębami. Zaciskając oczy mocno przy wietrze, został przeniesiony przez tłum, który ryczał pragnąc jego śmieci i na krawędź klifu. W końcu patrząc w górę, zobaczył kamienną szubienicę na której go powieszą, linę już czekającą.

Czekaj na mnie!

Leona zdumiał głos nawet gdy postawili na bezkrwiste stopy i pomogli mu ustać. Przywódca piratów założył mu stryczek na szyję i zacisnął go, mówiąc coś o właściwej karze. Leon spojrzał ponad tłumem, ale nie widział kto przemówił. Słowa go przeszyły i próbował przemówić, ale nie dano mu wody od poprzedniego dnia i jego usta były spierzchnięte. Musi poczekać, tylko minutę. Próbował im powiedzieć.

Długowłose przywódca skończył mowę i wziął głęboki oddech.

- Niech bogowie się nad tobą zlitują – powiedział Leonowi i położył pewną rękę na jego piersi. Mężczyźni po bokach puścili i pchnął mocno.

Leon spadł tyłem z klifu, lina wiodąca od jego szyi rozwijała się w powietrzu. Miał tylko chwilę by zobaczyć błysk światła a potem wszystko zgasło.

Rozdział 22

Dzieci Wspólnoty robiły różne rzeczy. Niektóre świece. Inne wrzecionem przedły z wełny przędzę. Solie awansowała ze zwykłego obierania ziemniaków do skrobania marchwi. Jak zwykle, Heyou siedział obok, jedną ręką wrzucając skrobki do miski, a drugą przesuwając po jej nodze pod zakryciem stołu.

Solie na zmianę rumieniała się i chichotała, zastanawiając się czy mogłaby go zabrać z powrotem do pokoju tak żeby wdowa nie zauważyła. Kobieta nie mogła jej zabronić być z Heyou, ale na pewno uniemożliwiłaby takie przyjemności w ciągu dnia. Choć teraz, wdowa nie zwracała na nią uwagi. Mace przyszedł do przepastnego obszaru jadalnego i z braku lepszego słowa, prześladował ludzkie dziewczyny. Solie czuła jego zainteresowanie.

Jak i dziewczyny. Z miejsca w którym siedziała, Solie obserwowała jak Mel i Aneala patrzyły na niego ze szkarłatnymi twarzami. Loren mrugnęła do niego śmiało i wielki bitewnik ruszył prosto na nią. Jego zainteresowanie było tak silne, że Solie zarumieniała się po drugiej stronie pomieszczenia. Chłopcy obserwowali zazdrośnie.

- Nie wiedziałam, że możecie nadawać coś takiego – Solie zdołała wykrztusić do Heyou, jej twarz płonęła.

- Tak – Heyou uśmiechnął się szeroko. – Chcesz, żebym ci to zrobił?

- Może później – Gdy nie będą na widoku. Choć Solie nie była pewna czy Loren obchodziła widownia. Odpowiedź dziewczyny na żądze Mace'a była wyraźna. – Myślę, że lepiej żebym go powstrzymała – powiedziała. Ale nie drgnęła. Ani żadne z młodzieży, jakby byli w transie – chociaż bardzo małe dzieci dalej się bawiły.

Ignorując ich wszystkich, Mace okrążył stół ku Loren i sięgnął po nią, jego oczy się jarzyły.

- Nawet o tym nie myśl! – krzyknął szorstki głos. Wytrąceni z transu, wszyscy obrócili się by zobaczyć Wdowę Blackell idącą szturmem ku Loren i Mace'owi, z wiecznie obecną łyżką w ręce. – Loren MAlachi! Zabieraj się do

kuchni w tej chwili i jeśli jeszcze raz zobaczą że się tak zachowujesz, razem z twoją matką spierzemy cię na kwaśnie jabłko!

Czerwieniejąc z zawstydzenia, dziewczyna uciekła.

Wdowa obróciła się do Mace'a.

- Ty! Gonić młode dziewczyny! Co ty sobie myślisz?

- Nie możesz zgadnąć? – zapytał bitewnik.

Inne dziewczyny zachichotały, ale wdowa potrząsnęła na niego swoją łyżką.

- Cóż, wybij to sobie z głowy! Żadne z tych dzieci nie jest osiągalne. Nie obchodzi mnie jak dorosłe im się wydaje że są, albo tobie jak jesteś ważny. Nie dotkniesz ich, słyszysz mnie?

Mace zamrugał i celowo spojrzał na jej pierś.

- Na mnie też nie patrz! – zaskrzeczała. – Wynoś się! Wynoś! – Wywijając łyżką rzuciła się na bitewnika, gdy nastolatki się śmiali. Ponuro dał się doprowadzić do drzwi, jego emocje rozbawione, zauważyła Solie i tylko odrobinę zawiedzione.

Heyou przesunął rękę dalej na jej nodze, sprawiając że zadrżała.

- Chyba nie ma szczęścia – powiedział zadowolony z siebie.

Mace szedł cicho, wdowa biła go po plecach łyżką i dalej go besztala. Gdy dotarł do wyjścia, jego emocje się zmieniły. Zesztywniał i nagle się obrócił, unosząc wdowę i odskakując od drzwi. Krzyknęła. Chwilę później, Ril wystrzelił przez przejście w naturalnej formie.

Wszyscy zaczęli krzyczeć w panice. Aura Rila wydostawała się z jego burzowej chmury pomimo rozkazów Solie, kule błyskawic którymi były jego oczy jarzyły się tak jasno, że były niemal białe. Solie poczuła jak Heyou chwycił ją wokół pasa i ściągnął ją z drogi bitewnika, gdy ten poleciał naprzód. Emocje Rila były tak przejmujące, że sprawiły że w głowie jej wirowało.

Ril dotarł do jej stołu i wrócił do ludzkiej formy, nie przejmując się pojawieniem w ubraniach. Opadły na podłogę wokół niego gdy pochylił się nad stołem, nagi.

- Powieszę Leona – powiedział jej. – Powstrzymaj ich!

- Co? – wykrztusiła.

- Mojego mistrza! Zabiją mojego mistrza! – Niemal to wyszlochał, jego emocje w agonii. Mace stanął za nim, kładąc mu rękę na ramieniu i odciągając.

Heyou był ciągle napięty, widziała Solie. Obaj obserwowali Rila, gotowi zaatakować.

Solie zmusiła się do myślenia. Wieszają Leona? Nikt nic jej o tym nie mówił. Spojrzała na Heyou z sercem w gardle.

- Idź!

Zawahał się na moment, patrząc, potem znikł, błysk czarnego dymu i skrzydła śpieszące ku wyjściu.

Ril patrzył na nią, jego oczy rozszerzone i wyrwał się z uścisku Mace'a, samemu zmieniając się w dym i podążył za Heyou.

Solie uniosła ramiona.

- Pomóż mi – nakazała Mace'owi. Było tak daleko do powierzchni. Za daleko, podejrzewała, by przybyć na czas.

Jego ręce ją otoczyły, ciepłe i pokryte włosami bardziej szorstkimi niż te na ludzkiej formie Heyou. Uniósł ją i się zmienił, stając się czernią która ją objęła, złapała i uniosła. Potem poczuła jak się poruszają.

Nie widziała i próbowała nie wstrzymywać oddechu gdy bitewny sylf podążał za innymi. Jej pozycja z horyzontalnej zmieniła się w pionową, potem znów w horyzontalną, ale w końcu Mace znów się zmienił, stawiając ją na zaśnieżonym gruncie, ale nadal otaczając ją swoją osłoną dla ciepła.

Przestraszona, Solie patrzyła na scenę przed sobą.

- Co wy zrobiliście?



Heyou z ogromną prędkością wystrzelił z klatki schodowej, unosząc się nad tłumem dokładnie gdy Morgal zepchnął Leona z klifu. Mniejsze sylfy rozproszyły się na jego widok i skupił małe cięcie energii i uderzył nim w szubienicę, tnąc linę gdy miała właśnie osiągnąć pełne napięcie. Cały szczyt szubienicy rozpadł się w jasnym błysku i ryku strzaskanej skały.

Ril wystrzelił obok, mijając tłum i w dół, łapiąc Leona w osłonę nim mężczyzna mógł opaść więcej niż kilka jardów. Heyou podążył za nim, nie rozumiejąc. Drugi bitewnik zmierzał ku dnu urwiska, z Leonem w pełni objętym i chronionym. Czy Ril go nie nienawidził? Dlaczego w ogóle chciał uratować swojego mistrza? A może dlatego Ril zachowywał się tak niezrównoważenie?

Heyou wiedział, że Mace martwił się o kontrolę Rila. Heyou wiedział, że czasami zdobyte sylfy włączone w nowy rój popadały w szaleństwo. Obaj z Macem dzielili lęki nad tym co działo się z Rilem i że będą musieli go zabić by chronić rój i Solie. Już żaden z nich nie chciał go w pobliżu niej i młody bitewnik podejrzewał, że Ril to wiedział. Samemu nie mógł sobie wyobrazić zastania wygnanym od królowej.

Widział jak Ril dotarł do stóp klifu i zmienił się, kładąc mistrza na ziemi. Leon był związany wokół nadgarstków i kostek i Ril zmienił palce w szpon. Używając go, przeciął liny i mężczyzna jęknął gdy jego kończyny się uwolniły. Heyou czuł ból Petrule'a gdy czucie wracało w jego dłonie i stopy. Heyou wrócił do ludzkiej formy, ale Ril go zignorował jakby go tam nie było i skupił się na swoim mistrzu.

Nie, Heyou naprawdę nie rozumiał.



Ril patrzył na Leona, tak wyczerpany, że ledwie mógł myśleć. Odlegle podejrzewał, że jest w szoku, że był w nim przez długi czas. Jak i Leon, który patrzył rozszerzonymi oczyma jak Ril rozluźniał stryczek wokół jego szyi i w końcu ściągnął go z dużą delikatnością.

- Myślałem, że mnie nienawidzisz – wyszeptał.

- Tak jest – powiedział Ril automatycznie. – Nienawidzę cię bardziej niż cokolwiek.

Pomimo słów, gdy Leon zadrżał, Ril zmienił się częściowo, otaczając go krawędzią osłony. Próbował skupić aurę tylko by udowodnić swoją nienawiść, ale ta nie nadchodziła. Tylko ulga i dezorientacja. Leon westchnął i usiadł, próbując rozetrzeć nadgarstki palcami, które nie chciały funkcjonować. Był związany tak długo że czubki palców były szare.

Ril spojrzał w górę, wysyłając wezwanie. Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast, w formie z gracją spływającą wzdłuż klifu i do nich podczas gdy jej mistrz krzyczał bez skutku by wróciła. Luck Uzdrowicielka osiadła obok nich i przyjęła rozmazaną ludzką formę. Patrząc najpierw na Rila, a potem na Leona, wybrała najpierw człowieka po zobaczeniu groźnego spojrzenia Rila.

Dotknęła ręk Leona a potem stóp, przywracając życie w zduszonych kończynach, łagodząc wstrząs mózgu na który cierpiał. Potem sięgnęła do Rila

i bitewnik opadł gdy trochę bólu w nim zniknęło, rana którą spowodował Mace w końcu się zaleczyła. Nie mówiła; uzdrowicielki rzadko to robiły. Po prostu wykonała swoją pracę i wróciła na szczyt klifu.

Heyou obserwował w ciszy. Teraz patrzył na Rila i Leona, zdawał się podjąć decyzję i podążył za uzdrowicielką.

Ril zmierzył spojrzeniem mistrza. Energia Leona była słaba, ale ciągle smakowała dobrze. Leon rozcierał nadgarstki przez chwilę i nieszczęśliwie odwzajemnił spojrzenie.

- Czego chcesz? – zapytał.

Ril wzruszył ramionami, zbyt zmęczony by powiedzieć coś poza prawdą.

- Chcę dziewczynek. Chcę zobaczyć Lizzy i Bethę, Carę, Nali i Ralad. Chcę żeby tu przybyły.

- A ja?

Bitewnik odwrócił wzrok.

- Muszę skądś brać energię. Nie mogę jej czerpać cały czas od królowej. Ma nas zbyt wielu.

- Rozumiem – Leon zdawał się to przyjmować. – Możemy sprowadzić tu dziewczynki, jeśli zostaną przyjęte. Nie wiem czy tak się stanie.

- Nikt cie nie skrzywdzi – obiecał Ril.

Leon uśmiechnął się słabo. Ril poczuł jak jego stary mistrz zaakceptował sytuację i niemal zadrżał, ciągle niepewny jak samemu to zaakceptować. Chociaż musi się nauczyć albo jak podejrzewał któregoś dnia Mace się nim zajmie. Pewnie by go to ucieszyło. Tyle, że to by znaczyło, że już nigdy nie zobaczy Lizzy.

Zmusił się do spojrzenia na Leona, nie chcąc myśleć o nim jako o swoim mistrzu. Ta droga prowadziła do szaleństwa, którego już nie chciał ryzykować. Nie było nic innego do powiedzenia.

- Pojedziemy po dziewczynki – oświadczył Leon. – Przyprawimy je tutaj. I tak nie mógłbym wrócić do Eferem. Nie teraz.

Ril skinął, patrząc w dół. Znow poczuł wstyd Leona.

- Dziękuję – powiedział.

Z wahaniem, ludzki samiec położył rękę na ramieniu bitewnika i sylf uniósł rękę by ją chwycić. Żaden z nich nie powiedział nic na głos, ale wszystko mówiła cisza.



Solie patrzyła na złamaną szubienicę z przerażeniem, rękę przyciskając do piersi. Próbowali powiesić Leona? Musiała sobie przypomnieć, że nie mogli czuć jego żalu tak jak ona. Jednak myśl o zabiciu go wywołała u niej mdłości.

Większość ludzi na zwracała na nią uwagi, kłócąc się i dyskutując nad ucieczką więźnia. Solie widziała Cala stojącego blisko. Woźnica, który przywiózł ją i Devona do wspólnoty próbował patrzeć nad ramionami innych i każdy krzyczał do każdego by oświadczyć co działo się na dnie urwiska. Ziemny sylf Cala stała w pobliżu, patrząc na Solie. Wszystkie inne sylfy robiły to samo, czekając na jej rozkaz.

Łzy napętniły jej oczy. Nie chciała tego! Nie chciała niczym dowodzić, co dopiero rojem sylfów i trzema bitewnikami. Czując jej ból, Mace położył rękę na złączeniu jej karku i ramienia, masując delikatnie. Zrobiłby dla niej wszystko. Zrobiłby jej wszystko, zrozumiała i zarumieniła się. Tego też nie chciała.

Jedyna rzecz jakiej chciała wrócić nad krawędzią klifu, chmura gęstego dymu i błyskawic z czerwonymi oczyma i szerokimi skrzydłami. Wszyscy ludzie się cofnęli i wylądował, wracając do ludzkiej formy. Był niewiele wyższy od niej, zmuszony patrzeć w górę na mężczyzn i nawet większość kobiet, i obserwował ją uważnie. Również czekał.

Co powinna zrobić? Nie chciała żeby ktokolwiek umierał. Ale to nie jej miejsce mówić cokolwiek starszym. Tyle, że właśnie tak było. Była królową, za sprawą prawa sylfów.

Z odległości czuła zmęczenie Rila, ale dręcząca go burza była dużo mniejsza. Cokolwiek stało się między nim a jego mistrzem, znalazł odrobinę spokoju. Straci to jeśli Leon umrze.

To sprawiło, że podjęła decyzje. Jeśli Ril mógł wybaczyć Leonowi, to ona też.
- Nikt nie umrze – wyszeptała.

Jej bitewnicy ruszyli. Heyou się obrócił i przycisnął rękę do tego co pozostało z szubienicy, która się strzaskała, eksplodując w pył który na wietrze rozniósł się po równinach. Mace stanął przed Solie, błyskając opiekuńczo gdy Ril pojawił się na krawędzi klifu, stawiając Leona. Głowa

ochrony króla wyglądał na upokorzonego, jego żal prawdziwy gdy stawiał czoła tłumowi.

Tłum był nieprzekonany. Zaczęli iść naprzód, żądając zemsty.

Ril stanął przed Leonem. Reszta sylfów też zareagowała, chwytając mistrzów i ciągnąc ich do tyłu. Solie zadrżała, widząc zaskoczenie na ludzkich twarzach. Morgal zmierzył spojrzeniem swego ognistego sylfa w zdumionym przerażeniu, gdy odholowała go do tyłu, zmniejszając swój płomień by go nie poparzyć. Nawet Airi objęła nagle bardzo solidnymi ramionami Devona, zatrzymując go w miejscu. Mężczyźni wykrzykiwali rozkazy, ale sylfy odmawiały posłuszeństwa.

- Nikt nie umiera! – zawył Mace. – Królowa przemówiła!

Ludzie w szoku obrócili się ku Solie, mężczyźni trzymanii przez swoje sylfy, kobiety z dezorientacją stały za nimi. Wszyscy patrzyli na Solie, która chciała zapaść się pod ziemię. Wspólnota była pełna zaskoczenia i rosnącego gniewu – który sprawił że trzej bitewnicy zaczęli warczeć.

- Nie możesz wydawać tu rozkazów! – sapnął Morgal. – Jesteś tylko dziewczyną.

- Jest królową – powiedział Heyou.

- Królowa – powtórzyły niczym echo wszystkie sylfy.

- Królowa.

- Królowa.

Mężczyźni patrzyli z zaskoczeniem na swoje sylfy, a potem na nią.

Królowa, odetchnęła Airi, trzymając Devona.

- Och, mój boże – wykrztusił, w końcu w pełni rozumiejąc.

Leon spojrział na tłum pragnący jego egzekucji i na tuziny sylfów chętnych go bronić na słowo małej, rudowłosej dziewczyny stojącej na wpół w ciepłej osłonie Mace'a, jakby to był jakiś płaszcz zrobiony z ciemności. Zadrżał, czując zimno i ruszył naprzód, każdy go obserwował gdy do niej podszedł.

Oczy Mace'a się jarzyły gdy się zbliżył, ale bitewnik nic nie zrobił zanim Leon ciężko opadł na jedno kolano i skłonił głowę.

- Jestem Leon Petrul i niniejszym przysięgam lojalność i wierność tobie, królowo sylfów, odrzucając wszelkie inne przysięgi. Jestem na twe rozkazy, moja pani.

Solie przełknęła, wstrząśnięta, gdy za mężczyzna, Ril wydał zduszony szloch. Ostatni z konfliktów w nim wyparował. Zadrzała.

- Przyjmuję – wyszeptała, jej głos odbijał się echem w ciszy.

Tuzin stóp dalej, Devon spojrzał na nią i na Leona, potem z powrotem na Airi. Była szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Zmierzył spojrzeniem zdumiony tłum, zdolny zrozumieć ich przerażenie i dezorientację. Tylko paru zrozumiało jak zmieniają się sprawy. Teraz wszyscy widzieli jak zatoczyli pełne koło. Ktokolwiek by chciał dyktować przyszłość Wspólnoty już przegrał.

Znów spojrzał na Airi.

- Puść mnie, proszę?

Uśmiechnęła się i puściła, znikając w wietrze.

Prostując się, Devon podszedł i klęknął obok Leona.

- Jestem Devon Chole – przełknął, próbując przypomnieć sobie dokładnie co powiedział drugi mężczyzna. - I niniejszym przysięgam lojalność i wierność tobie, królowo sylfów, odrzucając wszelkie inne przysięgi. Jestem na twe rozkazy, moja pani – Spojrzał w górę i dodał szeptem. – Nie spieprz tego.

Rozdział 23

Po raz drugi w życiu, Jasar Doliard of Sialmeadow stał przed ołtarzem w komnacie wezwań, ze zdobionym nożem w ręce. Blondynka porwana z bazaru, oskarżona o uprawianie czarów, patrzyła na niego z przerażeniem, wijąc się w więzach i kneblu. Ta została już rozebrana i przeszukana choć było naprawdę wątpliwe czy mogła choćby być jeszcze nazywana dziewicą.

Kapłani inwokowali. Było ich dużo mniej, w większości studenci podniesieni w rangach przez ojca Belicana. Z ich intonacją, linie koła w którym stał Jasar jaśniały, odwzorowując inne koło pojawiające się powyżej.

Gdzieś za nim jak wiedział Jasar, obserwował ich król, jego obecność zdradzała aura nienawiści Thralla. Wbrew wszelkim tradycją wziął ze sobą bitewnika i Jasar widział strach na twarzach kapłanów – gniew sylfa przeszkadzał liniom mocy jakie budowali. Ale król nie będzie znów ryzykował braku ochrony, a jeśli kapłanom nie podobał się jego wybór, zatrzymali to dla siebie.

Na szczęście, pomimo obecności Thralla i pomimo faktu, że Jasar nadal miał bitewnego sylfa, ceremonia działała. Jasar obserwował jak krąg powyżej się poszerzył, jego brzegi zmieniały kolory tęczowo aż stały się nicością, której nie mógł opisać żaden kolor. Blondynka zaskomlała, rozłożona jako podarunek i przynęta. Jasar poprawił uchwyt na nożu i czekał.

Coś zamigotało po drugiej stronie, świadomość zerknęła przez bramę. Jasar poczuł jak oddech utknął mu w gardle. Ostatnim razem, nie wiedział czego oczekiwać, ale teraz czekał do kluczowego momentu aż bitewnik przejdzie. Zawahało się, ale Jasar uniósł nóż, patrząc w górę.

Bitewnik zauważył dziewczynę. Jasar to poczuł i zobaczył jak ta rzecz przeszła, ogromna chmura czarnego dymu i błyskawic, jego oczy rozjarzone żądzą. Przeszło dla dziewczyny i Jasar z krzykiem wbił nóż głęboko w jej pierś. Jej oczy się rozszerzyły i ciało opadło, już martwe.

Bitewnik krzyknął, jego nienawiść wstrząsała ścianami i to się skrzywiło, niezdolne iść do dziewczyny i niezdolne wrócić przez zamkniętą za nim

bramę. Jasar puścił nóż, zostawiając go wystającego z ciała dziewczyny i spojrzął w oszalałe oczy stworzenia.

- Shield⁵! – krzyknął. – Nazywam cię Shield! Jestem twoim mistrzem! Będziesz mi posłuszny!

Shield znów krzyknął, nazwany i zatrzymany, pragnąc wolności i śmierci Jasara, ale tysiące lat tradycji utrzymało efektywnie linię niewolnictwa.

- Nie skrzywdzisz mnie! – krzyknął Jasar, jego głos był zdeterminowany i czysty. Nie mógł się wahać inaczej bitewnik by go zabił i wszystkich innych nim zniknąłby w swoim świecie. – Nie pozwolisz mnie skrzywdzić! Nie będziesz mówił! Przybierzesz kształt jaki ci nakazę i zostaniesz w nim! Nie będziesz karmił się moją energią w stopniu, który by mi zagrażał! Nie będziesz atakował poza chwilą, w której to nakazę lub by mnie chronić! Nie zrobisz nic by mnie zdradzić! Jesteś moim bitewnikiem, Shield! Wiążę cię!

Krzyk Shielda na to był najgłośniejszy, wstrząsając pomieszczeniem. Pył opadł wokół Jasara gdy patrzył na tę rzecz.

- Patrz! – nakazał, wskazując za siebie na zwierzę na smyczy trzymane przez wystraszonego służącego. Ostatnim razem wybrał zbroję, ale tym razem chciał czegoś bardziej użytecznego. Inni mistrzowie opisywali bitewnikom kształt jaki mieli przybrać, ale Jasar nie miał cierpliwości. Łatwiej było pokazać. – Przybierz ten kształt. Nakazuję. Słuchaj mnie!

Shield zawył, ale spojrzął na to w co Jasar chciał żeby się zmienił i transformował, skrzecząc aż wielki czarny pies siedział na ołtarzu ponad dziewczyną, z obnażonymi zębami.

- Dobrze – Jasar uśmiechnął się złośliwie. – Do nogi, psie.

Shield ruszył naprzód, jego masywna głowa obracała się ku poświęconej dziewczynie. Jego język sięgnął ku niej, nie dotykając i w końcu zeskoczył z ołtarza by przysiąść przy boku nowego mistrza. Jasar się obrócił, wydając chusteczkę z kieszeni by otrzeć krew z rąk. Nienawiść Shielda była gęsta, ale nie gorsza niż Mace'a. właściwie całkiem komfortowo było znów to czuć i Jasar się uśmiechnął.

Król do niego podszedł, Thrall kilka stóp za nim.

- Żadnych problemów, jak widzę.

⁵ eng. tarcza.

- Oczywiście, że nie, mój panie. To prosta ceremonia – Skłonił się. – Gdy nie jest sabotowana.

Król parsknął.

- Uważaj się za szczęśliwszego niż mój syn – Odwrócił się. – Przygotuj się, Jasar. Statek powietrzny odlatuje rano. Wysyłam z tobą moich trzech bitewników. Czterech przeciw dwóm powinno być dobrą proporcją – Wyszedł z komnaty, Thrall za nim.

Jasar obserwował jak Alcor wychodził, mrużąc oczy. Kapłani podążyli za królem, razem ze służącym z psem. Jasar zaczekał aż wszyscy wyszli nim obrócił się do nowego bitewnika.

- Słuchaj mnie, kawałku gówna – powiedział. Czarne oczy sylfa jarzyły się odrazą. – Mam dla ciebie jeszcze jeden rozkaz. Przede wszystkim będziesz mnie chronił. Nie pozwolisz żeby choć mucha mnie ugryzła, rozumiano? Jesteś moją tarczą i lepiej wykonuj cholernie dobrą pracę.

Wtedy wyszedł, bitewnik podążył jak dobrze wytrenowany chart. Jasar się nie obejrzał, ale Shield tak, ledwie zdolny zobaczyć więcej niż krawędź martwego ciała dziewczyny na ołtarzu. Czuł w sobie krzyk, który zdawał się nigdy nie cichnąć.



Kwatery Solie zostały poszerzone, dwa ziemne sylfy wykopały przejście do kolejnego zestawu apartamentów za komnatami, które już miała jako salon i sypialnię. Na początku nie była pewna tego dodatku, ale teraz była zadowolona z dodatkowej przestrzeni, gdy drugi apartament stał się rezydencją bitewników i ich nowych ludzkich odpowiedników. Bez tego, wszyscy po prostu żyliby na niej i w ogóle nie miałyby prywatności.

Chociaż obecnie, nie miała nic przeciwko gdy siedziała na beli siana we frontowym pokoju, czesząc włosy. Heyou polował z Rilem, podczas gdy Mace strzegł klifu. Devon miał wolne, co zostawiło Leona do pilnowania jej. Były więzień opierał się o ścianę przy drzwiach, ostrząc miecz i co jakiś czas na nią patrząc. Było to niemal zabawne jak jego przysięga sprawiła, że bitewnicy zaufali mu z ich pracą, ale mogli czytać co było w jego sercu. Nie pozwoliliby żeby coś jej się stało.

- Wiesz – zaczął, testując czubek miecza kciukiem. – Nie musisz tu ze mną siedzieć. Nie jestem mile widziany przez większość ludzi tutaj, ale nie umrę z samotności.

Zmarszczyła brwi i odłożyła szczotkę, przekładając długie włosy przez ramię.

- Ja myślę że mogłabym – odpowiedziała miękko.

Leon uniósł brew i odłożył na bok osełkę.

- Jesteś samotna? Zawsze przynajmniej jeden z nas jest z tobą.

Wzruszyła ramionami, szukając słów by wyrazić to co chciała powiedzieć.

- Taa, ale, cóż, wszyscy jesteście facetami. Nie rozmawiałam z żadną kobietą od, um...

- Odkąd próbowali mnie powiesić? – podpowiedział. Nie przejmował się dużo przeszłością. Minęły dwa dni i mężczyźni i kobiety Wspólnoty ciągle spoglądali na niego nieufnie, ale nikt nie mógł zignorować tego, że sylfy go zaakceptowały, włączając bitewników. Dzięki jedzeniu jakie przynosili i ochronie jaką oferowali, Mace i Ril stali się popularni pomimo wcześniejszego ataku, a Heyou był lokalnym ulubieńcem. Leon nie otrzymał takiego statusu, ale też nikt nie próbował wbić mu noża w plecy. Mógł z tym żyć. Na zaufanie trzeba zapracować i nie oczekiwał go natychmiast. W końcu udowodni swoją wartość.

Jednak jego przetrwanie nie pomagało reputacji Solie. Dziewczyna przytaknęła.

- Tak. Każdy mnie nienawidzi albo się mnie boi. Nie mogę tego znieść.

Nie mógł jej winić.

- Minęły tylko dwa dni – wskazał. – Wszyscy mają dużo do przyswojenia, a twoja pozycja zmieniła się dość dramatycznie.

- Ale nie chcę, żeby się zmieniła.

Leon potrząsnął głową.

- To się nie liczy – Nie mogła być płaczliwa czy się bać. Podobało jej się to czy nie, była u władzy i jeśli tego nie użyje, ktoś wykorzysta i to i ją – i jej bitewników też. – Musisz dojrzeć do odpowiedzialności. Gdy to zrobisz, odkryjesz że znów masz przyjaciół. Nie będą tacy jak przyjaciele z dzieciństwa jakich miałaś wcześniej, ale wciąż będą przyjaciółmi – I z empatią bitewników

zawsze będzie wiedziała, która przyjaźń była prawdziwa. Mało który władca posiadał taki dar.

- Ale ja nie wiem jak dojrzeć do swojej pozycji – zaprotestowała. –

Urodziłam się w maleńkiej wiosce. Mój ojciec chciał mnie wydać za trzy razy starszego mężczyznę. To jedyna ambicja jaką ktoś kiedykolwiek miał w stosunku do mnie.

- I? Jestem synem woźnicy. Nie jesteś swoim pochodzeniem. To kim jesteś zależy od tego co zdecydujesz się zrobić ze swoim życiem.

Ucichła na chwilę, patrząc na niego.

- Będiesz mnie uczyć? – zapytała w końcu.

Leon ukrył uśmiech. Dziewczyna była młoda, ale nie głupia. Wiedziała, że potrzebowała doradców by trenowali ją w rzeczach, których musiała się nauczyć.

- Oczywiście. Poproś też Devona. Są rzeczy, których mogłabyś się od niego nauczyć. Ale zależy od ciebie co zrobisz z tym co ci powiemy.

Westchnęła i skinęła nieszczęśliwie głową.

- Dobrze – Leon wstał i schował miecz do pochwy. – Czas byśmy zaczęli.



Pierwsza lekcja Leona włączała siedzenie z półtuzinem mężczyzn, którzy próbowali przewodzić Wspólnocie, którzy uparcie spotykali się w namiocie na powierzchni, jego ściany drżały od wiatru a boki do połowy zakrywał śnieg. Wnętrze było by przejmująco zimne gdyby nie ognisty sylf Morgala. Ash utrzymywała ciepło w namiocie, ale to też sprawiało, że śnieg się topił na zewnątrz i woda wpływała do środka. Solie musiała przejść przez błoto by usiąść przy stole.

Nikt nie zaprotestował przeciw jej przybyciu, choć patrzyli groźnie i na nią i na Leona. Nie czuła ich emocji tak wyraźnie jak przy Heyou i innych. Czuła krawędzie emocji dzięki elementarnym sylfom, które ze sobą przyprowadzili, ale zdawały się nie mieć wrażliwości bitewników i bez jednego z nich przy boku, czuła się niemal tak ślepa jak zawsze była. Jednak nie potrzebowała empatii by powiedzieć, że nie byli szczęśliwi z jej obecności. Byli jeszcze mniej zadowoleni z obecności Leona, ale jak wykazał, spotkanie nie było prywatne a on nie był więźniem. Mogła stwierdzić, że chcieli ją odesłać, ale wszyscy mieli

sylfy, które gawędziły z nią radośnie przynosząc krzesło, na którym mogłaby usiąść. Zajął chwilę ucieszenie ich żeby można było rozpocząć spotkanie.

Leon siedział na siedzeniu obok, Solie przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, którzy próbowali ignorować dwóch intruzów. Naprawdę nie rozumiała w pełni implikacji tego o czym debatowali, ale Leon trącał ją gdy zaczynali temat o szczególnym znaczeniu i zbierała poczucie priorytetów.

Przyznanie pokoi w ulu nie było ważne. Ziemne sylfy mogły wykopać dużo więcej i były szczęśliwe robiąc to. Największym problemem był nie zmienienie miejsca w labiryncie. Podłączenie wody do picia i higieny było również ważne, ale pod kontrolą. Jak również sytuacja z jedzeniem, dzięki bitownikom, przynajmniej jeśli chodzi o mięso. Owoce i warzywa były bardziej problematyczne. Najwidoczniej te klify były wyznaczone tylko jako miejsce w razie katastrofy, która się wydarzyła. Najgorszą częścią było to, że atak Eferem nadszedł gdy zbliżała się zima i zebrane zbiory zostały stracone w pożarach.

Leon nie przeprosił, ale też nie spojrzął na nikogo podczas tego raportu. Zostawieni tylko z kilkoma stadami trzody i podstawowymi zapasami, dotarli do klifu i zrozumieli, że nie mają przywódców ani gdzie pójść. Jeśli założyciele wspólnoty planowali coś dalej, nie podzielili się tym z tymi, którzy przetrwali.

Urwisko nie było tak osłonięte jak dolina w której na początku założono Wspólnotę. Oba tereny pokrywały martwe skały i z pomocą sylfów mogły zostać zmienione w żyzną ziemię, ale klif był dużo bardziej wystawiony na działanie pogody. Mocne północne wiatry wiały przez góry i klif, przynosząc lodowate śniegi, które tylko się pogorszą. Gdyby nie zeszły pod ziemię, zamarzliby na śmierć, nawet z sylfami. Musieli codziennie czyścić wentylację żeby wpuścić powietrze, a zamrożona klatka schodowa była wypadkiem czekającym żeby się zdarzyć. Konsul tkwił na górze tylko z uporu. Nawet zwierzęta były zabierane pod ziemię gdy sylfy wykopały ogromne stajnie u podstawy klifu. Galway w tym pomagał, nie chcąc ryzykować próby powrotu do domu.

Nie mogli zostać tu na dłuższy okres czasu, rozumiała Solie. Nawet żyjąc w klifie, zimy były za ostre, wiatry tak silne, że mogły zdmuchnąć wszystko na powierzchnię. To miejsce musiało być niemal martwe zanim równiny zostały pocięte. Z wiosną będą musieli się przenieść... choć gdzie, nikt nie wiedział. To był główny punkt spotkania.

Pojawił się pomysł by użyć trzech bitewników do podbicia ziemi.

Solie sapnęła.

- Nie możecie!

Wielu mężczyzn spojrzało na nią zimno. Morgał westchnął, nawet mimo tego że to nie on zasugerował użycie bitewników. Ten pomysł podsunął wyglądający wściekle Bock.

- Co sugerujesz? Powinniśmy tu zostać aż umrzemy?

- Nie, ale...

- Nie ma gdzie pójść.

- Nie ma też gdzie atakować – zauważył Leon. Oparł się na krzesło, krzyżując ramiona a buta oparł na przeciwnym krzesło. – Wszyscy przyszlście tu z Para Dubh. Odeszliście bo to miejsce gdzie uciska się niższe klasy i ponieważ ktoś kto odmawia uznania panującej rodziny ginie z rąk ich bitewników. Mają ich dwunastu. Innym najbliższym królestwem jest Eferem, skąd pochodzimy ja i Solie. Król Alcor jest paranoiczny, chciwy i zostało mu jedenastu bitewników, włączając osobistego, Thralla.

- Wiec co powinniśmy zrobić? – zażądał Morgał. Jego furia wzrosła wraz z upokorzeniem przy poczuciu bezsilności.

Leon wzruszył ramionami.

- Poczekałbym do wiosny i wrócił do doliny – powiedział. – Wiecie, że jest osłonięta i już raz ja uprawialiście. Będziecie musieli zacząć od zera, ale możecie ponownie tam zamieszkać. Lepiej zostać na ziemi, której nikt nie używa niż sięgać po czyjaś. To o wiele mniej niebezpieczne.

- Ale już raz zostaliśmy tam zaatakowani! – krzyknął Norlud.

- Tak – zagrzmiął Bock. – Przez ciebie!

Leon znów wzruszył ramionami i Solie z ciekawością patrzyła jak opuścił nogę i pochylił się do przodu.

- Więc nie atakujcie statków powietrznych. To było głupie. Gdybyście tego nie zrobili, Alcor nie zauważyłby was aż mielibyście własne królestwo i wysyłałibyście emisariuszy. Odbudujcie miasto i pola, ale tym razem niech sylfy kopą pod ziemią ul. Będziecie mogli się tam wycofać w przypadku ataku i użyć go w najgorszej części zimy. Jeśli zostanieie zaatakowani, macie Rila, Heyou i Mace'a. Nawet lepiej, wiecie teraz jak wzywać bitewników. Zatrzymajcie to w sekrecie i w końcu będziecie mieć liczebną przewagę nad

każdą armią. Zróbcie to i zabiegajcie o pokój. Zróbcie to właściwie, a nie będą mieli wyboru poza paktowaniem. Dajcie im coś wartego handlu i nawet będą z was zadowoleni. Nikt nie zajmuje tych ziem. Nie wiem kto wymyślił, że można je uratować dzięki sylfom, ale było to genialne. Sami je zajmijcie i stwórzcie własne królestwo.

Brzmiał żarliwie. Co więcej, brzmiał właściwie. Mężczyźni się gapili, ale ich sylfy spojrzały zza rogu i wiwatowały. Solie się uśmiechnęła. Mężczyźni nie byli tak szczęśliwi z tego pomysłu, ale sylfy były w ekstazie – a sylfy miały takie samo prawo się wypowiadać jak każdy inny. Solie zastanawiała się czy któryś z członków konsulu wybiegał myślami tak daleko w przód.

Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Myślę, że to dobry pomysł.

Bock zaśmiał się drwiąco.

- Nikt cię nie pytał – Co sprawiło, że jego wodny sylf na niego syknął, podskoczył w zdumieniu i jego spojrzenie stało się nienawistne.

Solie zebrała się w sobie, serce jej łomotało. Teraz Leon trzymał ją za rękę pod stołem i wzięła z tego siłę.

- Ma rację, nie możemy tu zostać. Uważam, że powinniśmy wrócić do doliny na wiosnę – Uścisk Leona się wzmocnił. – To znaczy... To znaczy, wiosną tam wracam i zabieram ze sobą sylfy. Wszystkie. Możecie pójść z nami lub nie, ale my idziemy.

Twardzi mężczyźni dwa lub trzy razy starsi od niej patrzyli na nią w szoku i Leon rozluźnił uścisk. Solie musiała oprzeć się pokusie żeby przeprosić, ale zdołała.

- Więc się przeprowadzamy – oznajmił Morgał, jego twarz napięta. Nawet z jej empatią, Solie nie była pewna czy czuł nienawiść, ulgę czy strach, ale skinęła i odchyliła się na krześle, mając nadzieję, że to ostatni raz kiedy będzie musiała dzisiaj wydać opinię czy rozkaz.



Po spotkaniu, Solie i Leon wracali ku wejściu do ula, oboje opatuleni płaszczami. Naprawdę było lodowato. Solie nigdy nie czuła tak mroźniej zimy i zadrżała mocno, przesuwając się na zlodowaciałym gruncie. Leon położył jej

rękę na plecach żeby pomóc zachować równowagę. Nie, nie mogli tu zostać, nie na lata. Nikt nie mógł, nie w tak ostrych zimach.

- Mam nadzieję, że z Heyou i Rilem wszystko w porządku – krzyknęła.

- Na pewno – odkrzyknął Leon. – Bitewnicy nie czują temperatury tak jak my – Roześmiał się szorstko. – Mogą mieć nawet frajdę gdy wiatr będzie nimi rzucał.

Przed nimi, Solie zobaczyła krawędź klatki schodowej, niemal niewidzialną w śnieżycy. Trzeba zabronić wychodzić komukolwiek na powierzchnię dopóki pogoda się nie poprawi, zdecydowała, potem była zdumiona że znów myśli o rozkazach.

Rozległo się wycie, przerażone emocje które rozlegały się bardziej w jej głowie niż w powietrzu, choć Leon obrócił się przy krzyku. Solie również i zobaczyła kształt wyłaniający się ze śnieżycy, uniesioną rękę ze sztyletem. Krzycząc, upadła do tyłu.

Leon ryknął w ostrzeżeniu. Odrzucając tył płaszcz, wyciągnął miecz i rzucił się naprzód, tnąc bronią w dół. Niedoszły zabójca Solie upadł w tył ze skrzekiem, turlając się po śniegu. Tylko kilka stóp za nim, jego wodny sylf wydał kolejne wycie jak to które ostrzegło Solie, tyle że teraz pełne smutku. Jej dziecięca twarz była skrzywiona i nieludzka, gdy zniknęła w burzy, ciągle krzycząc.

Leon natychmiast chwycił Solie i postawił ją na nogach, ruszając z nią do schodów.

- Mace! - krzyknął. – Mace!

Ogromny bitewnik pojawił się w śnieżycy jakby ta nie miała dla niego żadnego znaczenia, spotykając ich przy schodach. Razem, obaj samce zanieśli rozhisteryzowaną dziewczynę do jej pokoi, gdzie Solie nie mogła przestać się trząść dopóki nie wrócił Heyou i nie wziął jej w ramiona.

Rozdział 24

Wodny sylf miał na imię Shore⁶. Skuliła się przed prowizoryczną kanapą Solie, cztery stopy mieniającej się wody ściśnięte w kształt małego dziecka. Była nieszczęśliwa, rozdarta między przerażeniem z powodu widoku śmierci mistrza a wiedzą, że ocaliła królową.

- Dlaczego nie zniknęła? – zapytał Morgal niepewnie. Pomimo całej jego niechęci do Solie i jej bitewników, był wstrząśnięty wieścią, że Bock próbował ją zabić. Nie wiedział co myśleć o tym, że Leon ją ocalił. Po wszystkim, nie ośmielał się ufać mężczyźnie.

- Jest związana z królową – powiedział mu Mace posępnie, po chwili ciszy i po tym jak Solie rzuciła mu zaciekawione spojrzenie. – Jak wszystkie sylfy tutaj. Jeśli ich mistrzowie umrą, więź z nią zatrzyma je tutaj.

Stojąc za jej krzesłem ze skrzyżowanymi ramionami, Leon pochylił się do Rila.

- To znaczy, że jeśli umrę, z tobą będzie wszystko w porządku?

Ril rozważył to i skinął. Leon się wyprostował, wyglądając na zadowolonego.

- Chociaż potrzebuje nowego mistrza – dodał Mace. – Nikt nie powinien żywić się energią królowej.

- To się też mnie tyczy? – zapytał Heyou. Solie uśmiechnęła się do niego i potrząsnęła głową. Rozpromienił się.

Morgal westchnął, rozglądając się po komnacie audiencyjnej, z braku lepszego określenia. Minęło pięć godzin od ataku i bitewnicy byli rozwścieczeni. Rudowłosej mnóstwo czasu zajęło powstrzymanie ich przed zabiciem każdego, kogo mogliby uznać za groźnego. Zadrzał. Może byłoby lepiej gdyby Bockowi się powiodło. Wtedy bitewnicy by zniknęli, razem z wszystkimi ich pozaziemskimi ideami.

Po przeciwnej stronie pokoju, Ril spojrział prosto na niego i warknął. Przerażony, Morgal się wzdrygnął i Leon spojrział w jego kierunku.

⁶ Eng. brzeg

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę zanim uniósł brew. Najpierw wskazał kciukiem na Solie, potem na siebie, a na końcu dyskretnie w kierunku Rila.

Na początku Morgal nie zrozumiał; potem to do niego dotarło. Leon jest mistrzem Rila. Jeśli Solie umrze, Ril nie zniknie. Gdyby Solie została zabita... Morgal opadł na ścianę i Leon kiwnął głową.

- Coś nie tak? – zapytała Solie nerwowo. Czuła jego emocje z sylfami dookoła, przypomniał sobie Morgal i znów zadrżał.

- Myślę, że nasz przyjaciel właśnie zrozumiał co stałoby się z tym miejscem gdybyś umarła – przemówił Leon. Wyglądała na zdumioną. – Ril jest ciągle związany ze mną – wyjaśnił. – Myślę, że mógłby być... zdenerwowany.

- Zmieniłbym to urwisko w popiół – powiedział bitewnik. Na jego twarzy w ogóle nie było śladu humoru.

- Ril! – Solie sapnęła i Morgal zdziwił się, że zdawała się niepewna przy konsulu, a rządziła najbardziej zabójczymi istotami na świecie jak dziećmi. – Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego nie?

- To byłoby złe!

Wszyscy trzej bitewnicy nie wyglądali na przekonanych.

Solie odetchnęła.

- Nikt nie zmienia urwisk w popiół, rozumiano?

- Odbierasz całą zabawę – nadał się Heyou.

Solie przewróciła oczyma i przeniosła uwagę na małego sylfa skulonego na środku pokoju.

- Shore? Um, jak długo twój mistrz planował, uch... No wiesz.

- Nie planował – powiedział sylf głośno, jej głos lekko bulgotał. – On po prostu... zezłościł się. Ja... ja... ja... ostrzegłam. Nie chciałam żeby umierał! Nie chciałam, żebyś umierała! Jest tak samotnie!

Brzmiała całkowicie nieszczęśliwie i Morgal sięgnął do Ash. Ognisty sylf przycisnął się do jego boku, również w kształcie dziecka, jej ciepło było tak niskie jak to możliwe. Czuł jej ulgę, że królowa była bezpieczna. Była dużo spokojniejsza niż sam się czuł. Przeprosił za konsul gdy dowiedział się o ataku i Solie przyjęła, ale teraz było jasne: nie ważne co myśleli, ona rządziła. Nigdy

nie chcąc władzy, Morgal przekonywał samego siebie, że nie ma nic przeciwko, ale oddanie władzy dziewczynie zdawało się fundamentalnie złe.

Heyou spojrział na niego i syknął. Morgal opuścił głowę.

- W porządku – powiedziała Solie Shore, klękając na podłodze z ręką przy policzku sylfa. – Możesz mieć nowego mistrza – kogoś od kogo będziesz mogła brać energię i kto będzie dawał ci tyle uwagi ile potrzebujesz. Jest ktoś kogo byś chciała? – Wodny sylf się zawahał. – W porządku. Możesz wybrać.

Migocząc, Shore stała się kałużą wody i przepłynęła po podłodze, zostawiając za sobą suchy kamień. Oglądając się na swoich bitewników, Solie podążyła za nią. Samemu ciekawy i nie chcąc zostać, Morgal ruszył za nią.

Hol był zatłoczony, ludzie podążali ostrożnie do wolnych kwater. Solie podążyła za wodnym sylfem, Morgal jakoś skończył tuż za nią i z przerażeniem zrozumiał że jest między nią a jej bitewnikami. Chwilę później czerwony jastrząb przeleciał nad jego głową i wylądował na jej ramieniu, i odetchnął z ulgą.

Poszli do obszaru jadalnego. To była największa otwarta przestrzeń w ulu, wysoki sufit podtrzymywały kolumny z grubego kamienia i już był w połowie wypełniony w godzinie kolacji. Zapach zupy z wieloryba i ziemniaków unosił się w powietrzu, sprawiając, że Morgal zdał sobie sprawę, że jest głodny. Ludzie zerkali na nowo przybyłych, kiwając do Morgala, ale obserwując Solie z niepewnością. Nie wiedzieli jak się z nią obchodzić nie bardziej niż Morgal, ale nikt niczego nie próbował gdy Ril otrzepał skrzydła na jej ramieniu, a pozostałych dwóch minęło go i podeszło do jej boków.

Leon podążył, z rękoma zaciśniętymi za plecami. Ludzie patrzyli na niego z prawdziwą nienawiścią, ale albo nie zauważył albo nie reagował. Morgal wątpił w ostatnie. Nikt nie powiedział nic o próbie zabójstwa. Jak na razie, nikt z nich nie wiedział.

Wszyscy obserwowali Shore. Przepłynęła na środek pomieszczenia i zawahała się. Morgal pomyślał że nie ma dużego wyboru. Zostało tylko około dwudziestu mężczyzn, którzy nie mieli jeszcze sylfa, a wielu z nich próbowało dostać jednego bez sukcesu. Pewnie wybierze młodzika.

Wodny sylf ruszył z dala od mężczyzn, na zachętę Solie kierując się ku stołom z nastolatkami, jak przewidział Morgal. Dopiero zrozumiał, że wszystkimi nastolatkami tam były dziewczyny, gdy znów przybrała bardziej

ludzki kształt i sięgnęła ku jednej. Była to czternastoletnia Loren Malachi. Dziewczyna zagapiła się na wodnego sylfa przez sekundę, a potem zrozumiała co ma. Pokazała największy uśmiech jaki Morgał kiedykolwiek widział.

- Cholera – usłyszał, jak ktoś zwerbalizował jego reakcję i spojrzał z dzielonym współczuciem by odkryć, że patrzy na Macé'a – co sprawiło, że niemal połknął własny język. – Chciałem tej dziewczyny dla siebie – powiedział bitewnik z żalem.



Dziewczęta nigdy nie pójda spać. Każda zdawała się leżeć na łóżku Loren, próbując się zaprzyjaźnić z wodnym sylfem. Wdowa wątpiła żeby jakikolwiek sylf w historii zyskał tyle uwagi.

- Piętnaście minut! – zawołała od wejścia. – Jeśli nie będziecie w łózkach za piętnaście minut, przetrzepię wam tyłki! – Odpowiedziały jej chichoty i zatrzasnęła kamienne drzwi. Piętnaście minut do ciszy nocnej. Lepiej żeby posłuchały.

Obracając się, zebrała spódnice i ruszyła ku kwaterom chłopców. Znając ich, pewnie nie spali i skarżyli się na to, że nie dostali sylfa. Jednak, przyznała z westchnieniem, dobrze że byli szczęśliwi. Większość miesiąca była ciężka. Wiele dzieci straciło ojców i braci, a wszyscy domy. Rozumiała ten ból. Minęło dziesięć lat odkąd straciła męża i ciągle myślała o nim od czasu do czasu. Choć młodzi byli elastyczni. Też chciałaby mieć tę ich elastyczność – i ich młodość. Ostatnimi dniami czuła się po prostu stara i niedoceniana. Nazywali ją wiedźmą. Siąknęła nosem i poszła.

Gdy powiedziano jej, że przenoszą dzieci pod ziemię, upewniła się żeby pokoje chłopców i dziewcząt były najdalej jak to możliwe. Nie była na tyle głupia by sądzić, że się nie spikną, ale zamierzała się co do tego upewnić na ile to możliwe. Osobne obszary do spania były usytuowane tak, że by odstać się z jednego do drugiego trzeba było przejść przez hol, sprawiając że każdy na wyprawie o północy byłby widziany. Albo taką miała nadzieję.

Wdowa skręciła za róg i stanęła z zaskoczeniem.

- Ani się waż! – warknęła. – Nie wchodzisz tu! – Spojrzała ku komnatom dziewcząt.

Mace spojrzał na nią, dobrze o stopę wyższy, a nie była mała.

- Nie zamierzałem. Patroluję – powiedział spokojnie.

Parsknęła, nie wierząc nawet przez chwilę. Opierając pięści na biodrach, ruszyła, starając się nie pokazać strachu jaki czuła.

- Nie patrolujesz tutaj. Jeden sylf to więcej niż dość!

- Nie miałem z tym nic wspólnego – powiedział jej. – Nie dałbym jej tej dziewczynie.

- Bo sam jesteś nią zainteresowany?

- Oczywiście.

Przez te wszystkie lata, wdowa sprawiła że wielu mężczyzn uciekało ze strachem. Mace nawet nie drgnął, co był intensywnie irytujące i odrobinę intrygujące. Po prostu ją obserwował.

- Co jest takiego fascynującego w Loren? – zapytała.

Bitewnik wzruszył ramionami.

- Jest silna. Lubię silne kobiety i potrzebuję mistrza.

Machnęła lekceważąco.

- Myślałam, że masz już mistrza – I myśl co ta dziewczyna, Solie, pewnie robi z tymi bitownikami ją rozwścieczała. Myśl, że nie może temu przeszkodzić doprowadzała ją do szaleństwa. Na pewno doprowadzało to inne kobiety do chichotów.

Mace podszedł bliżej.

- Solie jest moją królową. Ale nie chcę czerpać jej energii by się wzmacniać, a ona nie ma czasu by dać mi uwagę jakiej chcę. Potrzebuję mistrza. Kogoś kto zwiąże mnie z tym światem jak ona i od kogo będę mógł czerpać energię do walki. Kogoś z kim mogę być.

Wdowa odkryła, że zaczyna czuć ciepło i skrzyżowała ramiona.

- Nie będziesz nic czerpać z tych dziewczyn. Idź sobie znaleźć jakiegoś mężczyznę na mistrza. I trzymaj się z dala od chłopców!

- Nie chcę mężczyzny – powiedział, okrążając ją. Wdowa zaczęła się czuć lekko uwięziona.

- Nie weźmiesz dziecka!

Pochylił się, przybliżając twarz do jej. Nagle korytarz był cieplejszy, dreszcze przebiegły jej po ciele.

- Powiniennem powiedzieć, że lubiłem silne kobiety. Loren jest silna. Ty jesteś silniejsza.

Wdowa niemal straciła ciąg myśli. Bitewnik pachniał pysznie. Ale chwilę później zmrużyła oczy.

- Co ty mi robisz?

- Uwodzę cię.

Był też w tym całkiem dobry – tuż zanim chwyciła go za ucho i wykręciła. Mace była tak zaskoczony, że aura żądzy którą ją napętniał zniknęła.

- Dobrze – syknęła. – Teraz, posłuchaj mnie. Nie jestem jakąś wywłoką z którą możesz próbować swoich sposobów. Zrozumiano?

- Tak.

Skinęła, nie puszczając jego ucha.

- Dobrze. Teraz, będziesz się zachowywał?

- Pewnie nie – Brzmiał na rozbawionego, ale nie próbował się wyrwać z jej uścisku.

- Trzymaj się z dala od moich dziewczynek – powtórzyła głośno.

- Nie sądzę, żebym jeszcze którąś chciał – odparł. To co miał na myśli było jasne.

Wdowa była zaszokowana. Puściła jego ucho i się wyprostowała.

- Ale jestem stara!

- Jesteś młodsza niż ja.

- Nie mogę już mieć dzieci – Straciła trójkę przez poronienie.

- To się dla mnie nie liczy. I tak nie mógłbym dać ci dzieci.

- Nie jestem dziewicą.

- I tak bym to naprawił.

Przerwała, myśląc.

- Nie użyjesz już na mnie tych swoich mocy? – Pytanie wyszło z większym wahaniem niż jej się to podobało.

- Nie, jeśli nakazesz mi tego nie robić.

- Dobrze. Możesz uważać, że nakazałam – I z tym, chwyciła jego dłoń i zaprowadziła go do swojego łóżka.

W końcu dziewczęta zrozumiały że ich piętnaście minut zostało bardzo przedłużone, bo wdowa nie wróciła.

Rozdział 25

Burza nadchodząca z nad północnych gór w końcu zaczęła łagodnieć, wiatr wiał słabiej, a wirujące płatki śniegu osiadały na urwisku i otaczały równiny. Był głęboki przynajmniej na pięć stóp, ale w niektórych miejscach dym unosił się z nad wykopanych dziur.

Na głównej klatce schodowej uła, Leon kopał niezręcznie, próbując nie spaść ze stopni, gdy spychał śnieg z drogi. Czuł się jednocześnie zirytowany na tę robotę i absurdalnie wdzięczny, że sylf, który zrobił klatkę schodową zrobił na szczycie markizę. Musiała tylko dodać drzwi. Był zmuszony przekopać się przez zaspę blokującą szczyt schodów.

- Cóż, ustalone – wymamrotał, wyglądając na zewnątrz na linię horyzontu. Błękit zaczynał wyglądać przez przerwy w chmurach a słońce błyszczące na morzu bieli było bolesne. – Zdecydowanie przenosimy się na wiosnę – Wspólnota nigdy nie powinna była wycofywać się do tego miejsca. Zrobienie tego pokazywało olbrzymi brak przewidywania ze strony ich poprzednich przywódców. Ale też, nie przejęli dowodzenia z powodu zdolności taktycznych. Byli idealistami, nie wojownikami i nie oczekiwali że zostaną wygnani z przyswojonych domów.

Ich pierwsza lokalizacja była dużo lepsza. Leon nie widział całego miasta, ale pamiętał dolinę. Była na wschodniej granicy Łupkowych Równin, osłonięta przez góry odcinające ziemię od oceanu. Para Dubh było po drugiej stronie, ale nie używali Łupkowych Równin bardziej niż Eferem i byli odrobinę bardziej rozsądni. Jako królestwo mieli bitewników by zapobiec najazdowi, ale byli dużo mniej ograniczeni niż Alcor. Ich bogactwo pochodziło z handlu z krajami po dalekiej stronie świata, ich statki szybowały po oceanie i powietrzu. Król Alcor zawsze zazdrościł im bogactwa, ale każdy zatarg z nimi był bardzo krótki, gdyż nikt nie chciał się wplątywać w potężną wojnę. Leon brał udział w więcej niż jednej formalnej walce, wystawiając Rila przeciw bitewnym sylfom z Para Dubh. Ril zawsze wygrywał, ale nie o każdym z bitewników Eferem można było to powiedzieć. W każdym razie

Para Dubh miało zbyt wielu bitewników, by Alcor chciał ryzykować walkę. Co prawda, gdyby Wspólnota została gdzie była, albo Eferem albo Para Dubh w końcu by ich zmiażdżyli lub pochłonęli, a teraz gdy mieli własnych bitewników. Gdy wrócą nie będą tak narażeni na atak.

Leon spojrzął przez ramię na własnego bitewnika. Ril nie pomagał mu przedostać się na powierzchnię, ale też, Leon nie poprosił. Nie miał pojęcia jaki teraz będzie jego związek z sylfem, ale chciał być ostrożny by był dobry. Obaj jednak mieli problemy do zwalczenia, a Leon nie chciał, żeby Ril myślał, że jest widziany jako niewolnik. Więc Leon sam wykonał pracę, gdy bitewnik obserwował.

W końcu odłożył łopatę i się obrócił.

- Gotowy? – zapytał, pocierając obolałe ramię. Bitewnik wzruszył ramionami, nie całkiem na niego patrząc i ruszył naprzód. Ril nigdy nie patrzył na niego wprost, zauważył Leon z żalem.

Bitewnik zmienił kształt i otoczył Leona ramionami, unosząc go w wirze ciemności. Nic nie widząc, Leon poczuł jak się wznoszą, a potem lecieli na wiatrach, zmierzając z dala od ula. Nawet tak ślepy jak był, Leon z trudem odetchnął na poczucie tego wszystkiego.

Co? Zapytał Ril ponuro.

- To jest wspaniałe! – zawołał Leon. – To latanie?

Tak, odpowiedział bitewnik, brzmiąc na trochę spokojniejszego.

Leon uśmiechnął się i ułożył, unosząc się w absolutnej ciemności, ale w cieple i wygodzie. Nawet mimo tego że wiedział, że jest wysoko na niebie, czuł się bezpieczny.

Ril leciał wysoko ponad pokrytymi śniegiem równinami, z Leonem w osłonie. Mijał czas i przeleciane mile, podróż powrotna był dużo krótsza niż wyprawa na urwisko. Co za pierwszym razem zajęło niemal tydzień, teraz Ril uważał że powinno zabrać mniej niż dzień. Nie żeby się śpieszył. Dobrze było znów tak latać, być takim. Mógł zmieniać kształt, ale nie był zaprojektowany by jakiś utrzymać przez dłuższy czas. Zostanie ptakiem przez tak długo czasem sprawiało, że czuł mrowienie które prawie doprowadzało go do szaleństwa i teraz rozciągał się lecąc.

Leon zasnął, w końcu zauważył Ril, znużony pracą. Choć część niego chciała upuścić mężczyznę w śnieg, zamiast tego objął go ostrożniej i dalej leciał. Leon

jednocześnie był jego mistrzem i już nim nie był. Mężczyzna zaprzysiął się królowej i udowodnił lojalność gdy uratował jej życie. I dla dobra własnych zdrowych zmysłów, Ril musiał porzucić nienawiść. W rezultacie czuł się lżejszy, szczęśliwszy.

W każdym razie, w tym, obaj uważali tak samo. Z pozwoleniem Solie – gdyż Ril nie mógł się bez tego zmusić do opuszczenia ula – razem zdążyli zabrać rodzinę Leona.

Lizy! Wszystkie dziewczynki były dla niego bezcenne, ale Lizy... Ril tak pragnął znów ją zobaczyć, że to aż bolało. Nie będzie teraz jego królową i Ril żałował tego nawet mimo tego, że był oddany Solie. W roju była tylko jedna królowa. Ale Lizy może być jego mistrzem, jak Leon. Albo precyzyjniej, jak wdowa dla Mace'a. gdy już będzie dość dorosła by dzielić z nim energię. Energię i serce.

Pod nim równiny miały gładko, w końcu zastąpione przez pokryte śniegiem lasy przez które podróżowali wcześniej. Znajdując wstęgę drogi, podążył za nią, lecąc nad miastem w którym spędzili noc. Znów obudzony, Leon leżał w nim cierpliwie, okazjonalnie zmieniając pozycję, ale nic nie mówiąc. W końcu znów się zdrzemnął.

Lecieli, farmy zastąpiły lasy i śnieg zniknął, południowe powietrze było odrobinę cieplejsze. Małe wioski rozsiane były po polach, z większymi twierdzami na urwiskach i w końcu wielką stolicą Eferem.

Ril opadł na zewnątrz murów miasta, przyglądając się czarnym flagom zwisającym z wałów. Miast było w żałobie – przypuszczał, że po martwym księciu – ale nikt nie czuł smutku. Ril łatwo wyczuwał ich emocje gdy prześliznął się niewidziany, w końcu lądując w zagajniku drzew, stawiając Leona na nogach.

- Ile nam zajęło dostanie się tutaj? – zapytał ze zdziwieniem mężczyzna.

Ril wzruszył ramionami.

- Większość dnia – Ruszyli rankiem. Teraz był ranek następnego dnia.

- To niewiarygodne. Jesteś szybszy niż powietrzny statek.

- Bo nie mam niczego tak ciężkiego do niesienia – odparł bitewnik, szturmem wypadając z krzaków. Leon potrząsnął głową i podążył.

Znaleźli boczną drogę prowadzącą przez drugą bramę do miasta i w końcu do twierdzy. Ril szedł w ludzkiej formie, którą przyjął, mocno wiążąc w sobie

aure, a Leon założył kaptur i zgarbił ramiona. Szedł kilka stóp za bitewnikiem, jakby był służącym, podążając za nim przez bramę. Znał mężczyzn, którzy jej strzegli, ale nie mieli powodu zatrzymywać dwóch zwykłych mężczyzn wchodzących do miasta. W zależności od tego co zaraportował Jasar, król pewnie teraz uważał go za wroga. Oczywiście, Alcor oczekiwałby że do jakiegokolwiek ataku Leon wysłałby Rila i wciąż oczekiwał, że bitewnik będzie ptakiem.

Ril szedł naprzód, ignorując mężczyzn wokół siebie z wyniosłością jaką przedstawiali najpotężniejsi lordowie. Zauważał kobiety, ale nie ruszył za żadną. Leon słyszał plotki o Mace'ie nim ten skończył z wdową opiekującą się młodzieżą i widział Heyou z Solie, ale Ril nie wykazywał takich tendencji. Leon nie był pewny czy to normalne czy nie. Heyou na pewno był oddany Solie. Ril nigdy nie zrobił więcej niż spojrzeć na kobietę, i nigdy długo.

To naprawdę nie miało znaczenia. Czegokolwiek Ril chciał, Leon nie miał zamiaru wchodzić mu w drogę. Był tylko szczęśliwy, że bitewnik go nie nienawidził i co więcej, że był ciągle chętny do wspólnej pracy. To był dar.

Przeszli przez miasto, mieszkańcy zajmowali się swoimi zwykłymi sprawami a ich sylfów w większości nie było widać, jak zwykle. Wiedząc teraz co zrobił, Leon współczuł im związania. Przeszły oczekując wolności, ale wszystko co dostały było innym rodzajem służby. Te we wspólnocie miały prawo mówić i przybierać kształt jaki chciały, ale inne były uwięzione jak bitewnicy.

Leon rzucił spojrzenie Rilowi, który beztrąsko szedł przed siebie. Ril, zrozumiał, nie myślał dużo o losie innych. Wolni bitewnicy zdawali się nie mieć do tego predyspozycji. W ich naturalnym królestwie musieli wieść proste życie – choć gdyby było dobre, Ril nigdy by nie przeszedł.

Obaj w milczeniu przebyli miasto, wędrując drogami jakimi Leon nigdy nie zabierał Rila jako ptaka, nie chcąc nikogo przestraszyć. W rezultacie bitewnik skończył obok niego, idąc w tym samym tempie co Leon. Za każdym razem gdy Leon miał jakiś interes w mieście, zostawiał bitewnika z żoną i córkami. Więc Ril znał drogę do zamku i główną trasę z posiadłości Leona do frontowej bramy miasta i tyle. Inni mistrzowie bitewników uważali go za szalonego, że narażał się tak na atak, ale Leon uważał się za zdolnego do samoobrony, a tłumy za bardzo unieszczęśliwiały Rila. Jak i on tłumy.

Albo tak myślał Leon. Teraz Ril wcale nie reagował na tłumy, jego aura była tak spętana, że nikt na niego nie patrzył. Do Heyou, Leon nawet nie zdawał sobie sprawy, że bitewnicy mogą ukrywać swoje aury. Spojrzał w bok na blondyna. Dużo rzeczy nie rozumiał.

Oczy Rila zwróciły się w jego kierunku i zmarszczył czoło.

- Co? – zażądał.

- Nic. Po prostu myślę jaki byłem dla ciebie podły.

Ril parsknął.

- Myśl tak sobie. Po prostu zatrzymaj to dla siebie. Nie chcę tego czuć.

Leon uśmiechnął się słabo.

- Cokolwiek powiesz.

Przed nimi, droga skręcała ku jego posiadłości, mur był dość wysoki by zasłonić większość budynku i obaj przyśpieszyli. Minał czas na lunch, ale nie było tak późno żeby dziewczynki udały się na drzemkę. Pewnie będą się jeszcze bawić w dużym pokoju na tyłach ze starymi gobelinami na ścianach lub kończyć lekcje z matką.

Mężczyzn w płaszczu stał przy bramie, ze zużytym mieczem przy pasie. Leon nie musiał słyszeć warkotu Rila, żeby rozpoznać go jako groźbę. Zdawało się, że Alcor był przeciwko niemu i Leon miał nadzieję, że obecność żołnierza miała na celu wygładanie go, użycie jego rodziny jako przynęty, ale nie znaczyła, że Betha i dziewczynki zostały aresztowane czy skrzywdzone. Prowadząc Rila dookoła do niewidocznej części muru otaczającego posiadłość, wyciągnął z torby żelazny klucz, otworzył małą drugą bramę, która była niemal ukryta pod krzakami jeżyn i wpuścił ich obu. Zobaczyli otwarte okna posiadłości, które wpuszczały świeże powietrze i oba usłyszeli kobiecy śmiech.

Z bitewnikiem za sobą, Leon otworzył drzwi.

- Jestem w domu! – krzyknął.

Przez chwilę była tylko cisza, a potem pospieszne kroki i krzyki podekscytowanych dziewczynek. Lizzy pierwsza wybiegła zza rogu, z chudymi kolanami i brudem na policzkach i Leon usłyszał jak Ril wciągnął powietrze gdy dziewczynka rzuciła się naprzód.

- Tatusiu! – zaskrzeczała. – Witaj w domu! – Chwile później, dwie młodsze dziewczynki wybiegły z za rogu. Betha podążyła za nimi z dzieckiem. Leon uśmiechnął się szeroko, próbując uściskać je wszystkie na raz.

Lizy się odsunęła, rozglądając.

- Gdzie jest Ril? – zapytała.

- Taa – powtórzyła Cara. – Gdzie jest Ril? – Nali włożył kciuk do buzi.

- I kim jest twój przyjaciel? – zapytała Betha.

Leon wziął głęboki oddech i wyprostował się, cofając się do ściany, żeby mogły wyraźnie zobaczyć bitewnika.

- W porządku, niech nikt się nie boi. To jest Ril.

Lizy zmarszczyła brwi.

- Ale to jest człowiek.

Pozostałe dziewczynki patrzyły. Betha spojrzała na bitewnika, a potem ze zdumieniem na męża.

- Może być czym chce – powiedział im Leon. – Teraz, chce być człowiekiem.

- Wolałam go jako ptaka! – zawyła Cara. – Bądź ptakiem! Bądź ptakiem! – Nali zaczęła płakać, jak również Ralad.

Lizy podeszła do bitewnika, przyglądając mu się uważnie. Gdy się zbliżyła, opadł na kolana, żeby mogła patrzeć na niego w dół. Zmarszczyła brwi z koncentracją, wyciągnęła rękę i zamknął oczy gdy szturchnęła jego nos. Potem zachichotała.

- Podoba mi się!

- Dziękuję – powiedział Ril.

- Możesz mówić! – wrzasnęła. – Kiedy zacząłeś mówić?

Ril spojrzał ponad nią na Leona.

- Gdy mi pozwolono.

Obróciła się i spojrzała groźnie na ojca.

- Nie pozwalałeś mu mówić?

Leon potrząsnął głową. To nie była kłótnia w jaką chciał się wdawać.

- Nie teraz, Lizy. Musimy iść.

- Iść? – zapytała Betha zdumiona. – Gdzie iść?

To nie będzie łatwe.

- Daleko stąd – powiedział Leon żonie. – Teraz, wszyscy. Są rzeczy których się dowiedziałem odkąd wyruszyłem, o Ril i o sobie. Nie możemy już tu

zostać. Wiem, że to dla mnie niebezpieczne i podejrzewam, że takie też stanie się dla was. Już strażnik obserwuje frontową bramę. Jestem zaskoczony, że nie ma bitewnika – Wziął głęboki oddech. – Ril i ja zdradziliśmy króla.

Oczy Bethy stały się szerokie jak spodki, jej skóra biała. Pozostałe dziewczynki nie rozumiały, ale Lizzy patrzyła na niego ze strachem w oczach i sięgnęła żeby wziąć Rila za rękę. Trzymał ją delikatnie, ciągle klęcząc przy jej boku. Leon nigdy nie widział żeby jego oczy miały tak miękki wyraz.

- Ty... jak mogłeś? – zawyła Betha, przyciskając płaczące niemowlę do piersi. – Co ty mówisz? – Potrząsnęła głową, cofając się od niego.

- Nakazał mi zabić dziewczynę – powiedział jej bezpośrednio, kładąc jej rękę na ramionach. – Dziewczynę niewiele starszą niż Lizzy. Miała być poświecona by związać bitewnika, ale zamiast tego sama go związała. Król chciał za to jej śmierci. Zawiedliśmy. Ale Betha, rzeczy jakich się dowiedziałem... Ril jest teraz wolny. Tam gdzie idziemy jest więcej bitewników i wszyscy są wolni. Wszystkie sylfy. Tutaj nie są więcej niż własnością, a już nie mogą być częścią niewoli Rila. Król nigdy tego nie zaakceptuje – Przyjrzał się żonie, córkom, w końcu bitewnikowi. – Żadne z nas nie jest tu bezpieczne.

Puścił żonę i cofnął się o krok.

- Zabierzcie wszystko co możecie nieść, ale nie więcej. Nie możemy wziąć wiele.

Dolna warga Bethy drżała, jej oczy były pełne łez, ale chwilę później się obróciła i odeszła pośpiesznie, zabierając ze sobą niemowlę. Nali pobiegła za nią, ciągle płacząc.

Lizzy i Cara patrzyły. Zdumione. Cara ssła kciuk, a Lizzy przyglądała się bitewnikowi. W końcu zwróciła się do ojca.

- Gdzie pójdziemy?

- Do miejsca na północ stąd – powiedział. – Spodoba ci się – to będzie przygoda. Teraz zbierz swoje rzeczy. Pośpiesz się i zabierz siostrę.

Chwytając rękę siostry, Lizzy odeszła, oglądając się co chwilę.

Leon zbliżył się do miejsca gdzie Ril wstał by stanąć przy wielkim oknie na przedzie posiadłości. Wieże zamku były widoczne, jak i ogromny statek powietrzny u góry. Ril skrzyżował ramiona i przyglądał się odległemu statkowi, z zadumanym wyrazem twarzy.

- Coś nie tak? – zapytał Leon. – Strażnik zrozumiał, że tu jesteśmy?

Ril potrzaskał głową.

- Na tym statku są czterej bitewnicy – Spojrzał na mistrza. – Chcę już iść.

Czterech bitewników? Nikt nie wysyłał czterech bitewników na nic mniejszego niż wojna, a to nie zdarzyło się od stuleci. Leon przejęło zimno i obrócił się, wybiegając na korytarz.

- Dziewczynki! Ruszajcie się! Zapomnijcie o wszystkim i tylko zmieńcie ubrania! Pospieszcie się! Musimy ruszyć natychmiast! – Dziewczynki krzyknęły w proteście, ale wrócił do frontowego pokoju. – Wyczują cię?

- Tak ukrytego? Nie – Ril przerwał. – Wyczują gdy zmienię się by was nieść.

- Ile możesz unieść?

- Dość – odparł bitewnik. – Chyba, że jeden z nich jest w kształcie który może latać.

Leon mógł pomyśleć przynajmniej o trzech bitewnikach w służbie króla z tą zdolnością.

- Ruszajcie się! - znów zawołał. – Wyruszamy za pięć minut!

Pomimo jego rozkazu, minęło dziesięć zanim byli na parterze, wszystkie dziewczynki płacząc, oprócz Lizzy. Betha szlochała z dezorientacją, gdy próbowała ubrać dziewczynki w płaszcze, niemowlę było owinięte w koce. Była zdesperowana z przerażenia, a dziewczynki odbierały to od niej. Tylko Lizzy się nie bała, jej oczy błyszczały gdy przestępowała z nogi na nogę.

- Będziemy podróżować kareta? – zawsze chciałam podróżować kareta.

- Nie całkiem – powiedział Ril. Stał koło niej, czekając cierpliwie.

Leon wyprowadził rodzinę na zewnątrz. Popołudnie było chłodne. Nie zaczął jeszcze sypać śnieg jak na Łupkowych Równinach, ale wyczuwał że nie zajmie to długo. Śnieg pewnie znów padał tam gdzie zmierzali, bez przerwy i miał nadzieję, że jego żona i rodzina mu wybaczą. I miał nadzieję, że Wspólnota nie zrobi z ich życia piekła, żeby się na nim zemścić.

Pewnie nie, jeśli będą myśleć, że to zirytuje Rila.

- Gotowy? – zapytał bitewnika. Ril skinął, jego oczy skupione na postaci w płaszczu przy zamkniętej frontowej bramie, która patrzyła na nich.

- Nie będziemy szli, prawda? – zaskomlała Betha, trzymając blisko najmłodsze dziewczynki. Ril wyszedł naprzód – nagle się zmienił, otaczając ich dymem i błyskawicami. Dziewczynki krzyknęły gdy uniosła je ciemność.

Leon poczuł jak Ril się zawahał, dopasowując się, a potem bitewnik poruszał się w górę, dużo wolniej niż wcześniej.

- Ril! – krzyknął. – Jak sobie radzisz?

Nie musisz wrzeszczeć, mruknął Ril w jego umyśle.

Leon znalazł drogę przez ciemność, chwytając dłoń żony i ściskając ją. Przycisnęła się do niego, płacząc i otoczyła ramionami ją i dziewczynki.

- Wszystko będzie w porządku – obiecał. – Będzie.

Jego rodzina przycisnęła się bliżej, poza Lizzy. Odsunęła się, przyciskając rękę do solidnej ciemności, która była bitewnikiem ojca. Był ciepły i solidny.

- Lecimy? – zapytała.

Tak, odpowiedział, jego głos odbijał się echem w jej głowie.

- Chcę zobaczyć! – zażądała.

Nastąpiła chwila przerwy, a potem poczuła jak zmienił się wokół niej, fala cienia unosząca ją naprzód i w górę. Ciemność się rozdzieliła i nagle silna bryza porwała jej włosy. Byli wysoko ponad ziemią, drzewa i domy były maleńkie jak domki dla lalek na dole.

Ril leciał w zimnym powietrzu, jego ciało ogromne i niemal bez kształtu, kuliste i mroczne. Jego skrzydła były masywne, rozciągnięte po bokach. Za nimi oddalały się zamek i miasto, a ponad nimi niebo było pięknie błękitne. Z dystansu Ril wyczuwał bitewników i coś innego o czym nie powiedział Leonowi. Tempest była na tym statku; drugi najstarszy wiekiem sylf w królestwie i niemal najpotężniejszy, powietrzny sylf, który mógł nieś statek powietrzny szybciej niż Ril mógł kiedykolwiek latać.

Lizzy wrzasnęła z zachwytem, klaskając z ekscytacją, gdy pochyliła się na wietrze. Ril trzymał ją delikatnie, samemu niemal tańcząc z radości gdy niósł ją i jej rodzinę, wysilając się poza wytrzymałość i lecąc szybciej niż kiedykolwiek myślał, że może, ku nieużytkom, ze swoja miłością w objęciu.

Rozdział 26

Galway stał przy jednym z okien, które zrobiły sylfy, wyglądając na niekończący się śnieg. To było szerokie okno, wpuszczało wiele światła ale nie zimno. Parę ognistych sylfów podgrzało piasek aż stał się twardy i przejrzysty. To zniekształcało widok na dziwne sposoby, ale było lepsze niż okiennice. Było ich tylko około tuzina na froncie klifu, ale były popularne i otaczało go kilkoro ludzi wyglądających na zewnątrz.

Czekał za długo. Jego ciekawość na temat Heyou i innych go uwięziła. Teraz musi poczekać do wiosny i zostawić rodzinę zastanawiającą się czy umarł. Przez dziesięć lat dotrzymywał obietnicy że wróci nim spadnie śnieg. W jego domu pewnie jeszcze nie padało, ale niedługo zacznie.

Wokół niego, ludzie nagle rozpierchli się jak ptaki i Galway się wyprostował, patrząc na zniekształcone odbicie nastoletniego chłopca za nim. Ci którzy wyglądali przez okno przegrupowali się w niewielkiej odległości. Heyou był szanowany, ale też nie był najstraszniejszym z bitewników. Nie odeszli całkowicie.

- Zostawiłeś swoją damę? – zapytał Galway, obracając się.

- Mace z nią jest – Heyou przechylił głowę na bok. – Jesteś nieszczęśliwy, prawda?

- Skąd wiesz? – Bardzo starał się to ukryć. Nikt nie potrzebował dodatkowego stresu, jeśli w ogóle by się to dla nich liczyło.

- Czujemy emocje. To czyni nas lepszymi strażnikami.

Uśmiechnął się.

- Tak się wydaje.

- Choć nie wiem czemu jesteś nieszczęśliwy. Nie mogę tego powiedzieć, jeśli nie jesteś moim mistrzem.

Galway wzruszył ramionami.

- Do tej pory zamierzałem być w domu z rodziną. Nie myśl, że żałuję tego że ci pomogłem – nie żałuję. Ale tęsknię za nimi.

- Więc dlaczego nie pojedziesz do domu?

Traper wskazał na okno.

- Śnieg na zewnątrz jest za głęboki. Podróż przez niego zajęłaby tygodnie i byłaby niebezpieczna. W ogóle mógłbym nie dotrzeć.

- Och – Heyou zmarszczył brwi, rozważając. – Mogę cię zanieść.

Galway zamrugął.

- Co?

- Mogę cię zanieść. Mogę zabrać cię do domu. Chociaż pewnie konie byłyby zdenerwowane.

Galway się roześmiał. Zima nagle nie wydawał się tak ponura.

- Doceniłbym to – przyznał. – Naprawdę.

Heyou skinął. Patrzył za okno, krzywiąc usta.

- Jest coś jeszcze? – zapytał Galway.

- Taa – Chłopak złączył ręce za plecami i wyciągnął je, wyginając kręgosłup. – Mace mówi, że nie chce żeby któryś z nas był przywiązany tylko do królowej. Mówi, że wszyscy powinniśmy znaleźć sobie kogoś innego do czerpania energii i kto zatrzymałby nas tutaj, na wszelki wypadek. Nie sądzę, żeby coś się stało, ale jest większy niż ja i stary. To dziwne. Jestem przewodnim bitewnikiem, ale pozostali są starsi niż ja. Wątpię żeby to obchodziło Rila, ale myślę, że przeszkadza to odrobinę Mace'owi. Też chciałby mieć Solie, ale ona mu nie pozwoli. Więc zamiast tego wziął sobie tę wdowę. Ona jakby sprawia, że czuję się nerwowy, ale on lubi jak mu rozkazuje. Jakby królewskie i w ogóle, nawet jeśli jest tylko mistrzynią.

Galway skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o kamienną ścianę.

- O co próbujesz zapytać? Zakładam, że jest w tym gdzieś pytanie.

- Och – Heyou opuścił ramiona. – Mace chce, żebym znalazł sobie mistrza. Kogoś innego niż Solie żeby czerpać energię i kto byłby moim innym połączeniem z tym światem – Zmarszczył brwi. – Ale jeśli zabiorę cię do domu, nie będę mógł brać od ciebie energii. Musisz być tutaj. Nie pomyślałem o tym.

- Chcesz żebym był twoim mistrzem? – zapytał Galway, szczerze zdumiony.

- Cóż, pewnie. Ciągłe byś mnie tu trzymał, nawet gdybyś wrócił do domu. I mógłbyś przyjechać nas odwiedzić wiosną – Brzmiał na pełnego nadziei.

Galway się zagapił. Nigdy w życiu by nie pomyślał, że zdobędzie sylfa. Oczywiście, marzył o tym w dzieciństwie, jak większość chłopców, ale nigdy

nawet nie wyobrażał sobie bitewnika. Nawet dla twardych chłopców z którymi dorastał byli zbyt przerażający. Myśl o Heyou pytającym go teraz była tak śmieszna, że niemal musiał się roześmiać.

- Myślałem, że nie lubisz mężczyzn – powiedział.

Heyou zrobił kolejną minę.

- Nie lubię. Lubię. Znaczy, tak naprawdę nie lubię mężczyzn, ale Solie mówi, że nie są tacy jak bitownicy. Nie musimy z wami walczyć cały czas jak z bitownikami z innych roi. I nie chcę kobiety na mistrza. Mam Solie. Byłoby dziwnie mieć kolejną kobietę. Nie chcę żeby Solie była zazdrosna, albo myślała, że powinna być. Chcę tylko jej, więc potrzebuje mężczyznę na mistrza – Zawahał się i rzucił Galway'owi bezpośrednie spojrzenie. – I Mace mówi, żeby być ostrożnym. Jeśli jesteś moim mistrzem, możesz mnie kontrolować. Tego nie chcę. Ale... ufam ci.

Galway milczał, poruszony. Była tylko jedna szczerą odpowiedzią jaką mógł dać na takie wyznanie.

- Będę zaszczycony – powiedział chłopcu. – I przysięgam, nigdy tego nie wykorzystam.

Heyou się uśmiechnął, napięcie zniknęła z jego ramion. Poproszenie musiało być dla niego trudne, zrozumiał Galway, pewnie obce dla wszystkiego do czego przywykł. Już widział co posiadanie mistrzów znaczyło dla innych bitowników. Ale też widział jacy byli teraz. Mace był szczęśliwy z wdową, prawdopodobnie, a Ril celowo zatrzymał tego samego mistrza. Oczywiście Galway widział jak Leon chodził na palcach wokół niego, nawet gdy manipulował resztą Wspólnoty w robienie wszystkich koniecznych rzeczy potrzebnych do zapewnienia ich przetrwania, ale było tu uczucie po obu stronach. Galway będzie z nim musiał kiedyś porozmawiać jak zdołał to zrobić, teraz gdy miał własnego bitewnika. Tak jakby. Heyou nie należał do niego. Nie miał co do tego złudzeń. Nie pozwoliłby sobie.

- Co mam zrobić?

- Musimy to zrobić przez Solie – wyjaśnił Heyou. – Nie możemy sami uczynić kogoś naszym mistrzem – Wskazał na drzwi i Solie weszła, z towarzyszącym jej Macem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- W porządku, Galway. Robiłam to wcześniej – dla Loren i wdowy – Zrobiła minę. – To trochę dziwne.

- Tak?

Mace wyszedł naprzód, zrzucając kształt by stać się dymem i błyskawicami i ci którzy nie odeszli gdy przyszedł, sapnęli. Bitewnik sięgnął czarnymi nićmi, jedną do Solie, jedną do Heyou i jedną do Galway'a. Było to niczym pokryta jedwabiem lina, cienka ale silna i gdy dotknęła traperę, poczuł jak coś się w nim obróciło. Jego zmysły się podwoiły i przez chwilę poczuł jak coś będące nim przeszło w Solie. Esencja, która jak wiedział była Heyou dołączyła do tego i wewnątrz niej zmieniła się by pasować do jego. Galway miał dziwną chwilę poczucia, że został zduplikowany, a potem odczucie zostało zastąpione przez zmartwienie, że podjęto złą decyzję, razem z zalegającą pod tym determinacją by strzec i chronić Solie, o której wątpił żeby kiedykolwiek odeszła czy zbladła. Jednak nic z tego nie pochodziło od niego.

Oczy Galway'a się rozszerzyły.

- Czuję cię? – zapytał Heyou.

Bitewnik skinął.

- Taa. Mistrz niemal zawsze może czuć swojego sylfa, tak jak my wszyscy czujemy was. Chociaż mogę to wyciszyć, gdy dojdę do tego jak – Spojrzał w górę na Mace'a, który wrócił do ludzkiej formy. Ze skinieniem do Solie, wielki sylf wyszedł, nie oglądając się na mężczyznę któremu dał Heyou. Galway nie był pewny czy to aprobował.

Heyou zmarszczył brwi, jakby zastanawiając się nad tym samym.

- Mace mówił, że zawsze uderzał swojego mistrza aurą nienawiści, bo go nienawidził i żeby to przesłoniło mistrzowi co naprawdę czuł. Chociaż ja ci tego nie zrobię.

- Mam nadzieję – powiedziała Solie.

- Nie będziesz musiał – Galway klepnął go w ramię. – Teraz możesz się ode mnie karmić, prawda?

- Taa. Chociaż nawet tego nie poczujesz. Solie nigdy nie czuje. Ril mówi, że Leon czasami czuje, ale Leon jest dziwny – Solie zrobiła ruch jakby chciała klepnąć go w głowę, ale Heyou się uchylił, uśmiechając szeroko.

Galway się roześmiał.

- Cóż, daj znać gdy weźmiesz gryza i zobaczymy czy poczuje – Potem wyprowadził oboje na zewnątrz, inni ludzie patrzyli na nich z ciekawością. Wiedział że zaczną krążyć plotki. Heyou nie próbował ukryć swojej prośby, nie było też powodu dla którego powinien. Bitewnicy byli taka sama częścią Wspólnoty jak każdy inny.

Musi zostać tu jeszcze na parę dni, zdecydował Galway, teraz gdy wiedział, że może wrócić. Chciał zbadać ten nowy związek i upewnić się nim odejście, że im obu jest z nim wygodnie. Definitywnie będzie musiał wrócić na wiosnę, może sprowadzi swoje gospodarstwo, gdy Wspólnota się przeniesie i jego rodzina będzie cennym nabytkiem, a nie będą czerpać z ich źródeł.

Szczęśliwy, Heyou siedł między nim a Solie. Galway czuł przyjemność chłopca i było to miłe. Trochę dziwne, ale dobre. Był całkiem pewny, że to polubi.



Król Alcor stał patrząc na blankach zamku, Thrall za jego plecami, gdy bitewnicy i ich mistrzowie wchodzili na pokład statku powietrznego. Jasar wszedł pierwszy, jego usta zaciśnięte, kręgosłup sztywny. Shield siedł u jego boku, z opuszczonym łbem, warcząc. Za nim podążało trzech generałów Alcora, każdy z własnym bitewnikiem. Alcor nigdy nie przejmował się poznaniem ich imion.

Jeden z sylfów był zgarbioną rzeczą w brudnych szatach, posiadającą ręce z długimi na cal szponami zamiast palców. Szpony tego były wyciągnięte jak u modlącej się modliszki i ta rzecz podskakiwała przy każdym nagłym hałasie. Twarz tego była owalna, usta okrągłe pełne kłów sterczących w każdym kierunku. Drugi bitewnik był złotą bestią podobną do wielkiego kota, ciało miał nabite ścięgnami i mięśniami, oczy były zielone, żywe od szaleństwa. Trzeci był gigantycznym pajakiem, chodzącym na tuzinie nóg zamiast sześciu i z setką oczu na twarzy ponad kłami.

Wszystkie trzy nienawidziły, jak Thrall, a ich wzgarda sprawiał, że żołądek Alcora się wywracał. Ból tkwił w nim od lar, gorszy gdy się stresował i nie ważne ile razy naprawialiby to uzdrowiciele, gdy wracał stres, wracał też ból. Wrócił gdy jego syn został zabity i wrócił teraz.

Król nie był pewny ile z tego co powiedział mu Jasar był prawdą, ale wolał wierzyć w raport, mimo że go rozwścieczał. Leon go zdradził! Ile miał z tym wspólnego Jasar, Alcor nie wiedział, ale jedno było prawdą: jego najsilniejszy mistrz bitewnego sylfa okazał się zdrajcą. I dla czego? Dla łapówki od grupy piratów, którymi miał się zająć? Najwyraźniej byli lepiej zorganizowani niż zaraportował Leon – czy Jasar widział z ukrycia na statku powietrznym. Tchórzostwo dworaka było jedyną rzeczą co do której Alcor nie miał wątpliwości. To była jedna z rzeczy, która na pierwszym miejscu skłoniła go do dania mu bitewnika. Jasar nigdy nie miałby dość inteligencji czy odwagi żeby naprawdę go użyć. Nigdy nie straciłby Mace'a gdyby został dość blisko by zobaczyć działania Leona.

Chociaż czterej bitewnicy mieli swoje rozkazy i nawet jeśli Jasar planował się ukryć podczas walki, zostaną jeszcze trzy niezwiązane z tchórzami. Zabiją każdego z tych piratów, włączając dziewczynę. Jej bitewnik nie będzie zdolny stanąć przeciw czterem i nawet jeśli Leon tam był, ciągle nie mieli przewagi liczebnej. Ril zostanie zabity, a zdrajca sprowadzony z powrotem. Leon zostanie złamany na kole tortur a to co z niego zostanie zamknięte będzie w klatce przed zamkiem żeby każdy mógł patrzeć jak umiera. Alcor był w dość podłym nastroju by chcieć kozła ofiarnego.

Którykolwiek generał zawiedzie w sprowadzeniu go, zajmie jego miejsce w tej klatce i wiedzieli to. Alcor widział determinację na ich twarzach i skinął ponuro. Nie zawiodą go.

Po tym jak bitewnicy weszli na pokład, podążyli zwykli żołnierze. Piraci pewnie będą próbowali uciec, a miecznicy i łucznicy zgarną wszystkich. Bitewnicy byli dobrzy do masowego zniszczenia, ale nie strategii. Gdy plotki o zdradzie i ukradzionym bitewniku krążyły po zamku i mieście, Alcor musiał ich zmiażdżyć. Potem skupił się na innych problemach... jak znaleźć zastępstwo swojego dziedzica.

Żołądek znów mu się wywrócił, kwas się przez niego przeżerał i odwrócił się nim statek powietrzny ruszył, wracając do ciepła zamku i wołając o uzdrowiciela. Thrall podążył, milczący jak zawsze.



Nigdy nie wyobrażał sobie, że to możliwe, ale Ril dotarł do Wspólnoty w mniej niż pięć godzin po opuszczeniu posiadłości Leona, o trzy czwarte skracając dwudziestocztero godzinną podróż. Okoliczności wymagały by zrobił wszystko co możliwe by zyskać na czasie. Lizzy całą drogę leciała na jego plecach, ciesząc się wiatrem na twarzy i poczuciem latania. Inni zostali w nim, młodsze dziewczynki spokojniejsze, ale ciągle za mało niż ich ojciec mógł znieść.

Mnóstwo ciężkiego śniegu pokrywało ul i to przez co musieli się przekopać zniknęło, roztopione lub zdmuchnięte przez sylfy i Ril zobaczył ludzi na zewnątrz gdy zbliżał się zmierzch. Wskazywali na niego. Wzniósł się na szczyt klifu, wyczerpany. Bitewnicy tak naprawdę nie byli stworzeni do niesienia ładunku, a on wyczerpał się poza wytrzymałość żeby wrócili najszybciej jak się dało. Jednak wciąż opadł najlżej jak mógł, zmieniając się w ludzka formę i pozwalając skrzeczącym dziewczynkom sturlać się na ziemię.

Lizzy się obróciła, chichocząc i wstała, gdy opadł na rękę i kolana, sapiąc.

- Ril! – krzyknęła. Ona i jej ojciec klękali przy jego bokach, gdy Betha starała się zebrać młodsze dziewczynki. – Ril! – zawyła Lizzy, jej dłonie były ciepłe na jego ramionach. – Wszystko w porządku?

- Idź pomóż matce – nakazał Leon. Dziewczynka spojrzała na niego ze strachem i pośpieszyła do Bethy. Chociaż ciągle się oglądała – Ril zobaczył to zanim musiał zamknąć oczy. Był całkiem wyczerpany.

Leon przyciągnął go do siebie.

- Bierz czego potrzebujesz – powiedział, unosząc go w ramionach i niosąc go przez zimny wiatr ku klatce schodowej. Ril pozwolił się przenieść, jego głowa spoczywała przy piersi Leona, gdy pił energię mężczyzny – pił mocno – i próbował pamiętać, że nie było już powstrzymujących go więzi i mógł go zabić jeśli wypije zbyt dużo. Chociaż nie wiedział gdzie był limit i w końcu się powstrzymał.

Został zabrany do komnaty audiencyjnej królowej, rodzina Petrule albo została z tyłu, albo podążała, nie był pewny.

- Co się stało? – usłyszał wrzask Solie, gdy położono go na czymś miękkim. Albo dość miękkim – słoma kłuła go przez koc pokrywający belę. Poczł dwóch pozostałych bitewników i się odprężył. Wszyscy byli bezpieczni.

- Wrócił tu z nami w popołudnie – Leon powiedział królowej. – Nie powinien lecieć tak szybko, ale musieliśmy was ostrzec. Król ma statek z czterema bitownikami na pokładzie. Muszą tu zmierzać. Musimy być gotowi.

Mała dłoń pogładziła policzek Rila i Solie wyszeptała jego imię.

- Pij ode mnie energię. Proszę.

Zamrugnął na nią sennie i sięgnął w górę, delikatnie dotykając jej twarzy. Jej energia była słodka, lekka. Przełknął, ale nie wiedział ile może dać i powstrzymał się.

- Jestem królową – Uśmiechnęła się. – Nie możesz mnie skrzywdzić.

Leon klęknął przy niej.

- Daj spokój, Ril.

- Nie chcę zabić żadnego z was – wyszeptał. – A mogę.

Był taki zmęczony. Nawet sam nie powinien być zdolny podróżować tak szybko, ale królowa go potrzebowała. Zabiłby się dla niej. Tyle, że wtedy nie zobaczyłby więcej Lizzy...

Mace pochylił się nad nim.

- Zbyt często myślisz skrajnie. Pij. Powstrzymam cię jeśli zaczniesz brać zbyt dużo.

Ril westchnął i pił, czerpiąc od obojga: słodką i lekką energię Solie i ciężką i ciepłą Leona. Napęłniły go i odbudowały, aż w końcu był zdolny odpocząć, śpiąc w komnatach królowej, gdy odzyskiwał siłę do nadchodzącej bitwy. Lizzy wkradła się by z nim posiedzieć, ale o tym nie wiedział. Po prostu śnił o niej i to wystarczyło.

Rozdział 27

Zebrali się w jednym z największych pokoi, który nie został jeszcze przyznany, światło pochodziło z zachodu słońca widocznego przez wielkie okno wycięte w ścianie i dodatkowo od Ash.

Szkło w oknie było dziwnie zniekształcone, sprawiając że równiny na zewnątrz chwiały się i marszczyły gdy patrzący zmieniał pozycję. Leon odkrył, że wywoływało to mdłości, gdy usiadł przy kamiennym stole. Ril wziął więcej niż kiedykolwiek, od niego i od Solie i dziewczyna była równie blada gdy zajęła miejsce u szczytu stołu. Leon nie chciał zostawiać bitewnika, ale Ril potrzebował snu, a reszta musiała planować. Lizzy przy nim posiedzi. Leon był pewny, że należałoby nawet gdyby tego nie zasugerował.

Reszta jego rodziny była w jadalni, pod opieką Wdowy Blackwell. Nie powinien ich tu sprowadzać, zdecydował z poczuciem winy... ale gdyby tego nie zrobił, nie dostaliby żadnego ostrzeżenia. Czterech bitewników! Wspólnota miała trzech, ale Heyou był młody i niedoświadczony, a Ril wyczerpany. Mace nie mógł sam zająć się czterema, nawet z nieograniczoną mocą. Gorzej, bo gdy bitewnicy będą walczyć, Leon nie wątpił że żołnierze króla wejdą i zajmą się resztą. Przed końcem rozegra się w korytarzach klifów walka ręka w rękę, a niemal nikt tutaj nie umiał używać miecza jak żołnierz. Leon bardzo dobrze znał zdolności ludzi króla. Sam pomagał szkolić wielu z nich.

- Musimy uciekać! – zawył ze strachem członek konsulu.

- Gdzie? – zapytał Galway. – Jak? Nie możemy prześcignąć statku powietrznego, a na śniegu nie dotrzemy daleko. Po prostu i tak podążą po naszych śladach.

- Możemy się rozproszyć – zasugerował Borish. – Podczas gdy niektórzy zostaną z tyłu.

- Jak to zrobili wasi poprzedni przywódcy? – parsknął Leon. Głowa mu pulsowała i wszystko czego chciał to spać. Nie miał tego luksusu. Nie wiedzieli ile czasu im zostało. Można było liczyć, że ten statek był

przynajmniej dzień za nimi. – Jedyńymi, którzy mogą walczyć z bitewnikami są bitewnicy, a mamy tylko dwóch.

- Mamy trzech – poprawił Morgal.

- Dwóch – powtórzył. – Król nie będzie już myślał, że jesteście po prostu małą grupą piratów. Jego generałowie sprowadzą również ludzi do walki. Będą oczekiwać, że nasi bitewnicy zaatakują ich. Gdy będą walczyć, żołnierze się tu włamią i zabiją każdego kogo znajdą, mając nadzieję dorwać mistrzów. Możemy próbować i ich powstrzymać, ale będą mieli elementarne sylfy. Te nie będą walczyć, ale będą mogły pomóc żołnierzom przedostać się przez ściany. Musimy zatrzymać tu jednego bitewnika do walki z żołnierzami, gdy to zrobią. Sugeruję Heyou – Spojrzał na chłopaka. – Masz najmniej doświadczenia. To Mace'a i Rila zadaniem będzie pokonać bitewników króla. Ty będziesz bronił roju i królowej.

Heyou się rozpromienił.

- Dwóch przeciw czterem? – sapnął Morgal. – Mogą to zrobić?

Leon naprawdę nie wiedział. Zerknął na największego bitewnika jakiego mieli.

- Mace? Możesz?

Sylf zmarszczył brwi, krzyżując ramiona i patrząc na królową. Nie było strachu na jego twarzy, ale milczał przez długą chwilę. W końcu powiedział:

- Nie – I wszyscy mężczyźni wydali niskie sapnięcie strachu. Potem bitewnik dodał. – Nie będę czekał aż tu przybędą. Jak tylko Ril się obudzi, zaatakujemy – Przechylił głowę i zmierzył Leona, pierwszy raz spojrzał jakiemś mężczyźnie w twarz. – Twój plan jest dobry, jeśli przybędą nim Ril się obudzi. Inaczej, my ruszymy do nich. Są zamknięci w jednym kształcie. My nie. Zniszczymy statek powietrzny zanim dotrze do klifu. Jeśli zabijemy ich mistrzów, królewscy bitewnicy znikną.

- Ile czasu potrzebuje Ril? – zapytał Devon ze zmartwieniem.

- Przynajmniej do świtu – zdecydował Leon. – Nigdy nie widziałem, żeby był tak wykończony. Dotarł tu w ciągu godzin niosąc całą moją rodzinę. Ciągle nie mogę w to uwierzyć – Potrząsnął głową ze zdumieniem. Atak najpewniej nie nadejdzie do jutra. Ril kupił im dużo czasu, czasu, którego potrzebowali na przygotowanie ula. Nie mieli przewagi, ale też nie było beznadziejnie.

Spojrzał na siedzącą u szczytu stołu Solie, bladą i przestraszoną.

- To nie są zwykli ludzie próbujący zarobić na własne życie – powiedział jej.

- To żołnierze. Zabija tu każdego, a ci bitewnicy zamienią urwisko w kupkę pyłu. Jeśli nie dasz bitownikom wolnej reki, przegrają.

Podskoczyła, patrząc na niego.

- Co?

Pochylił się, w głowie mu ciągle łomotało, nogi mu drżały i każdy obserwował jak na nią patrzył.

- Znieś ograniczenie zakazujące im zabijać i zrób to teraz, albo wszyscy w tym pokoju zginą.

Oczy Solie rozchyliły się z przerażeniem i spojrzała na swoich bitowników. Heyou patrzył z zainteresowaniem, Mace bez wyrazu.

- Muszę?

- Tak – przerwał Galway. – Tym razem musisz. Mają przewagę liczebną – Podszedł i położył jej rękę na ramieniu. – Po prostu to powiedz.

- I spraw by brzmiało jak rozkaz – dodał Leon. – Powiedz to wyraźnie.

Solie siąknęła nosem, ocierając łzy i patrząc na stół.

- Heyou - wykrztusiła. – Mace. Nakazuję wam zrobić wszystko co konieczne dla chronienia Wspólnoty i każdego w niej, nawet jeśli to oznacza z-zabijanie.

- Spytaj czy rozumieją.

- Rozumiecie? – wyszeptała.

- Tak, moja królowo – odpowiedzieli razem.

Leon odchylił się na krześle.

- Daj ten sam rozkaz Rilowi gdy się obudzi – Patrzył przez chwilę jak płakała, ale Heyou ją objął, a Mace głaskał jej włosy. To oni musieli ją pocieszać. On wciąż miał zbyt wiele do przygotowania.

- Teraz powiedzcie mi jaką broń ma reszta i zobaczmy czy możemy przygotować obronę.

- Ale mamy bitownika – zaprotestował Morgal.

- Każdy mężczyzna, który polega tylko na swoim bitewnym sylfie, zwykle kończy z mieczem we wnętrznościach – Leon klasnął w dłoń. – Zajmijmy się. Chcę liczbę broni, listy nazwisk mężczyzn zdolnych walczyć i co najważniejsze, chcę wiedzieć, kiedy dotrą tu nasi wrogowie – Obrócił się do

Devona, który pozostał cicho i był obecny w pokoju tylko przez jego zaprzysiężenie Solie. – O tym, chcę z tobą porozmawiać.



Na dziobie statku, trzech generałów obserwowało mistrza powietrznego sylfa śpiewającego dla Tempest, przypodobującego się by przyspieszyła. Tempest była ogromna, dużo większa niż którykolwiek sylf na statku i stara. Była przekazywana przez generacje i przybrała kształt wiru powietrznego, wirującego u szczytu statku który unosiła. Jej mistrz śpiewał czystym, wycwiczonym głosem, nagradzając jej wysiłek.

Podróżowała z wielką prędkością, inne sylfy walczyły by powstrzymać tworzony przez nią wiatr przed zdmuchnięciem pasażerów z pokładu. Jej mistrz zachęcał piosenką, wyraźnie chcąc zaimponować i według wszelkich obliczeń przybędą na miejsce przeznaczenia tylko kilka godzin po zachodzie słońca w dniu w którym ruszyli.

Generałowie nie mieli nic przeciwko. Każdy z nich był szlachcicem, który zapracował na swą rangę przed zdobyciem bitewnika, skoro te istoty nigdy nie były marnowane na mężczyzn, którzy wcześniej nie udowodnili swej wartości. Z wyjątkiem księcia, choć byli na tyle ostrożni by o tym nie mówić i gróźb politycznych, którym trzeba było zaradzić, jak Jasar. Albo Leon. Oczywiście, Leon był unikalny, wolny od szlacheckiej krwi, którego król wykorzystywał do subtelniejszej pracy, któremu dano tytuł Głowy Ochrony tylko dlatego że brzmiało to lepiej niż Człowiek od Brudnej Roboty. Każdy z nich w tajemnicy był zadowolony że okazał się zdrajcą. Teraz król bardziej zwróci się do nich, zamiast oddelegowywać ich do baronii na zewnątrz miasta, gdzie ciężko byłoby się buntować.

- To nie powinna być długa walka – jeden z nich mruknął. Był mężczyzną o imieniu Flav i weteranem od ponad dwudziestu lat. Piraci nie będą ich teraz oczekiwać. Nawet jeśli mieli szpiega na zamku, Tempest prześcignęłaby każdego sylfa, nawet niosąc statek. Nigdy na czas nie mogliby przygotować obrony i będą łatwi do wytropienia jeśli uciekną.

- Definitywnie będziemy tam przed północą – zauważył drugi mężczyzna. Miał na imię Boradel, a jego włosy były równie rude jak Solie – jak i twarz,

zniszczona przez wiele lat służby na powietrzu. Tempest zaoszczędziła nam dnia podróży. Szkoda.

- Och? – zapytał trzeci, Anderam. – Tak lubisz ten statek?

- Nie. Po prostu nocą widok nie będzie tak dobry. Claw⁷ jest chętny do walki. Gdy król zapytał kto chce iść, niemal mnie podniósł i sam wyniósł z zamku – roześmiał się Boradel. – Nigdy nie widziałem, żeby był tak podekscytowany. Ta cholerna rzecz tchórzy przez niemal cały czas.

Dwaj pozostali również się roześmiali.

- To nawet szkoda, że Poison⁸ nie jest taki – powiedział Flav. – Nie dba o to czy walczy czy nie.

- Musi być miło – zachichotał Anderam. – Yanda będzie walczył z własnym cieniem jeśli nie znajdzie nic innego.

- Yanda jest szalony – powiedział Boradel.

- A czy nie wszyscy bitewnicy są?

Generałowie znów się roześmiali.

Z niedalekiego dystansu, Jasar siąknął nosem i zacisnął wokół siebie płaszcz. Pozostali zostawiali swoich bitewników na głównym pokładzie, ale Shield kuczał u jego stóp, dysząc. Wiedział, że pozostali uważali go za tchórza, ale go to nie obchodziło. Z bitewnikami czy nie, miał więcej mocy i pieniędzy niż oni. Odwrócił wzrok, próbując nie myśleć o tym jak szybko podróżowali przez Łupkowe Równiny. W kolejną godzinę, zobaczą klif, gdzie został opuszczony przez swego pierwszego bitewnika i gdzie Leon złożył swą straszną obietnicę. Jasar zadrżał i spojrzał w dół na swego nowego bitewnika. Shield był dużo lepszy niż Mace. Znał swoje miejsce – jako pies.

Niedługo się to skończy, obiecał sobie Jasar. Piraci zostaną zniszczeni, dziewczyna zabita, a Leon torturowany na śmierć, a on będzie mógł wrócić do Eferem i użyć zwycięstwa do wytargowania sobie drogi do małżeństwa z najstarszą córką króla. Musiał się upewnić tylko co do jednej rzeczy: że żaden z tych mężczyzn nie zobaczy Mace'a i nie zrozumie, że nie jest martwy. Jeśli tak się stanie, będzie łatwo zaczekać aż ich trzech bitewnicy pokonają zdrajcę i spuścić na nich Shielda. W rzeczywistości dobrze by wyglądało gdyby jako jedyny przetrwał bitwę. Musi tylko odrobinę wyolbrzymić to co się stało.

⁷ Eng. szpon

⁸ Eng. trucizna

Uśmiechając się złośliwie, sięgnął w dół by pogłaskać głowę Shialda, ignorując rosnącą wzdrgę stwórczenia.

Nagle, bitewnicy ryknęli z ostrzeżeniem i oczy Jasara rozszerzyły się w panice, gdy wycofał się ku schodom prowadzącym w głąb statku. Równocześnie trzech generałów ruszyło naprzód, szukając wroga w ciemności i grupa powietrznych sylfów minęła ich, ruszając za czymś czego Jasar nie widział.

Ku jego wstydowni i obrzydzeniu, inni zobaczyli jego strach i znów się roześmiali.

- Nie martw się, mój panie. Wygląda na to, że mamy szpiega – jeden z nich zachichotał.

- Nie na długo – obiecał Flav. – Poison! – Masywny pajak ruszył naprzód, o stopę mijając Jasara, który się wzdrygnął i Flav nakazał: - Gdy przyprowadzą to nad statek, zniszcz to.

Z łomoczącym sercem, Jasar obrócił się i ruszył na dół, dłużej nie zainteresowany tym co myśleli o nim generałowie. I tak jego status był wyższy niż ich i dostąpił honoru posiadania dwóch bitewników. Tylko, że żaden z nich nie potrzebował zastępstwa, wyszeptał w nim perfidny głos. Jasar go zignorował i wrócił do swojej kajuty.



Airi unosiła się na niebie, biegnąc na wiatrach jak szybko mogła, tak przerażona, że ledwie mogła myśleć. Czuła swojego mistrza i rój za sobą, ale z dystansu czuła również nienawiść zbliżających się bitewników. Byli dużo bliżej niż ktokolwiek oczekiwał.

Musieli opuścić miasto krótko po Rilu i podróżować równie szybko. Airi słabo czuła również sylfa niosącego statek. Była to Tempest, jedna z najstarszych sylfów tutaj i starsza niż jakakolwiek jaka Airi znała w swoim oryginalnym roju. Wiek dawał jej moc i ciężar jaki niosła był dla niej niczym.

Nie zbliżyła się. Za blisko i bitewnicy na pokładzie zniszczą ją. Choć dotarła dość blisko by wyczuć ilość ludzi na pokładzie i szukała jednej ważnej rzeczy – jednej informacji o jakiej zdobycie poprosił ją Leon – jak i zmierzenie odległości w jakiej naprawdę był wróg.

Cieężko było się rozeznać. Statek powietrzny leciał ku niej, przesywając chmury na niebie. Na pokładzie było tuziny mężczyzn, załoga i żołnierze, i bitewnicy, zawsze bitewnicy. Czowała również elementarne sylfy, pośród nich powietrzne sylfy które zabezpieczały pokład przed wiatrami Tempest i ziemne sylfy, które miały włamać się do ula. Zanim mogli ją odkryć, zbliżyła się do statku bardziej niż lubiła, mocniej szukając.

Była sześciu – nie, więcej niż sześciu. Miała nadzieje, modliła się i zbliżyła bardziej, zdesperowana znaleźć co musiała i wrócić do ula, ostrzec o bliskości wroga. Nie miała pojęcia czy może prześcignąć Tempest, nawet nic nie niosąc.

Nagle to poczuła, gdy prześlizgnęła się poniżej wiatrów Tempest i chciała krzyczeć z sukcesu. Był jeden na pokładzie! Ale w tej samej chwili rozległ się ryk nienawiści, mężczyźni krzyczeli ponad nią na statku. Natychmiast Airi opadła, bo inne powietrzne sylfy ruszyły za nią. Były mniejsze niż Tempest, ale wiele było silniejszych niż Airi i przewyższały ją liczebnie. Otoczyły ją, swymi wiatrami unosząc ją nad statek. Nie zabiją jej – żadnemu z nich nie mógł zostać wydany taki rozkaz – ale wiedziała że unoszą ją tam gdzie bitewnicy będą mogli.

Airi zawyla z przerażeniem, walcząc. Musiała zanieść z powrotem informację i nie chciała umierać. Krzyknęła najgłośniej jak mogła, odbijając to echem na liniach roju, ale żaden z tych sylfów nie był z jej oryginalnego roju – a nawet gdyby były, nie mogły jej pomóc. Nie miały wyboru, poza wykonaniem swoich rozkazów, jak ona musiała wykonać swoje – choć Devon dał jej opcję nie ruszenia.

Zdesperowana, uderzyła w najsłabszego sylfa najmocniej jak mogła, zdobywając dość miejsca by uciec pod statek zanim mógł w nią wycelować bitewnik. Natychmiast sylfy ruszyły za nią, znów ją otaczając i unosząc w górę. Były silniejsze; było ich zbyt wiele. Airi znów krzyknęła, bezradnie unoszona ku śmierci.

Dokładnie gdy dotarła na poziom krawędzi żagli, coś się przez nich przebiło i złapało ją, rozrzucając otaczające ją powietrzne sylfy w każdym kierunku i odciągając Airi. Zdumiona, czuła że jest niesiona w dół na równiny i z dala, niewiarygodnie szybko. Za nią, powietrzne sylfy wyły, wykrzykując w niebo swój ból.

Trzymaj się, powiedział Heyou, jego kształt był skondensowany do zaledwie odrobinę większego niż jej i również przezroczysty. Przyciskając ją do siebie, leciał ku rojowi.

Co? Sapnęła, zszokowana. Nie oczekiwała żeby któryś z bitowników zaryzykował opuszczenie ula by ją uratować.

Usłyszałem twój krzyk. Musiałem przyjść. Mace powiedział bym nie pozwolił mężczyznom się zobaczyć.

Ale bitownicy będą wiedzieć, że tu jesteś!

I tak to wiedzą. Devon byłby zdenerwowany, gdybyś umarła. Królowa byłaby zdenerwowana. Potem wszyscy byliby zdenerwowani. Więc po ciebie przyszedłem.

Brzmiał jakby się z niej śmiał. Zawsze zdezorientowana umysłami bitowników, Airi przywarła do niego i pozwoliła się nieść, już nie polegając na prądach powietrznych, ale je przesywając.

Mam informację, której chcieli, powiedział mu.

Świetnie. Lepiej powiedz im szybko.

Za nimi, statek powietrzny króla leciał w pościgu, Tempest przyspieszyła na rozkaz mistrza.



Flav przechylił się przez reling, patrząc w dół, gdy statek zbliżył się do urwiska, jego powietrzny sylf w końcu zwolnił szaleńcze tempo. Miejsce było takie jakie opisywał Jasar: samotne wzgórze wysokie na dwieście stóp, które zostało przecięte w połowie i w poprzek szczytu by zostawić prosty jak arkusz front. Było oświetlone przez światło księżyca odbijające się w śniegu, ukazując nagi szczyt, poza trzema postaciami stojącymi blisko krawędzi, patrzącymi w górę. Wyciągając lunetę, skupił się na nich.

- To ludzie? – zapytał Boradel.

- Tak. Dwóch mężczyzn i chłopak. Muszą chcieć próbować negocjować.

Anderam parsknął.

- Jakby mieli coś czego chcemy.

- To może być pułapka – powiedział z zadumą Flav, opuszczając lunetę.

Mężczyźni po prostu stali cicho – nawet nie byli uzbrojeni. Chłopak uśmiechał się szeroko, machając.

- Cóż – odparł Boradel. – Odkryją, że sami też zastawiliśmy pułapkę.

Po tym jak tamten sylf uciekł wcześniej, podjęli specjalne środki ostrożności – coś czego ten nie powinien oczekiwać, biorąc pod uwagę jak bardzo generałowie przewyższali go liczebnie. Czterech sylfów przeciw dwóm? Grupa ignoranckich piratów przeciw siedemdziesięciu uzbrojonym żołnierzom? Wszyscy śmiali się na szanse. Jednak żaden z nich nie był głupi i wiedzieli, że Leon jest geniuszem taktycznym.

Flav złożył lunetę i przypiął ją do pasa, nie odrywając oczu od trzech figur poniżej, z której żadnej nie rozpoznawał. Nie było widać Leona, co go niepokoiło.

- Poison! – Sycząc, pajak stanął za nim, patrząc na mistrza. Flav spojrział na własne odbicie odbite setnie w oczach stworzenia i wskazał. – Zabij ich.

Natychmiast pajak wspiął się przez reling, przytrzymując się drewna statku tuzinem nóg i na wpół opuszczając ku trójce mężczyzn. Ryknął, jego nienawiść odbijała się echem od równin i skupił się. Fala migoczącej energii wyrwała się z niego, dość by zniszczyć cały szczyt urwiska i samą skałę przynajmniej na głębokość stopy.

To się nie stało. W połowie drogi w dół, uderzenie napotkało inne nadchodzące z dołu i eksplodowało, wstrząsając statkiem i sprawiając, że Tempest krzyknęła z wściekłości. Flav chwycił się relingu zanim mógłby się przewrócić, patrząc w dół w szoku, jak dwóch dorosłych mężczyzn zmieniło formę, stając się rzeczami jakie widział tylko raz, w dniu w którym związał Poison. Potem ich nienawiść go uderzyła i zachwiało się na nieprawdopodobieństwo tego.

- Zabij ich – zaskrzeczał na swego bitownika. – Zabij ich teraz!

Za sobą usłyszał ja Boradel i Anderam nakazując atak swoim bitownikom, a Poison zeskoczył ze statku, jego tuzin nóg rozchylone gdy zawył w furii, rzucając się ku zbliżającemu się wrogowi. Claw i Yanda podążyli chwilę później, znikając za burtą.

- Cofnij statek! – Anderam krzyknął do mistrza Tempest i statek zaczął się cofać, zanim mogli skończyć w środku walki.

- Zmienili się – sapnął Boradel, jego twarz była biała. – Och, bogowie, zmienili się.

Nie było kontroli nad tymi potworami, nic nie mogło ich powstrzymać. Flav chwycił reling aż jego kłykcie pobieleły, patrząc za burtę na walkę. Księżyc był

dość jasny by mógł rozróżnić co się działo, zobaczyć jak dwa dymne kształty ruszają na Poison, Yanda i Clawa.

Wolni czy nie, para broniąca urwiska ciągle nie miała przewagi liczebnej i zaczął mieć nadzieję, że Poison i reszta i tak zwyciężą. Uśmiechnął się złośliwie z pewną dumą jaką zawsze czuł widząc swego sylfa walczącego. Poison był najlepszym zabójcą w królestwie, bezwzględny i inteligentny mimo nienawiści. Ale chwilę później, zobaczył ostatnią rzecz jakiej mógłby oczekiwać.

- Nie! - krzyknął. Obracając się, patrzył na dwójkę pozostałych generałów, żaden zdawał się nie poznawać tego co właśnie się stało. – Potrzebujemy więcej bitewników! – krzyknął, ku ich zaskoczeniu. Żaden z nich nie widział. – Gdzie jest Jasar?

Dandysa nie było na widoku. To było nieszczęsne w sposób jakiego Flav nie rozumiał. Jasar, mimo wszystko, był jedynym który wcześniej widział co się właśnie stało, albo mógł ich ostrzec co to znaczyło.

Rozdział 28

Jeśli pozostały im jakieś wątpliwości, przybycie i ucieczka Airi przekonała generałów, że Leon był w rzeczywistości zdrajcą i teraz on dowodził obroną piratów. Wiedząc jak dobry był w strategii, zdecydowali się upewnić, że przewaga zostanie po ich stronie i wcześniej wysadzili żołnierzy. Kilka mil dalej, powietrzny sylf niósł wojowników Alcora i drużynę ziemnych sylfów na tył urwiska, gdzie spotykało się z górą.

Gdy się zbliżyli, zobaczyli okna wycięte w przedniej ścianie klifu. Żołnierz dowodzący napadem nie był zaskoczony. W tym otoczeniu, naprawdę tylko przeniesienie się piratów w samą górę miało sens. Oczywiście, on i jego oddział stworzą kilka dziur więcej i zabiją wszystkich w środku, gdy Leon ciągle będzie oczekiwał tradycyjnej walki bitewników.

Heyou nie wyczuł ich poruszających się u podstawy stoku tak daleko za nim. Zamiast tego obserwował Rila i Mace'a ruszających w górę by walczyć z trzema bitewnikami opadającymi ku nim. Pragnął do nich dołączyć, ale jego rozkazy były jasne. Miał bronić ula od środka. To było frustrujące. Bez względu na to, obrócił się plecami do bitwy i zmienił formę, ruszając jako dym i błyskawice ku klatce schodowej.

Stria, ziemny sylf Cala czekała na szczycie i gdy Heyou ją minął, położyła rękę na kamieniu i zamknęła schody. Natychmiast dźwięki eksplozji i bitwy umilkły, i Heyou przeleciał do obszaru jadalni, gdzie byli wszyscy poza mężczyznami i sylfami, których Leon wyznaczył na strażników.

Minął dwóch, mężczyźni opadli z krzykami strachu i wleciał do jadalni, unosząc się nad tłumem. Skrzeczeli i wiwatowali w odpowiedzi. Heyou ich zignorował, poza szybkim uderzeniem, które posłało Bevana ku schronieniu pod krzesłem, potem wrócił do ludzkiej formy, lądując w przykucnięciu na stole przy którym siedziała Solie, jego twarz tylko cale od jej.

- Próbujesz być dramatyczny? – zapytała.

Pochylił się i pocałował ją szorstko.

- Są tutaj. Ril i Mace walczą z trzema bitownikami. Jest cudownie!

Myślał, że to było fantastyczne, ale wielka sala rozbrzmiała przestraszonymi pomrukami. Heyou czuł ich strach i rozejrzał się z zaskoczeniem.

- Co? Myślicie, że przegramy?

Leon pochylił się nad stołem i wyszeptał:

- Co możesz mi powiedzieć? Których bitowników sprowadzili?

- Uch, brzydkich?

Leon zasłonił dłonią oczy podczas gdy blondynka stojąca u jego boku zachichotała. Heyou spojrział z desperacją na Solie.

- Mogę iść? Naprawdę chcę kogoś zabić.

- Nie – Solie spojrzała groźnie. – Zostaniesz tutaj.

- Ale nikt tu nie wejdzie!

Jakby żeby udowodnić mu że się myli, ognisty sylf wtargnął do sali, krzyżąc.

- Och – Heyou wystrzelił ze stołu i zmienił się, ruszając za rozhisteryzowanym ognistym sylfem. Poprowadziła go w dół innej klatki schodowej do najniższego poziomu ula, do wielkich stajni, które wykopali dla zwierząt. Gdy się zbliżył, zaczął czuć emocje wszystkich ludzi tam, włączając tych których powinien wyczuć dużo wcześniej, gdyby nie był rozproszony przez własną ekscytację.

Pół tuzina mężczyzn walczyło, przegrywając, przeciw mężczyznom w czerwieni i czerni wchodzących przez masywne otwarcie z tyłu wytopione przez ziemnego sylfa. Najeźdźcy przepychali się przez spanikowane zwierzęta albo nawet je cieli. Galway był jednym z obrońców, jego emocje pod ścisłą kontrolą nawet gdy krzychał do obrońców by się wycofali – i gdy jednego z nich prowadził obok siebie.

Heyou ruszył w dół nad swoim mistrzem i ryknął, uwalniając swoją nienawiść. Uderzyła najeźdźców sekundę przed falą jego energii, zmieniając ich w krwawy strumień. Drugie uderzenie zmiotło ziemnego sylfa, który ich wpuścił, zanim nawet miała szansę krzyknąć. Heyou zatrzymał się na moment w poszarpanym otworze, wisząc nad śniegiem, ale nie czuł życia na zewnątrz. Już nie.

Zamknijcie dziurę, posłał do Galway'a, który skinął i wskazał ku jednemu z mistrzów ziemnych sylfów. Heyou zostawił ich by załatali otwór i ruszył w górę schodów, wracając do wielkiej sali i swojej pozycji na szczycie stołu Solie.

- Myślę, że teraz łapię dlaczego chciałeś, żebym został w środku – powiedział do Leona.

Pojawił się kolejny sylf, wykrzykując ostrzeżenie i znów ruszył, tym razem w innym kierunku. Nadchodzili z każdej strony oprócz frontu, zrozumiał i miał nadzieję, że będzie dość szybki by ich wszystkich powstrzymać.

Solie patrzyła ze strachem na Leona, a potem na Morgala. Żona Leona krzyczała na męża za to, że ich tu sprowadził a Morgal szlochał, ale najstarsza córka Leona napotkała spojrzenie Solie oczyma przestraszonymi, ale jasnymi. Solie przełknęła ciężko i skinęła.

- Wszystko będzie w porządku – obiecała.

- Wiem – odpowiedziała Lizzy. Ale gdy ul się zatrząsł, Solie naprawdę nie była tego pewna.



Ril i Mace polecili w górę, z rozpostartymi skrzydłami i otwartymi szczękami pełnymi błyskawic. Trzech wrogich bitewników opadało ku nim, prowadzeni przez tego anormalnego, gigantycznego pająka, ale Mace czuł czwartego – ciągle na statku, trzymanego w rezerwie. Choć trzech wystarczyło, może nawet więcej niż to.

Mace wysunął się na prowadzenie. Trzysta stóp nad urwiskiem uderzył w Poison i pająk ciał szponiastym odnóżem w dół, próbując go przebić i jednocześnie wysyłając falę energii, którą Mace zablokował swoją. Mace użył też tej samej fali by zatrzymać szpony zanim moły dotrzeć do jego osłony i obaj się obrócili, przytrzymując się nawzajem.

Ril wziął następnego, złotowłosego lwa i wzdrygnął się blokując uderzenia ogromnego kota. Ciągle był wyczerpany po szaleńczym locie z powrotem do ula; Mace wyrwał go ze snu gdy Heyou i Airi wrócili. Ale to się nie liczyło. Będzie walczył z całą siłą jak długo będzie mógł.

Ruszając w bok, zdolny latać w przeciwieństwie do lwa, zmienił się, część jego osłony uformowała bat z ostrzami, który uderzył w Yanda. Uderzył w obronną falę kota, odrzucając go do tyłu i Ril ruszył na niego.

Claw nadszedł ostatni, opadając dokładnie ku Mace'owi i Poison. Jego usta były szeroko otwarte, oczy się jarzyły i płaszcz jaki nosił trzepotał wokół niego

gdy wylądował na pozostałej dwójce. Przeciężeni, z tylko jednym z nich zdolnym latać, upadli.



Ril leciał za koziółkującym lwem, unikając uderzeń mocy, które by go starły gdyby uderzyły wprost. Nie oddawał tych uderzeń, jeszcze nie odzyskawszy dość siły. Będzie musiał walczyć z bliska żeby to wygrać. Może mogliby wysłać Heyou a zamiast tego jego umieścić w ulu, rozważał z namysłem, ale Heyou nie miałby szans na wygraną. Moc znaczyła o tyle mniej w stosunku do doświadczenia, a ten bitewnik był stary. Ril był dużo młodszy niż Yanda, ale wciąż miał z nim lepsze szanse niż Heyou. Musiał w to wierzyć.

Szybko znów się zmienił, przybierając formę jastrzębia, w której spędził tyle lat. Był przyzwyczajony do tego kształtu, był to też kształt mniejszy i trudniejszy do trafienia. Złożył skrzydła i opadł, przesywając szponami plecy Yanda nim odleciał w innym kierunku.

Pazury Yanda wyrwały część piór z jego ogona. Bolało straszliwie – były częścią jego esencji. Ril obrócił się niekontrolowanie przez sekundę zanim opadł by uniknąć kolejnego uderzenia. Kot za bardzo na nich polegał, wyginając się i rycząc gdy opadał, rzucając energią tak nieuważnie że oprócz tworzenia dziur w ziemi zniszczył też lewy żagiel statku powietrznego. Ril usłyszał jak powietrzny sylf unoszący go zaskrzeczał z gniewem, ale wirował w uniku.

Yanda obrócił się i wylądował na ziemi, zebrał się w sobie i podskoczył w tym samym ruchu. Warcząc, Ril odtoczył się, opadając i tworząc ścianę energii na którą tak naprawdę nie mógł sobie pozwolić, a która była słaba ale wystarczyła by odrzucić Yanda i uratować mu życie. Ale bez piór na ogonie pomagających mu kierować, następny obrót wykonał zbyt ciasno i jedno z jego skrzydeł uderzyło o ziemię. Chwilę później się obrócił, unosząc się w powietrze i zmieniając, próbując przybrać kształt, który pozwoliłby mu walczyć na ziemi.

Ból był wszędzie. Jego osłona wrzeszczała agonią gdzie zostały wyrwane pióra i wybrał drugi najbardziej znajomy kształt zanim znów uderzył w zaśnieżony grunt. Przewracając się na przód, stracił oddech.

Rozległ się warkot. Obmyty nienawiścią drugiego, Ril szybko odtoczył się na prawo, gdy Yanda rozdarł ziemię gdzie leżał. W ludzkiej formie, Ril skoczył na nogi i sapał, patrząc na kota stojącego tylko parę stóp dalej. Yanda miał głębokie ciecice na grzbiecie, zamiast krwi wyciekała z niego energia, ale Ril wiedział że to on jest w gorszej formie. Nie był w takiej walce od czasu zanim opuścił swój rój, a nawet wtedy nie była tak brutalna. Tam, nie musiałby walczyć sam i kształt nie byłby tak ważny. Tutaj był całkiem pewny, że kształt był jedyną rzeczą jak mogła go uratować.

Tyle, że kończyła mu się energia, której potrzebował do jego zmiany. Jeśli będzie miał szczęście. Miał w sobie dość na jedno uderzenie i już wiedział, że nie będzie dość silne by spowodować jakiegoś zniszczenia. Nie przeciw tak staremu bitownikowi. Gdyby wcześniej wiedzieli z kim będą walczyć, Mace zajęłyby się tym. Choć też Ril zginąłby próbując walczyć z pozostałymi dwoma. Warknął i znów ruszył do ataku.

Napełniony dużą większą ilością energii niż młodszy bitownik w pełni sił, Yanda znów uderzył. Ril wykorzystał ostatnią falę by to zablokować. Energia, która powinna go zniszczyć, zamiast tego zdmuchnęła go z nóg i sturlał się po stoku prowadzącym do klifu, rozrzucając pokryte śniegiem kamienie i krzycząc. Yanda rzucił się za nim, rzucając uderzeniami, które wybuchały dokoła, podrzucając Rila w powietrze jak kot podrzucałby mysz.

To było za dużo. Rozwścieczony, Ril się obrócił i wylądował w przysiadzie, gdy kot na niego ruszył, ciągle w ludzkiej formie ale jego ramię do łokcia w dół zmieniło się ząbkowany miecz. Yanda się rzucił, wznosząc za sobą mgłę śniegu i kamieni, a Ril wyrzucił w przód broń, próbując przebić drugiego bitownika. Ruch był szybki, niewiarygodnie szybki, ale Yanda się odtoczył, obracając w powietrzu, przyjmując uderzenie w bok i kłęb – a potem uderzył w Rila. Zdesperowany, Ril znów się zmienił, odzyskując naturalny kształt i próbując uciec, ale lew przeszedł wprost przez niego, tnąc pazurami i kłębami.

Ril krzyknął, dolna trzecia część jego osłony została kompletnie odcięta. Rozproszyła się w nicość z zapachem ozonu, jego krzyk odbijał się echem na liniach roju by ostrzec innych bitowników o jego nadchodzącej śmierci. Ból był przejmujący, rzucił się w górę, zostawiając za sobą ślad energii. Instynktownie owijając się wokół siebie, próbował zatrzymać w sobie resztkę życia i upadł w konwulsjach.

Yanda ryknął w triumfie i obrócił się ku ulowi, jego ogon kiwał się na boki, a z boku wyciekała energia. Był ranny, ale nie dość by go to zabiło, zrozumiał Ril. Leon, posłał z desperacją. *Zawiodłem. Nadchodzi.* Potem, zwijając się w kłębek, z ranami przyciśniętymi do ciała najciaśniej jak to możliwe, zmienił się w jedyny kształt o jaki mógł pomyśleć i poczuł jak uderzył w zamarzną ziemię, tuż zanim ogarnęła go ciemność.



W ulu, Leon wykrzykiwał rozkazy do mężczyzn i sylfów, posyłając ich we wszelkich kierunkach by utrzymać linie komunikacji, by wiedzieli z której strony nadejdzie kolejny atak. Heyou znów zamigotał w pomieszczeniu i Leon wskazał mu północne przejście, wskazując ognistego sylfa, który powiódł go do miejsca w którym włamywali się żołnierze trzy poziomy niżej.

- Już mi się to nie podoba! – krzyknął bitewnik, przyjmując ludzką formę tylko na dość długo by się poskarżyć.

- Trudno! – odkrzyknął Leon. – Po prostu trzymaj ich na zewnątrz! Nie mogło zostać więcej niż tuzin! – Statek powietrzny nie uniósłby więcej. Byli rozdzieleni co uniemożliwiało im komunikację, pewnie nieświadomi, że bitewnik zabijał każdą grupę jaka weszła.

Heyou zniknął i Leon obrócił się ku Morgalowi. Nieważne co mężczyzna myślał o nim osobiście, nikt nie wątpił, że teraz on dowodził. Widział dużo wdzięczności na twarzach ludzi, którzy nie tak dawno chcieli go powiesić. Teraz, to się nie liczyło, jak długo słuchali.

- Chcę, żebyś... - Przerwał, słysząc słaby głos w swoim umyśle. Słaby głos i przerażająca, już słabnącą agonię.

- Ril? Ja... Och, bogowie... Ril! – Leon obrócił się i wykrzyczał to ku ścianie od strony Łupkowych Równin przed klifem. – Ril! Nie! Ril! – Agonia przeszła go na równi z jego bitewnikiem, obrócił się ku północnemu korytarzowi, ocierając łzy z oczu i wyciągając miecz. – Heyou! Wracaj tu! Nadchodzi bitewnik! – Ludzie wokół niego krzyknęli z przerażenia i Heyou wrócił, zatrzymując się w ludzkiej formie.

- Co z żołnierzami? – zapytał.

- Zajmę się nimi – powiedział Leon. – Ty musisz się zająć bitewnikiem.

Heyou skinął i znikł, migocząc. Leon wskazał na ostatnich uzbrojonych mężczyzn w wielkiej sali, Devon i Morgal byli między nimi i poprowadził ich ku północnemu przejściu. Za sobą usłyszał krzyki swojej rodziny. Zignorował je, tak jak własny ból.

Rozdział 29

Zostawiając umierającego bitewnika, Yanda biegł ku klifowi, mięśnie poruszały się pod gładką skórą i złotym futrem. Żadnej prawdziwej świadomości nie było w jego umyśle. Miał swojej rozkazy i atakowanie innych roi było tym po co się wykuł – a wszystko to już dawno zastąpiło szaleństwo. Jediną rzeczą jakiej chciał teraz było zabijanie i nawet nie czuł głębokich ran jakie odniósł i jak go spowalniały.

Urwisko wznosiło się przed nim, twierdza cuchnąca zarówno strachem jak i determinacją. Chciał zniszczyć mieszkańców. Ścianę klifu znaczyły kwadraty okien i choć żadne nie było dość nisko by mogli je wykorzystać ludzcy napastnicy, Yanda zwiększył prędkość, zbierając się w sobie i skacząc do najniższego, niemal czterdzieści stóp w górze. Uderzając energią, wysadził okno i większość otaczającego go skały.

Łądując na kamiennej podłodze w środku, wpadł w poślizg na dywanie ze splecionej trawy i wpadł w łóżko z lin i ścianę. Był tam wodny sylf, zostawiony by na wszelki wypadek pilnować okien. Krzyknęła ze strachem i rozproszyła formę, deszczem opadając na podłogę i ruszając ku przejściu. Yanda wstał i wbił szpony w kałużę, tnąc osłonę energii, z której naprawdę była zrobiona. Jak bitewnik na zewnątrz, krzyknęła gdy ją rozdarł, rozpryskując się na drobinki zbyt małe by mogły utrzymać świadomość lub życie.

Jej śmierć słodko pachniała. Yanda przesunął przez to językiem, rozkoszując się smakiem, nawet mimo tego, że nie mógł z tego wziąć żadnego pożywienia. Zamruczał, ale czuł inne życie w pobliżu, kilku nawet z jego oryginalnego roju. To się nie liczyło. Zabije wszystkich.

Ruszył korytarzem, który był ciemny ale pełen dźwięków i zapachów. Uciekał nim kolejny sylf, uciekając od kolejnego okna. Yanda ruszył w pościgu, łapiąc ją tylko kilka stóp dalej. Była ziemnym sylfem, twardszym nie

pierwsza, ale ciągle bezradna przeciw niemu. Próbowwała się bronić, ale i tak ją zabił.

Dalej było więcej życia, zebrana duża grupa. Powąchał powietrze, szukając drogi, ale miejsce gdzie teraz był nie łączyło się z właściwym przejściem. Powąchał jedną kamienną ścianę, pewny że byli po drugiej stronie, kręcąc się i skamłając, cofając.

Ściana wybuchła do środka. W jadalni, mężczyźni i kobiety krzyknęli, próbując uciec przed wybuchającą ścianą, wielu rannych albo próbujących pomagać innym. Yanda wskoczył i ryknął, lądując w przysiadzie, uderzając nienawiścią. Krzyczeli nawet głośniej, co go podekscytowało i rzucił się na najbliższego, zamierzając każdego obecnego zmienić w krwawą masę.

Rozhisteryzowane powietrzne i ogniste sylfy próbowały zepchnąć go z drogi, ale je zignorował; wszystkie wyglądały jak dzieci i były za słabe. Potem chłopiec uderzył w jego bok, palce, które nagle stały się pazurami wbiły się w rany, które już otrzymał Yanda i ryknął, gdy został uderzony nienawiścią drugiego bitownika, który ukrył się pomiędzy sylfami, używając ich by zakamuflować własny atak.

To było nie do pomyślenia. Żaden bitownik nie atakował z zasadzki! Yanda krzyknął z wściekłości, uderzając gdy przeturlali się po podłodze, wpadając na uciekających ludzi. Sczepiony z nim, chłopak zmienił się w coś kolczastego i pazurzastego, z wieloma szczękami. Ból przeszył kota i uderzył energią, tylko po to by wróg ja zablokował.

Siła tarczy wystarczyła by pokazać, że znów walczył ze gorszym bitownikiem, choć ten nie był słaby tylko młody. Yanda zawył radośnie i rzucił się do walki. Był wcześniej atakowany przez niemowlaki. Zabicie tego nie powinno zająć długo.



Mace opadł ku ziemi, tak spleciony z pozostałymi, że nie mógł walczyć. Przez chwilę, żaden nie mógł i w dziwnej formie wspólnej zgody rozdzielili się przed upadkiem. Ciągle w naturalnej formie, Mace rzucił się w bok, unosząc się gdy pozostała dwójka wylądowała, pajak na tuzinie odnóży jakie uformował, stworzenie ze szponami w płaszczu w przysiadzie dalej na stoku.

Przez sekundę sytuacja była patowa, pająk sycząc obrócił się, nogi przeniosły kuliste ciało w stronę Mace'a, obracając się tyłem do partnera. Mace został gdzie był, obserwując i oceniając, gotów natychmiast ruszyć lub zmienić kształt. W przeciwieństwie do Rila, był wypoczęty, dużo starszy niż przeciwnicy. Kot mógłby przysporzyć mu problemów, ale ci byli na tyle młodszy, że musieli się nim zająć razem.

Najwidoczniej to wiedzieli. Pająk z furia poruszał żuwaczkami, nisko opuszczając ciało i pozwalając drugiemu bitewnikowi podejść za siebie. Nie byli z tego samego roju – Mace łatwo mógł to określić – ale byli pod rozkazami współpracy. Wszyscy bitownicy mieli takie rozkazy gdy było to konieczne, jak gdy on współpracował z Rilem przy ataku na Wspólnotę nim stali się częścią tego samego roju. Pająk wydał syczący chichot, oczekując teraz tej współpracy. Mogli go zabić gdyby pracowali razem.

To się nie stało. Drugi bitownik stanął za pierwszym, jego okrągłe usta otwarte szeroko, a masywny splot kłów wystrzelił naprzód. Stanął blisko do Poison i obrócił się w jednym ruchu, pazurami tnąc pająka przez podbrzusze. Pająk krzyknął, upadając na bok i koziołkując, zwijając odnóża. Natychmiast Claw ruszył za nim, jak i Mace, zmieniając się w ciężką zbroję, kształt w którym tkwił tak długo, i lądując na brzuchu pająka, wbijając stopę w bardziej miękkie ciało. Wbił w dół, rozdzierając osłonę bitownika. Claw znów ciął pająka. Wszyscy krzyczeli, rosła nienawiść i moc uderzała dookoła, pająka poza kontrolą, uderzenia jego zabójców skupione bardzo uważnie.

Moc Mace'a cięła głęboko, rozdzierając Poison. Zwinął się, zrzucając jego i Clawa. Zebrali się i przysiedli by znów zaatakować, obserwując, ale to nie było konieczne. Poison wydał zdezorientowany dźwięk, drżąc, gdy jego brzuch zniknął, a odnóża zwinęły wokół niego. Wszystkie jego oczy błysnęły i umarły. Chwile później jego ciało zaczęło się rozpadać, kawałki odlatywały i wyparowywały, zmieniając go w mniej niż pył i zapach ozonu.

Mace się wyprostował, patrząc beznamiętnie na ostatnie drobiny martwego bitownika zanim obrócił się do drugiego. Claw odwzajemnił spojrzenie z równym brakiem wyrazu, ale jego emocje były pełne radości. Były wzorowane dokładnie jak Mace'a – co nie było zaskoczeniem, biorąc pod uwagę, że pochodził z oryginalnego roju Mace'a i teraz należał do tej samej królowej.



Jedno z dzieci zostało uderzone przez odłamek skały. Maluch krzyczał mimo gwałtownej bitwy toczącej się tuż koło niej, która wytoczyła się na korytarz. Krew spłynęła jej do oczu. Oślepiając i doprowadzając jej matkę niemal do hysterii. Żadne miejsce nie wydawało się bezpieczne. Eksplozje i krzyki ze strony dwóch walczących bitewników odbijały się echem w korytarzu, sam ul się trząsał, nienawiść napływała tak mocno że ludzie mogli tylko panikować. Jeśli lwi sylf wróci, niewiele mogli zrobić.

Delikatnie, Luck sięgnęła i położyła dłoń na czole rannej dziewczynki, skupiając się. Natychmiast rana się zamknęła i dziewczynka przestała płakać, mrugając ze zdumieniem na uzdrowicielkę. Luck się odwróciła, nie zwracając na nią więcej uwagi. Nie miała czasu. Teraz wszystkie rany w pomieszczeniu były zaleczone i skupiła się, szukając więcej bólu, więcej ran do uzdrowienia. Wiele było w ulu, mężczyźni ranni i krwawiący od walk z żołnierzami. Chociaż nie mogła naprawdę rozróżnić tych z roju i najeźdźców. W domu to było łatwe. Tu już nie.

Spojrzała na swego przerażonego mistrza, który ukrył się pod stołem i szlochał. Kochała go, ale nie będzie w tym żadną pomocą. I tak sięgnęła, dotykając go i naprawiając tę rzecz w nim, która nie mogła zostać wyleczona, hipochondrię, która tak ją zafascynowała że odwiodła ją od ranego bitewnika, dla którego wyleczenia opuściła swój rój. To była jedna z chwil jej wolności, rzadka w rzeczywistości. Teraz miała tak dużo. Wcześniej opuszczała rój tylko jeśli sylf był tak ranny że nie mógł wrócić, ale nie dość by królowa go opuściła. Teraz mogła wychodzić gdy chciała, jeśli chciała. Zwykle sama ta wiedza wystarczyła.

Pragnęła leczyć, ale nie wiedziała gdzie zacząć. Nie mogła leczyć wroga, ale nie wiedziała kto nim był. Żaden z ludzi nie pachniał jak rój. Jedynym rannym członkiem roju jakiego mogła wyczuć był...

Luck patrzyła przez poszarpaną dziurę w ścianie. Już była zamykana przez trio ziemnych sylfów, podczas gdy inne zamykały przejście w którym zniknęli bitewnicy. To był żałosny gest, ale musieli działać, jak ona. By wypełniać swój cel.

Na zewnątrz był bitewnik, ranny i umierający. Luck wiedziała, że należał do roju. Jej pierwszym odruchem było uleczyć obrońców roju w środku, ale był

tak bardzo ranny. Mogła powiedzieć, że był ranny bardziej niż mogła w pełni uleczyć i nawet jeśli go ocali nigdy nie będzie taki sam, nigdy nie będzie mógł służyć w sposób w jaki był potrzebny. W domu, zostawiłaby go na śmierć lub pomogłaby mu się odprężyć przyspieszyć wykrwawienie energii. Ale patrząc na królową, przykucającą pod innym stołem z płaczącą dziewczyną w ramionach, Luck wspomniała rozkaz, że nikt ma nie umierać. Bitewnikom dano wolną rękę, jej nie.

Powoli oddaliła się od mistrza, chcąc go ze sobą zabrać, ale nie chcą narażać go na niebezpieczeństwo. I tak nie byłoby z niego pożytku. Zem zobaczył jak odeszła i krzyknął, ale przywykła do ignorowania go, gdy jej instynkt był silniejszy. Przyspieszając, przeszła przez dziurę w ścianie i przebyła przejście na zewnątrz. Ledwie zwolniła mijając ciała dwóch sylfów – obu martwych – ruszyła dalej, wylatując przez wybite okno którym wszedł Yanda.

Zignorowała konflikt między Macem a dwoma bitewnikami. Dwaj byli z roju, jeden nie, więc wiedziała kto wygra i wiedziała, że będą ją chronić przez innym. Znalazła Rila leżącego na stoku równiny, na wpół zakopanego w śniegu i leżącego na skale. Zmienił się w formę jajka, w ostatniej próbie zatrzymania wyciekającej energii. Luck zadrżała, czując jak wiele z niego po prostu zniknęło i nie wiedziała czy może pomóc. Choć rozkaz królowej był bezwzględny: nikt nie umiera. W sercu, wielbiła tego prostotę i otoczyła sobą Rila, błyszcząc.

Uleczyła go, łatając rozdartą krawędź jego osłony, napełniając go wyciekającą energią. Chociaż tyle stracił, jego wzór był złamany i kaleki. Przywróciła go do ludzkiego kształtu, niepewna czy jeszcze kiedyś będzie w stanie zmienić formę i kontynuowała pracę, bliska wyczerpania gdy walczyła by go uzdrowić. Z rękoma i nogami po bokach, Ril rozciągnął się pod nią, jego głowa niżej na stoku niż stopy i położyła się na nim jak kochanka, obejmując go ramionami.

Tyle zniknęło, tyle przepadło. Ale przywróciła mu całość w formie, jeśli nie w duszy i oparła ledwie cielesną głowę na jego piersi, wzdychając. Uleczyła go, podlegając instynktowi i rozkazowi... i poczuła jak drżał z zimna jakiego nie powinien czuć bitewnik. Uratowała go i od niego będzie zależeć czy kiedykolwiek będzie w stanie jej wybaczyć.

Znów go obejmując, uniosła go w górę, zanosząc go ze sobą do światła i ciepła ula.



Heyou wrzasnął, gdy on i Yanda przetoczyli się przez wielkie pomieszczenie, roztracając ludzi i jakimś cudem wpadając w przejście po drugiej stronie. Ten bitewnik był starszy niż Ril czy nawet Mace i Heyou próbował nie panikować, gdy wspomniał co Ril zrobił mu wcześniej – i że Ril był pewnie martwy po walce z tą rzeczą.

Przynajmniej kot był ranny. Heyou było szpony w te rany i pchnął, próbując spowodować tyle zniszczeń ile było możliwe. To zarobiło mu ugryzienie w pobliżu ucha i Heyou zaskrzeczał, uderzając go w pysk. Yanda właściwie się na to roześmiała i ugryzł mocniej, przechylając głowę na bok i rzucając Heyou o ścianę. Uderzył w nią i niemal stracił formę, zmuszony przybrać solidny kształt tylko po to by powstrzymać się przed rozpadnięciem. Ze wzdrygnięciem opadł na dłonie i kolana, nosząc formę chłopca, którą lubiła Solie i Yanda uśmiechnął się do niego szerokim, złym uśmiechem, język zawisał mu z pyska.

Solie..., pomyślał Heyou z desperacją. Jeśli przegra zostanie zabita, razem z Galwayem, Devonem i wszystkimi innymi. Chociaż po prostu nie mógł walczyć z tym bitewnikiem. Nie był dość silny. Nie, chyba że zaczeka kilka stuleci, a to i tak nie pomogło Rilowi. Jego jedyną nadzieją było zaprowadzić go do Mace'a – a Mace i tak był dość zajęty.

Wątpił też żeby Yanda był tak głupi. Kot opadł i zbliżył się ku niemu powoli, jego ogon drgał a oczy się jarzyły. Heyou wstał z trudem i cofnął się, szukając czegoś czym mógłby się bronić.

Nie było nic, więc zamiast tego uderzył kota nienawiścią, krzycząc. Yanda oddał tym samym, razem z uderzeniem energii, które Heyou zablokował tylko instynktownie. Rzucił się w tył, w dół korytarza, aż do złączenia w kształcie T. Ryzykując, ruszył bocznym przejściem, kilka wodnych sylfów ukrywających się uciekało przed nim, zostawiając za sobą mokry ślad. Chwilę później Yanda wyleciał zza rogu, ciągle się śmiejąc.

Nie mógł tego ciągnąć. Biegając z pełną prędkością, z drugim bitewnikiem tuż za sobą, Heyou wydyszał modlitwę do swojej królowej, zebrał się w sobie i

zmienił. W formie dymu wystrzelił do sufitu, kondensując na tyle, że drugi bitewnik wpadł w poślizg poniżej na mokrej podłodze.

Znów opadając, Heyou upadł na kota i wbił każde pazury jakie mógł stworzyć, krzycząc z nienawiścią i uderzając falami energii ze wszystkim co w sobie miał. Yanda zaskrzeczał i rzucił się w górę, uderzając nimi oboma o sufit zanim sam uderzył swoją energią, wstrząsając ułemi i rozplaszczając przy sobie Heyou. Młody bitewnik wściekle ciął głębiej, walcząc żeby się trzymać, wiedząc, że w chwili gdy puści będzie martwy. Yanda ciągle się rzucał, rzucając nimi o każdą powierzchnię jaką mógł i bombardując energią.

W agonii, Heyou czuł jak jego uścisk się rozluźnia.



Mace zostawił Clawa z tyłu, gdy poleciał do powietrznego statku króla Alcora, ogromna łajba wycofywała się z rosnącą desperacją i prędkością. Tylko powietrzny sylf utrzymywał ją w górze; statek był mocno zniszczony, żagle leżały już na ziemi.

Czuł upadek Rila, a Claw nie mógł z nim pójść. Mistrz Clawa był na tym statku, a Mace nie chciał ryzykować tego, że musiałby stawić czoła rozkazom generała nie bardziej niż chciałby stawić czoła własnemu mistrzowi. Ciągle czuł Jasara na dnie umysłu, ale zawsze odrzucał to uczucie, topiąc się w esencjach królowej i wdowy. Ostatnia była bardzo żywą kobietą, zdolną zadowolić go jak i on ją, pomimo jej zwykłych sztywnych manier. Chciał po tym do niej iść i potrzeba by złagodzić jej strach i gniew była większa niż jakakolwiek myśl o dawnym dręczycielu.

Trzej mistrzowie bitewników byli na dziobie statku, ten do którego należał Poison wymiotował na drewno z szoku po stracie sylfa. Mace znał ich z wizyt w zamku i celowo przybrał formę w jakiej był związany, chcąc żeby wiedzieli kim był.

Wylądował i wszyscy trzej patrzyli na niego w szoku. Jasar musiał być dobrym kłamcą, zauważył sucho. Żaden go nie oczekiwał.

- Ty... - sapnął mistrz Clawa. Był zszokowany, ale nie spanikowany, co sprawiło, że Mace był zadowolony, że zostawił z tyłu drugiego bitewnika. – Jasar skłamał!

- Oczekiwałeś czegoś innego? – warknął Mace i miał małą przyjemność widząc przerażenie i zdumienie trzech mężczyzn. To było dla niego więcej niż dość. Nie byli tacy jak Leon, który kochał swojego bitewnika i w zamian zdobył miłość Rila. Uniósł rękę, uformował coś co tylko wyglądało jak metal i obciął cały dziób statku.

Wokół niego zniknęły tuziny sylfów gdy ich mistrzowie umarli i usłyszał jak powietrzny sylf unoszący statek zawył z wściekłością. Jej mistrz musiał być gdzieś indziej, pomyślał Mace i poszukał schodów prowadzących pod pokład. I tak było lepiej. Był w podłym nastroju po zabiciu tych mężczyzn i w statku był tylko jeden bitewnik, zatrzymany tam z jakiegoś głupiego powodu. Mace czuł się bardzo zdolny do zabicia wrogiego sylfa, razem z jego mistrzem, potem resztą ludzi, którzy zagrozili jego rojowi. Gdy skończy, wróci do wdowy i odpręży się w jej ramionach.

Ciągle w formie zbroi, ruszył ku schodom.



Heyou nie wiedział czy może utrzymać się dłużej. Sycząc i skrzecząc, trzymał z zaledwie trzecią częścią uformowanych szponów, bitewnik pod nim rzucał się jak oszalały koń, rzucając się o wszystko jakby w ogóle nie dbał że rani przy tym ich obu. Czuł jak większość jego szponów się poddaje i skupił resztkę siły, mając nadzieję, że dość przebiję bitewnika, żeby go zabić. Nie miał wiele nadziei, ale nic innego nie mógł zrobić.

Nagle lew zamarł, sapnął i wydał przeszywający krzyk, w którym nie było nic poza nienawiścią i zaprzeczeniem. Chwilę później znikł i Heyou opadł na ziemię, zdumiony. Niemal minutę zabrało mu dojście do siebie i zrozumienie co się stało. Mistrz bitewnika umarł. Został z powrotem wessany do świata roju, jego połączenie z tym światem zostało zerwane.

Drżąc, Heyou wrócił do ludzkiej formy i z trudem wstał. Wzdrygając się z bólu, choć nie wyglądał na rannego, ruszył do Solie, tylko po to żeby odkryć, że przejście zostało załatanie kamienną ścianą grubą co najmniej na sześć stóp.

- Ach, rany – wymamrotał.



Przerażony, Jasar skulił się przy ścianie w swojej kajucie. Słyszał walkę i czuł nienawiść. Gorzej, czuł jak statek został uderzony falą energii. Gdy za pierwszym razem on i Leon walczyli z piratami, statek został ledwie tknięty i użył autorytetu by skrócić bitwę i wrócić do domu. Teraz był zdesperowany by uciec, ale dowodzili generałowie.

Wypełniała go panika i sapał, jego pierś naprawdę bolała z przerażenia – i czegoś gorszego. Bycie związanym z dwoma sylfami powoli go zabijało. Czuł jak to się działo, gdzieś głęboko w środku. Nie powinno go tu być. To było niesprawiedliwe.

Przed nim, Shield poruszył się, warcząc i Jasar próbował się tym pocieszyć. Shield będzie go chronił. Przed wszystkim innym, będzie go chronił – ten rozkaz był wyraźny. Był bezpieczny. Ale nie złagodziło to przerażenia Jasara gdy ciężkie kroki rozległy się na zewnątrz, cięższe niż mogły być kroki jakiegokolwiek mężczyzny. Jasar usłyszał podzwanianie metalu i zamrugał jak nienaturalnie było to znajome. Dźwięki zatrzymały się za drzwiami, a te się otworzyły.

Shield rzucił się naprzód, z szeroko rozchylonym pyskiem i poddał się rozkazom co do słowa. Bronić mistrza. Zrobił to – i nawet nie próbował bronić siebie przed uderzeniem mocy które nadeszło zza drzwi. Przyjął atak całym ciałem i uderzenie rozdarło go w pół. Skrzecząc w bólu i uldze, bitewnik opadł na ziemię i umarł, jego ciało natychmiast zaczęło się rozpadać.

Jasar patrzył z niedowierzaniem i przerażeniem, krzycząc. Tak nie miało być! Znów spojrzął w górę gdy do pokoju wszedł drugi bitewnik i zobaczył podobny szok w oczach stworzenia.

Mace.

Rozdział 30

Mace naprawdę nie oczekiwał, że bitewnik się poświęci. Sam nigdy by nie pomyślał o zrobieniu tego, ale czuł ulgę stworzenia gdy jego służba się skończyła. Mace rozumiał. Patrzył jak pies umarł i wszedł do pokoju, zamierzając zabić mistrza, którego sylf nienawidził tak bardzo, że wolał samobójstwo.

Patrząc w górę, zobaczył Jasara i zrozumiał swój błąd. Tak daleko wypchnął mężczyznę ze swoich myśli że nie wyczuł go na statku. Gdyby to zrobił, rozwalił by tę rzecz z daleka. Teraz było za późno.

Mace rzucił się do drzwi, zdesperowany uciec zanim mężczyzna dojdzie do katastroficznego zrozumienia.

- Stój! – krzyknął Jasar, jego głos był skrzekiem, niepewny.

Mace stanął.

Drżąc, Jasar odepchnął się od ściany, ruszając ku masywnemu bitewnikowi.

- Obróć się i ani drgnij – mruknął. Ze zgrzytającymi złączami jakby jego zbroja była prawdziwa, Mace się obrócił, jego kształt kompletnie zablokował drzwi. Jasar patrzył na niego i zaczął się uśmiechać, ale potem wściekłość skapała jego twarz, a jego policzki zapłonęły czerwienią. Był niemal szalony z gniewu i upokorzenia.

- Ty skurwielu! – zaskrzeczał. – Jak śmiałeś mi to zrobić! Wydaje ci się że kim jesteś?

Mace patrzył na swojego mistrza bez wyrazu, podczas gdy wewnątrz krzyczał. Jak mógł być tak bezmyślny? Nigdy nie oczekiwał, że Jasar tu wróci, a powinien. Powinien pomyśleć o tej możliwości i teraz miało to taki sens. Kto inny mógłby tu przyprowadzić ludzi króla?

Jasar wył na niego bezładnie przez następne kilka minut, pieniąc się z wściekłości i Mace stał nieruchomo, nie zdolny nic zrobić bez świeżych rozkazów. Solie dała mu wolność mówienia i zmiany kształtu, ale nie nakazała mu by już nie słuchał Jasara. Żadne z nich o tym nie pomyślało.

Teraz nie miał wyboru poza tym jednym rozkazem by nie drgnąć. Nie ruszał się, nie mówił, nawet nie odpowiedział na pewnie retoryczne pytania Jasara, ale w środku drżał, jego nienawiść uderzała jak zawsze – nienawiść, o której mistrzowie nie wiedzieli, że może być kontrolowana, że nienawiść ukrywała jego prawdziwe emocje przerażenia, rozpacz i gniewu, które w przeciwnym razie Jasar mógłby poczuć.

W międzyczasie, desperacko szukał drogi wyjścia. Rozważył zawołanie o pomoc po liniach roju, ale miał ścisły rozkaz chronienia Jasara przed atakiem. Jeśli ktoś inny przyszedłby mu na pomoc, skrzywdziłby ich. Taka sytuacja byłaby przerażająca.

Jasar nie miał pojęcia o myślach Mace'a. Był po prostu rozwścieczony zdradą bitewnika i chciał go zranić. Nie mógł, fizycznie. Mace nie poczułby żadnych jego uderzeń, więc dworak zdecydował się go upokorzyć.

- Nie będziesz mi ponownie nieposłuszny – syknął. – Nie ruszysz się dopóki ci nie każę, nie będziesz myślał czy czuł póki ci nie każę. Znajdę sposób by cię zranić i gdy to zrobię, będziesz cierpieł w nieskończoność, ty skurwielu.

Oczu Mace'a błysły delikatnie, ale przynajmniej był zadowolony, że nie musiał przyznawać jak już był zraniony.

Jasar otarł usta, rozglądając się nerwowo. Czuł i słyszał obcięcie dziobu, co wyraźnie było robotą Mace'a. To znaczyło, że generałowie byli martwi i dowodził. Obróci ten wrak i wróci do Eferem, a jeśli królowi się to nie spodoba, miał Mace'a żeby go na niego napuścić.

Wiedząc, że taki plan był kłamstwem gdy o tym myślał, Jasar z gniewem zerkał na bitewnika, nie bojąc się go bardziej niż dziecka w łańcuchach. Mace raz był nieposłuszny, ale wyraźnie nie zapomniał kto był jego mistrzem. Nie mógł właściwie ruszyć z jednym bitewnikiem i wrócić z innym, nie gdy cała jego historia była zależna od śmierci pierwszego.

Jednak nawet na to był sposób.

- Widziałeś tego psa tam? Cóż, zmienisz się w tego psa w każdym detalu i zostaniesz w takim stanie, i będziesz odpowiadał na imię Shield. Rozumiesz? Będziesz dla mnie psem i będziesz mi lizał buty – Uniósł podbródek. – Teraz jesteś moim psem. Moim wykastrowanym psem.

Mace niemal zaszlochał, widząc przed sobą życie horroru nawet bez czasowej ulgi jaką znajdował w ciałach kobiet. Zawył w rozpacz, jego forma

zmieniała się gdy mężczyzna dalej na niego wrzeszczał. Jego ciało się skondensowało, metal zmienił się w czarne futro i opadł na cztery łapy. Wkrótce był warczącym, łkającym psem z nisko zwieszoną głową.

Nagle Claw, który wspiał się po złamanym maszcie na statek, gdy usłyszał pierwszy krzyk Mace'a, rzucił się przez otwarte drzwi prosto do gardła Jasara Doliarda. Dworak zaskrzeczał, cofając się w absolutnym przerażeniu, uryna zalała przód jego spodni. Mace obserwował, wiedząc że jego obowiązkiem było bronić mężczyzny, natychmiast i bez wahania... ale Jasar nakazał mu nie robić niczego póki nie nakaze.

Claw przygwoździł wrzeszczącego dandysa, jego szpony cięły ofiarę w pierś i ramiona. Krzyk Jasar zmienił się w pienisty bulgot. Przysiadły na podłodze, Mace czuł agonię i szok mistrza i patrzył jak Claw rzucił się naprzód i zamknął koszmarnie szczęki wokół głowy człowieka. Z szybkim szarpnięciem, oderwał ją.

Wież pękła. Mace zadrżał i niemal stracił uścisk na rzeczywistości, niemal poczuł jak bladnie w bezcielesny świat pierwszego roju, ale wzory Solie i wdowy przytrzymały go. Wrócił do ludzkiej formy, z trudem chwytając oddech. Ze śmiercią Jasara, wszystkie jego rozkazy straciły ważność.

Claw zmierzył go swoimi strasznymi oczami, szpony trzymając przed sobą niemal z szacunkiem. Jego emocje były nerwowe, zbite.

- Dziękuję – powiedział Mace i wiele napięcia zniknęło z aury drugiego sylfa. Ciągłe drżąc, Mace wstał i spojrzał na zwłoki swojego mistrza. Po tych wszystkich latach służby, nie czuł niczego, tylko głęboką wzgardę i żal, że sam nie zabił mężczyzny. W większości, czuł niesmak.

Obrócił się, wysyłając naprzód swoje zmysły. Toczyła się jeszcze jedna bitwa na tyle ulla, gdzie były magazyny. Mace czuł strach i ból, razem z niechybną żądzą krwi. Spojrzał na Clawa i obaj zrozumieli: rój ciągle był w niebezpieczeństwie. W tandemie obrócili się i wyszli, żaden nie patrząc ponownie na ciało Jasara. Nie był tego wart.

Sięgając szczytu strzaskanego statku, który ciągle wisiał w tym samym miejscu, gdy powietrzny sylf walczył by utrzymać zniszczony wrak, Mace zmienił się w dym i błyskawice. Uniósł Clawa, przenosząc go nad urwiskiem na stok po drugiej stronie. Za nimi, mistrz Tempest w końcu otrząsnął się z szoku. Nie był ranny, przez całą bitwę chroniony kokonem wiatru pod

kadłubem statku. Jednak nie był odważnym mężczyzną i zajęło mu trochę czasu odzyskanie rozumu – i rozpoczęcie rzucania rozkazów wycofania. Ciągłe sycząc z gniewu nad obrazą ataku, Tempest się poddała, niosąc strzaskany statek i kilku którzy przetrwali. Dwaj bitewnicy ją puścili, skupiając się na bardziej naglących zagrożeniach roju i zadowoleni z zobaczenia tyłów statku, który przyniósł tu ich mistrzów.



Leon stał w centrum konfliktu, jego twarz była maską krwawej wściekłości gdy ciał mieczem w szyję jednego z napastników, a potem obrócił się by wbić go w nieosłoniętą pachę innego. Trzeci zamachnął się na niego, ale zablokował uderzenie kawałkiem drewna. Gdy walczył by utrzymać się przy życiu, wykrzykiwał rozkazy do mężczyzn i sylfów Wspólnoty, kierując ochroną przeciw żołnierzom wlewającym się przez dziurę w ścianie magazynu. Robił to instynktownie, bez pasji czy emocji, ale tak dobrze że żołnierze Alcora walczyli by zabić go pierwszego.

Za nim i na razie poza walką, Devon obserwował Leona ze strachem. Widział co działo się z niektórymi mężczyznami, gdy ich sylfy umarły i Leon wyglądał na niemal szalonego. Jego zdolności były niezaprzeczalne, obie w walce i przywództwie, ale Devon nie był pewny czy mężczyzna przestanie gdy skończy mordować żołnierzy. Był mężczyzną szukającym zapomnienia by zniszczyć pustkę jaką stworzyła w nim śmierć sylfa.

Stojąc obok Devona, Morgał miał rozszerzone oczy i był blady, ale nie uciekł. Ash unosiła się między nim a jego napastnikami, ledwie widoczna teraz ale gotowa rozpaść piekło jeśli ktoś się za bardzo zbliży. Właściwie nie mogła nikogo zranic, ale rozproszyła więcej niż jednego żołnierza, który skończył przebity mieczem jej mistrza. Devon widział przed sobą Airi, gotową do tego samego. Była przerażona, gdyż miecz mógł ją ciąć równie łatwo jak każdego gdy się utrwaliła, ale większość jej strachu była o Devona. Nie zniknęłaby gdyby umarł, dzięki Solie i starej więzi z ojcem Devona, ale nie chciała go opuszczać. Devon mógł to zrozumieć. Też nie chciał jej stracić.

Przed nimi, żołnierze Alcora ryknęli, ruszając naprzód grupą. Leon potknął się do tyłu, nie zraniony ale niezdolny zająć się nimi wszystkimi. Stał po drugiej stronie Devona i Morgala i wszyscy trzej walczyli razem.

Ash błysnęła, uderzając gorącem i światłem, ale oslepiając przyjaciół na równi z wrogami. Chwilę później Devon poczuł jak Airi go chwyciła i cofnęła sprzed uderzającego miecza, którego nie widział. Mrugając, upadł, ale postawiła go na nogi, jej wiatr zmierzwił mu włosy. Leon zabił atakującego mężczyznę, stając przed Morgalem by uciąć mężczyźnie głowę w połowie karku.

Uważaj! Posłała Airi.

- Ty też – sapnął Devon i uniósł miecz na czas by sparować uderzenie, pomrukując na wstrząs jaki przebiegł po jego ręce. Jego oponent zacisnął zęby, pchając w dół, ale Airi uderzyła go w twarz, unosząc go ze stóp. Devon krzyknął nim wbił miecz pod krawędź zbroi mężczyzny. Żołnierz krzyknął, cofając się i nagle jego krew zalała ręce Devona.

Devon przeklął i szarpnął się w tył i Airi upuściła mężczyznę z przerażonym sapnięciem. W pobliżu usłyszał krzyk Morgala i wycie Ash, ale nie był pewny czy kompan był ranny czy tylko przerażony. Devon był. Wszyscy krzyczeli i zabijali się nawzajem. To był morderczy szal.

Gdy Leon krzyknął by się wycofali i przegrupowali, Devon upadł na zakrwawiona podłogę. Airi trzymała go na nogach. W tym samym czasie, uderzyła go nienawiść. Uderzyła wszystkich i wszyscy walczący zapomnieli o bitwie na rzecz nagłej, głęboko zakorzenionej potrzeby ucieczki. Devon spanikował, jego przerażenie było tak przejmujące, że przestał dbać o to kto może go minąć jak długo uciekał. Jedyłą rzeczą, która go uratowała było to, że ludzie króla myśleli podobnie. Horda zapomniała o gniewie, wpadając na siebie i próbując uciec przez drzwi prowadzące do ula. Niektórzy upadli na śliską podłogę i w pośpiechu zostali stratowani.

Jedynym, który nie uciekł był Leon. Stał na środku pomieszczenia, pokryty krwią innych mężczyzn, ze zmęczeniem patrząc na dziurę wychodzącą na bok wzgórze i mając nadzieję...

Ogień i błyskawice przeszły przez nią, płomień tańczył w ustach chmury. Był to Mace, który znów ryknął i puścił drugiego bitewnika w kształcie straszego potwora i oba sylfy zaatakowały.

Żaden z mężczyzn roju nie został tknięty. Dwaj bitewnicy zamiast tego rzucili się na najeźdźców, rozdierając ich na kawałki, kąpiąc tych którzy przetrwali w krwi i posoce. obrońcy Wspólnoty dalej uciekali, rzucając za

sobą broń. Devon też ruszył z Airi przy boku, kompletnie niepewny kto jeszcze żył. Wiedział tylko, że on i Arii żyli i że oboje chcieli się znaleźć jak najdalej od bitewników.

W magazynie, Leon otarł krew z twarzy rękawem i patrzył jak Mace i drugi bitewnik wykończyli pozostałych żołnierzy Alcora. Rozumiał, że żaden nie był Rilem. Część niego gdzie był jego bitewnik była nieczuła i wiedział, że Ril przepadł, ale ciągle czekał aż skończyli i chmura dymu wróciła w ludzki kształt Mace'a.

Zerkając na wielkiego bitewnika, westchnął z żalem. W zamian Mace go zmierzył, jego forma była doskonała i czysta jakby właśnie nie zamordował tuzina ludzi. Oczywiście, mógł przybrać formę jaką chciał, czystą lub nie. Leon po prostu patrzył, wiedząc że Mace czuł całe jego cierpienie i go to nie obchodziło.

- Dlaczego Claw tu jest? – zapytał.

Mace odpowiedział po chwili – albo raczej zawracał sobie głowę odpowiedzią, poprawił Leon. Maca nigdy nie będą obchodzili mężczyźni.

- Należy do roju – w końcu powiedział sylf.

Leon skinął i rzucił miecz na podłogę. Zabrzęczał głośno.

- Gromadzenie skończone?

Żadnej odpowiedzi. Claw spojrzał niepewnie między Macem a Leonem.

- Skończone – zdecydował Leon i odwrócił się by wejść do ula, drżąc od zimnego powietrza wlatującego przez dziurę. Znow groziło śniegiem i zanotował w myślach by wysłać kogoś do sprzątnięcia ciał i ziemnego sylfa do załatania dziury. Było dużo dziur do zamknięcia i ciał do pochowania i tysięcy innych rzeczy, którymi trzeba było się zająć. Upewni się by zająć wszystkim, wiedział, zanim znów pozwoli sobie myśleć. Miał nadzieje, że zajmie to długi czas.

Rozdział 31

Heyou wrócił do wielkiej sali długą drogą, zmuszony niemal całą drogę przebyć zewnętrznymi korytarzami ula zanim znalazł trasę, która nie została zamknięta. Wbiegł do środka, z rozpostartymi rękami i po zdumionej chwili wszyscy zaczęli wiwatować. Gdy ruszył ku Solie, wstała z siedzenia i ruszyła mu na spotkanie, zderzyli się, uniósł ją z podłogi i całował bez przerwy. Wszyscy klaskali i ryczeli. Oddała pocałunek, szlochając z ulgi, gdy obrócił ją w powietrzu, śmiejąc się.

- Wygraliśmy? – sapnęła.

- Oczywiście, że tak – odparł. – Zawsze wygrywamy.

Radość ze zwycięstwa była zaraźliwa. Smutek nadejdzie później, gdy policzeni zostaną umarli, ale na razie, wszyscy celebrowali życie. Ogniste sylfy tańczyły ponad tłumem, oświetlając podziemie aż było jasno jak w dzień. Ziemne sylfy pootwierały korytarze i wyczerpani obrońcy dołączyli do płaczących rodzin. Byli tacy, którzy nie wrócili i ich rodziny i przyjaciele ruszyli szukać ich ciał, ale ofiar było naprawdę niewiele. Dzięki Heyou i Leonowi.

Jeśli siądę, pomyślał Devon, to już nie wstanę. Wszedł, potykając się, do wielkiej sali, każda część jego ciała bolała, szczególnie jego ręce i ramiona. Ktoś podał mu kubek piwa i opadł na ławkę, wzdrygając się.

Airi też usiadła, migocząc w na wpół przeźroczystość i uśmiechając się w górę obok niego, płomyk radości w dziecięcej formie. Zdolny czuć jej emocje tak wyraźnie jak zawsze, Devo wyczuwał radość z jego przetrwania, razem ze zmęczeniem. Wzdrygając się, odłożył kubek i sięgnął w tunikę po flet. Rozkosz Airi wzrosła gdy zaczął grać, zmuszając palce do tańczenia na dziurkach. Grał powolną melodię – nie miał energii na więcej – i ludzie wokół niego ucichli, słuchając. Nie była to pieśń żałobna ale słodka piosenka o zimie i straconym lecie, które jeszcze miało nadejść. Airi zamknęła oczy, kołysząc się szczęśliwie w tył i przód.

Naprzeciw pomieszczenia, Devon zobaczył jak Galway przepychał się przez tłum, zatrzymując się by napić się z kubka i słuchając. Wyraźnie był zauroczony muzyką. Devon nawet nie wiedział czy traper przetrwał walkę w

stajniach, ale mężczyzna miał tylko bandaż wokół głowy i wyglądał silniej i zdrowiej niż Devon się czuł.

Devon skończył piosenkę i odłożył flet. Airi westchnęła - chciała więcej, ale mogła poczekać. Wiedziała, że gdy Devon odeśpi, zagra jej całe koncerty.

Gdy Galway się zbliżył, Devo wstał.

- Cieszę się, że żyjesz – powiedział traperowi.

- Wzajemnie. Było nerwowo. Słyszałem że zwycięstwo padło tam gdzie walczyłeś.

Devon się roześmiał. Jemu i jego kompani nie robiło to różnicy. Skończyli tylko stawiając czoła ostatnim najeźdźcom. Gdyby ci żołnierze Eferem zdali sobie sprawę że tylko oni zostali, pewnie by się wycofali.

- To bitownicy zrobili różnicę – przyznał. – Nie przetrwalibyśmy dużo dłużej gdyby się nie pokazali – Przestraszyli wszystkich do utraty rozumu, nie dodał. Strach przed nimi zawsze będzie obecny i rozejrzał się niepewnie.

Heyou był w pobliżu, nie zachowując się inaczej niż każdy inny napalony nastolatek, próbując przesunąć nosem po karku Solie, nawet gdy przemierzała pomieszczenie. Devon wcale by jej nie zobaczył, ale wszyscy schodzili jej z drogi, dając przejście. Patrzyli na nią jakby teraz była przywódczynią. Leon dał swoją pomoc i strategię, ale to ona kontrolowała bitowników. Devon miał nadzieję, że zniesie bycie królową. Musiała.

- Widziałeś Morgala lub innego członka konsulu? – zapytał Galway'a. Widział jak wcześniej Morgał uciekł od walki, ale pamiętał jego krzyk przed przybyciem bitowników.

Galway potrząsnął głową.

- Kilku innych. Morgala? Nie.

Devon westchnął i potrząsnął głową. Widział Luck, uzdrawiającego sylfa stojącą obok Solie. Leczyła rannych, powoli zmierzając ku nim dwóm, ale nie próbowała zejść niżej. Ktokolwiek został na dole był poza jej mocą leczenia.

- Cholera – powiedział.

- Tak, Morgał był dobrym człowiekiem. Wzniesiemy za niego kufle gdy spocznie – i za wszystkich którzy oddali się w ochronie naszej wolności – Galway klepnął Devon w ramię i wzdrygnął się. – Złap trochę snu. Jeśli chodzi o mnie, myślę że pójdę dojrzeć Heyou nim zedrze ubrania z tej dziewczyny –

Ruszył przez tłum, podążając za Solie i Heyou w dół korytarza i zostawiając Devona przy sączeniu jego napoju.

Jestem taka zmęczona, powiedziała Airi.

- Jak i ja. Idę do łóżka – Wstając, Devon ruszył korytarzem prowadzącym do jego pokoju. Nawet kąpiel mogła poczekać do jutra.



W przeciwnym kierunku, Solie podążyła za mentalnym wezwaniem Mace'a do pokoju, który miał być pokojem dla rodziny, choć jeszcze nikt go nie zajął. Ziemne sylfy były szczęśliwe kopiąc w urwisku, tworząc dużo więcej pokoi niż było potrzeba czy nawet które mogłyby zostać użyte przed wiosną, gdy opuszczą to miejsce. Były szczęśliwsze robiąc to i nie zamierzała się kłócić. Częścią wolności było robienie tego co cie uszczęśliwiało. Nie zawsze musi być powód.

Heyou podążył za nią tak blisko że był niemal jak druga skóra, próbując lizać ją po szyi i włożyć ręce pod jej ubrania. Czy wszyscy bitewnicy byli tacy napaleni? Zastanawiała się nawet gdy próbowała go odepchnąć. W tym samym czasie, rozważała zostawienie wszystkich na chwilę żeby zabrać go z powrotem do swojego pokoju. Czy to by było niegrzeczne? Sama czuła się odrobinę napalona.

Nie mogła wyczuć wyraźnie uczuć innych bitewników w porównaniu z Heyou. Jako królowa mogła ich czuć jak wszystkie inne sylfy, ale byli tylko słabym bzyczeniem w tyle jej głowy. Tylko Heyou był wyraźny... pewnie z powodu głębi ich przywiązania. To była dobra rzecz. Zwariowałyby słuchając zbyt wielu głosów na raz.

Chociaż mogli wołać do niej milcząco, jak każdy inny sylf do swojego mistrza i natychmiast odpowiedziała na prośbę Mace'a. Choć nie powiedział jej dlaczego i stanęła gwałtownie gdy weszła do komnaty. Co dało Heyou szansę włożenia rąk w jej sukienkę i na jej piersi.

Zapiszczała, pochyliła się, odsuwając się od niego i uderzając go w głowę.

- Zachowuj się!

- Muszę?

Solie spojrzała groźnie. Jednak wciąż część niej była zachwycona jego uwagą, zadowolona że żył, nawet jeśli był zdeterminowany zlec z nią za każdym razem gdy miał szansę.

Obróciła się do dwóch bitowników. Czowała ulgę widząc Mace'a takiego samego jak zawsze. Jak Heyou, wyszedł z walki z niewielkimi lub bez ran i uśmiechnęła się szeroko na jego łagodny wyraz rozbawienia. Jednak obok niego było stworzenie z koszmaru, zgarbiona forma ze szponami zamiast dłoni, trzymanymi przed sobą jak u modlącej się modliszki, usta pełne kłów. Dziwnie, czuła go równie łatwo jak Mace'a i jego emocje były ekstremalnie... neurotyczne.

- To jest Claw – wyjaśnił Mace. – Jeden z naszej linii roju. Czuł jak stałaś się królową tak samo jak ja. Został wysłany by nas zniszczyć, ale zamiast tego pomógł. Bez Rila... uratował nas – Przerwał. – Czy możesz, proszę, dać mu takie same rozkazy jak nam?

Solie wirowało w głowie.

- Oczywiście – wykrztusiła. Teraz miała czterech bitowników? Cześć niej zakrzyczała ze strachu, ale Heyou oparł się o nią, niemal ja przewracając. Zebrała się w sobie i pchnęła go w tył, jednocześnie odrzucając chwilowe poczucie przejęcia.

- Claw? – powiedziała. – Jakikolwiek rozkaz dał ci twój mistrz, nie musisz się mu poddawać. Możesz przybrać formę jaką tylko chcesz i możesz mówić jeśli chcesz. Wszystko o co proszę to żebyś nie walczył poza ochroną Wspólnoty i żebyś nie używał swojej aury nienawiści poza ochroną Wspólnoty. Rozumiesz?

Claw zadrżał, jego paciorkowate oczy były bez emocji.

- Tak – zaskrzeczał, jego głos był równie wysoki i absurdalny co forma.

Solie skinęła, zastanawiając się ilu jeszcze bitowników dostanie w tym tempie.

- Możesz zmienić się w człowieka? – zapytała. – Jesteś tak jakby straszny w takim stanie.

Claw spojrział w dół i zamigotał, zmieniając kształt. Zmienił się w zgarbionego, wyglądającego nerwowo młodego mężczyznę, z wytrzeszczonymi oczyma i rękoma trzymanymi przed sobą jak przednie

odnóża modliszki. Jego skóra była bardzo blada, a jego włosy, dziwaczne, ciemno niebieskie. Szaty, które nosił wisiały teraz na nim jak namiot.

- Lepiej? – zaskomlą.

Głównie czuł strach. Solie naprawdę nie mogła go winić, nawet gdy zastanawiała się jak bitewnik może się czegoś bać. Co zrobił jego poprzedni mistrz żeby go takim uczynić? Nagle, myśl o posiadaniu większej ilości bitewników nie była taka zła, jeśli by to znaczyło, że byliby wolni.

- Nieźle – powiedziała tak radośnie jak mogła.

Chwilę później od drzwi dobiegło pukanie.

- Galway – powiedział Heyou bez oglądnięcia się i obrócił się, otwierając drzwi.

Traper wsunął głowę.

- Planujecie wkrótce wrócić? – zapytał, patrząc na Heyou i Solie jakby oczekiwał znaleźć ich przetaczających się nago po podłodze.

Solie się zarumieniła.

- Ktoś o mnie pytał?

Potrzasał głową.

- Nie, ale jesteś przywódczynią tego miejsca. Musisz przemówić. Leon też pewnie by chciał żebyś to zrobiła. Właśnie wraca.

- Wszystko z nim w porządku? – zapytała ze zmartwieniem. Widziała przed sobą wiele trudnych lat i potrzebowała jego doświadczenia. Galway'a również, jeśli przekonałaby go żeby został. Potrzebowała wielu mężczyzn chętnych szkolić i doradzać kobiecej monarchini.

- Tak to wygląda. Widzę go idącego przejściem. Porozmawiam z nim chwilę, powiem mu by wszedł tu nim pójdzie gdzieś indziej. Powie ci co trzeba zrobić – Zmierzył surowo Heyou, który tylko uśmiechnął się szeroko i wycofał głowę z pokoju. Drzwi się zamknęły.

Znów się otworzyły ledwie minutę później. Solie spojrzała w górę, oczekując Leona, ale zamiast tego weszła wdowa. Rzuciła Solie to samo oceniające spojrzenie, które sprawiało że chciała zwiesić głowę i zaszurać stopami, ale potem obróciła się do Mace'a.

- Widzę, że nie jesteś martwy – powiedziała.

- Nie.

- Kiedy planowałeś mi powiedzieć?

Uniósł brwi.

- Myślałem, że to zrobiłem.

Skrzyżowała ramiona.

- Nie. Posłałeś szept w mojej głowie wzywający mnie w miejsce gdzie jesteś obecny. Nie jestem psem, wiesz.

Przechylił głowę na bok i Solie poczuła jak jego emocje zmiękły.

- Bardzo mi przykro – powiedział jej szczerze. – Potrzebuję w czymś twojej pomocy.

Najwidoczniej wdowa też czuła jego skruchę. Jej zachowanie złagodniało – odrobinę. Solie poczuła się niewygodnie, jakby ich szpiegowwała.

- O co chodzi? – zapytała wdowa.

Mace wskazał kciukiem.

- To jest Claw – powiedział jej. Niebieskowłosy bitewnik podskoczył, będąc szczęśliwym blaknąc w tle. – Jest bitewnikiem roju. Jest przywiązany do Solie, ale żaden z nas nie ma pozwolenia na czerpanie od niej energii.

- Ja mam – zaćwierkotał Heyou.

- Lepiej zacznij zamiast tego czerpać od Galwaya, szczeniaku – powiedział mu Mace płasko i młodszy zrobił minę. Solie zachichotała. I tak nie czuła gdy któryś z nich brał od niej energię.

- Claw potrzebuje mistrza – kontynuował Mace. – Kogoś kto wzorowałby jego energię jako druga osoba po Solie. Kobiety – Spojrzał na nią bezpośrednio. – Kobiety chętniej uprawiać z nim seks.

Claw zerknął w górę.

Wdowa zacisnęła usta.

- O co chodzi z wami, bitewnikami i seksem?

- Po to jesteśmy. Do walki i seksu.

- Zdajesz sobie sprawę od ilu mężczyzn już to słyszałam? – Jednak wdowa oparła dłonie na biodrach. – Zobaczą czy znajdę chętną kobietę. Jest pewna liczba wdów które nie mają dzieci, o które musiałby dbać i ciągle są na tyle młode by interesowały je wy, bitewnicy i wasza... wytrzymałość. Żadnych dzieci – Spojrzała groźnie na Solie, która się zarumieniła. – Nie wydam zaledwie dziewczyny na pastwę żądzy bitewnika. Poszukam kobiety, która już miała dzieci i nie ma mężczyzny, skoro wątpię żebyście się dzielili.

Zrozumiano?

Claw zamrugął

- Dostane kobietę? – Brzmiał słabo ze zdumienia.

- Tylko jeśli znajdę taką która by cię chciała – Przyjrzała się, wyraźnie jej nie imponowało to co widziała. – Do tej chwili, trzymaj się z dala od moich dziewczynek! – Bitewnik znów zamrugął, skinął drżąco gdy patrzyła groźnie i zdawał się czuć ulgę gdy przeniosła spojrzenie na Mace'a. – Jeśli chodzi o ciebie, żadnych więcej cichych szeptów w mojej głowie. Jeśli czegoś chcesz, przychodzisz do mnie i pytasz grzecznie... łapiesz?

- Tak, Lily – odparł spokojnie.

Wdowa tylko siąknęła nosem i ruszyła ku drzwiom.

- Nie mogę uwierzyć, że zostałam zredukowana do stręczenia kobiet – wymamrotała wychodząc, przytrzymując drzwi dla Leona, który wszedł.

Zatrzymał się i patrzył za nią.

- Czy właśnie powiedziała to, co myślę, że powiedziała?

Solie zachichotała.

- Tak. Teraz mamy kolejnego bitewnika. Poznaj Clawa.

Leon zmierzył niebieskowłosego sylfa i skinął. W ogóle nie wydawał się zaskoczony.

- Dobrze. Może być kolejny atak.

Solie pobieliała.

- Kolejny?

- Statek powietrzny uciekł – powiedział jej Leon. – Król będzie wiedział co się stało. Pytaniem jest czy będzie chętny zaryzykować więcej bitewników, gdy już stracił sześciu. Zostało mu tylko dziewięciu. Ośmiu, biorąc pod uwagę, że nigdy nie puści Thralla od swego boku.

Solie wyobraziła sobie ośmiu bitewników ruszających na Wspólnotę i poczuła się chora. Heyou otoczył ją ramionami.

- Wątpię, żeby to zrobił – kontynuowała Leon. – Ja bym zrobił, gdybym chciał żebyśmy przestali być zagrożeniem. Przewaga jest ciągle na jego korzyść... ale Alcor jest paranoiczny – Uśmiechnął się złośliwie. Jednak uśmiech nie trwał więcej niż chwilę i nie dotknął jego oczu. – Myślę, że podwinie pod siebie ogon, ale nie mogę tego zagwarantować. Potrzebujemy wszelkich bitewników jakich możemy mieć.

- Skąd mamy wziąć więcej?

- Wezwać ich. Przeprowadzić tuzin bitowników dla chętnych kobiet i będziemy mieli przewagę liczebną. Zachować w tajemnicy jak to zrobić i nigdy nie będziemy się musieli martwić o armie najeźdźców.

Solie na niego patrzyła.

- Wow.

- Rzeczywiście – Spojrzał ku drzwiom. – Powinnaś tam wrócić... pozwól zobaczyć się twoim ludziom. Potrzebują teraz pewnego rodzaju rozpoznania. Wszystkie konieczne decyzje podejmiemy jutro.

Było w nim coś strasznie smutnego. Solie nie czuła jego emocji zbyt wyraźnie i nie chciała, ale wiedziała że coś go przygnębiało.

- Wszystko w porządku? – zapytała niepewnie. Miał na sobie krew, ale nie wyglądał na rannego.

Leon obrócił się i uśmiechnął się do niej smutno.

- Będzie. Mówią, że to ciężkie dla mistrza gdy jego sylf umiera. Czuję jakby Ril wciąż był w mojej głowie.

Zamrugła.

- Ril nie jest martwy.

Leon patrzył.

- Właśnie go widziałam – wyrzucała z siebie w zaprzeczeniu, czując falę przerażenia i smutku. – Luck go przyniosła. Jest ranny, ale będzie żył. Umarł? – Czuła go, z dystansu i w szoku. Nie, nie mógł być martwy! – Był z twoją rodziną gdy...

Powiedziała to do jego pleców. Leon już wybiegał za drzwi.

Solie spojrzała na Mace'a.

- Wiedziałaś, że Ril ciągle żyje?

Większy bitownik potrasnął głową.

- Powinien był umrzeć. Ta uzdrowicielka nie oddała mu przysługi ratując go. Nigdy już nie będzie taki sam.

- To się nie liczy – zaprotestowała Solie. – Żyje. To dobra rzecz.

- Jak powiesz, moja królowo – odparł Mace i Heyou zacisnął wokół niej ramiona, twarz kryjąc przy jej szyi. Claw tylko westchnął, patrząc na swoje dłonie i myśląc o kobietach.



Leon wpadł do wielkiej sali, serce mu łomotało. Czuł Rila, czuł go cały czas, ale nie rozumiał. Czuł go nawet teraz, ale emocje bitewnika były tak strzaskane że ich nie rozpoznawał. Myślał, że nieczułość i przerażenie były jego emocjami. Cokolwiek się stało, Ril był w głębokim szoku.

Nie zatrzymał się na tworzącym się przyjęciu, chociaż nie był zaskoczony widząc to. W obliczu takiego przerażenia i śmierci, ludzie musieli odpuścić. Niezdolny jeszcze samemu to zrobić, przecisnął się przez tłum, odkrywając że jest klepany po plecach i ludzie potrząsają jego ręką. Kiedyś był wrogiem dla tych ludzi, teraz dziękowano mu ze łzami za uratowanie ich żyć. Leon kiwał głową i szedł, chcąc zobaczyć swego bitewnika i rodzinę, naprawdę nie pewny których potrzebował zobaczyć bardziej.

Przed nim, tłum się rozdzielił dość by mógł zobaczyć żonę i dostał odpowiedź na pytanie, gdy pośpieszył naprzód, nagle zdesperowany by się do niej dostać.

- Betha! – krzyknął. Obróciła się ku niemu, z rozszerzonymi oczyma i nagle również ku niemu zmierzała, Ralad krzyczała w jej ramionach. Leon napotkał ją na końcu pomieszczenia i uścisnął je obie. Betha zaszlochała z ulgi, przyciskając się do niego, nawet gdy uderzyła go pięścią. Krzyczała na niego, trzymając bezpiecznie dziecko, ale cofnął się i chwycił jej twarz w obie dłonie, przytrzymując ją na długi pocałunek.

Gdy skończył, podeszła Nali, z kciukiem w ustach, mierząc ojca wzrokiem z wielkim oburzeniem.

- Papo, Ril nie chce się zmienić w kucyka - poskarżyła się.

Leon patrzył na trzyletnia córkę, chcąc podnieść ją i też pocałować.

- Co?

- Kucyk! Chcę żeby zmienił się w kucyka i on nie chce!

Leon zdołał się uśmiechnąć, nieświadom łez jakie spływały mu po twarzy, od chwili gdy zobaczył żonę. Jego rodzina żyła, wszyscy.

- Nie czuje się dobrze, Nali. Musisz dać mu trochę czasu.

- To niesprawiedliwe! Nigdy nie był kucykiem!

Leon znów pocałował żonę i podniósł Nali, całując ją mimo protestów dziecka. Odstawiając ją, ruszył ku rogowi pomieszczenia. Tam Lizzy klęczała z Carą, twarzami do przerwy między ścianami a stołem. Ril siedział w tej

przerwie, z uniesionymi kolanami, owinięty kocem. Jego oczy były ciemne, jakby puste. Patrzył przed siebie, drżąc, ale nie reagując na nic.

Lizzy ze łzami spojrzała na ojca, ledwie zauważając na nim krew. Jej priorytety zawsze leżały gdzie indziej.

- Tatusiu, jest chory. Zrób coś!

Leon opadł na kolana i sięgnął ręką by potrzasać bitewnikiem. Ril żył, naprawdę żył, a wzrok który nagle obrócił na niego sylf był pełny przerażenia.

- Jestem kaleką – wyszeptał. – Zostawiła mnie okaleczonego.

- Ale żyjesz – powiedział mu Leon... i jak długo chodziło o niego, to było wszystko co się liczyło.



Król Alcor Baldorth siedział na tronie, który należał do niego od trzydziestu dwóch lat, patrząc przed siebie, jego korona była ciężka na jego głowie i ścisnął podłokietniki aż jego palce stały się białe. Jego żołądek bolał jakby połknął garść igieł.

Anderam, Boradel i Flav nie żyli. Jak i Jasar. Również żołnierze, których wysłał. Wszyscy. Gorzej, plotki głosiły, że ich bitewnicy nie przepadli – dołączyli do Leona i dziewczyny. Tej żalostnej, małej dziewczyny, która powinna być martwa od miesiący, zamiast jego syna.

Jego uścisk na podłokietnikach się zacieśnił, ból przeszywał jego ścięgna, gdy patrzył na mężczyznę, który przyniósł wieści, jeden z garstki, która zdołała wrócić. Głupiec krył się z przerażenia, bojąc się co zostanie mu zrobione za przyniesienie takich wieści. Alcor chciał go zabić – zrobiłby to gdyby mógł – ale to był mistrz Tempest, a nie mógł sobie pozwolić na jej utratę.

Sześciu bitewników straconych! Alcor wciągnął głęboki, drżący oddech. Leon zdradził go tak gruntownie i nieoczekiwanie. Jak długo mężczyzna to planował? Jak długo był zdrajcą grzejącym się w jego łaskach tylko po to żeby mógł planować i wymyślić ten straszliwy scenariusz? Mężczyzna pracował dla niego ponad dwadzieścia lat i ani razu Alcor go nie podejrzewał o spiskowanie.

W cieniu za jego siedzeniem, Thrall się śmiał. Nie głośno – sylf nie mógł wydać głośnego dźwięku – ale jego ramiona drżały i Alcor słyszał jak chwycił

oddech. Co gorzej, jego aura nienawiści była zmieszana z rozkoszą. Alcor chciał się obrócić i krzyknąć żeby się zamknął, ale to nie powstrzymałoby rozbawienia. Thrall śmiałby się tylko mocniej.

Alcor oblizwał usta.

- Wynoś się – wyszeptał. Klęczący przed nim mistrz sylfa wzdrygnął się w strachu. – Wynoś się! – krzyknął drugi raz i mężczyzna uciekł, buty ciężko uderzały w wypolerowaną podłogę.

Król w końcu puścił tron i przyłożył dłoń do czoła, wzdrygając się z bólu. Co powinien teraz zrobić? Nie mógł znów ruszyć na Leona. Miał ośmiu innych bitewników... dziewięciu gdyby ośmielił się iść samemu z Thrалlem, ale nie miał pojęcia jak Leon to zrobił, jak zwrócił bitewników przeciw ich mistrzom i uczynił je swoimi. Nie mógł ryzykować więcej porażek. Para Dubh uwielbiałoby gdyby wystawił się na atak. Jak również południowe królestwa. Szczególnie pustynny naród Meridalu za oceanem, ludzie z którymi prowadził tak drogi handel. Bez tchu czekali na szansę zaatakowania swymi bitewnikami, gdyby pozbył się własnych.

Alcor znów chwycił siedzenie, drżąc. Musiał ratować co się dało, kryć katastrofę nim jego własni ludzie się dowiedzą i spróbować dostać więcej bitewników. Belican powiedział, że jest za stary by poprowadzić więcej ceremonii. Cóż, musi wyszkolić więcej swoich bezużytecznych dzieci. Alcor potrzebował więcej bitewnych sylfów... jeśli znajdzie mężczyzn, którym wystarczająco zaufa by zrobić z nich mistrzów. Co jeśli skończy z kolejnym Leonem? Co jeśli teraz ruszą na niego?

Siedział w sali tronowej i trząsał się, jego umysł wyobrażał sobie wszystko co mogło pójść źle, wszystko co bez wątpienia pójdzie źle, teraz gdy był tak osłabiony. Koszmar otaczał króla, a Thrall utrzymywał swoją lojalną pozycję... i śmiech bitewnika nie ustawał.

epilog

Wiosna nie przyniosła zieleni na Łupkowe Równiny, ale blado żółte kwiaty zaczęły się pojawiać na szarych krzakach znaczących teren, ich korzenie wbite głęboko w zniszczoną glebę, pokazując, że jeszcze było w niej życie. Życie, który sylfy połączone w pracy mogły odnowić i odświeżyć.

Solie jechała na czele konwoju w parze rozciętych spódnic. Jej koń był zwykłym wałachem, trochę starym z szarą sierścią, ale to jej wystarczyło. Byli ci co wierzyli, że powinna się zachowywać bardziej szlachecko biorąc pod uwagę jej nowy status, ale nie była taka pewna. Nie było wcześniej nikogo takiego jak ona. Protokół dla królowej Wspólnoty będzie taki jaki będzie chciała. Teraz, było to jechanie na oklep na starym wałachu.

Heyou siedział za nią. Twierdził, że tak mógł chronić ją lepiej, ale wiedziała że chciał po prostu dobierać się do niej pod płaszczem. Od czasu Bocka nikt nie zagrażał jej życiu, nie z tak wieloma bitownikami i elementarnymi sylfami związanymi z nią. Dzięki dyskretnym lekcją Leona, Galway'a i Devona, stała się prawdziwą przywódczynią. Ta pozycja ciągle wydawała się jej trochę dziwna, jak buty które nie całkiem pasowały, ale przyzwyczała się. Naprawdę szybko będzie się czuła w tym wygodnie.

Spojrzała przez ramię na resztę konwoju, uśmiechając się przy tym do Heyou. W zamian się rozpromienił. Za nim, Wspólnota rozciągała się w długiej linii. Konie jakie mieli wiozły ludzi lub ciągnęły wozy. Inni ludzie siedzieli na płytach kamienia, które ziemne sylfy ciągnęły po ziemi. Powietrzne sylfy wznosiły się nad nimi, wiele niosło zapasy w powietrzu, a ponad nimi wszystkimi leciał Mace jako dym i lśnienie, razem z nim Claw i sześciu innych.

Z pomocą kapłana Petra, sprowadzili kolejne półtuzina bitowników, każdy z nich przyciągnięty przez chętna kobietę w średnim wieku. Każdy sylf przeszedł przez bramę, biorąc zaoferowaną kobietę na mistrzynię, ale poddając się rojowi i wzorowi Solie zanim było im dozwolona jakakolwiek fizyczna konsumpcja. Najwidoczniej to akt miłości czynił kobiecego mistrza królową, ale bitownik już związany z królową nie mógł w nią zmienić kochanki. Powinna być z tym ostrożna, podejrzewała Solie. Było wiele

problemów związanych z ideą dwóch królowych, a nie ostatnim z nich było to, że przez to bitewnicy ruszyliby na wojnę.

Kobiety wybierane dla bitwników nie miały nic przeciwko nie byciu królowymi w ogóle. Solie dorastała w świecie gdzie kobiety nie miały wiele siły i tylko kilka praw. Jednak bitewnicy nie łapali tego pomysłu i żaden ludzki mężczyzn nie chciał się o to kłócić. Solie uśmiechnęła się lekko. Było bardzo trudno powiedzieć kobiecie, że jest gorsza gdy stał za nią zirytowany bitewny sylf.

Choć to nie tylko swoje mistrzynie lubili. Bitewnicy chronili każdą kobietę i żeńskie dziecko w roju – i na rozkaz Solie, również mężczyzn. Kobiety we Wspólnocie były najbezpieczniejsze na świecie, jak przypuszczała. Nie było sprawy choćby jednej kobiety zranionej przez pijanego czy gwałtownego męża od środka zimy. Ostatni, który pogwałcił prawo był uważany za uczciwą grę pod zasadą „krzywdź tylko tych, którzy chcą skrzywdzić rój”, a wdowa już miała własnego bitwnika.

Solie spojrzała na niebo. Podobnie jak jej ludzie, jej sylfy były szczęśliwe. Niemal się bawiły gdy wyglądali niebezpieczeństwa, cały komplet bitwników roju był w powietrzu, poza dwoma. Heyou siedział za nią, jego palce bez znużenia szukały drogi pod jej płaszcz, no i był i Ril. Trzepnęła rękę Heyou.

Ril. Znów się oglądając, zobaczyła Leona idącego tuzin stóp za nią, prowadzącego dwa konie. Jego żona siedziała na jednym z nich, Ralad była owinięta w koce przy jej piersi, a Cara siedziała przed nią. Bitewnik Leona jechał na drugim z Lizzy i Nali, Lizzy była niemal na jego kolanach. Dwunastolatka obróciła się i gawędziła, ale bitewnik ledwie zwracał uwagę, poza powstrzymaniem dwóch wiercipięt przed spadnięciem, co zdawało się, że obie dziewczynki były zdeterminowane zrobić.

Ril nigdy nie patrzył na swoich kolegów, zauważyła Solie. Rzeczywiście został okaleczony w walce na urwisku. Słyszała, że bitewnik mógł ciągle zmieniać kształt, ale nie widziała żeby to robił i nie pytała. Stracił nie tylko trzecią część swojej energii w bitwie i patrzył teraz oczami, które były prawie martwe. Jednak wciąż troskliwie otaczał dziewczynki ramionami.

- Myślę, że prawie jesteśmy na miejscu - Heyou westchnął w jej ucho, zmuszając ją do skupienia myśli.

Podróżowali od niemal tygodnia ku górcom, które w tym czasie zdawały się rosnać i wypełniać świat. Grupa teraz zmierzała nad wzniesieniem, które jak powiedziano Solie zagłębiało się w dolinę, z biegnącą przez nią rzeką i jeziorem na środku czegoś co kiedyś było martwym gruntem. Sylfy już raz odnowiły ziemię i będą zdolne zrobić to ponownie, bez względu na to co tu się stało. Wspólnota będzie zdolna odbudować wszystko i tym razem nikt ich nie powstrzyma. Nie będzie żadnych głupich pomyłek – albo będzie ich mniej, jak miała nadzieję.

Minęli wzniesienie i w końcu zobaczyła miejsce do którego zmierzali. Wielkie ubytki zostały wydarte w ziemi, gdy Mace'owi i Rilowi nakazano atak. To co kiedyś było domami i stodołami ścięto do ziemi i został zerwany niemal każdy kawałek życia. Ale były omińnięte miejsca. Solie widziała tam zielen i miejsca z kwiatami, które mogły się rozwinąć w rośliny bardziej użyteczne i delikatne niż krzaki które przetrwały na reszcie równin. Dolina była również ogromna, było więcej niż dość miejsca dla nich wszystkich.

- Jest piękna – powiedziała.

Heyou ją uściskał, jego place znów zaczęły się poruszać.

- Nie tak jak ty – zapewnił ją. – Ale jest cała twoja.

Nie, była tu dla nich wszystkich. Solie wzięła głęboki oddech, widząc przed sobą życie pełne wolności, którego nie była w stanie sobie wyobrazić zanim opuściła chatę rodziców. Dobrze jest być w domu, pomyślała, ale oczywiście jak długo były wokół niej ramiona Heyou, nie było ważne gdzie to było. Już była w domu.